



Michaels Fern
Oszukasz mnie raz

Przekład MARIA GÓRNA



Prolog

1966 rok

Oxford, Missisipi

We trzy wyszły z campusu Ole Miss, trzymając się pod rękę. Po drodze rozmawiały o tym, że w mieście panuje dziś nieznośna duchota - jak zresztą w całym stanie. Szły do herbaciarni Moss, prowadzonej przez dwie stare panny, Hattie i Mattie Moss, które, o ile wierzyć plotkom, urodziły się wieki temu i nigdy nie umrą, bo należą do klanu Mossów - cokolwiek by to do diabła miało znaczyć.

Szły do herbaciarni bynajmniej nie dlatego, że miały ochotę na lurowatą, pozbawioną smaku herbatę albo stęchłe kanapki z ogórkiem, przysmak miejscowych staruszek, ale dlatego, że studenci tam nie zaglądali. Mało kto lubił siedzieć w zakurczonym, cuchnącym pleśnią pomieszczeniu i wyglądać na ulicę przez brudne szyby, przysłonięte smętnie zwisającymi firankami. Szły do herbaciarni, bo Allison Matthews chciała obgadać z najlepszymi przyjaciółkami coś niezwykle ważnego. Sekretnego. Wtajemniczyć je w diabelnie chytry plan, który obmyśliła, i przekonać do niego; jeśli to się uda, wszystkie trzy będą ustawione do końca życia.

Rozmowa zesłała na egzaminy końcowe i to, na ile każda czuła się przygotowana. Należały do najlepszych studentów na roku, więc nie miały się czego obawiać. Mogły sobie pozwolić, żeby tej soboty zostawić książki i snuć fantastyczne plany, w przeciwieństwie do wielu kolegów, którzy imprezowali i opuszczali zajęcia, a teraz zakuwali po nocach, byle tylko skończyć studia i bez wstydu wrócić do domu.

Żadna z nich nie miała w sobie nic nadzwyczajnego. Ani modnie ubrane, ani ładne, ani zgrabne. Typowe, jak zwykle się mówić, kujoni-ce. Mole książkowe. Inte-

lektualistki. Okularnice bez makijażu. Zresztą makijaż i tak nie zdołały zatuszować zbyt ostrych rysów Allison ani pyzatej twarzy Jill, tak okrągłej, jak reszta jej ciała. Co do Gwen, szminka tylko niepotrzebnie przyciągnęłaby uwagę do wysuniętej górnej szczęki i grubych warg.

Poznały się w bibliotece i z konieczności szybko zaprzyjaźniły. Trudno przetrwać cztery lata studiów samotnie. Spędzały ze sobą dużo czasu, dobrze się czuły w swoim towarzystwie, ale każda pragnęła większej akceptacji i zainteresowania reszty studenckiej braci.

Oprócz inteligencji łączyło je coś jeszcze: kochały pieniądze. Czasami, długo w noc rozmawiały o tym, jak to będzie, kiedy już osiągną bogactwo i sławę. Oczywiście pojedą na zjazd absolwentów, a wszystkim zadzierającym nosa koleżankom na ich widok opadną szczęki. To było ich wspólne marzenie, które miało szansę się spełnić. Allison, najbardziej wygadana z całej trójki, powtarzała, że kto z uporem do czegoś dąży, ten osiąga cel. A rzadko się myliła i zawsze mówiła prawdę. No, prawie zawsze.

Oxford w stanie Missisipi to małe, urocze miasteczko, niezbyt podobne do większości miast uniwersyteckich. Pełno było w nim olbrzymich starych drzew ze zwisającymi brodami z mchu, które wyglądały i niesamowicie, i pięknie. Wzdłuż głównej ulicy ciągnęły się staroświeckie sklepiki z pasiastymi markizami nad wejściem i oknami połyskującymi w kwietniowym słońcu.

Z drogerii Mulvaneya przez otwarte drzwi płynął zapach pudru Chantilly. Zatrzymały się przy wystawie, żeby popatrzeć na ogłoszenie o wyprzedażach. W promocji był szampon Prell i pasta Colgate - dwa produkty w cenie jednego. Żadnej z nich to nie zainteresowało. Wzruszyły ramionami i poszły dalej cieniastą ulicą. Minęły sklep z narzędziami, który wyglądał tak samo, jak przed pięćdziesięcioma laty. Przed drzwiami na bujanym fotelu siedział Daniel Hawthorn i palił fajkę. Obok niego stała beczka pełna grabi i łopat, a na ziemi leżał wór z nasionami trawy. Nic więcej nie wskazywało, że jest to sklep z narzędziami, bo pani Hawthorn, jak większość sklepiarzy z miasteczka, uwielbiała sztywno krochmalone zasłonki. Ale żeby zasłaniać wnętrze sklepu z narzędziami? Co za pomysł!

- No, dziewczyny, jesteśmy. - Głos Allison brzmiał niepewnie. Zajrzała najpierw do środka, potem usiadła na białej ławce stojącej na zewnątrz pod wykuszowym oknem przysłoniętym smętną kraciastą firanczką. Po obu stronach ławki stały misy, też białe, pełne kwiatów w bajkowych kolorach. Mówiono, że Hattie i Mattie mają dobrą

rękę do kwiatów i powinny prowadzić kwiaciarnię, a nie herbaciarnię, ale nikt nigdy nie powiedział im tego wprost.

Jill wytarła twarz z potu. Odgarnęła posklejane włosy z czoła.

- Zostajemy tu, czy wchodzimy? W środku może będzie trochę chłodniej. Nienawidzę tego upału, cała się lepę.

Allison wstała z ławki, rozejrzała się wokół, zanim nacisnęła klamkę. Dzwonek nad drzwiami brzęknął cicho, kiedy weszła do środka, a za nią Gwen i Jill. Odsunęła się na bok, żeby nie tłoczyć się w wejściu i zaczęła, aż oczy przywykną do półmroku. Bezwiednie uniosła rękę, żeby poprawić zjeżdżające ze spoconego nosa okulary. Jej przyjaciółki zrobiły to samo.

Poszły w głąb pustawej sali, gdzie stało kilka stolików. Pod sufitem furkotały wentylatory. Nawet w półmroku widać było, że pokrywa je gruba warstwa kurzu. Gwen kichnęła, i to trzy razy pod rząd, kiedy siadały przy małym metalowym stoliku. Zaczęły jej łzawić oczy.

- Szkoda, że nie poszliśmy do pizzerii Dominica. Tu jest obrzydliwie - mruknęła, czyszcząc okulary rąbkiem spodnicy.

- U Dominica jest za głośno i za tłoczno. A tu - spójrz sama, nikogo. Jedyne miejsce, gdzie o tej porze możemy być same. Nie musimy nawet nic zamawiać. Zresztą zawsze tu przychodzimy, kiedy mamy coś ważnego do obgadania. To nasza tradycja - broniła swego Allison.

- Mów, o co chodzi, żebyśmy wyszły stąd jak najszybciej. Piekielny upał, taki sam, jak na dworze. Przysięgam, kiedy tylko będę mogła, wyniosę się do Kolorado i nigdy tu nie wrócę - narzekała Jill. - No, chyba że na zjazd absolwentów.

Do stolika podeszła ociężałym krokiem Hattie, a może Mattie, z notesikiem i ołówkiem w ręku. Jej bujny biust aż falował z wysiłku, po zrobieniu paru kroków.

- Witam, panienczki - zaszczebotała. - Co podać?

- Poprosimy trzy herbaty z lodem i te słynne ryżowe ciastka - powiedziała Allison.

- Nie ma dziś ryżowych ciasteczek. Ale mogą być firmowe - wyszczebiotała Hattie, a może Mattie.

- Nie, dziękujemy. W takim razie tylko herbata.

Hattie, a może Mattie, zmarszczyła czoło, odnotowała zamówienie, i sapiąc ruszyła na zaplecze.

- No dobra, po co nas tu przyciągnęłaś? - Gwen ocierała mokry od potu kark papierową serwetką; pociągnęła za kołnierzyk żółtej kompletnie przepoconej bluzki.

Allison popatrzyła na przyjaciółki. Wciągnęła powietrze i wypuściła głośno. Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech i pochyliła się nad stołem. Powiedziała chrapliwym szeptem:

- Okradniemy bank, w którym pracuję. Sama nie dam rady, potrzebuję waszej pomocy; zyskami się podzielimy - cała kasa na nas trzy. Mówię o obligacjach na okaziciela. Wchodzicie w to? - Opadła z powrotem na krzesło, a przyjaciółki wpatrywały się w nią bez słowa z otwartymi ustami.

Jill uchwyciła się kurczowo brzegu stołu. Drżała.

- W co wchodzimy? - wysapała.

- Zrobicie to ze mną, czy nie? - rzuciła Allison. - Gwen?

- Za coś takiego idzie się do więzienia. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? Ja nie mam ochoty skończyć w pudle. O ile wiem, w tym stanie skuwają więźniarki łańcuchami i każą im pracować. A strażnicy gwałcą więźniów. Nie, Allison. Nie jestem za odważna. Znasz mnie, boję się własnego cienia. Jeśli będziesz chciała to zrobić, oczywiście nikomu nie powiem. Tyle. Moja odpowiedź brzmi: nie.

Allison nie spuszczała z nich oczu.

- A jeśli powiem wam, że planuję to już od roku? Gwarantuję, że nikt nas nie przyłapie. Mówię poważnie - uda nam się. Będziemy bogate. Nie od razu, trzeba będzie poczekać, aż minie okres wykupu. Obligacje są na okaziciela, dziewczyny. Nikt się nie zorientuje, że to my je mamy. I to w moim banku. Wszystko przemyślałam. Proszę was, raz w życiu zróbmy stanowczy krok. Nikt w promieniu stu kilometrów nawet nie będzie podejrzewać, że wykombinowałyśmy coś takiego. Mó-

wię wam, nikt się nie połapie. Wiecie przecież, że jeśli coś planuję, to zawsze dokładnie.

Jill ocierała spoconą twarz i kark. Hattie, a może Mattie, postawiła przed nimi trzy szklanki herbaty z lodem, który już zdążył się rozpuścić. Gwen sięgnęła po szklankę, żeby zająć czymś ręce.

- No to powiedz, jaki masz plan - szepnęła nerwowo, kiedy już Hattie, a może Mattie, odeszła.

Allison uśmiechnęła się.

- To jest tak proste, że aż mnie przeraża. Wiecie, że pracuję na pół etatu w banku. Już cztery lata. Pan Augustus bardzo mnie ceni. W zeszłe święta powiedział mi nawet, że nie wie, co by beze mnie zrobił, że to ja właściwie prowadzę ten bank. Oczywiście żartował, ale chodziło mu o to, że tak świetnie się we wszystkim orientuję. I wiecie, że należy do jakiegoś klubu dla dżentelmenów, razem z innymi starymi ramolami, tak samo jak on nieprzyzwoicie bogatymi. Wszyscy to wiedzą. Plan jest taki. Cztery razy w roku, regularnie jak w zegarku, ktoś przywozi mu pakiet obligacji. Zawsze są w brązowej kopercie, nawet nie zaklejonej, tylko zagiętej. Potem pan Augustus dzieli je między swoich znajomych z klubu. Kiedyś koperta leżała na jego biurku przez cały tydzień, zanim ją otworzył, wyobrażacie sobie? Zawsze mi się wydawało, że w tym jest coś... no, coś podejrzanego. W banku pracuję tylko ja, Margaret i Corinne. Ja bywam o różnych porach, chodzę na zajęcia. Corinne przychodzi trzy razy w tygodniu. Tylko Margaret pracuje na cały etat. Żadna nie ma o niczym pojęcia. Siedzą tylko w okienku, a jeśli nie ma klientów, popijają na zapleczu herbatę. Kiedy przychodzi w tym czasie klient, ja dzwonię na nie dzwoniem. Nadążacie? Dwie głowy pokiwały zgodnie.

- W przyszłym tygodniu pan Augustus jedzie na wycieczkę ze swoim klubem. Tym razem zabierają nawet żony. A kurier ma dostarczyć obligacje akurat dzień po jego wyjeździe. Teraz najlepsze - nikt poza kurierem nie dotyka tej koperty. On sam wchodzi do gabinetu pana Augustusa i kładzie ją na biurku. Potem wychodzi. Normalnie to Margaret kwituje odbiór koperty i datuje, a potem daje mi pokwitowanie do kartoteki. Wystarczy tylko podmienić obligacje na kawałki papieru. Ja to zrobię, oczywiście w rękawiczkach. Jedna z was przyjdzie potem do banku i włoży do swojej skrytki depozytowej. Nie wpiszę tego do rejestru, więc nie będzie żadnego dowodu, że w ogóle odbyła się jakaś operacja. Zrobimy to, kiedy Margaret i Corinne będą na

zapleczu. Później wy wyjdziecie, a obligacje zostaną. Nie ruszymy ich, dopóki nie skończymy studiów i nie wyjedziemy z miasta. Co wy na to?

- Jeśli okradniemy bank, popełnimy przestępstwo federalne - pisnęła Jill.

- Dlaczego nie wkładają obligacji do sejfów? - spytała Gwen. Allison uniosła rękę do góry.

- Nie mam pojęcia. Pewnie pan Augustus nie spodziewa się, że któraś z nas miałaby odwagę go okraść. Albo po prostu jest głupi. Poza tym, jak mówiłam, mam wrażenie, że on i ci jego kolesie z klubu robią jakieś podejrzone interesy. Jeszcze nie wy badałam, w czym rzecz i możliwe, że nigdy się nie dowiem. To mały prywatny bank. Pan Augustus robi, co mu się podoba. Zresztą, przecież jesteśmy w Missisipi.

Na kopercie będą tylko odciski palców kuriera. Wystarczy, że potniemy gazety na kawałki wielkości obligacji. Zrobimy to w rękawiczkach. Potem ja przeniosę kartki w torbie z książkami. Wszystko przemyślałam, dziewczyny.

- A jak się wytłumaczysz przed FBI? - szepnęła Jill.

Alison obejrzała się za siebie. Brzeknął dzwonek nad drzwiami i do środka weszły dwie siwowłose staruszki ze sznurkowymi siatkami na zakupy. Usiadły przy stoliku obok wejścia. Chwilę po nich zjawiała jakaś kobieta, wlokąc zarękę dzieciaka, który domagał się lodów.

- No, dziewczyny, zbierajmy się. O mnie się nie martwicie, dam sobie radę. Wiem, że się powtarzam, ale pytam raz jeszcze: wchodzić w to?

Skinęły zgodnie głowami.

- Jeśli nam się uda, czy to znaczy, że przestaniemy być nikim i będziemy wreszcie kimś? - zapytała Jill.

- Jasne. - Allison błysnęła okiem zza okularów. Odliczyła drobniaki i zostawiła na stoliku niewielki napiwek. - A teraz chodźmy na pizzę.

Rozdział 1

Pięć lat później Winchester, Wirginia

Dennis Lowell wbiegł do szpitala uśmiechnięty od ucha do ucha, z rozwichrzonymi blond włosami. Urodziła mu się córka. Jeszcze jej nie widział, ale to na pewno najśliczniejsza dziewczynka pod słońcem. Aż nie mógł uwierzyć, czym sobie zasłużył na tyle szczęścia? Ciemne oczy błyszczały mu radosnym podnieceniem.

Po drodze zastanawiał się nad imieniem dla małej. Wcześniej nie wybrali. Może Allison bała się, że przywyknie do imienia dziewczynki, a urodzi chłopca? No, ale dłużej już nie będzie mogła tego odwlekać. Imię dziecka trzeba wpisać na świadectwie urodzenia. Miał nadzieję, że zgodzi się na Olivię - po jego matce. Ale nie to było najważniejsze. Grunt, żeby mała przyszła na świat zdrowa, z kompletem paluszków u rąk i nóg.

Poprawił krawat, przyglądał włosy i wziął głęboki oddech, zanim wszedł na porodówkę. W dziecięcym odruchu zacisnął kciuki, licząc, że Allison przywita go uśmiechem. Czuł jednak, że pewnie usłyszysz wymówki. Kiedy zadzwonili do biura ze szpitala, właśnie miał klienta - wysoko postawionego, bogatego klienta, który załatwiał bardzo zagmatwaną sprawę zwrotu podatku. Gdyby tak po prostu wybiegł nagle z biura, ten wściekłby się na urząd skarbowy. W każdym razie, telefon zadzwonił ponad trzy godziny temu. Jego córeczka miała już trzy godziny, a on jeszcze jej nie widział.

O nie, Allison nie będzie się uśmiechać.

Zatrzymał się pod drzwiami pokoju żony; słychać było jakieś głosy, toczyła się wewnątrz ożywiona rozmowa. Dziwne. Czyżby już pierwsi odwiedzający? Może przyszła pielęgniarka i obie gruchają, zachwycając się małą. Ta myśl poprawiła mu humor.

Lekko zastukał do drzwi. Przywołał na twarz szeroki uśmiech i nacisnął klamkę. Spróbował zażartować, ale nawet on musiał przyznać, że wypadło to dość żałośnie.

- Gotowe czy nie, oto nadchodzi świeżo upieczony ojciec! Wchodząc do środka, zauważył naraz trzy rzeczy: dwóch obcych mężczyzn stojących obok łóżka, swoją żonę, rozpartą w królewskiej pozie na poduszkach i pielęgniarkę, rudowłosą kobietę o rumianej twarzy, teraz pąsową z oburzenia, sądząc po minie. Rozejrzał się, instynktownie wiedziony jakimś złym przeczuciem.

- Gdzie mała? - zdołał wydusić.

- Miło, że wpadłeś, Dennis. Ile to już czasu? Chyba ze cztery godziny, odkąd urodziłam ci dziecko.

Zerknął na zegarek.

- Trzy i pół.

Strach w nim narastał, a widok pielęgniarki i stolika zastawionego sprzętem medycznym i lekarskimi zmroził mu krew w żyłach. Dwaj mężczyźni trzymali w rękach aktówki. Co to wszystko znaczy? Zakręciło mu się w głowie. Allison nalegała na opłacenie prywatnego pokoju, chociaż nie było ich na to stać. Nie miał pewności, ale chyba rozpoznał jednego z mężczyzn. Zdaje się, że widział go na jakimś spotkaniu klubu rotariańskiego. Prawnik. Po co tu przyszedł? Ten drugi zapewne też jest prawnikiem. Co, do cholery, tu robią? Miał złe przeczucia.

Allison przedstawiła mu obu mężczyzn chłodnym, obojętnym tonem.

- Dennis, to jest Jason Carmichael i jego wspólnik, Oliver Barrows. Są moimi adwokatami. Rozwodzę się z tobą i zrzekam się praw do opieki nad dzieckiem. Ci panowie wszystkim się zajmą. Nic od ciebie nie chcę. Możesz zatrzymać dom, samochody i te marne grosze, które mamy w banku. Kiedy mnie wypiszą ze szpitala, wyjdę stąd i już mnie więcej nie zobaczysz.

Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Rozejrzał się za krzesłem, ale w pokoju nie było ani jednego.

- Nic nie rozumiem - powiedział słabym głosem.

Rumiana pielęgniarka położyła mu dłoń na ramieniu, jakby tym gestem chciała go uspokoić i dodać siły. Kręciło mu się w głowie, zaraz zrobię z siebie widowisko, pomyślał, zemdleję.

Ledwie usłyszał, co mówi Allison, sypiąca gradem raniących słów:

- To bardzo proste, Dennis. Nie układa nam się już od jakiegoś czasu. W ogóle nie powinnam była zachodzić w ciążę. Dobrze wiesz, że nie chciałam mieć dzieci. Więc oddaję ci dziecko, do którego nic nie czuję, nie mam instynktu macierzyńskiego. I nie chcę już być twoją żoną. Nie umiem tego powiedzieć jaśniej. Podpisz po prostu te papiery, a panowie już wszystko załatwią. Czas dorosnąć, Dennis. Życie to nie bajka. Nie chcę być twoją księżniczką i nie mam ochoty dłużej mieszkać w tym bieda- domku. Z tobą czy bez ciebie. I nie chcę rodziny. Chcę być sobą i żyć na własny rachunek.

Dennis usiłował się otrząsnąć, ale trudno dojść do siebie po takim szoku. Przemknęło mu przez głowę, kto zapłaci prawnikom. Absurdalna myśl. Spojrzał na mężczyzn, którzy nie spuszczały z niego oczu. Kiedy prawnik podał mu długopis, pospiesznie nabazgrał swój podpis we wskazanych rubrykach. Usłyszał pełne ulgi westchnienie Allison. Pielęgniarka przyglądała mu się ze współczuciem. Wyprowadziła go z pokoju.

Kiedy znaleźli się na sterylnie czystym szpitalnym korytarzu, wzięła go pod rękę i poprowadziła na oddział dla noworodków. Pokazała mu łóżeczko z różowym kocem i uśmiechnęła się.

- Nic się nie dzieje bez powodu, panie Lowell. Tak pan powinien na to spojrzeć.

Dennis przycisnął twarz do szyby i wbił wzrok w maleńkie różowe zawiniątko. Jego córeczka. Łzy popłynęły mu po policzkach.

- Zrobię, co będę mógł... Olivio.

Podniósł głowę, kiedy pielęgniarka pociągnęła go za rękaw.

- Niech pan teraz idzie do domu, panie Lowell i... i... zastanowi się, co robić. Pod koniec tygodnia będzie pan mógł odebrać córkę. Musi się pan do tego przygotować.

Odrzucił się w stronę pokoju żony. Może usłyszy jeszcze jakieś wyjaśnienia... Pielęgniarka znów pociągnęła go za ramię.

- Pańska żona bardzo stanowczo powiedziała, że nie życzy sobie więcej żadnych odwiedzin. Tylko ten jeden raz. Bardzo mi przykro, panie Lowell.

- Tak... eee... tego, tak. Mnie też jest przykro.

Wyszedł ze szpitala oszołomiony. Pielęgniarka miała rację. Musi się zastanowić, co ma teraz robić. I to poważnie.

Jechał do domu przybity i przygnębiony, ze łzami w oczach, i wciąż próbował jakoś ogarnąć rozumem absurdalną sytuację, w której znaleźli się on i nowo narodzona córeczka.

Rozdział 2

Był jej klientem.

W dodatku superbogatym klientem. A teraz wkurzył się i warczał ze złości. Olivia Lowell nie spuszczać zeń wzroku, zrobiła dwa kroki do tyłu. - Uspokój się, Cecil. Mnie nie przestraszysz. No i podobno jesteś dżentelmenem. Alice, terrier szkocki, która nie odstępowała swojej pani, pokazała zęby i ujadła piskliwie u stóp Olivii.

- Z nią nie ma żartów, Cecil, radzę ci uważać. No, to jak będzie? Mówię ci, masz do czynienia z kobietą, której największą wadą jest brak cierpliwości.

Cecil wpatrywał się w nią i Alice, po czym zrobił to, co na jego miejscu zrobiłby każdy gorącokrwisty yorkshire terrier. Przywarł do podłogi, przewrócił się na grzbiet i zaszczekał radośnie. Potem zerwał się, przebiegł przez atelier, obrócił w kółko i zatańczył na tylnych łapach. Jedyna sztuczka, którą opanował. Alice pognęła za nim i trzepnęła go łapą, co stało się powodem kotłowania na podłodze.

- Co ty wyprawiasz, Cecil? Zachowuj się - napominała niesfornego psiaka Olivia.
- Wykonawcy testamentu nie będą z ciebie zadowoleni. Muszę ci zrobić zdjęcie. Będziesz na pierwszych stronach gazet. Właśnie odziedziczyłeś fortunę Manningów.

Będziesz się pławić w luksusie. Nie każdy pies ma tyle szczęścia. No, chodź, zrobię ci to zdjęcie. Nie będzie bolało, słowo.

Cecil wskoczył na stołek i znów popisywał się wyuczoną sztuczką, obszczeniwanym historycznie przez rozżłoszczoną Alice. Olivia pogodziła się z tym, że nie uda jej się zrobić sławnemu psu portretu, co najwyżej zdjęcia w akcji, a te mogły być nawet ciekawe. Próbowwała wyjaśnić opiekunowi pieska, Jeffowi Bannermanowi, prawnikowi, że nie sposób ujarzmić Cecila, ale nie chciał jej słuchać. „Podobno jest pani najlepsza w swoim fachu - powiedział - więc proszę to udowodnić”.

Akurat! Może gdyby miała do czynienia ze zwyczajnym psem. Olivia sportretowała go dwa lata temu, na zlecenie Lillian Manning. Tamto zdjęcie, nawet ładne, pokazywało Cecila - miłutkiego szczeniaczka. Teraz finansiści zarządzający majątkiem pani Manning chcieli mieć portret dorosłego psa, i gotowi byli zapłacić dziesięć tysięcy dolarów. To zdjęcie obiegnie cały świat, mówili, i pomoże autorce w karierze.

Wyciągnęła z kieszeni mały gwizdek, o bardzo wysokim, przenikliwym dźwięku. Dmuchnęła trzy razy i wrzasnęła na całe gardło:

- Cecil, wskakuj na ławkę i ustaw się! Już! Albo wrócisz do domu z tym sztywniakiem, który cię tu przyniósł. - Pogroziła mu palcem.

Cecil przestał grzebać w koszu na śmieci, uniósł łeb, spojrzął na Olivię, potruchtał do ławeczki i wskoczył na nią. Pozował: wdzięczył się, przeżył, wykrzywił pyszczek, wreszcie się położył. Alice szczekała jak najęta, a nikon Olivii trząsał ujęcie za ujęciem. Na koniec Cecil - model stanął na czterech łapach i uklonił się. Naprawdę się uklonił! Olivia wybuchnęła śmiechem, ale Cecil pokazał zęby, dając do zrozumienia, że przedstawienie skończone. Zeskoczył z ławeczki i zaczęła się gonitwa z Alice dookoła pokoju, póki ta nie padła ze zmęczenia. York próbował nakłonić ją do zabawy szarpaniem za futro i przeraźliwym szczekaniem. Alice nie zareagowała. Zniechęcony Cecil podniósł łapę i chyba na znak protestu obsikał nogę statywu od aparatu. Potem ułożył się obok Alice, i nie minęło kilka sekund, jak zasnął.

Olivia z uśmiechem popatrzyła na śpiące pieski. Uwielbiała Cecila, i czuła żal, na myśl co go teraz czeka. Będzie skazany na życie w eleganckiej rezydencji wśród służby, zobowiązanej, by mu dogadzać. Ale służba nie będzie go kochać ani bawić się z nim, jak to robiła Lillian Manning. Biedny Cecil. Może ci ludzie od spadku pozwolą mu od czasu do czasu pobawić się z Alice? Czy to głupi pomysł? No, a czy zapisanie

psu w testamencie majątku wartego sto pięćdziesiąt milionów dolarów nie jest głupie? To wszystko było bez sensu.

Olivia Lowell, fotograf zwierzęcego świata, spojrzała na zegarek. Czas na lunch. Jogurt, banan i filiżanka kawy - zdąży na sesję zdjęciową z Sashą, siedmioletnią charcicą angielską, którą pani chciała uwiecznić na kartce bożonarodzeniowej. Wprawdzie święta dopiero za dziesięć miesięcy, ale właścicielka nie chciała z tym czekać do ostatniej chwili.

Zajęcie było bardzo dobrze płatne. Co więcej, Olivia kochała zwierzęta i praca stała się jej hobby.

Pomyślała o ojcu. Tęskniła za staruszkim, ale rozumiała jego pragnienie: będąc na emeryturze, chciał wyjechać na wyspy i żyć z wynajmowania turystom swojej łodzi. Ostatnio czuł się taki szczęśliwy, jak chyba nigdy w życiu. Oczywiście na jego samopoczucie miała niebagatelny wpływ nowa miłość, Lea. Może powinnam zadzwonić do ojca i zapytać, co u niego, pomyślała.

W ciemnozielonych oczach Oliwiizakreśliły się łzy, kiedy pomyślała o ojcu. Sam ją wychował. Tyle dla niej poświęcił, rzucił pracę w księgowości i poszedł na wieczorowy kurs fotografii, żeby móc otworzyć przy domu atelier i być z nią także w dzień. Sam zrobił przybudówkę z osobnym wejściem; oprócz studia fotograficznego mieściły się tam łazienka i aneks kuchenny. Przy drzwiach wisiała tabliczka „Lowell & Lowell”, a pod spodem napis „Fotografia”.

Nie ożenił się powtórnie, mimo że im była starsza, tym bardziej go do tego namawiała. Spotykał się wprawdzie, jak to mówił, „towarzysko” z paniami. Z tych, które poznała, niektóre przypadły jej do gustu bardziej, inne mniej, ale nie wypowiadała się nigdy na ich temat. Aż do chwili, kiedy pięć lat temu w jego życiu pojawiła się Lea. Była jak matka, której Oliwia nigdy nie miała. Zaprzyjaźniły się, i to bardzo. Może teraz, kiedy oboje przeszli na emeryturę i mieli więcej czasu dla siebie, pomyślą o małżeństwie. Taką przynajmniej Olivia miała nadzieję.

Wyrzuciła do śmieci kubeczek po jogurcie i już szła do atelier, gdy Cecil i Alice wpadli do kuchni, a pod wejściem kuchennym zjawiła się Sasha, w czapce świętego Mikołaja na głowie, z okularami przywiązanymi do uszu i apaszką w świąteczne wzory pod szyją nie dość tego - do frontowych drzwi zadzwonił dystyngowanie wyglądający džentelmen z aktówką.

Ruszyła do drzwi; rozhasanym psim towarzystwem zajmie się później. Właścicielka Sashy mogła przynajmniej zostawić suczkę pod wejściem do atelier, a nie pod drzwiami kuchennymi. Teraz Olivia musiała odprawić szybko domokrażcę, poskromić ujadające coraz głośniejszy psy i... trzymać nerwy na wodzy, żeby nie oszaleć. Ojciec w okamgnieniu zapanowałby nad sytuacją. Wystarczyło, że spojrzal na psa i pogroził palcem, a już zwierzaki czuły respekt. Jej klienci włączili na głowę.

- Czego? - rzuciła z rozdrażnieniem. - Nie interesuje mnie, co pan sprzedaje, ja nie chcę kupić. - Już miała zatrasnąć drzwi, ale mężczyzna podniósł do góry wizytówkę. Przeczytała. Wynikało z niej, że ma przed sobą pana Prentice'a O'Briena z kancelarii adwokackiej O'Brien, O'Malley i O'Shaughnessy. Porządna irlandzka firma, pomyślała Olivia. Chyba że to nazwa jakiegoś kabaretu, a facet jest zwykłym oszustem.

- O co chodzi?! - zawołała, przekrzykując jazgot psów. - Ktoś mnie pozwał do sądu? - Sasha walnęła z impetem w zamknięte drzwi przeciwsztormowe. Prentice O'Brien odskoczył przestraszony.

- Nie! - odkrzyknął. - Możemy porozmawiać w jakimś spokojniejszym miejscu?

Olivia odgarnęła z twarzy jasne loki.

- Nic z tego! - wrzasnęła. -I tak mam już lekkie opóźnienie, a poza tym, jak pan widzi, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Proszę przyjść później, tak koło piątej.

Prawnik zrobił niezadowoloną minę.

- Panno Lowell, to naprawdę ważne, powiedziałbym nawet, że pilne. Musimy porozmawiać.

Olivia odwróciła się, słysząc za sobą jakby ciurkanie fontanny. Sasha nasikała na wykładzinę w przedpokoju. Cholera. Prawnik skrzywił się z obrzydzeniem.

- Może kiedy indziej. Ja tu też mam naprawdę pilne sprawy. Do widzenia, panie... - zerknęła na wizytówkę, którą trzymała w ręku - panie O'Brien. - Zamknęła drzwi i pobiegła do kuchni po rolkę ręczników.

Pół godziny później nadal szukała okularów Sashy i czapki świętego Mikołaja. Ojciec i z tym by sobie poradził. Cholera.

O trzeciej nie było już wystrojonej świątecznie Sashy. Opiekun Cecila jeszcze się po niego nie zjawił. Anna Logan, właścicielka Piekarni Logan, przywiozła kocięta w koszyku - chciała powiesić ich zdjęcia na tablicy ogłoszeń w piekarni, licząc, że jacyś klienci je przygarną.

Dziesięć po piątej Anna z kociakami odjeżdżała sprzed domu Olivii. Wciąż ani śladu opiekuna Cecila, może po prostu zapomniał o swoim podopiecznym. Tak, jak trzy lata temu właściciele Alice zapomnieli jej odebrać. To był dla Alice szczęśliwy dzień. Olivia kochała ją jak własne dziecko.

O piątej trzydzięci zadzwonił dzwonek u drzwi i zabrzączał telefon. Olivia odebrała połączenie, a Cecil i Alice z groźnym ujadaniem broniły wejścia, rzucając się na drzwi. Dzwonił opiekun Cecila z pytaniem, czy pies mógłby zostać u niej na noc, a rano „ktoś” go odbierze.

- Oczywiście, panie Bannerman, pięćdziesiąt dolarów za godzinę. Nie prowadzę hotelu dla zwierząt. To jest studio fotograficzne. - Usłyszała, że koszty nie grają roli. Cecil jest najbogatszym psem w Stanach. Odłożyła słuchawkę, zastanawiając się, co ugotować na obiad i poszła otworzyć drzwi. Prentice O'Brien.

- O co chodzi, panie O'Brien? Miałam męczący dzień i jestem wykończona. Jeżeli nikt nie pozwalać mnie do sądu, to nie wiem, o czym pan chce ze mną rozmawiać. Załatwmy to jak najszybciej.

- Czy mógłbym przynajmniej wejść do środka, panno Lowell? Jest dosyć zimno i pada śnieg.

Pada śnieg. Jak to się stało, że nie zauważyła? Może później napali w kominku, usiadzie z psami przed ogniem i porozmyśla o oświadczeniach Clarence'a De Witt. Może jednak lepiej o tym nie myśleć. Wcale nie chciała zostać panią Clarence'ową De Witt. W ogóle nie miała ochoty wychodzić za męża. Była całkiem zadowolona ze swojego życia, ot co.

- No dobrze. Mam nadzieję, że to nie zajmie dużo czasu. Proszę wejść. Musi pan wiedzieć, panie O'Brien, że nienawidzę prawników.

- Póki nas pani nie potrzebuje - odciął się O'Brien. - Ładny dom. - Rozglądał się dookoła, idąc za Oliwią do salonu, który zajmował całą długość budynku.

- Dziękuję. Mój tata wszystko urządził, sam dostawił przybudówkę i całe studio fotograficzne. Jest bardzo zdolny - dodała z dumą. - To był kiedyś zwykły, parterowy domek, ale tata dodał dwie łazienki, trzecią sypialnię, no i ten salon. Przebudował też kuchnię i nawet zrobił dla mnie domek do zabawy, kiedy byłam mała.

- Można powiedzieć, że pani ojciec to człowiek wyjątkowy, panno Lowell.

- O, tak. Wychowywał mnie sam po śmierci mojej matki. Gdyby żyła, pewnie nie zrobiłaby tego lepiej niż on. No dobrze, słucham. Co pana tu sprowadza i w czym mogę pomóc?

Zdjął płaszcz i przewiesił go przez sofę. Wyglądał na lekko zbitego z tropu.

- Czy dobrze zrozumiałem? Pani matka zmarła?

- Tak, przy porodzie. Trzydzieści cztery lata temu. Na kominku stoi jej zdjęcie. Miała na imię Allison. Czego pan tu szuka, panie O'Brien? Czy chodzi o mojego tatę?

- Niezupełnie.

Podszedł do kominka, i kiedy oglądał fotografię, Olivia spojrzała na jego aktówkę, leżącą na masywnym stoliku z sosnowego drewna. Skórzana teczka powycierana i miejscami podrapana wyglądała na mocno sfatygowaną. Ciekawe, ilu procesów była świadkiem. Olivia czekała aż prawnik, który podszedł do stolika, znajdzie w teczce to, co chciał jej pokazać.

Uwielbiała ten pokój, naprawdę. Miała nawet swoją ścianę, nazwaną przez ojca „galerią łobuziary”. Każdy wolny centymetr pokrywały jej zdjęcia od dnia narodzin. Na drugiej ścianie pysznił się olbrzymi kamienny kominek z paleniskiem tak szerokim i głębokim, że w środku zmieściłaby się nawet sofa. Zbudowali go razem, ojciec pozwolił jej znosić z pola różnej wielkości kamienie. W zimie rozpalali trzaskający ogień, prażyli kukurydzę i piekli pianki¹, czasem nawet kiełbaski na patyku. Kwiatki

¹ * *Pieczenie pianek marshmallows na ognisku jest ulubioną rozrywką amerykańskich dzieci podczas biwaków (przyp. tłum.).*

doniczkowe i bujne fikusy to jej zasługa. Regularnie podlewała je i przycinała. Pięknie rosły, bo pokój był doświetlony trzema dodatkowymi oknami w dachu.

Kiedy nocowały u niej koleżanki, zawsze spały w tym pokoju. Ciekawe, co się z nimi teraz dzieje.

Ocknęła się z zamyślenia, bo prawnik głośno chrząknął.

- Mam właśnie w ręku testament pani matki, którą pewnie zna pani jako Allison Matthews Lowell, chociaż zmieniła nazwisko na Adrianna Ames po rozwodzie z pani ojcem. Mam przeczytać, czy woli pani to zrobić sama?

Olivia zamachała gwałtownie rękami.

- No i widzi pan? Widzi pan? Wiedziałam, że to jakaś pomyłka. Trafił pan pod zły adres. Moja matka zmarła przy moim urodzeniu. Pewnie jest gdzieś jakaś inna Olivia Lowell. Szkoda, panie O'Brien, że zmarnował pan tyle czasu.

Adwokat znowu odchrząknął.

- Nie zmarnowałem czasu, panno Lowell. Przykro mi, że to właśnie ja muszę pani o tym powiedzieć, ale pani matka nie zmarła trzydzieści cztery lata temu. Zmarła dwa tygodnie temu i zostawiła pani w spadku cały swój majątek. I kimkolwiek jest ta osoba ze zdjęcia na pani kominku, to na pewno nie jest Adrianna Ames.

Olivii załomotało serce. Chciała się oprzeć o podłokietnik fotela, ale siedział na nim Cecil. Podniosła psa i przytuliła mocno do siebie. Kręciło jej się w głowie i nie była w stanie logicznie myśleć.

- Nie! To niemożliwe. Mój ojciec... On nigdy by... on by mnie tak nie okłamał... To chyba miał być jakiś okrutny żart, ale to wcale nie jest śmieszne. Nie, pan się musiał pomylić.

Prentice O'Brien przesunął w jej stronę po blacie stolika błękitną kopertę z testamentem. Spoglądała na Olivię niby jakieś wstrętne niebieskie oko. Nie sięgnęła po nią. Próbowwała opanować drżenie głosu.

- Myślę, panie O'Brien, że powinien pan już sobie pójść.

- Panno Lowell, bardzo mi przykro, że tak to wygląda, ale moja firma świadczyła pani matce usługi już od wielu, wielu lat. Zapewniam panią, że to nie pomyłka. Kiedy pani pozna całą historię, zrozumie, że nikt sobie z pani nie żartuje. Nie dziwię się, że jest pani wytracona z równowagi, więc rzeczywiście pójdę. Radzę, żeby skontaktowała się pani z ojcem, porozmawiajcie. Później proszę zadzwonić do mnie, gdyby miała pani jakieś pytania.

- Oszołomiona patrzyła na prawnika, który wstał i wkładał płaszcz. Psy, jak dwie małe błyskawice, pognały za nim do drzwi. Usłyszała brzęknięcie alarmu, kiedy drzwi otworzyły się i zamknęły. Wybuchnęła płaczem.

Jeżeli ten prawnik mówił prawdę, to znaczy, że całe jej życie było kłamstwem. Jednym wielkim kłamstwem!

Rozpłakała się jeszcze bardziej. Więc jednak miała matkę. Do niedawna. Matkę, której nigdy w życiu nie poznała. Prawdziwą, żywą matkę z krwi i kości, tak jak wszystkie jej koleżanki, taką jak matka Sary Kelly. Poderwała się z fotela i pobiegła do łazienki obok salonu. Psy skuliły się, przytuliły do siebie i zaskamlały zaniepokojone dziwnymi odgłosami dobiegającymi zza zatrzaśniętych drzwi.

Dziesięć minut później Oliwia dosłownie wyczołgała się z łazienki na kolanach, z czerwoną i spuchniętą twarzą. Czołgała się po gładkiej, drewnianej podłodze, którą podagała ojcu układać. Na fełc. Wtedy śmieszyło ją to określenie. Ojciec pozwolił jej podawać deski i pokazywał, jak należy układać. Taka była dumna, że zgodził się, by pracowali razem. „Musimy sobie radzić we dwoje, mała”, mówił zawsze, kiedy skończyli jakąś większą robotę. „Tylko my dwoje, mała”. Tak, jasne. Chyba o kimś zapomniałeś, tatku.

Dopiero kiedy usiadła na ulubionym fotelu, zauważyła, że testament ciągle leży na stoliku. Na pewno nie weźmie tego do ręki. Nie dotknie. Absolutnie, nigdy, przenigdy nie ruszy.

Alice drapnęła ją w nogę, domagając się uwagi. Ponieważ OHvia nie reagowała, suczka przyniosła miskę i rzuciła swojej pani pod nogi. Cecil zaszczekał. Olivia spojrzała na zegarek. Dla Alice była akurat pora kolacji. I dla Cecila, skoro ma go dziś pod opieką. Podniosła się z fotela, żeby pójść do kuchni i nagle poczuła się tak, jakby miała ze sto lat.

Sięgnęła do szafki z jedzeniem dla psów. Ojciec pozwolił jej przykręcać gałki do tych szafek. „Tylko my dwoje, mała”. Dwoje, nie troje. Łzy znów lały się strumieniem. Pociągając nosem, nałożyła psom jedzenie na miski i patrzyła, jak zjadają. Wypuściła je na dwór. Śnieg padał coraz mocniej. W lutym zawsze mocno śnieżyło. Ojciec pewnie o tej porze wyleguje się na pokładzie swojej łódki i pije wino z Leą. U nich na pewno jest ciepło, można chodzić w szortach i w koszulce.

Powinna zadzwonić do ojca. Ale co mu powiedzieć? I jak to powiedzieć? „Tylko my dwoje, mała”. Teraz ojciec miał Leę. A Olivia już dawno dorosła.

Nic nie było tym, czym powinno być. Nawet zdjęcie jej matki na kominku.

Alice zaskrobała do drzwi, a Cecil próbował ugryźć ją w ucho. Olivia otworzyła, wytarła psy do sucha i dała im po przekąsce. Sama powinna zjeść jakiś obiad. Sięgnęła po pudełko cheeriosów, idąc do salonu. Tam postawiła pudełko na podłodze i rozpałała w kominku.

Kiedy tak siedziała z kolanami przyciśniętymi do piersi i wpatrywała się w płomienie, tańczące za ozdobną kratą, znów poczuła się małą dziewczynką. Pojadała chrupki i od czasu do czasu dzieliła się nimi z psami. Musiała się nad tym wszystkim dobrze zastanowić, ale miała w głowie kompletny mętlik.

„Tylko my dwoje, mała”.

Kłamca! Kłamca!

Psy wtuliły się w nią. Były takie ciepłe, a ich bliskość krzepiąca. Nagła wściekłość przeszła ją jak błyskawica. Co to za matka, która... która... ignoruje swoją córkę przez trzydzieści cztery lata? Zostawia cały swój majątek córce, której przez całe życie nie chciała znać?

Jedyną osobą, mogącą odpowiedzieć na te pytania, może poza wtajemniczonym w sprawę prawnikiem, był ojciec. Tylko on wiedział, kim jest kobieta ze zdjęcia.

Wstała i sięgnęła pod poduszki na sofie - nie wiedzieć czemu, słuchawka od telefonu zawsze wpadała jej między poduszkę a oparcie. Najczęściej okazywało się, że bateria jest wyładowana i musiała albo ładować telefon, albo dzwonić z komórki. Wzięła głęboki oddech i wystukała numer komórki ojca. Nie zdziwiła się, kiedy w słuchawce usłyszała głos Lei, wesoły i odprężony. Bo niby dlaczego, do cholery, nie

miałaby być wesola i odprężona, skoro miała przy sobie jej ojca, a do tego piękną, słoneczną pogodę?

- Lea, tu Ollie. - Ojciec lubił tak do niej mówić. - Jest tata?

- Skarbie, masz jakiś... dziwny głos. Wszystko w porządku? Przeziębłaś się może, czy coś w tym stylu? Jeśli tak, to musisz natychmiast zacząć się kurować. Widziałam w wiadomościach, że w Winchesterze strasznie zimno i pada śnieg.

- Coś w tym stylu - odparła Olivia. - Taty nie ma?

- Wyszedł jakieś dziesięć minut temu. Chciał popatrzeć, jak rybacy wyciągają na brzeg wielkiego marlina. Chcesz, żeby oddzwonił, czy mam teraz po niego pójść? Powinien zaraz wrócić. No, bo ile można się gapić na zdechłą rybę?

Olivia wiedziała, że wypada jej zaśmiać się z żarciku Lei, ale nie mogła się do tego zmusić. Czy w ogóle kiedykolwiek jeszcze będzie się śmiać?

- Nie, w porządku. Niech do mnie zadzwoni, kiedy wróci. Tylko pamiętaj, Lea, to ważne.

- Czy mogę ci jakoś pomóc, skarbie?

- Nie. Ale miło, że pytasz.

Rozłączyła się i odłożyła słuchawkę do ładowania, zamiast jak zwykle rzucić ją między poduszki sofy. Podeszła do ognia z naręczem poduszek. Drżała z zimna, wszystko ją bolało. Poglaskała tulące się do niej psy i dała im po chrupce. „Tylko my dwoje, mała”.

Rozdział 3

Trzy godziny później wreszcie zadzwonił telefon. Spojrzała na aparat, marszcząc brwi. Wciąż była zła na ojca i czuła wielki żal. Wstała ostrożnie, żeby nie obudzić śpiących na poduchach psów, i po oschłym „cześć”, rzuconym do słuchawki usłyszała pogodny głos ojca:

- Ollie, Ollie, co słychać? Przepraszam, że mnie nie zastałaś. Daimon złowił fantastycznego marlina, więc wszyscy musieliśmy stać dookoła i słuchać jego przechwałek. A potem poszliśmy to oblać u Finne-gana. Co jest, mała? Lea mówiła, że miałaś dziwny głos, nie wiedziała, czy się przeziębiłaś, czy coś się stało.

Pewnie, że coś się stało.

- Dziś po południu był u mnie prawnik.

- O, Boże, nie mów, że ktoś cię pozwał! Czy ci ludzie nie potrafią zrozumieć, że obiektyw jest obiektywny? Człowiek czy zwierzak wygląda, jak wygląda, i trudno. Zadzwon do adwokata, powiedz, że poprawisz zdjęcia i zrób retusz. Powinno zadziałać. Chyba się tym nie przejęłaś, Ollie? Dla fotografa to chleb powszedni. Sam już nie pamiętam, ile razy mnie zdarzyło się coś takiego.

Proszę, jaki ma wesoły i bez troski głos, pomyślała Olivia. A mój brzmi tak zimno i nienawistnie. „Tylko my dwoje, mała”.

- Nie chodziło o niezadowolonego klienta, tato. Chodziło o moją zmarłą matkę - a twoją zmarłą żonę. O kobietę, której zdjęcie stoi na kominku. Wygląda na to, że zmartwychwstała i znowu umarła dwa tygodnie temu. I co, tatku, co masz mi do powiedzenia? - mówiła, dławiąc się łzami.

W słuchawce zapadła cisza, absolutna.

- No?

- Polecę jutro rano pierwszym samolotem. Po południu powinienem już być u ciebie. To nie jest rozmowa na telefon.

- A czemu, do cholery, nie?! - wykrzyczała, zalewając się łzami. - Jak mogłeś? I nie gryzło cię sumienie? Jak mogłeś mi wmawiać, że ta kobieta na zdjęciu jest moją matką? Jak mogłeś, tato?

Bez namysłu cisnęła telefonem przez cały salon. Odpadła klapka z tyłu i baterie potoczyły się po podłodze układanej na felc. Łkała, złamana rozpaczaj nie podniosła telefonu. Wróciła przed kominek i zwinęła się w kłębek przy psach. Płakała tak długo, aż zasnęła.

Obudziła się ze skurczem szyi. Rozmasowując obolały kark, pomyślała, że gorący prysznic pomoże rozluźnić mięśnie. Psy rzuciły się do drzwi kuchennych i stanęły jak wryte przed śnieżną zaspą - napadało przez noc tyle śniegu, że sięgał im powyżej głowy. Załatwiły więc szybko swoje potrzeby i pędem wróciły do domu. Olivia nakarmiła je, sobie zrobiła kawę i powlokła się pod prysznic - stała tam tak długo, aż skończyła się ciepła woda. Szybko ubrała się w ocieplany niebieski dres, włożyła grube skarpety, tenisówki, zebrała włosy w kucyk i związała czerwoną wstążką. Przetarła twarz tonikiem w nadziei, że choć trochę zniknie zaczerwienienie i opuchlizna pod oczami. Chociaż, prawdę mówiąc, nie obchodziło jej, jak w tej chwili wygląda.

Kawa. Potrzebowała teraz kawy. Mnóstwa kawy. Sączyła drugą filiżankę, wyglądając przez okno, pewna, że koło ósmej wszyscy umówieni na dziś klienci zaczną dzwonić, żeby odwołać wizytę. Zresztą, może to i dobrze, bo przecież nie była w najlepszej formie. Tyle że potem będzie musiała pracować w weekendy, żeby odrobić straty. Ale to nic, i tak w weekendy niewiele miała do roboty. Czasem tylko umawiała się do kina czy na obiad z Clarencem.

Żeby nie myśleć choć przez chwilę o tym, co los, czy ojciec jej zgotował, Olivia spróbowała się skoncentrować na swoim życiu osobistym. Z wyjątkiem Dee Dee Pepper, wszystkie jej dawne przyjaciółki założyły rodziny, większość przeprowadziła się do innych stanów. Gdy przychodziły od nich kartki na święta, razem z doniesieniami o najnowszych wydarzeniach w rodzinie i zdjęciami niemowlaków, w sercu Olivii odzywała się nutka zazdrości. Drażniły ją radosne wieści o tym, jak innym wspaniale się układa. Ona też kiedyś spotka tego jedyne, w którym zakocha się bez pamięci. Kogoś lubiącego zwierzęta, kto nie będzie kpiał z jej pracy. Mężczyznę swojego życia. Kiedy uświadomiła sobie, że jej zegar biologiczny tyka nieubłaganie, wzruszyła tylko ramionami. Co będzie, to będzie.

W kuchni rozdzwonił się telefon. Była za pięć ósma. Jeff Banner-man. opiekun Cecila, błagał Olivie, żeby pies mógł zostać jeszcze jeden dzień, bo drogi zasypane śniegiem są nieprzejezdne. Zgodziła się, ale przypomniała Jeffowi, że ta usługa kosz-

tuje go pięćdziesiąt dolarów za godzinę. Tak jak poprzedniego dnia, zgodził się bez szemrania i powiedział, że kiedy będzie odbierać Cecila, przywiezie czek na całą sumę.

Telefon odzywał się jeszcze trzy razy - dzwonili poranni klienci, żeby odwołać zdjęcia i umówić się na inny termin. Niebo było szare, co zapowiadało opady śniegu. Ojciec przeżyje szok termiczny, kiedy wysiądzie z samolotu. Będzie musiał wziąć taksówkę. Nie ma mowy, żeby ona przedzierała się na lotnisko przy takim stanie dróg.

Olivia dołała sobie kawy, zaniósła filiżankę do stołu i postawiła na jednej z tych śmiesznych podkładek, które zrobiła zeszłej zimy. Uwielbiała swoją kuchnię - białe szafki i blaty zastawione kwiatkami w doniczkach. Uwielbiała zresztą cały dom i była miło zaskoczona, kiedy ojciec przepisał go na nią a sam wyniósł się na wyspy z Leą. Miała serce do kwiatów. Te wiszące były bujne i soczyście zielone dzięki cotygodniowemu zasilaniu odżywką oraz systematycznemu podlewaniu co drugi dzień. Wierzch szafek zdobiła kolekcja solniczek i młynków do pieprzu. Ojciec zrobił specjalną półeczkę nad szafkami, kiedy Olivia oznajmiła, że zaczyna „coś zbierać”. Zawsze popierał jej pomysły i pomagał zrealizować. Zawsze był cudownym ojcem. Aż do teraz; zdradził jej zaufanie w najgorszy możliwy sposób. Czy zdoła mu to wybaczyć?

Skoro kłamał, musiał przecież mieć jakiś powód. Jaki? Pożałowała, że tak mało wie o macierzyństwie. Tyle tylko, ile wyczytała w gazetach i książkach albo co sama zauważyła, patrząc na matki swoich koleżanek. Wszystko sprowadzało się do jednego: matki zwykle kochały swoje dzieci nad życie. Więc co sprawiło, że matka jej nie chciała? Może nie planowała zajść w ciążę. Może w ogóle nie miała instynktu macierzyńskiego. A może Olivia odstręczała swoim wyglądem. Albo coś z nią było nie tak i matka się tego przestraszyła.

Czy w takim razie obwinia niewłaściwą osobę? Całkiem możliwe, że ojciec tylko zrobił to, czego życzyła sobie matka. Ale przecież nic o tej kobiecie nie wiedziała. Olivia w dzieciństwie czuła się kochana przez ojca. I mimo wszystko teraz też. Oskarżała go i broniła - musiał mieć powody, żeby tak postąpić. Niedługo wszystko jej wyjaśni.

Łzy znów cisnęły się do oczu, ale zagryzła wargi. Tylko fujary płaczą. Tak przynajmniej zawsze powtarzał ojciec. Schyliła się i włączyła radio. Muzyka podniosła ją trochę na duchu. Skoro przyjeżdża ojciec, to może powinna pomyśleć, co zrobić na obiad. Zerknęła na kombiwar stojący na blacie - nieraz ratował jej życie, kiedy nie

miała czasu gotować. Ale nawet dziś, gdy czasu miała aż za dużo, zwyczajnie jej się nie chciało. Wsadzi do środka, co znajdzie w zamrażarce i zjedzą to z ojcem - nieważne, co wyjdzie.

Wrzuciła do garnka zamrożone kawałki kurczaka, selera, marchewki, groszku, kukurydzy i zalała bulionem z puszki. W ostatniej chwili otworzyła szafkę nad kuchenką, gdzie miała przyprawy i wzbogaciła danie szczyptą każdej z nich. Zamocowała pokrywkę, ustawiła czas gotowania i teatralnym gestem otrzepała ręce. Gotowe.

Wyciągnęła z zamrażarki biszkopt z kremem i zostawiła na blacie do rozmrożenia. Ojciec zawsze uwielbiał ciasta z kremem. Teraz Lea piecze dla niego ciasta.

„Tylko my dwoje, mała”.

Skróciła sobie czas oczekiwania, sprząając w atelier, potem pobawiła się z psami, uprała ręczniki i co chwila zaglądała do kombiwara. Chyba ze sto razy zerknęła na zegarek, aż wreszcie brzęknął dzwonek u drzwi. Pognała do przedpokoj, a psy za nią. Wyhamowała przed drzwiami, otworzyła i bez słowa gapiała się na ojca.

Wyglądał świetnie, elegancko ubrany, wprost tryskający zdrowiem i opalony. Ale w jego oczach zobaczyła taki smutek, żal i znużenie, że od razu wiedziała, iż w ogóle nie spał tej nocy. Wybuchnęła płaczem. Wyciągnął do niej ręce, a ona rzuciła mu się w objęcia. Przytulił ją do siebie tak mocno, że prawie jęknęła z bólu.

- Nie potrafię powiedzieć, jak mi strasznie przykro, Ollie. To nie powinno się nigdy wydarzyć. Nigdy! - powtórzył. - Chodź do kuchni, napijemy się czegoś ciepłego.

Wyjęła filiżankę i naleła ojcu kawy. Od dziesiątej rano parzyła dzbanek za dzbankiem i wylewała do zlewu, bo chciała, żeby miał świeżą, kiedy przyjedzie.

Odczekała, aż ojciec przełknie pierwszy łyk i szepnęła:

- Opowiedz mi wszystko. Opowiedział.

- Nie wiedziałem, co mam robić, Ollie. Byłem kompletnie oszołomiony. Myślałem tylko o tym, że jesteś na tym świecie dopiero od kilku godzin i że oprócz mnie

nikt ciebie nie chce. Podpisałem wszystko, co mi podsuwali. Spanikowałem. Po tym co usłyszałem od twojej matki, wiedziałem, iż nie ma szans, żeby zmieniła zdanie. Do dziś nie mam pojęcia, skąd wzięła pieniądze, żeby opłacić tych dwóch nadętych prawników. Zażądała rozwodu, powiedziała, że nie chce ciebie i nie chce nic ode mnie. I że wraca do panińskiego nazwiska. Wszystko to było w rym... kontrakcie, który podpisałem. Allison bez problemu zrzekła się praw rodzicielskich. Nie chciała ani mnie, ani ciebie. Wiem, Ollie, jak bardzo jest to dla ciebie bolesne, ale faktów nie zmienię. Od tamtego dnia więcej o niej nie usłyszałem. Dotrzymała słowa.

Rozmawiałem z pastorem, rozmawiałem z twoją babcią, z każdym, kto chciał mnie słuchać i kto mógł mi coś doradzić. Wszyscy twierdzili, iż najlepiej będzie, jeśli powiem ci, że twoja matka umarła. Staralem się być dla ciebie i ojcem, i matką Ollie. Na początku było ciężko, potem już coraz lepiej dawałem sobie radę. Robiłem to, co uważałem za najlepsze dla nas obojga.

- Wiem, tato. Mimo wszystko szkoda, że nic mi nie powiedziałeś. Wcale ci nie zarzucam, że źle się mną opiekowałeś. Zawsze byłeś wspaniałym ojcem i bardzo cię kocham. Myślę tylko, że miałam prawo wiedzieć.

Dennis Lowell przeczesał palcami spłowiełe od słońca włosy.

- Zawsze chciałem ci powiedzieć, ale jakoś nigdy nie znalazłem dobrego momentu. No i to zdjęcie na kominku; wierzyłaś, że to twoja zmarła matka. Nie wiedziałem, co będzie, kiedy powiem ci prawdę. Taka byłaś zawsze radosna. Bałem się twojej reakcji, tego że staniesz się smutna, przygnębiona... może nawet będziesz próbowała ją odnaleźć, czy coś w tym stylu. Wiem, postąpiłem samolubnie. Ale nigdy, przenigdy nie pomyślałem, że to się tak skończy.

Olivia wstała ze stołka i zaczęła chodzić po kuchni w tę i z powrotem. Psy podążyły za nią krok w krok.

- No, cóż, tato, stało się. Ten prawnik mówił, żeby się z nim skontaktować. Zostawił tu jej testament, ale nawet na niego nie spojrzałam. Nic od niej nie chcę. Mógłbyś się tym zająć, tatku?

Dennis przyjrzał się córce, a potem wstał i zajrzał do kombiwara.

- Po prostu wrzuciłaś wszystko, co miałaś w lodówce, zgadza się? Olivia pokiwała głową.

- Wiesz, Ollie, obawiam się, że nie możesz tak tego zostawić. Myślę, że twoja matka chciała ci jakoś zadośćuczynić. Więc załatw tę sprawę i potem możesz o niej zapomnieć. Wiem, łatwo tak mówić, ale to naprawdę najlepsze wyjście z sytuacji. Jeśli zapisała ci pieniądze z polisy na życie, to po prostu oddaj je na jakiś cel dobroczynny. Nie jesteś taka jak ona, Ollie. Jesteś moją córką i nie wolno ci o tym zapominać. No, dobra, gdzie ten przeklęty testament? Weźmy się za to od razu. Ollie, wybaczysz mi? Czy ona mu wybaczy? A ma jakiś wybór? Skinęła głową powoli.

- Leży na stole w salonie.

Serce dudniło jej w piersi, kiedy patrzyła na przygarbione plecy ojca, idącego do salonu.

Nie ruszyła się od stołu kuchennego, tego, który zrobił ojciec. Ona pomagała go polerować. Siedziała tak, zaciskając pięści, i próbowała pogodzić się z tym, co usłyszała. Tak bardzo bolało to, że matka nawet nie chciała jej zobaczyć. Jaka kobieta mogłaby tak zareagować?

Czas włókł się niemiłosiernie. Olivia nie mogła doczekać się ojca. Co on tam tak długo robi? - pomyślała ze złością i poszła do salonu. Siedział, patrząc tępo przed siebie. Podbiegła do niego, zdjeta strachem.

- Tato, co się dzieje?

Dennis odwrócił się, ale jakby jej nie widział.

- To będzie bardziej skomplikowane, niż sądziłem. Twoja matka... Allison zmieniła nazwisko. Słyszałaś kiedyś o Adriannie Ames?

Olivia pokręciła głową.

- Skarbiec Adrianny? Mówi ci to coś?

- Ach, tak. To katalog jakiejś wielkiej firmy wysyłkowej. Parę razy coś od nich zamawiałam. Czemu o to pytasz, tato?

Dennis wziął głęboki oddech.

- Twoja... znaczy, Allison... to właśnie Adrianna Ames, właścicielka tej firmy wysyłkowej. To multimilionowy biznes, a ona to wszystko zostawiła ci w spadku.

Olivia zrobiła wielkie oczy i wbiła w niego wzrok.

- Słucham?

Dennis spojrział na testament, który miał w rękach.

- Tu jest wszystko napisane. Ona mieszkała zaledwie kilkadziesiąt kilometrów stąd. A w każdym razie miała tam dom. W ogóle jest właścicielką nieruchomości na całym świecie. Nie wyszła drugi raz za mąż. Piszę, że kiedy skończyłaś szesnaście lat, zaczęła się tobą interesować. Wynajęła prywatnego detektywa, który co miesiąc przysyłał jej raport, i tak to trwało aż do jej śmierci. Ale nigdy w żaden sposób nie wykorzystwała tych informacji. Dotrzymała umowy, o ile to coś znaczy.

Olivia otarła łzy z oczu. Zauważyła, że znowu zaczął sypać śnieg.

- Jaka ona była, tato? Tylko nie wciskaj mi historyjki, którą mi opowiedziałeś, kiedy byłam mała. Powiedz prawdę.

Dennis odchylił się na oparcie kanapy i przymknął oczy. Oba psy wskoczyły mu na kolana, a on pogłaskał je po łebkach.

- Poznałem Allison, kiedy studiowała na ostatnim roku w Ole Miss. Dorabiała sobie w małym, prywatnym banku. Któregoś dnia wpadłem na nią w osiedlowej pizzerii niedaleko od campusu. Pracowałem kilka budynków dalej i zwykle jadałem tam lunch. Ona była z dwiema koleżankami. Upuściła torbę, a ja podniosłem. Zaprosiły mnie do stolika, więc usiadłem z nimi i tak od słowa do słowa, zaproponowałem spotkanie. Najpierw mi odmawiała, twierdziła, że nie chce się z nikim wiązać, bo wyjeżdża, kiedy semestr się skończy. Ale w końcu ją namówiłem.

Nie przeżywaliśmy wielkich uniesień ani szalonych namiętności. Po prostu dobrze się ze sobą czuliśmy. Po ślubie, który odbył się jesienią przenieśliśmy się tutaj. Allison miała pracę w Waszyngtonie, a ja, jak wiesz, pracowałem na miejscu. Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że różnica życiowych doświadczeń zrobiła swoje. Miałem trzydzieści lat i dojrzałem do małżeństwa. Ona dopiero co skończyła szkołę. I byłem jej pierwszym chłopakiem.

Przez pierwszych kilka lat żyło nam się całkiem przyjemnie. Ona często wyjeżdżała ze względu na pracę. To mi się nie podobało. Zawsze wracała w złym nastroju, szukała zaczepki. Kiedy zaszła w ciążę, zrobiło się jeszcze gorzej; ciągle mnie o coś obwiniała, wyrzucała, że o nią nie dbam, że powinienem był zrobić to czy tamto.

Mówiła, że nie jest gotowa na bycie matką tego typu rzeczy. Spaliśmy oddzielnie i to był w zasadzie koniec naszego związku. Wtedy tłumaczyłem sobie, że kobiety w ciąży często reagują zbyt emocjonalnie. A potem urodziłaś się ty i Allison wbiła mi nóż w serce, bez mrugnienia okiem. Czułem się, jakby przejechał po mnie pociąg towarowy. Pewnie bym się całkiem załamał, ale musiałem zająć się tobą.

Kilka razy wracałem do szpitala, chciałem z nią jeszcze porozmawiać, ale nie pozwolono mi, bo nie życzyła sobie mojej wizyty. Kiedy ostatni raz poszedłem, okazało się, że już wyszła. Sama zapłaciła rachunek. Więcej już jej nie zobaczyłem.

Taki byłem głupi, Ollie. Kiedy wróciłem tamtego dnia do domu, dopiero zobaczyłem, że zabrała wszystkie swoje rzeczy; nie wiem, jak i kiedy. Wyglądało to tak, jakby nigdy tu nie mieszkała, jakby to wszystko działo się w koszmarnym śnie. No i masz całą moją historię.

Olivia kiwała głową, próbując jakoś uporządkować to, co usłyszała. Ale jej mózg po prostu się zawiesił.

- Tato, powinieneś być mi kiedyś o tym powiedzieć.

- Ale po co, Ollie? Nie chciałem, byś żyła ze świadomością, że własna matka ciebie nie chciała. Zrobiłem, co mi się wydawało słuszne. Jeśli uważasz, że postąpiłem źle, przepraszam.

- Wybaczam ci, tato. Co robimy dalej?

- Chyba trzeba zadzwonić do tego pana Prentice'a O'Briena, żeby nam powiedział. Wszystko dobrze, Ollie?

Uśmiechnęła się do niego.

- Jasne, tato. Jestem już dużą dziewczynką.

Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo.

Rozdział 4

Zupełnie jak kiedyś, pomyślała Olivia, sprzątając z ojcem w kuchni. Chociaż miała już zmywarkę, i tak ojciec pozmywał naczynia, a ona wycierała. Przynajmniej mieli coś do roboty, nie musieli siedzieć naprzeciwko przy stole i patrzeć na siebie bez słowa; ona z niemym wyrzutem, ojciec z poczuciem winy i wstydu.

Dennis ścisnął w rękę żółtą gąbeczkę, aż zrobiła się z niej mała kulka. Odezwał się cicho, prawie szeptem.

- Nie zmienię tego, co się stało, Ollie. A mówiąc szczerze, gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym to samo. Wiesz, ile miałem nieprzespanych nocy? Tysiące. Tak naprawdę wyspałem się porządnie dopiero wtedy, kiedy skończyłaś osiemnaście lat. Nie mogłem uwolnić się od myśli, że Allison nagle zjawi się i odbierze mi ciebie. Wiedziałem, że to mało prawdopodobne, ale i tak ciągle się bałem. A teraz, kiedy wiem, że Allison interesowała się tobą, odkąd skończyłaś szesnaście lat... Cóż, znaczy, że moje obawy nie były takie całkiem bezpodstawne.

Olivia pacnęła ścierką o drzwiczki zmywarki, a potem rozprostowała ją i rozwiesiła, żeby wyschła.

- Daj spokój, tato. Nie przejmuj się. Trochę potrwa, zanim dojdę do siebie. To wszystko spadło na mnie tak nagle. Czasem nie mogę pohamować złości, ale to minie. Teraz zastanówmy się, co zrobić. Ja nic od niej nie chcę. Nie mam zamiaru przyjąć tych pieniędzy. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby je oddać.

- To nie takie proste, Ollie. Najpierw trzeba stwierdzić ważność testamentu, zapłacić podatek spadkowy i załatwić mnóstwo innych rzeczy. Jeśli Allison rzeczywiście była taka bogata, zapewne cała armia prawników zajmuje się kwestiami majątkowymi. Jutro pójde z tobą do biura tego prawnika. Teraz możemy albo wałkować sprawę spadku do znudzenia, albo posiedzieć tu z psami i oglądać telewizję. Muszę cię jednak uprzedzić, że za pięć minut mogę już chrapać.

- Połóż się, tato. Ja pójde do atelier i zajmę się papierkową robotą. Nie zapomnij zadzwonić do Lei. Miałeś porozmawiać z nią przed obiadem.

Dennis uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze, mamu... O, choroba, przepraszam cię Ollie.

- Nic się nie stało, tato.

- Skarbie, na pewno mogę się zdrzemnąć? Obiecuję, że rano wcześniej wstanę i zrobię ci śniadanie. Jajka na grzance, jeśli masz składniki.

Olivia stanęła na palcach, żeby pocałować ojca w policzek.

- Mam wszystko, co trzeba.

Dennis przytulił córkę. Mocno, jakby już nigdy nie chciał jej wypuścić. Ale Olivia nie poczuła się w jego uścisku tak dobrze i bezpiecznie jak kiedyś.

Z ciężkim sercem zgarnęła z podłogi psy i zaniosiła je do salonu. Wymyśliła bajeczkę o papierkowej robocie w atelier, żeby ojciec poszedł się położyć. Rzuciła się razem z psami na kanapę i oglądała beznadziejnie głupie reality show o jakichś ludziach na bezludnej wyspie, którzy musieli jeść robaki, żeby przeżyć.

Wtuliła się w róg kanapy. Cały dom pogrążony był w ciszy. Na dworze ciągle sypał śnieg. Psy zapadły w drzemkę, Olivia zasnęła niedługo potem. Łzy zaschły jej na policzkach.

Dennis Lowell dotrzymał słowa. Kiedy Olivia obudziła się, z kuchni niesły się smakowite zapachy. Psy zeskoczyły z sofy, przeciągnęły się i pomknęły do drzwi. Dziś miały szczęście. Dennis zdążył już odgarnąć dla nich ścieżkę na podwórzu. Przez noc nie napadało więcej niż dziesięć centymetrów. Z daleka słychać było warkot pługów i piaskarek, służby porządkowe usuwały śnieg z drogi. Niedługo można będzie normalnie jeździć.

- Dzień dobry, Ollie. Jak się spało?

- Całkiem nieźle, tato. Słuchaj, czy już zawsze będzie między nami tak... tak niezręcznie?

Dennis ściągnął brwi i zastanawiał się nad odpowiedzią dłuższą chwilę.

- Myślę, skarbie, że to zależy przede wszystkim od ciebie. Nie mogę cofnąć czasu. Mogę przeproszać cię do samej śmierci, ale to nic nie zmieni, dopóki nie pogodzisz się z sytuacją i nie wybaczysz mi z głębi serca. Nie mogę powiedzieć, że wiem, co czujesz, ale potrafię sobie wyobrazić. Pewnie odbierasz to tak, jakbym pozbawił

ciebie matki, a wiadomo przecież, jak ważna dla dziecka jest matka. Tylko że Allison nie spełniłaby... Nie byłaby dobrą matką. Możesz mi wierzyć na słowo.

Olivia wpatrywała się w ojca.

- Wiem, tato. Nie jestem głupia. Wczoraj się załamałam, sytuacja mnie przerosła, ale kiedy opowiedziałeś swoją wersję wydarzeń, rozumiem już więcej. - Zerknęła na zastawiony stół. - Daj mi minutkę, tylko umyję zęby. Śniadanie wygląda pysznie, a pachnie niebiańsko.

- Dla ciebie wszystko, co najlepsze, córeczko.

Pięć minut później Olivia była już z powrotem w kuchni. Usiadła i strzepnęła serwetkę. Odkąd pamiętała, ojciec zawsze upierał się przy płóciennych serwetkach - takich, co to łatwo się gniotą i trzeba je prasować. Umiał pięknie nakryć do stołu. Upierał się też, żeby pamiętała o dobrych manierach przy jedzeniu. Prawdę mówiąc, to co wiedziała o życiu, zawdzięczała tylko ojcu. Nie kobiecie, która ją urodziła.

- A ty się wyspałeś, tato?

- Spałem mocno przez kilka godzin, ale obudziłem się o trzeciej i nie mogłem już zasnąć. Masz dziś jakichś klientów?

- Trzy osoby, chyba że ktoś odwoła. Jeśli drogi będą przejezdne, to pewnie się zjawią. Czemu pytasz?

Dennis postawił talerz przed Olivią, potem przyniósł do stołu swój.

- Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś umówiła się z klientami na inny dzień; moglibyśmy pójść do tego O'Briena. Najpóźniej w weekend muszę wracać, bo w poniedziałek mam dobrze płatny czarter. A chcę wiedzieć dokładnie, mieć rozeznanie, o co w tym wszystkim chodzi. Coś mi mówi, że nie chodzi o taki sobie zwykły spadek. Zbyt dobrze znam Allison. - Poprawił się. - Znałem Allison. A zmieniając temat, od kiedy to masz drugiego psa?

Olivia opowiedziała mu historię Cecila.

- Uwielbia Alice. Ona też będzie za nim tęsknić, kiedy go zabiorą. Myślę, że biedaka czeka bardzo smutny żywot. Szkoda, że nie może u mnie zostać. Słodki psiak, zabawny spryciarz i uparciuszek.

- Czemu nie poprosisz, żeby pozwolili ci go zatrzymać? Ten jego opiekun chyba by na to przystał. Tylko nie prosz o pieniądze. Opiekę nad psem pewnie chętnie sobie odpuści, ale z pieniędzy - raczej nie zrezygnuje. Może też będziesz musiała walczyć z prawnikami, którzy pracowali dla właścicielki Cecila. Jeśli chcesz, to mogę go porwać. Olivia poderwała do góry głowę.

- Wiem, że żartujesz, ale powiem wprost. Już się nad tym zastanawiałam. Dziś zadzwonię do Jeffa, opiekuna Cecila. Nie wiem, czy mieszka w domu pani Manning, czy tylko wozi Cecila do weterynarza i fryzjera. Nie wiem nawet, kim jest z zawodu. Ani pisał, jak mu zaśpiewałam pięćdziesiąt doliczów za godzinę opieki nad Cecilem. Nie wezmę od niego tych pieniędzy. Chciałam tylko, by miał świadomość, że jest za psa odpowiedzialny. Ale jego w ogóle to nie wzruszyło. Mówię ci, Cecil umrze z samotności w tamtym domu.

- Mogę zabrać jego i Alice, kiedy będę wracać w weekend. Z przyjemnością zabawię się w porywacza psów. Starczy, że powiesz słowo, Ollie.

Wytrzeszczyła oczy, kiedy zorientowała się, że ojciec mówi zupełnie poważnie.

- Tato, coś ty. Cecil to najbogatszy pies w Stanach. Piszą o nim w gazetach. Gdyby zaginął, pewnie wezwaliby FBI.

- Może zrobimy tak: znajdziemy jakiegoś psa podobnego do niego i oddamy go jako Cecila. Jego i Alice zabiorę z sobą i nikt się nie pokapuje. Wracając od prawnika, zajrzemy do schroniska i do paru sklepów zoologicznych. Idę o zakład, że nam się uda. A najlepsze jest to, że jakiś biedny psiak dostanie dobry dom, a Cecilowi nie zrobi to różnicy. Kiedy sprawa przyschnie, przyjedziesz do mnie na wyspy i zabierzesz psy. Alice zna już Leę, więc nie tęskniłaby za domem. Cecil chyba też się przystosuje, jeśli będzie z Alice. Wiesz, że Lea bardzo kocha zwierzęta.

- A jeśli nas złapią?

- To wtedy będziemy się martwić. Zadzwoń do tego opiekuna i spróbuj przekonać go, żeby Cecil został u ciebie jeszcze przez parę dni.

Zerknęła na psy, śpiące przy jej nogach. Leżały wtulone w siebie. Wstała z krzesła.

- Nie wierzę, że mam zamiar coś takiego zrobić. O rany, nie wierzę nawet, że w ogóle się nad tym zastanawiam.

- Dobrana z nas para, Ollie. Zawsze ci powtarzałem: tylko my dwoje, mała.

Jasne, tato. Zawsze to powtarzałeś.

Spojrzała na kalendarz przyklejony taśmą do ściany nad telefonem w kuchni. Przesunęła palcem wzdłuż kolumny wypisanych ołówkiem telefonów. Wystukała numer Jeffa i czekała aż podniesie słuchawkę. Kiedy się odezwał, wyczuła w głosie takie zmęczenie, jakby właśnie skończył długodystansowy bieg. A może po prostu należał do ludzi, którzy zawsze są czymś znużeni.

- Mówi Olivia Lowell. Jeff, tak się zastanawiałam, czy Cecil mógłby jeszcze u mnie zostać na dzień, czy dwa? Chciałabym zrobić mu kilka ujęć w akcji na śniegu. No wiesz, podczas zabawy z moim psem. Cecil ma ciekawy charakter, a do tego jest taki bogaty. Ludzie będą chcieli zobaczyć, że nie traktuje się go... inaczej niż wszystkie psy. A tak w ogóle, ja żartowałam, że wezmę od ciebie pięćdziesiąt dolców za godzinę. No więc? Co ty na to?

- Zgoda, nie ma sprawy. To kiedy mam po niego przyjechać? Wkurza mnie, że ten pies rządzi moim życiem.

- On po prostu potrzebuje kogoś, kto się z nim pobawi. Może zorganizujesz mu jakiegoś psa do towarzystwa? Wykonawcy testamentu pewnie pochwalą cię za troskliwość.

- Tak myślisz? Psa do towarzystwa, co?

- Mogę takiego załatwić, jeśli się zdecydujesz. Znam kogoś, kto hoduje yorki. - Łgała jak z nut.

Jeff wyraźnie się ożywił. W głosie dało się wyczuć zadowolenie i ulgę.

- W takim razie zadzwonię jeszcze po południu. Wykonawcy na pewno się zgodzą, ale jednak muszę to z nimi uzgodnić. Czyli, o ile dobrze rozumiem, mam przyjechać po psy w poniedziałek.

Olivia odetchnęła i uniesionym kciukiem pokazała ojcu, że się udało.

- Dobrze rozumiesz. Dzięki temu będziesz miał wolny weekend, a mnie ten mały łobuziak nie przeszkadza.

- No dobrze, będę u ciebie w poniedziałek po południu. Odłożyła słuchawkę i roześmiała się.

- Hej, Cecil, już nie jesteś sławny i bogaty. Otworzył jedno oko i zamknął je z powrotem.

- Zadzwoń do biura linii lotniczych i zapytam o transport psów. Masz jakieś torby do przewożenia psów?

Olivia się uśmiechnęła.

- Tak, tato, mam wszystko co potrzeba, z wyjątkiem psów na zamianę. -Ale zaraz się opamiętała. - Naprawdę wierzę, że nas nie złapią. To nie są żarty.

- Ale chyba warto zaryzykować, nie uważasz? Niektórzy ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że pies też ma uczucia. Potrafi tęsknić. Może mu brakować opiekuna, do którego się przywiązał. To wszystko wpływa na jego zachowanie. Cecil przeszedł już jedną traumę, kiedy umarła pani Manning. Teraz przywiązał się do ciebie i Alice. Jak myślisz, co by się z nim stało, gdyby musiał wrócić do tego opuszczonego domu bez Alice? Uważasz, że nie warto zaryzykować? Sama siebie zapytaj, czy pani Manning by tego nie pochwaliła.

- Czyli cel uświęca środki? Wiesz co, tato? Myślę, że prawdopodobnie by to pochwaliła. Uwielbiała tego psiaka. Nie miałyby nic przeciwko temu, jeśli wiedziałyby, że Cecil będzie zdrowy, najedzony i szczęśliwy.

- Świetnie. Czyli sprawa załatwiona. Ja tu posprzątam, Ollie. Możesz wziąć prysznic.

Stojąc pod parującym natryskiem, Olivia pomyślała, że przytrafiają jej się naprawdę zwariowane rzeczy. Jednego dnia dowiaduje się, że jest jedyną dziedziczką fortuny, mimo wszystko niejasnego pochodzenia, a nazajutrz - sama jest gotowa popełnić przestępstwo. No, prawie. Ciekawe, jak to jest być w więzieniu. Na samą myśl o tym jajka na grzance przewróciły jej się w żołądku. Skup się na tym, że Cecilia i dwa inne psy czeka wspaniałe życie. Pod warunkiem, że uda ci się znaleźć te dwa psy, mówiła sobie w duchu.

Żeby nie za długo zastanawiać się nad swoimi przestępczymi zamiarami, wyskoczyła spod prysznic. Szybko ubrała się, zrobiła makijaż i wysuszyła włosy. Postanowiła, że nie będzie się specjalnie stroić dla Prentice'a O'Briena. Włożyła jasnobrązowe wełniane spodnie, buty na gumowej podeszwie i wiśniowy sweter. Niesforne włosy ściągnęła w węzeł i podpięła szylkretowymi grzebieniami.

Kiedy weszła do kuchni, Dennis Lowell właśnie parzył nową kawę. Miał na sobie ubranie, które zostawił tu, wyjeżdżając z Leą na wyspy. Wyglądał dystygownie i pachniał oszalałmająco. Olivia nie omieszkła mu o tym powiedzieć. Ojciec uśmiechnął się, ale - jak zauważyła - tylko samymi ustami. W oczach miał smutek.

- Jeszcze tylko odwołam dzisiejszych klientów - powiedziała -i zaraz będziemy mogli wyjść. Jak uważasz, zadzwonić do O'Briena i umówić się na spotkanie, czy po prostu możemy się zjawić niezapowiedziani?

- Myślę, że nie musimy się umawiać. Dzwoń do tych klientów, a ja wypuszczę na chwilę psy. Zawołaj, kiedy będziesz gotowa.

Kancelaria adwokacka panów O'Briena, O'Malleya i O'Shaughnessy'ego, niezbyt duża, niewielki metraż rekompensowała z nawiązką elegancją. Nawet adres był wytworny, ulica P. w Georgetown, zamieszkanym głównie przez senatorów, kongresmenów i dyplomatów. Chodnik przed drzwiami został starannie odśnieżony, a między płytkami zostały małe grudki soli. Wiekowe dęby, teraz bez liści, rosły po obu stronach ulicy. Na pierwszy rzut oka kamienica wyglądała jak prywatny dom, tylko wypolerowana mosiężna tabliczka zdradzała, co się mieści w trzypiętrowym budynku.

Jak większość domów w Georgetown, kamienica była wąska z niewielkim trawnikiem z tyłu. Sąsiednie budynki stały tak blisko, że gdyby ich mieszkańcy wychylili się z okien, mogliby podać sobie ręce.

Ekskluzywna parcela w pożądanym miejscu.

Domofon zabręczał niewyraźnie i Dennis pchnął drzwi wejściowe. Olivia zachłystnęła się z wrażenia, wchodząc do zielonego wnętrza. Zielone marmurowe ściany, zielone marmurowe posadzki, tak lśniące, że można by się w nich przejrzeć. Półokrągła lada w recepcji z polerowanego mahoniu miała blat z tego samego zielonego marmuru. Tak samo błyszczał i lśnił, jak podłoga. Na ladzie stał tylko komputer,

telefon i wielka waza pełna żółtych tulipanów. Świeże tulipany w lutym, zdumiała się Olivia. Ojciec podszedł do recepcjonistki.

- Nazywam się Dennis Lowell, a to moja córka, Olivia. Chcielibyśmy rozmawiać z panem O'Brienem.

Recepcjonistka wyglądała jak lakierowany manekin w ciuchach od najlepszych projektantów. Olivia zastanawiała się, czy kobieta nosi perukę. Jediną znaną jej osobą o tak idealnej fryzurze był Ted Koppel, lecz wszyscy wiedzieli, że on ma peruczkę. Ojciec rozmawiał z recepcjonistką, a Olivia gapiła się na nią. Sztuczne rzęsy, tak długie i podwinięte, że można by na nich położyć ołówek. Makijaż superdoskonały - chyba by popękał, gdyby kobieta się uśmiechnęła. Poczula się przy niej jak wycieruch.

- Trzeba być umówionym na spotkanie - powiedział Dennis, podchodząc do niej.
- Ta młoda dama mówi, że to nie jest kancelaria, do której można wejść tak sobie, z ulicy.

- Ach, tak.

- Idziemy, skarbie? Jeżeli będzie chciał z tobą porozmawiać, to może sam przyjechać do Winchesteru.

Manekin uniósł rękę ozdobioną kilkucentymetrowymi krwistoczerwonymi paznokciami.

- Pan O'Brien przyjmie państwa za pięć minut. Proszę, niech państwo usiądą.

Pięć minut przeciągnęło się do dziesięciu, później do piętnastu. Kiedy wskazówki zegara odmierzyły dwadzieścia minut, oburzona Olivia wstała i pomaszerowała do wyjścia, a za nią ojciec.

Dennis właśnie otwierał drzwi samochodu, kiedy podbiegła jakaś niepozorna osóбка w grubych okularach. Zadyszana, zaczęła ich przeproszać i namawiać, żeby wrócili. Dennis wzruszył ramionami.

- Nie znoszę prawników - syknęła Olivia, gdy szli za dziewczyną z powrotem do kancelarii.

- Ja też, skarbie, ja też.

Gabinet Prentice'a O'Briena był równie elegancki jak recepcja. Szerokie, wygodne skórzane fotele dla klientów, mahoniowe biurko. Sofa pokryta jasnobieżowym materiałem o grubym splocie świetnie komponowała się z puszystym dywanem i zasłonami, spływającymi od sufitu aż do podłogi. W prawdziwym kominku palił się ogień. Robione na zamówienie regały idealnie łączyły się z drewnianą boazerią. Na ścianie naprzeciwko drzwi znajdowały się telewizor i wieża stereo, obok barek na kółkach. Na biurku piętrzyły się stosy dokumentów, a siedzący przy nim mężczyzna był w samej koszuli, bez marynarki. Wstał i obszedł biurko dookoła, żeby się z nimi przywitać. Przedstawił się i zaprosił ich na fotele.

Dennis i Olivia czekali, aż coś powie. Kiedy się odezwał, mówił powoli i jakby z lekką irytacją.

- Gdybym wiedział, że państwo przyjdą tak wcześnie, wykroiłbym dla państwa trochę czasu. Przepraszam, że musieliście państwo czekać. Będziemy musieli załatwić sprawę ekspresowo, bo za parę minut mam umówionego następnego klienta.

Olivia zerwała się z fotela.

Przedwczoraj nie był pan ze mną umówiony. Po prostu pan przyszedł. Panu wolno, a nam nie? Czas to pieniądz, prawda? W takim razie, panie O'Brien, jeśli uda się panu wykroić dla mnie trochę czasu, to niech pan zadzwoni. Może wtedy załatwimy sprawę, o ile będę mogła uwzględnić pana w moim napiętym grafiku. Mnie nie płacą za godziny, tak jak panu. I wie pan, zupełnie mnie nie obchodzi, czy jeszcze kiedyś pana zobaczę, czy nie. Nie chcę mieć nic wspólnego ze spadkiem Adrianny Ames. Chodź, tato, idziemy stąd.

Kiedy adwokat zorientował się, że naprawdę wychodzą, zmienił ton.

-Ależ panno Lowell, panie Lowell... Ale ojciec i córka nie zatrzymali się.

- Niech państwo chociaż wezmą to - mówił, doganiając ich, i wyciągając w ich stronę kopertę. - Moja klientka napisała do pani list i poleciła mi oddać go pani do rąk własnych.

Olivia prychnęła i wychodząc z gabinetu, zrobiła gest niegodny damy. Prawie biegiem przemierzyła elegancki hol w stronę drzwi wejściowych. Nie wiedziała, czy ojciec wziął list.

Sto dwadzieścia kilometrów drogi powrotnej do Winchesteru przebyli w milczeniu.

Rozdział 5

Psy rozszczękały się na powitanie, kiedy tuż po dwunastej Olivia i Dennis wrócili do domu. Powiesiła płaszcz i przyklęknęła, żeby pobawić się z pupilami, bo i tak by nie odpuściły. Ale kątem oka obserwowała ojca - czy wyciągnie coś z kieszeni. Wyciągnął. Aż zadrżała, widząc, że składa na pół białą kopertę i wciska ją do tylnej kieszeni spodni.

Najlepiej niech sam się tym zajmie. Jej sprawa nie interesuje.

Dennis klasnął w ręce.

- To co robimy, Ollie? Mam ci pomóc w studio, czy może podzwoimy, wysondujemy, co się da załatwić w sprawie Cecila? A może napijemy się kawy, żeby się trochę rozgrzać? Słowo honoru, strasznie wydelikatniałem na tych wyspach. Mróz jest nie do zniesienia. I chyba nawet przez noc zeszła mi opalenizna.

Olivia zaśmiała się na siłę, chociaż wcale nie było jej do śmiechu. Aż się zdziwiła, że jej głos brzmi zupełnie normalnie, kiedy się odezwała.

- Zrobmy najpierw kawę. A potem ty możesz dzwonić z kuchni, a ja wezmę komórkę. I chciałabym, żebyś spojrzal na zdjęcia, które wybrałam na ten rok do kalendarza z psami. Mam taki pomysł: między czerwcem i lipcem znajdzie się dodatkowa strona. Zrobię taki kolaż, połączenie różnych zdjęć wszystkich dwunastu psów w akcji. Wiesz, jaka jestem - zawsze mi się wydaje, że każde zdjęcie jest świetne. Zależy mi, żeby ktoś ocenił to chłodnym okiem. To by był taki bonus dla miłośników psów.

Zdała sobie sprawę, że papla o byle czym, żeby pokryć zdenerwowanie.

- Zrobię kawę - powiedziała, idąc do kuchni. - A ty podkręć ogrzewanie w studio, jeśli możesz. Myślałam, żeby tam wstawić dodatkowy grzejnik elektryczny. Co ty na to? - Cholera, znowu paplam, pomyślała.

- Skarbie, zrobisz, jak zechcesz, porozmawiamy w końcu o tym, co mam w kieszeni?

- Nie!

Dennis wzruszył ramionami i poszedł w stronę atelier.

- Możliwe, że trzeba tam po prostu przeczyścić rury centralnego ogrzewania. Zobaczę, zanim wykosztujesz się na grzejnik. Ale to może być niebezpieczne. Pamiętaj, że trzymasz w atelier różne chemikalia.

Olivia nałożyła łyżeczką kawę do papierowego filtra.

- Ja tylko mówię, że się nad tym zastanawiałam, tato. Jeśli uważasz, że trzeba, to sprawdzaj sobie te rury.

Czekając, aż kawa przeleje się do dzbanka, Olivia sięgnęła po kalendarzyk z adresami i zadzwoniła do weterynarza Alice. Podał jej numery telefonów do pobliskiego schroniska i dwóch hodowli yorków w okolicy. Dwaście minut później pobiegła do atelier, żeby powiedzieć ojcu, iż ma dwie możliwe kandydatury na zastępcę Cecilia.

- Pojedziesz ty, czy ja? W schronisku pracują trzy babki i jeden facet. Trzymają psy w swoich domach. Wszystko sobie zapisałam.

Dennis stał akurat na drabinie, zaglądając do rury.

- Wygląda na to, że nikt tego nie czyścił, odkąd założyłem centralne ogrzewanie. Muszą mieć ze sto lat - zażartował. - Jedź ty. Znasz się na psach lepiej ode mnie. Ja tu zostanę na placu boju.

Psy przysiadły, obserwując jak Olivia znowu zbiera się do wyjścia. Kiedy tylko zobaczyły, że sięga po torebkę, pognały do atelier, żeby dotrzymać towarzystwa Dennisowi. Torebka i szczek kluczy oznaczały, że pani wychodzi z domu.

Na dworze świeciło słońce i śniegowe zaspasy miały srebrzysty odcień. Drogi były ciągle mokre i śliskie w miejscach, gdzie lód się jeszcze nie roztopił. Jechała ostrożnie, zerkając co chwila na narysowaną własnoręcznie mapkę, która leżała na siedzeniu obok.

Nie wierzyła w przypadki. Robiła szczegółowy plan swoich zamierzeń, rozmyślała nad nim przez kilka dni, a potem, w dziewięciu przypadkach na dziesięć, rezygnowała i wybierała jakąś starą, wypróbowaną metodę. Tak samo było z Clarencem. Niedługo będzie musiała wreszcie coś postanowić. Męczyło ją udawanie zainteresowania jego opowieściami o audytach podatkowych. Ciągłe powtarzał, że to zupełnie fantastyczne - mieć taką władzę nad ludźmi. Ale w głębi duszy obawiała się, że jeśli zerwie z tym nudziarzem, to on zemści się, przeprowadzając drobiazgowo audyty finansów OHvii, jej ojca i wszystkich ich przyjaciół. Alice nie lubiła Clarence'a. Mądra psina.

Zwolniła przed skrzyżowaniem, gdzie musiała skrócić, żeby dojechać do domu Anity Wellesley, rozłożystego budynku, w którym mieszkała razem z jedenastoma yorkami i dwoma mieszkańcami pudła z yor-kiem. Narobiły hałasu, gdy tylko zaparkowała samochód na podwórzu. Uśmiechnęła się. Psy zawsze wyczują, że ktoś idzie. Pewnie wezmą ją za intruza. Zdziwiła się, widząc przed drzwiami podjazd dla wózków. Może Anita Wellesley jest inwalidką. Drzwi otworzyła jej miła z wyglądu, pulchna kobieta w dżinsach i czerwonej koszuli, z zaraźliwym uśmiechem na twarzy.

- Jestem Olivia. Dzwoniłam do ciebie wcześniej.

- A, tak, tak, wchodź. To moja mama, Anna Pellecone. - Wskazała siedzącą na wózku inwalidzkim kobietę z trzema rozkosznymi psiaczkami na kolanach. - Pomagamy przy psach. Mój mąż też, ale jest w pracy. Chodź, pokażę ci inne. Ale uprzedzam, trudno ci będzie zdecydować się na jednego.

Olivia rozplynęła się w zachwycie na widok czeredy psów za drewnianą kratą, która oddzielała salon od reszty domu. W środku było pełno zabawek, psich legowisk, gryzaków ze skóry i misek na wodę. Zrobiła krok nad kratą i przykucnęła, żeby zobaczyć, które psy będą się do niej garnać. Podbiegły wszystkie.

- W takim razie zostawiam cię tu na jakiś czas. Nie musisz się spieszyć. Przygotuję drugie śniadanie dla mojej mamy. Zrobić ci kanapkę? A może napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję. Jeśli można spytać: w jaki sposób mama pomaga zajmować się psami, skoro jest przykuta do wózka?

Anita zaśmiała się miło i melodyjnie.

- Przez cały dzień nie ma nic do roboty, tylko czyta, ogląda telewizję i rozpieszcza psy, niekoniecznie w tej kolejności. A wszystkie ją uwielbiają: czują, że naprawdę je kocha. Moja matka to prawdziwy klejnot.

Słyszając warkot elektrycznego wózka, Olivia odwróciła się.

- Czyżby moja córka znowu mnie przed kimś wychwalała? - Anna Pellecone roześmiała się. Oliviiłzy napłynęły do oczu, kiedy Anita pochyliła się i pocałowała matkę w policzek.

- Oto niewiasta - mówiła Anita z dumą - która sprawiła, że w naszym domu jest tyle psów. Nie wyobraża sobie, żeby jakieś zwierzę było niekochane. Zawsze miała wielkie serce. Pamiętam z dzieciństwa, że do naszego domu przychodzili dzieci z okolicy, kiedy miały jakiś problem. Mama zawsze pocieszyła, nakarmiła i przytuliła. Sama wiesz, jakie są matki.

Nie, Olivia nie wiedziała, jakie są matki, ale nie zamierzała o tym wspominać.

Godzinę później podjęła decyzję. York o imieniu Loopy, bo tak informował napis na obroży, był taki jak Cecil; miał identyczne umaszczenie i takie same znaki szczególne. Na towarzyszkę dla Loopy'ego wybrała suczkę - krzyżówkę yorka z pudlem - o imieniu Bea.

Minęła kolejna godzina, zanim Olivia wypełniła wszystkie papiery i podpisała w kilkunastu miejscach. Dowiedziała się, że Loopy jest wykastrowany, a Bea wysterylizowana, oba psy mają wszystkie szczepienia, a także tego, co lubią, a czego nie lubią. Przytuliła do siebie zwierzaki, ale w ostatniej chwili przed wyjściem podeszła jeszcze z nimi do wózka, żeby pani Pellecone mogła je uściskać na pożegnanie.

- Macie być grzeczne dla panny Olmi, słyszycie? - powiedziała starsza pani. Psy zaszczerkały wesoło. Anna wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń Olivii.

A więc tak się człowiek czuje, kiedy dotyka go matka, pomyślała Olivia. Schyliła się i pocałowała kobietę w suchy, upudrowany policzek. Pięknie pachniała, jak świeże wiosenne kwiaty. Olivia próbowała się uśmiechnąć, ale coś zaczęło ją drapać w gardle. Musi stąd wyjść.

- Pamiętaj, jeśli będziesz miała jakieś problemy - dzwoń. Zawsze ci pomożemy.

- Dobrze - wydusiła z siebie Olivia i niemal pobiegła do samochodu. Po drodze do domu, z psami skulonymi na jej kolanach, rozmyślała o macierzyństwie i matkach w ogóle. Wiele straciła, nie mając matki. Ale była przekonana - no i przecież tak mówił ojciec - że Allison Mat-thews, Adrianna Ames, czy jak tam ją zwać, w niczym nie przypominała pani Pellecone.

Skreśliła na swoje podwórko i od razu zobaczyła ojca z psami. Ob-skoczyły ją, gdy tylko wysiadła z samochodu razem z dwójką gości. Przyjrzały się nowym przybyszom, obwąchały ich starannie i obszcze-kały. W domu zaczęło się szaleństwo - gonitwa, warczenie i podszczypywanie zębami. Wreszcie Olivia dmuchnęła w gwizdek i przywołała towarzystwo do porządku.

- No dobra, a teraz spokój i słuchać mnie uważnie... Dennis pękał ze śmiechu.

- Tak na marginesie, skarbie - nie wydaje mi się, żebyś oddała któregoś z nich Jeffowi. Chcesz kanapkę z szynką i z indykiem, czy z indykiem i z szynką? Zrobiłem kawę. Rury przeczyszczone, w studio masz teraz ciepło jak w ulu. Nie musisz mi dziękować. - Mrugnął. - Od tego przecież ma się ojca.

Olivia usiadła w kuchni przy stole i wtedy znowu zobaczyła białą kopertę. Odwróciła wzrok. Może lepiej zamknąć oczy.

- Poznałam matkę tej kobiety ze schroniska, tato. Inwalidka, na wózku. Przemiała osoba, i tak ślicznie pachnie. Było... było widać, że obie bardzo się kochają. I kochają też swoje psy.

Dennis spojrzał na nią ze smutkiem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czy twoja żona nie miała w sobie żadnych... no, nie wiem... ciepłych uczuć? Skąd możesz wiedzieć, że nie byłaby dobrą matką? Może z czasem...

- Przestań, Ollie. Allison nigdy nie chciała mieć dzieci. Nie było między nami miłości, która powinna łączyć małżeństwo, przyjaźni chyba też nie. Można się dziwić, czemu w ogóle wzięliśmy ślub. Sam już nie wiem. Zawsze mi się wydawało, że Allison traktuje mnie jako swego rodzaju zabezpieczenie, tylko nie wiedziałem przed czym. Takie miałem wrażenie. Nie chciała cię nawet zobaczyć, kiedy się urodziłaś. Nie chciała ciebie, i kropka. Nie sądzę więc, żeby mogła być dobrą matką. Allison

kochała tylko siebie. Uważała, że jest mądrzejsza od wszystkich. Skończyła studia z wyróżnieniem. Pragnęła tylko jednego: być bogata i sławna. Ciągłe mi o tym przypominała po ślubie. Mówiła, że skoro nie może liczyć na moją pomoc w realizacji swoich ambicji, będzie musiała sama sobie poradzić. A teraz może wreszcie przeczytasz ten piekielny list i będzie z głowy. Kto wie, może tam znajdziesz odpowiedzi na swoje pytania.

- Przepraszam, tato. Nie chciałam ci zrobić przykrości.

- Ale zrobiłaś. Robisz. Trudno, nic na to nie poradzimy. Przeczytaj list, zrób, co trzeba i miejmy to już za sobą. Ignorowaniem problemu nie sprawisz, że on zniknie. Pogódź się z tym faktem, Ollie. - Postawił przed nią talerz. - Idę wypuścić psy. A ty rób, co chcesz. - Cofnął się jeszcze od drzwi, żeby wbić ostatnią szpilę. -I zdecyduj że się wreszcie na coś z tym cholernym Clarencem. Może raz w życiu przestaniesz namyślać się bez końca i weźmiesz byka za rogi. Wiem, że to banalne, ale rozumiesz chyba, o co mi chodzi.

Cholera. Naprawdę był zły. Ostatni raz mówił do niej takim tonem, kiedy miała dwanaście lat.

Olivia ugryzła kanapkę z szynką i indykiem. Dziwnie sucha. Podniosła górną kromkę. Ojciec zapomniał o sałacie i majonezie. Naprawdę musiał się wkurzyć. Posłusznie jadła kanapkę i popijała kawą, nie spuszczając wzroku z białej koperty.

Clarence.

Cecil.

Adrianna Ames. Zaraz rozboli ją głowa.

Podniosła kopertę za rozek, jakby bała się czymś zakazić. Przeszła z nią do małego pokoiku, który kiedyś pełnił funkcję pokoju gościnnego, a teraz biura. Miała tam biurko, komputer, dwa płócienne krzesła, faks i najnowszej generacji kolorową drukarkę. Rzuciła kopertę na stół, a potem usadowiła się w swoim ergonomicznym krześle, włączyła komputer i weszła do Internetu. Wpisała w wyszukiwarkę „Adrianna Ames”, bo może trafi na jej stronę. Kiedyś zamawiała coś z katalogu wysyłkowego, ale nigdy nie szukała firmy w sieci. Profesjonalnie zaprojektowana strona robiła duże wrażenie. Aż odskoczyła do tyłu, kiedy na monitorze pojawiło się zdjęcie matki. Zbliżenie, i to na pewno retuszowane. Przysunęła się do ekranu, żeby

zobaczyć, czy doszuka się jakiegoś podobieństwa. Nie. Ta kobieta niczym nie przypominała ani jej, ani osoby ze zdjęcia na kominku. I Bogu dzięki, że Olivia wrodziła się w ojca. Adrianna Ames nie miała w sobie nic z matczynego ciepła, jakim emanowała pani Pellecone. Surowa twarz, tlenione włosy i ostry makijaż. Małe oczka, wąskie usta i wielgachny nochal. Żadna piękność.

Olivia zaczęła przeglądać odsyłacze na stronie. Sprawdziła wszystkie. Historia życia matki, w formie wywiadu, zawierała krótki opis tego, jak zaczęła prowadzić firmę i na jakie przeszkody napotyka kobieta, która chce się przebić na tak konkurencyjnym rynku. Zaczynała od gospodyń domowych. Kobiet, które muszą liczyć każdy grosz. Ona lubiła rzeczy luksusowe, więc wpadła na pomysł, żeby sprzedawać ich tanie imitacje, na które stać każdą panią domu. Nie, sama nie prowadziła domu, ale potrafiła zrozumieć kobietę, która wychowuje dzieci, zmaga się z ograniczonym budżetem, ale też chce mieć coś z życia. Podczas wakacji wysyłała towarów z katalogu gratis.

Od czego wszystko się zaczęło? Od bransoletek dla niemowląt. Takich z małych koralików z imieniem, które zakłada się dziecku po urodzeniu - identyfikator. „Posu-
nęłam się o krok dalej i zrobiłam je z kolorowych paciorków; dodałam jeszcze mocną, elastyczną gumkę, żeby łatwiej dopasować rozmiar - mówiła Amcs. Gwarantowany zwrot pieniędzy przy reklamacji. Trzeba przecież brać odpowiedzialność za to, co się sprzedaje. Do bransoletek dołożyłam jeszcze inne produkty, a w końcu powstało ich tyle, że mogłam stworzyć cały katalog. Włożyłam w to wszystko, co miałam, zaryzykowałam i wygrałam”.

Następnie padło pytanie, czy była kiedyś zamężna. Odpowiedziała, że wzięła ślub ze swoją firmą. Czy nigdy nie żałowała, że nie ma dzieci i rodziny? Jej rodziną są klienci, poza tym trudno tęsknić za czymś, czego się nigdy nie miało.

A potem interes sam zaczął się kręcić.

Każdym zdaniem w wywiadzie wyostrzała swój wizerunek godnej najwyższego uznania kobiety sukcesu. Długie godziny pracy, wiele rzeczy robiła sama. Jej pewność siebie. Jej działalność charytatywna. Jej kolekcja samochodów, imponująca liczba nieruchomości. Jej krociowa fortuna. Głęboka wdzięczność pracowników. Tych najwinniejszych obdarowywała na Gwiazdkę kosztownymi prezentami. Nie miała przecież żadnej bliskiej rodziny.

- Kupa bredni. - Olivia kliknęła link do galerii zdjęć domu Adrianny Ames, alias Allison Matthews Lowell. Gwizdnęła z podziwu. -Nieźle, mamuśka - mruknęła, przeglądając zdjęcia luksusowego domu i pokoi pełnych mebli od najlepszych projektantów. Najwyraźniej na prowadzeniu firmy wysyłkowej można było zrobić kokosy.

Cofnęła się do wywiadu i wydrukowała go razem ze zdjęciami dla ojca. Bo na pewno nie dla siebie. Kiedy tylko on to przejrzy, Olivia natychmiast wrzuci kartki do kominka.

Sięgnęła po kopertę. Dosyć ciężka. Świetnie. W środku jest pewnie historia życia Adrianny Ames - albo jakieś życiowe przesłanie dla córki. Otworzyła. Nie, nie przesłanie. Miałyby więcej stron, a tu były tylko trzy kartki wyrwane z brulionu, zapisane rozstrzelonymi literami, tak, że jedno zdanie zajmowało co najmniej dwie linijki. Ze zdziwieniem zobaczyła między kartkami jakieś zawiniątko. Odwinęła delikatnie chusteczkę i doznała szoku: niemowlęca bransoletka z napisem „Lowell, córka”. Olivia cisnęła ją na biurko, odchyliła się do tyłu i położyła nogi na blacie. Zerknęła na list. Miał datę sprzed dziesięciu miesięcy. Został napisany w kwietniu, ulubionym miesiącu Olivii.

„Droga Olivio!

Mogę sobie wyobrazić, jaki szok przeżyłaś, kiedy dowiedziałaś się o moim istnieniu. Domyślałam się, że ojciec już zdążył Ci wszystko wytłumaczyć. Wiem, że on sam nigdy nie zdradziłby Ci prawdy i przykro mi, że to ja muszę złamać naszą umowę, ale w moim życiu wiele się zmieniło.

Półtora miesiąca temu dowiedziałam się, że mam poważne problemy zdrowotne i kiedy minął wstrząs, wiedziałam, że muszę doprowadzić do porządku niektóre sprawy. Ale nie będę Cię zanudzać szczegółami.

Wiem, że miałaś cudowne, dobre życie. Jestem tego pewna, bo Twój ojciec jest troskliwym i kochającym człowiekiem. Nie mógł się Ciebie doczekać przed Twoim urodzeniem. Godzinami opowiadał, co będzie robić ze swoim synkiem czy córeczką. Wiem, że dał Ci imię po swojej matce. Masz piękne imię. Nie interesowałam się Tobą do momentu, kiedy skończyłaś szesnaście lat. Potem wynajęłam prywatnego detektywa, który raz w tygodniu dostarczał mi informacji o Tobie. Dumna jestem z Ciebie, chociaż to pewnie dla Ciebie nic nie znaczy.

Zostawiam Ci wszystko, co mam. Nie dlatego, żebym się czuła winna, ale dlatego, że tak wypada zrobić. Po prostu. Chciałabym móc Ci powiedzieć, że mam względem Ciebie jakieś macierzyńskie uczucia, ale niestety nie mam. I nigdy nie miałam.

A teraz chcę Cię prosić, żebyś coś dla mnie zrobiła. Nie wypada odmówić ostatniej prośbie zmarłego. To w żaden sposób nie ma związku ze spadkiem i załatwiłabym to sama, ale już nie zdążę.

To się zdarzyło, zanim poznałam Twojego ojca - wiosną, kiedy byłam na ostatnim roku w Ole Miss i pracowałam od czterech lat w małym, prywatnym banku. Jak widzisz, już wtedy ciągnęło mnie do pieniędzy. Ja i moje dwie przyjaciółki, Gwen Nolan i Jill Davis, okradliśmy ten bank. Nie podeszliśmy do okienka, żądając pieniędzy - nie z tych rzeczy. Po prostu przywłaszczyliśmy sobie pakiet obligacji. Trzymałyśmy je przez pięć lat. I tyle właśnie czasu trwało moje małżeństwo z Twoim ojcem.

Jill, Gwen i ja spotkałyśmy się dwa tygodnie po moim wyjściu ze szpitala i podzieliłyśmy się obligacjami. Dzięki nim mogłam założyć firmę. Uzgodniłyśmy, że nie będziemy się ze sobą więcej kontaktować, chociaż na wszelki wypadek wymieniliśmy się telefonami i adresami. W końcu kontakt zupełnie się urwał, tylko raz kiedyś Gwen poprosiła mnie o pożyczkę. Chcę, żebyś je odnalazła i żebyście anonimowo zwróciły te pieniądze do banku. Kiedy już przejmiesz mój dom, idź do sejfów w sypialni, tam znajdziesz wszystkie dane, które udało mi się zdobyć o Jill i Gwen. Kombinacja do sejfów jest pod papierami na moim biurku.

Jeśli z jakichś powodów Jill i Gwen nie będą chciały oddać pieniędzy, bądź stanowcza. To, co zrobiłyśmy, było złe. Przez te wszystkie lata ciągle dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Jill i Gwen na pewno też się tym gryzły. Jeżeli oddadzą pieniądze, to może poczucie winy zniknie. Jeśli nie będą chciały z Tobą współpracować, zapłać wszystko z mojego konta. Chcę Cię prosić jeszcze o jedno, chociaż pewnie nie mam do tego prawa. Kup swojemu ojcu takąódm, o jakiej zawsze marzył. Oczywiście anonimowo. Jestem mu winna przynajmniej tyle, a na pewno zasługuje na dużo więcej. Życzę ci w życiu dużo szczęścia, Olivio. Wszystkiego dobrego, Adrianna Ames (Allison Matthews)"

Olivia zerwała się z krzesła, kurczowo ściskając list w rękę.

- Tato! - wydarła się na całe gardło. - Tato!

Rozdział 6

Dennis zrzucił kurtkę i podbiegł do córki. Olivia, blada jak ściana, dygotała na całym ciele. Psy, wyczuwając, że dzieje się coś złego, miały się ogłupiać po pokoiku.

- Co ci jest? Na litość boską, Ollie, co się stało?

- Przeczytaj to! Weź to i przeczytaj! - wrzeszczała Olivia. - Twoja żona jest złodziejką! - Poprawiła się. - Była złodziejką. Jej przyjaciółki to złodziejki! Okradła jakiś pieprzony bank! I teraz chce... Ona chce, żebym ja... Przeczytaj ten list, tato!

Dennis sięgnął po żółte kartki, które trzymała w ręku. Wyrwał je prawie spomiędzy kurczowo zaciśniętych palców.

- Spokojnie, Ollie. Tylko spokojnie.

Wyszła, kiedy zabrał się do czytania, i chodziła po kuchni w tę i z powrotem.

- No i co? - krzyknęła. - Powiedz coś, tato! Dennis usiadł przy kuchennym stole.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, Ollie. Nie miałem o tym pojęcia. Ale prawdę mówiąc, nie jestem zaskoczony. Allison nigdy nie bała się ryzyka. Dziwi mnie tylko, że udało jej się namówić Jill i Gwen. Najwyraźniej sama nie dałaby rady tego zrobić. Nie patrz tak na mnie, Ollie. Nie możesz mnie za to winić.

Olivia przeczesowała włosy palcami. Jej policzki powoli nabierały koloru.

- Nie obwiniam cię, tato. Tylko ona chce, żebym ja... Co za bezczelna baba! Pisze, że nie ma wobec mnie żadnych macierzyńskich uczuć. Zapisała mi spadek, bo... bo tak wypadło! Niech ją cholera! Nie zrobię tego! Nikt nie może mnie do tego zmusić. Teraz, po prawie czterdziestu latach, ona chce, żebym to ja zwracała pieniądze, i to anonimowo. Dalej nie stać jej na to, żeby się przyznać do tego, co zrobiła. Wytłumacz mi, tato, jak to jest.

- Tego nie da się wytłumaczyć, skarbie. Jasne, że nikt nie może cię do niczego zmusić. List był zapieczętowany, to znaczy, że prawnicy nie znają treści. Wątpię, żeby

Allison, to znaczy Adrianna Ames, zwierzyła się z czegoś takiego swojemu adwokatowi, nawet w poufnej rozmowie. I nawet nie myśl, że będziesz mogła obdarować mnie łodzią.

Olivia ciągle krążyła po kuchni, psy dreptały wytrwale za nią krok w krok, aż się zmęczyły i zaprotestowały skomleniem.

- Zrobię kawę, i tym razem doleję do niej czegoś mocniejszego. - Gwałtownym ruchem odkręciła kran, strumień przelał się przez brzeg dzbanka i chlusnął na podłogę. Psy usłużnie zlizywały wodę. Później rozsypała mieloną kawę na całym blacie kuchennym. Ojciec wziął kawałek papierowego ręcznika, żeby posprzątać. - Ile brandy potrzeba, żeby zagłuszyć to wszystko i więcej o tym nie myśleć, tato?

- Problem sam się nie rozwiąże, Ollie. Musisz się z tym zmierzyć. Chcesz czy nie, to była twoja matka. I przykro mi to mówić, ale uważam, że ostatnie życzenie osoby zmarłej trzeba... uszanować.

Olivia wzięła się pod boki i spiorunowała ojca wzrokiem.

- W porządku, w takim razie sam się tym zajmij! To ty byłeś na tyle głupi, żeby się z nią ożenić! O, Boże, tato, przepraszam. Nie chciałam tego powiedzieć. No, właściwie, w pewnym sensie chciałam. Ale jak to możliwe, do ciężkiej cholery, że nie wpadły, prędzej czy później? Jak myślisz, tato?

Akurat w tym momencie zadzwonił telefon, więc Dennis nie musiał odpowiadać. Odwrócił się, żeby odebrać.

- Lea! - Dennis zmarszczył brwi. - Poczekaj, porozmawiam z Ollie i oddzwonię do ciebie. Tak, strasznie tu zimno. Sporo śniegu. Pewnie przed wieczorem znowu będzie padać. Tak, odezwę się za jakąś godzinę.

- Coś się stało? - zapytała Olivia, kiedy odłożył słuchawkę.

- Niezupełnie. Ci wędkarze przyjeżdżają trochę wcześniej, postanowili przedłużyć sobie pobyt o kilka dni. Jeśli chcę, żeby pływali na mojej łodzi, muszę wracać dziś. Jeżeli nie, powiem Lei, żeby przekazała czarter Daimonowi.

Olivia poczuła łzy pod powiekami.

- Nie trzeba, tato. Nie zamierzam nic w tej sprawie robić, więc nie ma znaczenia, czy tu będziesz, czy nie. Wracaj do domu, a mną się nie przejmuj. Jakoś... dam sobie radę.

Spojrzał na nią z troską.

- Pewna jesteś, skarbie?

Wyczuwała, że ojciec wolałby się znaleźć jak najdalej od wspomnień o byłej żonie, więc pokiwała głową.

- Tak - skłamała.

- No, dobrze, ale gdybyś zmieniła zdanie, dzwoń do Lei, a ona powiadomi mnie przez CB radio. Jeśli będziesz mnie potrzebować, to przyjadę. - Sądząc po minie miał nadzieję, że tak nie będzie. - Mogę skorzystać z twojego gabinetu?

Olivia nałala kawy do filiżanek. Była czarniejsza niż smoła. Dennis spojrzał i skrzywił się.

- Jest taka mocna, że chyba wyrosłyby mi po niej włosy na kłacie. Olivia uśmiechnęła się bez przekonania.

- Wydrukowałam kilka rzeczy ze strony internetowej twojej żony. Leżą na biurku. Możesz na to zerknąć, zanim wszystko spalę.

Spojrzała ze złością na wstrętą kawę w filiżance. Nie będzie jej piła. Wylała zawartość do zlewu i nastawiła nowy dzbanek. Czekając, aż woda się przesączy przez filtr, kucnęła na podłodze. Psy podbiegły, mając nadzieję na zabawę. Przytuliła je wszystkie i... wpadła w panikę. Gdzie jest obroża Loopy'ego? Który to Cecil? Nie mogła ich rozróżnić. Zawołała psy po imieniu, ale reagowały oba. Sierść? Identyczne umaszczenie. Zęby? Zajrzała w jeden, a potem w drugi pyszczek. Zęby jak zęby. Serce waliło jej w piersi.

- Alice, który to Cecil?

Sunia zaszczekała radośnie, patrząc na dwa yorki, które pani trzymała na rękach; przewróciła tylko oczami. Olivia w desperacji obróciła psy na grzbiet. Takie same różowe brzuszki. Pieski. Oba wykastrowane.

- Jeszcze mi tego brakowało - jęczała, gdy próby identyfikacji zawiodły.
- Co jest, skarbie? - zapytał Dennis, stawiając na blacie filiżankę pełną kawy czarniejszej niż smoła.
- Loopy zgubił obrozę i teraz nie umiem ich odróżnić. Zobacz, tato, może ty rozpoznasz.

Dennis przykucnął obok niej. Przyjrzał się obu yorkom. Powtórzył wszystkie czynności, które wcześniej wykonała Olivia i wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, Ollie. Są identyczne. To jak, którego mam ze sobą zabrać?
- Żadnego, tato. Nie mogę tego zrobić, muszę im oddać Cecila. Porozmawiam z Jeffem, a może z wykonawcami testamentu. Nie wiem, czy uda się coś wskórać.
- Czyli masz teraz cztery psy! Olivia zaśmiała się gorzko.
- Na to wygląda. Jakoś... nagle straciłam ochotę na łamanie prawa. Udało ci się zmienić rezerwację lotu?
- Tak, na dziś, o ósmej wieczorem. Wezmę taksówkę. Gryzie mnie sumienie, że cię z tym wszystkim zostawiam, Ollie, ale ten czarter jest dla mnie naprawdę ważny. Wszystko, co zarobię, odłożymy z Leą na chude miesiące. Wołałbym nie sprowadzać tego do pieniędzy, ale nie mam wielkiego wyboru. O, świeża kawa. Napiję się, kiedy już będę spakowany. Zadzwoń mi po taksówkę, przyjedzie za godzinę. Wolę być na lotnisku wcześniej, przez te skomplikowane procedury związane z bezpieczeństwem. Na pewno nie chcesz, żebym zabrał psy?
- Na pewno. Musiałam mieć chwilowy zastój pracy mózgu, że zgodziłam się na coś takiego. Gdybym to zrobiła, byłabym taka sama jak twoja eks-żona.

Spojrzała na ojca, który zdawał się błądzić gdzieś myślami. Pewnie już planował swój czarter. Chyba nigdy nie czuła się tak samotna, jak w tej chwili. Sekundę później była już na nogach, rozdała całej czeredce przysmaki. Psy z patyczkami w zębach podreptały do salonu, gdzie rozłożyły się przed kominkiem i chrupały z lubością smakołyki.

Olivia nie miała nic do roboty, więc poszła do studia i wzięła kalendarz. - Chyba zwariowałam - pomrukiwała do siebie raz po raz, gdy dzwoniła do klientów i odwo-

ływała wizyty na najbliższy miesiąc. Właśnie odkładała słuchawkę po ostatnim telefonie, kiedy ojciec zawołał ją z kuchni.

Dennis nalał kawy sobie i jej.

- Porozmawiajmy poważnie, Ollie. Mogę się tylko domyślać, jak się czujesz. Widzę w twoich oczach gorycz i rozczarowanie. Musisz się z tym rozprawić, bo inaczej będzie boleć, jak jątrzący się wrzód. Decyzja należy do ciebie, ale najpierw dobrze się zastanów, czy nie będziesz miała potem wyrzutów sumienia. Kiedy człowiek przechodzi jakiś trudny okres, czasem dobrze jest zatrzymać się i wszystko sobie przemyśleć. Możesz mi wierzyć lub nie, ale naprawdę uważam, że jesteś silną, mądrą dziewczyną. Poradzisz sobie z tym, Ollie, jestem pewny. Zaplanuj wszystko, co chcesz zrobić, a potem wykonaj plan. Tak samo, jak przygotowujesz sesję zdjęciową. Sama zdecyduj, co i jak. Nie zapominaj, że to ty masz panować nad sytuacją. - Nagle zaczął się śmiać tak bardzo, że nie mógł przestać. - Ale najpierw musisz ustalić, który z twoich pupilów to Cecil.

Olivia jęknęła, ale też zaczęła się śmiać.

- Hej, chyba słyszałam klakson. To pewnie twoja taksówka. - Podbiegła do okna. - Tak, już jest. Poszczęściło się taksówkarzowi - kurs na lotnisko. Wysoka stawka, duży napiwek.

Dennis zapiął suwak kurtki i uściskał córkę.

- Bardzo cię kocham, Ollie. Przykro mi, że musisz przez to przechodzić. Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała. Jeśli będziesz chciała, żeby ktoś z tobą pobył, to możesz poprosić Leę. - Przytulił ją tak mocno, że aż sapnęła. Znowu odezwał się klakson.

I ojciec pojechał, a ona została sama. Znowu.

Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane, pomyślała ciskając na stolik zdjęcia ze strony internetowej Adrianny Ames. Za nimi poleciał list, który znała już prawie na pamięć. Miała zamiar spalić papiery, ale jakoś nie mogła się na to zdobyć. Ciekawe dlaczego. Dobrze, gdyby ktoś to jej wytłumaczył, ale akurat nikogo takiego przy niej nie było. Ojciec pewnie by powiedział, że ten list jest jedyną pamiątką po matce. Ale

nie, nie jedyną. Przecież ma jeszcze bransoletkę. Zerwała się i pobiegła do gabinetu, gdzie wcześniej rzuciła ją na biurko. Mocno ścisnęła bransoletkę w rękę. Teraz ma już dwie rzeczy. Ale zaraz, bransoletka jest przecież jej. To pewnie jakaś miła, uśmiechnięta pielęgniarka włożyła ją Olivii rękę chwilę po urodzeniu. Takie malutkie te koraliki. Teraz zamiast bransoletek wkładają dzieciom jakieś plastikowe paski. I to na nóżki, a nie na rączki. Czytała o tym ostatnio w poczekalni u dentysty.

Zmarszczyła brwi. Allison nigdy jej nie widziała. Skąd w takim razie miała tę bransoletkę? I po co przechowywała ją przez te wszystkie lata? Ojciec z natury okropnie sentymentalny, na pewno schowałby coś takiego na pamiątkę. Trzymał przecież jej pierwsze buciki i różowy kocyk z kołyski. Czemu nie bransoletkę? Zapyta go o to przy najbliższej okazji.

List. Ponieważ знаła go już na pamięć, wsunęła do szuflady stolika. Zdjęcia posiadłości ułożyła równo i odłożyła na stos książek, a bransoletka trafiła do kryształowej miseczki, w której były kiedyś landrynki, zanim ojciec wszystkie powyjadał. Zły nastrój teraz jeszcze się pogorszył. To niesprawiedliwe, żeby w piątkowy wieczór siedziała sama w domu, bo nie ma nikogo do towarzystwa z wyjątkiem psów. Humor trochę jej się poprawił, kiedy spojrzała na cztery śmiejące się mordki - ale zaraz przypomniała sobie o kłopotach. Całe *szczęście*, że zapisała telefon do Jeffa. I co z tego, że jest jedenasta wieczorem? Wystukała numer. Tym razem w głosie Jeffa nie było znużenia - raczej rozleniwienie i senność. W tle ktoś zachichotał. Kobieta.

- No, cześć, Jeff. Tu Olivia Lowell. Chciałabym z tobą porozmawiać o Cecilu.
- Teraz? O tej porze chcesz rozmawiać o Cecilu? Jest po jedenastej!

Olivia usłyszała świergotliwy damski głosik:

- Kto to jest Cecil?
- Cóż, Jeff. Jedenaście to tylko taka liczba. Zresztą jutro jest sobota. Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś zechciał przyjechać.
- Olivio, do cholery! Prawie północ, zimno jak diabli, a ty chcesz, żebym wsiadł do lodowatego samochodu i jechał w trasę? Ponad sto kilometrów jest do twojego domu!
- Aha.

- Ale dlaczego? O Boże, czy Cecilowi coś się stało? Powiedz mi, że z psem wszystko w porządku, błagam cię, Olivio; nic mu nie jest, prawda?

- Kto to jest Cecil? - zaświergotał znów głosik.

- Ciekawe, że dopiero teraz pytasz o niego, Jeff. Rozumiem, że inne rzeczy są dla ciebie ważniejsze. Nie, nic mu nie jest. Więc tak: chcę, żebyś wyczołgał się ze swojego ciepłego łóżeczka - bo tam właśnie jesteś- wsiadł do swojego przyjemnego, zimnego bmw i pokonał te ponad sto kilometrów. Jedziesz czy nie?

- Jeffuś, kochanie, po raz ostatni pytam, kto to jest Cecil? - zapiszczał histerycznie głosik.

Olivia zaśmiała się, słysząc brzęk odkładanej słuchawki. Psy już gotowały się do spaceru, więc wypuściła je na dwór. Jeff miał rację, na dworze było wściekle zimno. Sople zwisające z dachu lśniły jak diamenty w świetle latarni na podwórku. Zatrzęsła się z zimna. Psy szybko wbiegły gęsiego do domu. Nadal nie wiedziała, który jest który. Dała im po przysmaku i wróciła na sofę, ale wcześniej dołożyła do ognia, bo już przygasał. Iskry, które poleciały kominem do góry przypominały fajerwerki, jakie zwykle puszczano na pokazach z okazji Dnia Niepodległości. Ojciec zawsze kupował pudło takich strzelających iskrami, a potem zabierał ją i Dee Dee Pepper na pokaz sztucznych ogni w mieście. Piękne widowisko miało w sobie coś magicznego, uwielbiała je oglądać. Takie wspaniałe dzieciństwo, tyle cudownych wspomnień. Teraz wszystkie zbrukane kłamstwem.

Oczy jej się zaszkliły i już po chwili głośno płakała. Psy, zmęczone po całym dniu, przespały jej atak rozpaczy, a Olivia też wkrótce zasnęła. Obudziła się, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Wtedy rozpełtało się piekło, psy podniosły wrzask i pognały do przedpokoju. Przetarła oczy i poszła otworzyć.

- Najwyższy czas - mruknęła.

Pewnie nie było łatwo zostawić ten świergocący głosik, pomyślała zjadliwie.

Dopiero teraz zauważyła, że Jeff Bannerman jest bardzo wysoki. Wcześniej widziała go tylko raz, kiedy zjawił się pod drzwiami atelier, ale wtedy przykucnęła, żeby wypuścić Cecila z transportera i zaraz zniknął. Rozmawiając z nim przez telefon nie zdawała sobie sprawy, że jest taki przystojny. Teraz wyglądało na to, że jest naprawdę wpieniony. Odsunęła się, żeby mógł wejść do przedpokoju, ale dalej mu się

przyglądała. Fajne obcisłe dzinsy, trochę zużyte trampki Nike'a, kurtka od Ralpha Laurena i czapka z daszkiem tył na przód. Niezły.

- Jakoś inaczej wyglądasz. Może dlatego, że wtedy miałeś garnitur.

- Jestem prawnikiem. Prawnicy zwykle noszą garnitury - strój służbowy. Teraz mam wolne, luz, i chciałbym odpocząć, więc mów, o co chodzi, a szybko zejść ci z oczu.

- Wejdz, w środku jest cieplej. - Olivia, poprowadziła go do salonu w asyście warczących psów, które próbowały ugryźć Jeffa w łydkę, kiedy poszedł za nią. „Naprawdę wpieniony” to pewnie mało powiedziane.

- Chcesz piwa, kawy, a może wina? - zapytała. Ręce tak jej drżały, że musiała wepchnąć je do kieszeni dresu.

- Nie, dziękuję. Powiedz mi, proszę, w czym jest problem, bo chcę jak najszybciej wrócić do domu. Mam gościa, chociaż ciebie to pewnie nic nie obchodzi.

- Ach, tak. „Ćwir, ćwir, pytam po raz ostatni, kto to jest Cecil?” - Olivia piskliwie przedrzeźniała głos kobiety.

Jeff Bannerman zacisnął szczęki. Zrobił się czerwony. A to ciekawe, pomyślała. Faceci też się rumienia.

- Myślałem, że masz tylko jednego psa - wypalił.

- Bo mam. Miałam. Wzięłam drugiego, żeby Cecil miał towarzystwo i jeszcze jednego... z innych powodów. I teraz nie umiem ich odróżnić. A ty?

- Ja? Ja się nie znam na psach. Słuchaj, szef mojej kancelarii jest jednym z wykonawców testamentu Lillian Manning i wyznaczył mnie do opieki nad Cecilem, bo podobno pani Manning tak sobie życzyła. Spisywałem jej testament. Wcale się do tego nie pchałem, ale muszę przyznać, że honorarium jest przyzwoite. W każdym razie, miałem tylko przywieźć go tu na zdjęcia i zająć się nim dopóki testament się nie uprawomocni. Zgodziłem się. Ale ten pies zrujnował mi mieszkanie. Gryzie wszystko w zasięgu wzroku, załatwia się gdzie popadnie i do tego mnie nienawidzi. A poza tym jest strasznie wybredny. Nie je żarcia dla psów. Żąda posiłków. Posiłków! Musiałem mu zamawiać jedzenie na wynos. Ten pies je lepiej ode mnie. A, mówiłem już, że mnie nienawidzi? Więc to by było na tyle, jeżeli chodzi o moją znajomość z tym

upiorkiem. I jeszcze jedno: rozwala mi życie towarzyskie. Coś ty, do cholery, powiedziała, że nie umiesz ich odróżnić? - Błysnęła groźnie ciemnymi oczami.

Olivia odgarnęła za ucho kosmyk włosów.

- Nie dziwię się, że Cecil ciebie nienawidzi. Psa trzeba kochać i on musi to czuć. Trzeba się nim opiekować, wyprowadzać na spacer, karmić regularnie, no i - oczywiście - bawić się z nim. Średnio mnie obchodzi twoje życie towarzyskie. Masz na głowie najbogatszego psa w Stanach, może nawet na całym świecie, a zajmujesz się infantylną lalunią. Pobudka, mój drogi. Mamy problem, podkreślam: mamy. Cemu pies nie mieszka w domu swojej właścicielki, jak informowały media? Pisano też, że Cecil ma opiekę całą dobę i żyje jak król. Ha! Wszyscy kłamiecie. Nie dałabym ci nawet chomika pod opiekę, Jeffie Banner-manie.

Daszek od czapki znalazł się z przodu. Jeff, wyraźnie spięty, międlił go w rękę. Wyglądało, że czuje się nieswojo.

- Oni tam... chyba robią remont, czy coś. Zwolnili większość służby pani Manning i mają zatrudnić kogoś, kto będzie tam mieszkać z Cecilem. A ja tylko...

- Jasne, ty tu tylko sprzątasz. Czyli skłamałaś. Wykonawcy testamentu okłamali opinię publiczną. Doniosę na was prasie. To ja zajmowałam się psem. Ty byłeś więcej niż chętny, żeby się go pozbyć. Ćwir, ćwir, ćwir. Pani Manning pewnie przewraca się w grobie. Założę się, że mógłbyś stracić przez to licencję prawnika, czy co wy tam macie. Nie cierpię prawników. Najgorsze kanalie i szumowiny. Mój ojciec też ich nie znosi. No, ale do rzeczy. Weź Cecila.

- Który to? - Jeff schylił się, przypatrując dwóm identycznym psom.

- Ty mi powiedz. Zresztą, możesz wziąć oba. Cecilowi przyda się towarzysz zabaw. Miałam oddać ci Beę, ale przywiązałam się do niej. To znaczy, że będziesz musiał wziąć Loopy'ego.

Bannerman dalej obracał czapkę w rękach.

- Widzisz, chyba za szybko podjąłem decyzję. Szef nie zgodził się na ten pomysł. Miałem jutro zadzwonić, żeby ci powiedzieć. A poza tym, w moim bloku nie można trzymać psów. Cecila jakoś przeszmu-glowałem, ale wydało się, kiedy zaczął szczekać. Zrobił to specjalnie, bo mnie nienawidzi. Już to mówiłem, prawda? Miałem

nadzieję, że uda mi się przekonać ciebie, żeby tu został. Chyba lubi ciebie i te inne psy. Nikt się nie dowie, zgódź się - błagał.

Olivia na coś takiego właśnie liczyła.

- Chcesz mnie przekupić! Jak ci nie wstyd! - zawołała dramatycznie. - A ty, oczywiście, będziesz udawać, że się nim opiekujesz. I oczywiście pobierać za to honorarium. Wy, prawnicy, jesteście wszyscy tacy sami.

- Tak. Nie. To znaczy, będę je pobierać, ale nic nie wydam. Jeśli Cecilowi wyjdzie to na dobre, to czemu nie?

- No widzisz? No widzisz? Dlatego właśnie nie cierpię prawników. Zawsze tak wykręcicie kota ogonem, że stanie na waszym. W tym wypadku chodzi o to, by mnie wepchnąć Cecila. Zasłaniasz sobie tyłek, żeby zdobyć punkty u szefa. Nic z tego, panie mecenasie.

Jeff Bannerman przestąpił z nogi na nogę.

- Powiem to inaczej, panno Lowell. Nie znam się na psach. I chyba nawet ich nie lubię. Pracuję sześćdziesiąt, do siedemdziesięciu godzin w tygodniu. Jak większość młodych prawników. Będę musiał iść do domu w przerwie na lunch, żeby go wyprowadzać. To nie jest życie dla psa. A tu ma wszystko, czego mu potrzeba. Zresztą ja naprawdę się o to nie prosiłem. Cecil jest tu szczęśliwy. Bo jest, prawda? - zapytał z niepokojem.

Poczuła łzy pod powiekami.

- Pewnie, że jest szczęśliwy - powiedziała łamiącym się głosem. - I dlatego wcale nie chcę, żebyś go zabierał. Moja Alice przepada za nim. Bea i Loopy też go uwielbiają. Wszystkie bardzo się zżyły.

Jeff usiadł.

- Słuchaj, możliwe, że w innych okolicznościach byłbym prawdziwym miłośnikiem zwierząt, ale teraz po prostu nie mam czasu. No, panno Lowell, trochę wyrozumiałości.

Olivia też usiadła, i od razu jej wzrok padł na stolik, gdzie leżały kartki. Spojrzała na Jeffa i wykrzyczała, połykając łzy:

- Powiedz to, do cholery! Miej odwagę powiedzieć, że nie chcesz tego psa, że wyrzucasz go ze swojego życia, bo... bo masz inne rzeczy do roboty i pies nie pasuje do twojego rozkładu zajęć, mimo że zgodziłeś się - i to za niemałe honorarium - żeby się nim zaopiekować. Wiesz co? Tak właśnie zrobiła moja matka. A teraz zabieraj swojego psa i spieprzaj z mojego domu. Już, do cholery.!

Bannerman wstał, cofnął się, a potem zrobił krok do przodu.

- Okej, spokojnie. Okej. Który to?

Olivia szlochała i to wystarczyło, żeby czworonożni przyjaciele przypuścili atak. Psiaki gryzły, warczały, drapały i szarpały za ubranie, a Jeff nie mógł poskromić zjadłej gromadki. Wreszcie wrzasnął na całe gardło:

- Spokój! Siad! Do ciebie też mówię, Olivio!

Olivia, zalana łzami, chwyciła szklaną miseczkę na cukierki, w której leżała bransoletka i rzuciła nią w prawnika.

- Zabieraj psa i zjeżdżaj! - wrzasnęła. Odwróciła się na pięcie i wybiegła z salonu.

Cztery psy obstąpiły go i nie dały mu wstać. Wiedział, iż nie ma szans, żeby wyjść. Westchnął ciężko, zdjął kurtkę i wyciągnął się na sofie, ale przedtem podniósł z podłogi miseczkę, która jakimś cudem nie stłukła się, i bransoletkę. Ścisnął ją w rękę i tak zasnął, z pięścią zaciśniętą mocno pod poduszką. Rano się nad tym wszystkim zastanowił.

Serio.

Ostatnią rzeczą jaką zobaczył, zanim zapadł w sen, były cztery pary oczu, czujnie śledzące każdy jego ruch.

Rozdział 7

Olivia obudziła się wcześniej, jeszcze przed świtem. Przewróciła się na drugi bok, żeby zerknąć na budzik obok łóżka - piąta trzydzieści. A gdzie psy? Cecil i Alice lubiły spać na jej łóżku. Może w sypialni było im za zimno. Zsunęła nogi z łóżka i poszła po szlafrok. Wtedy dopiero przypomniała sobie, co się wydarzyło, zanim zasnęła, zmęczona płaczem. Pobiegła korytarzem i stanęła jak wryta, kiedy zobaczyła, że na sofie siedzi Jeff Bannerman.

- Dzień dobry, panno Lowell - burknął. - Naprawdę potrzebuję skorzystać z toalety, więc będę wdzięczny, jeśli spacyfikujesz te bestie i pokażesz mi, gdzie jest łazienka.

Bestie. To nie było miłe.

- Chyba ci wczoraj powiedziałam, żebyś spadał. Nie licz na żadne uprzejmości.

- Słucham? Czyli mam tu siedzieć, dopóki...? Droga pani, w końcu to twoja kłapa!

Olivia wytrzeszczyła tylko oczy.

- Idziemy do kuchni. - Kiwnęła ręką na psy. - O, patrzcie. Znowu pada śnieg. Uwielbiam śnieg.

Woda przesączała się w ekspresie do kawy, a w tym czasie Olivia wrzuciła bekon na patelnię i rozbiła jajka do miski. Zwykle na śniadanie połykała tylko bułkę czy drożdżówkę, ale w weekendy zawsze starała się robić jajecznicę albo naleśniki. Kiedy się uczyła, ojciec robił jej skromne śniadanie przed wyjściem do szkoły, ale w sobotę i niedzielę zastawiał stół jedzeniem, więc podtrzymywała tradycję. Sobotnie i niedzielne poranki pamiętała jako szczególny czas, kiedy można było jeść bez pośpiechu i poczytać gazetę.

Przewracając bekon na patelni, zastanawiała się, co będzie dziś robić. Jeżeli nie przestanie padać - a na to się zanosilo - chyba zostanie w domu. Mogłaby ugotować rosół, a może nawet upiec ciasto. Zawsze lubiła słodczyce. Może wypróbuje ten sekretny przepis taty: potrójnie czekoladowe ciasto z kremem. To samo, którym popisał się w konkursie pieczenia dla rodziców; chodziła wtedy do ósmej klasy. Ojciec zajął siódme miejsce na osiemdziesięciu ośmiu uczestników. Kiedy wyczyty-wali listę zwycięzców, przekreślili imię Dennis na żeńskie Denise. Jego to rozśmieszyło, ale Olivia się rozplakała. Dennis był jedynym ojcem w tym konkursie.

Psy zaszczeły, żeby je wpuścić do domu. Otworzyła drzwi i wytarła każdego po kolei ręcznikiem. Podniosła głowę i zobaczyła Jeffa. Ciekawe, co sobie myśli.

- Po co to robisz? - spytał z ciekawością.

- Żeby się nie przeziębiły. Psy też chorują, tak jak ludzie. Na dworze jest zimno i mokro, psy lubią mieć ciepło, a yorki w szczególności. Przypilnuj, żeby bekon się nie przypalił, pójdę dołożyć do ogniu. Uwielbiają leżeć przed kominkiem i żuć swoje przysmaki. - Aha.

Ciekawe, czy w sądzie też. jest taki elokwentny, pomyślała Olivia; dorzuciła drewno i dała psom smakołyki. Kiedy wróciła do kuchni, zdziwiła się, że sól jest już nakręty.

- Mogę zrobić śniadanie zaoferował się Jeff. - Umiem gotować. Matka dosyć wcześnie nauczyła nas tego, a także robić pranie, i w ogóle zajmować się domem. Mam jeszcze pięciu braci.

Tego akurat nie musiała wiedzieć. Przyglądała mu się; poszukał czystej patelni, wysmarował ją tłuszczem i wlał rozbełtane jajka.

- Moja rodzina mieszka w Pensylwanii - mówił. - Na farmie, w Ebensburgu. To takie małe miasteczko. Hoduje tam kukurydzę i lucernę.

Tego już zdecydowanie nie musiała wiedzieć. - Dwaj moi bracia są dentystami - ciągnął. - Mają wspólny gabinet. Jeden brat jest chirurgiem miękkim, Jack skończył architekturę, a Kirk pracuje na farmie z ojcem. Tylko ja jestem prawnikiem. Pomyśl tylko! - ekscytował się. - Darmowa opieka dentystyczna do końca życia. Mogę się pochwalić najzdrowszym uzębieniem w rodzinie. Żadnych ubytków, żadnych koronek, żadnych mostów. Ciągle jeszcze mam zęby mądrości, ale trzeba będzie je wyrwać. Jack robi dla mnie projekt domu. To będzie dzieło sztuki. Muszę tylko na niego zarobić. Gdyby kiedyś moja klatka piersiowa wymagała skalpela, to wystarczy, że zadzwonię do brata. Przez całe lato dostaję gotowaną kukurydzę i różne inne warzywa.

- Po co mi to wszystko mówisz? I nie przypominam sobie, żebym cię zapraszała na śniadanie.

Jeff odwrócił się do niej błyskawicznie:

- Masz o mnie złe zdanie. Zupełnie jak ci twoi ulubieńcy. A ze mnie jest naprawdę miły facet. Możesz zapytać moją matkę. - Zmroziła go wzrokiem, więc przełknął to, co miał zamiar jeszcze powiedzieć. Zamieszał jajka i wcisnął guzik toster. - Sam się zaprosiłem. Umieram z głodu. Mogę ci zapłacić, jeśli chodzi o pieniądze.

Olivia, sfrustrowana, machnęła ręką. Płakać jej się chciało, chociaż sama nie wiedziała dlaczego. Spojrzała na talerz, który przed nią postawił. Bekon był dokładnie taki, jak trzeba: wysmażony, chrupki, bez grama tłuszczu. Jajka puszyste i miały złocisty odcień. Tost idealnie posmarowany masłem, nie za dużo, w sam raz.

- Dziękuję - burknęła z niechęcią.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Przepraszam, jeśli powiedziałem coś nie tak... Rozumiem, że trafiłem w jakiś czuły punkt. Chodzi może o to? - Wyciągnął z kieszeni bransoletkę. - Wypadła, jak rzuciłaś we mnie miską. Podniosłem. - Przesunął bransoletkę w jej stronę po blacie stołu. Nie sięgnęła po nią, ale nie mogła oderwać od niej wzroku.

Oblizwała spierzchnięte wargi i pokiwała głową.

- Właśnie dlatego... mam taki podły humor. Chyba powinnam cię przeprosić. Mówię „chyba”, bo jeszcze nie wiem, czy nie zmienię zdania. Nie powinieneś już iść do domu? Gość na ciebie nie czeka?

Jeff znowu poczerwieniał, co Olivii bardzo się spodobało.

- Nie sądzę, żebym jeszcze miał jakiegoś gościa - bąknął. - Dzięki tobie zresztą. - Miał tak zabawną minę, że nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Czyli fotografujesz psy?

- Aha.

- Praca w domu - fajny biznes. Ale chyba duże koszty. Od dawna już to robisz?

Chyba naprawdę go to ciekawiło.

- Tak, przejęłam studio po ojcu, kiedy przeszedł na emeryturę. Przeniósł się na wyspy i tam wynajmuje turystom swoją łódź. Robię też kalendarze. Zdjęcie psa na każdy miesiąc, tego typu rzeczy. Różne rasy. Już przygotowuję kalendarz na następny

rok. Chciałabym dać zdjęcie Cecila, ale potrzebuję autoryzacji. Jeżeli zapytasz mnie teraz, który pies jest który, to ciągle jeszcze nie wiem.

Jeff jęknął.

- Ja nie zmywam - powiedział, żeby zmienić temat. - W domu używam jednorazowych talerzy. - Spojrzał na nią niepewnie. - Jeśli chcesz porozmawiać o... tym, co cię dręczy, cokolwiek by to było, to ja naprawdę potrafię słuchać. Zapłacisz mi dolara i możemy to uznać za poufną rozmowę z doradcą prawnym. Na dziś i tak nie planowałem żadnych zajęć, może tylko spisanie akt paru spraw.

Wcale nie chciała tego powiedzieć, ale słowa po prostu same wyrwały się z ust.

- A ja miałam zamiar zrobić rosół i może upiec jakieś ciasto. Uniósł brwi. Zaskoczyła go. Zorientował się, że ciągle ma na głowie

czapkę, więc ją zdjął i wepchnął do tylnej kieszeni spodni. Dopiero teraz zobaczyła, że Jeff ma kręcone włosy, teraz rozwichrzone.

- Moja matka też zawsze tak robi. Albo rosół i keks, albo gulasz i szarlotka. W Pensylwanii, gdzie się wychowałem, pogoda jest często kiepska, więc w zimie dobrze było konkretnie podjeść.

Znowu nie miała zamiaru nic mówić, ale słowa posypały się same.

- Jaka jest twoja matka?

Jeff oparł się wygodnie. Nie miał pojęcia, skąd to wie, ale domyślił się, że to nie jest dla niej łatwy temat.

- Byłem wtedy mały, chodziłem do szkoły i zadali nam wypracowanie na taki temat. Dostałem piątkę. Mama oprawiła pracę i powiesiła sobie nad łóżkiem. Ojciec, jakby trochę zazdrościł. W każdym razie, moja mama ma wspaniałe uśmiech. Jestem do niej podobny, zdaniem taty, przynajmniej. To po niej mam kręcone włosy. I reszta chłopaków też. Ojciec ma włosy proste jak druty. Mama nosi okulary i jest już siwa. Mówi, że waży trochę więcej, niżby chciała. Udziela się w kościele, wiesz, akcje charytatywne i różne takie. W każdym konkursie pieczenia, kiedy jest jakiś festyn, zawsze prezentuje swoje wyroby. I wygrywa. Pomaga tacie w polu i umie prowadzić traktor. Czasem kosi trawę. Nigdy nie poszła na studia i nie pracowała poza domem. Miała dosyć roboty z sześcioma chłopakami. Na Święto Dziękczynienia zawsze

musiała przyrzucić dwa indyki. A jeśli któryś z nas odważył się zaprosić dziewczynę do domu, to od razu wiedzieliśmy, czy mamie się podoba, czy nie. Jeżeli zachowywała się uprzejmie i oficjalnie, to nic z tego. Jeżeli była sobą, znaczyło, że dziewczyna jest w porządku. Żaden z nas nigdy nie ryzykował pod tym względem. Gdy chorowaliśmy, siadała przy łóżku i czytała nam książki albo grała z nami w warcaby, czy coś takiego. Kiedy któryś z nas kończył szkołę, to robiła w sali więcej hałasu niż stadion pełen kibiców. Ale to przecież matka, więc nie ma się czego wstydić. Oliviiży napłynęły do oczu.

Jeff przeczesał włosy palcami, potarł zarost na brodzie i policzkach.

- Co ja takiego powiedziałem? Możesz mi się zwierzyć. Jestem prawnikiem, umiem sobie radzić z problemami. Ale jeśli wolisz omijać jakieś tematy, po prostu powiedz.

Olivia zamruwała, żeby się pozbyć łez. Wstała i zaniósła swój talerz do zmywarki. Stojąc tyłem do Jeffa, zaczęła mówić.

- Ja wcale nie miałam matki. Kiedy mnie urodziła, oświadczyła mojemu ojcu, że mnie nie chce i że żąda rozwodu. Ojciec powiedział mi, że zmarła przy porodzie. Ale kilka dni temu zjawił się w moim domu prawnik, który stwierdził, że moja matka właśnie zmarła parę tygodni temu i zostawiła mi cały swój majątek.

Jeffa замуrowało. Kiedy wreszcie odzyskał mowę, palnął tylko:

- O, cholera, co za beznadzieja.

Olivia udawała, że jest bardzo zajęta: wyłączyła z kontaktu toster, schowała go pod blat, zakręciła foliową paczkę chleba i włożyła do lodówki, razem z jajkami i bekonem.

- Żebyś wiedział. Zatelefonowałam do ojca i zaraz wsiadł w samolot. Wyjechał wczoraj wieczorem, zanim do ciebie zadzwoniłam. Powiedział, że jest mu bardzo przykro.

Nadal nie bardzo wiedział, jak się zachować.

- Nie zapłaciłaś mi dolara - powiedział w końcu. Olivia sięgnęła do puszki na ciastka i wyciągnęła banknot dolarowy. Wręczyła Jeffowi, a on schował go do kieszeni. - Teraz oficjalnie jestem twoim prawnikiem.

- Nie znoszę prawników - odburknęła Olivia.

- Jasne, wszyscy ich nie znoszą, dopóki ich nie potrzebują. Ale coś jeszcze cię dreczy, widzę to. Lepiej wyrzuć z siebie wszystko od razu.

Zmrużyła oczy i patrzyła na sypiący za oknem śnieg.

- Skąd wiesz, że jest coś więcej?

- Odpowiada mi to moja niezawodna prawnicza intuicja, wyostrzona jak brzytwa. Nie, no, to po prostu logiczne, że to jeszcze nie koniec.

Olivia dołała sobie kawy. Jeff podsunął swoją filiżankę, więc ją dopełniła i usiadła do stołu.

- Moja matka zmieniła nazwisko z Allison Matthews na Adriannę Ames. Mówi ci to coś?

Jeff zrobił niepewną minę.

- Nie. A powinno?

- Adrianna Ames, ta od Skarbcza Adrianny. To wielka firma wysyłkowa. Zaczekaj chwilę.

Pobiegła do salonu po wydruk z komputera i list. Właściwie dlaczego nagle zwierza się kompletnie obcemu człowiekowi?

- Niezły pasztet - powiedział Jeff parę minut później. -I co masz zamiar z tym zrobić?

- Sama nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Raz mi się wydaje, że powinnam zrobić to, o co mnie prosi, bo „tak wypada”. A za chwilę mówię sobie: mam to gdzieś, nie moja sprawa, nie będę naprawiać jej błędów. A ty co byś zrobił na moim miejscu?

Jeff zrobił wielkie oczy.

- Nie mam pojęcia, Olivio. Pewnie zależałoby od tego, ile miałbym w sobie złości. Tobie, jak widzę, złości nie brakuje.

- Takie miałam przyjemne, poukładane życie, zanim to wszystko na mnie spadło. I piękne wspomnienia. Wyobrażałam sobie, że moja matka oddała życie, żebym ja mogła żyć. Jej zdjęcie - właściwie wcale nie jej - stało na kominku. Teraz okazało się, że te wszystkie lata, to jedno wielkie kłamstwo. A na dodatek, nie tylko dowiaduję się, że przez cały ten czas, kiedy tak tęskniłam za matką, ona żyła, ale jeszcze okazuje się, że była złodziejką. Obrzydliwe uczucie. Nie wiem, czy dam radę... Chciałabym o rym wszystkim zapomnieć, ale ojciec mówi, że tak nie można. Że muszę się z tym uporać. A do tego jeszcze mam na głowie ciebie i psy. Tym się muszę zająć, zanim zrobię cokolwiek innego. Więc do rzeczy. Co robimy w sprawie Cecila?

- Najlepiej mi się myśli pod prysznicem. Mogę skorzystać z łazienki? I nie znalazłaby się tu przypadkiem jakaś maszynka do golenia?

- Znajdziesz co potrzeba w łazience na parterze, w szafce za zasłonką. Ja też pójde się wykapać. Mam nadzieję, że coś ci się uda wymyślić.

- Tak, jasne... Nie liczylibym na to - mruknął do siebie, idąc do łazienki.

Olivia pierwsza wróciła do kuchni. Ubrała się szybko, w dżinsy i żółtą koszulę z długim rękawem. Czekając na swojego gościa, wyjęła garnek do gotowania zupy i wyciągnęła z zamrażalnika kurczaka. Poruszała się jak automat: włożyła do garnka zamrożony bulion i wlała wodę. Obrala warzywa i siekała je z pasją. Kiedy Jeff zjawił się w kuchni, a z nim cztery psy, wszystko już przyjemnie bulgotało.

- Ładnie pachnie.

- A kiedy się trochę pogotuje będzie pachnieć naprawdę smakowicie. Uwielbiam ten zapach. Moja koleżanka mówiła, że w naszym domu pachnie pietruszką i selerem. Teraz myślę, że to chyba komplement.

- U nas w domu zawsze pachniało jabłkami i cynamonem. Mama często piekła. Fajnie było poczuć taki zapach, gdy wracało się ze szkoły. Zresztą nasz dom nadal tak pachnie.

Olivia wyrzała przez okno.

- Wypuść psy, dobra? I skoro już będziesz na dworze, mógłbyś przy okazji odśnieżyć podwórkę, zanim znowu napada. Musisz jakoś odpracować tego dolara.

Jeff patrzył na nią jak urzeczony. Jest piękna, pomyślał. I jak pachnie! Mydłem i wodą, świeżą trawą i kwiatami. Potem pomyślał o kobiecie, którą wczoraj zaprosił do domu. Pachniała dziwnie: lakierem do włosów, pudrem, perfumami i dezodorantem. Jak miała na imię? Chyba Melanie. Melanie jakaś tam. Sekretarka od niego z kancelarii. Wyszli wieczorem na drinka razem z paroma znajomymi z pracy i dziwnym trafem wylądowali u niego w domu, chociaż wcale tego nie planował. W pracy mówiono, że Melanie lubi manipulować ludźmi. I nie bez racji. Nie miał w zwyczaju zaliczania łóżek i panienek na jedną noc. W ogóle nie miał zbyt wiele zwyczajów, jeżeli chodzi o kobiety. Jego żoną stała się praca. Tak to jest, kiedy ktoś haruje jak wół - sześćdziesiąt, siedemdziesiąt godzin na tydzień. Reszta starcza akurat na jedzenie i spanie. Innymi słowy, jego życie miłosne było niewypałem.

- Chyba mnie nie pogryzą? - Zastanowił się, czemu jego głos brzmi tak dziwnie; Olivia chyba też to zauważyła.

Poszedł otworzyć drzwi, dopingowany szczekaniem, a psy już na nie napierały, i wypadając na dwór, omal go nie przewróciły. Olivia chichotała, dyskretnie.

Odezwał się telefon. Pewnie tata, chce się dowiedzieć, co słyhać. Już miała zawołać „Cześć, tato!”, ale przestała na „halo”.

- Cześć, Olivio, tu Clarence. Jak się masz tego śnieżnego poranka? Skrzywiła się.

- Świetnie, Clarence. A co u ciebie? - Tylko błagam, błagam, oszczędź mi szczegółów najnowszej malwersacji podatkowej, którą badasz, dodała w myślach.

- W porządku. Wszystko gra. Słuchaj, może byśmy się spotkali dziś wieczorem? Zamówiłbym chińszczyznę na wynos albo jakieś spaghetti. Co ty na to?

Mózg Olivii pracował na najwyższych obrotach.

- Kurczę, Clarence, właśnie przyjechał mój tata. Muszę z nim trochę pobyc. Może w przyszłym tygodniu? Coś ugotuję. - I dołożyła jeszcze jedną kartę przetargową. - Może nawet upiekę ciasto. - Chciała skończyć rozmowę, zanim wróci Jeff.

Roześmiał się serdecznie, a Olivia aż się wzdrygnęła.

- Cóż, nie wypada nie skorzystać z takiego zaproszenia. - Tego się po tobie spodziewałam, pomyślała. Sknera.

- Więc jesteśmy prawie umówieni. Zadzwoń w poniedziałek, to ustalimy konkretnie. Mam ci do opowiedzenia parę ciekawych rzeczy. Nie uwierzysz, mówię ci.

- O, nie wątpię. No dobrze, Clarence, do poniedziałku. Przydałby się identyfikator numerów dzwoniących, zanotowała w pamięci Olivia. Trzeba będzie zadzwonić do operatora w poniedziałek z samego rana.

Nie w tym rzecz, że nie lubiła Clarence'a. Jako kolega był zupełnie w porządku, chociaż potwornie nudny. Ale między nimi nie zaiskrzyło i wiedziała, że to nie jest ten jedyny. Umawiała się z nim od czasu do czasu, żeby nie zrobić mu przykrości, ale zdecydowała już, że nie przyjmie oświadczyń. Może da się to załatwić jakoś delikatnie przy okazji tego ciasta, które obiecała upiec. Przeszedł ją dreszcz na samą myśl, że Clarence mógłby poczuć się urażony i napuścić na nią urząd skarbowy.

Popijała kawę i patrzyła *przez* okno na wysokiego faceta, który wymachiwał miotłą na podwórku. Psy próbowały łapać zębami miotłę i śnieg naraz. Nawet przez zamknięte drzwi słyszała, jak Jeff się śmieje. Niezłe się bawił. Zrobiło jej się dziwnie miło, gdy na niego patrzyła.

Kiedy otworzył drzwi, psy wpadły do środka i pognały do pralni. Poszedł za nimi, wziął ręcznik i wytarł starannie każdego, tak jak wcześniej zrobiła Olivia. Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Poczula, że serce jej topnieje. Ale zaraz znowu stężało, bo przypomniała sobie ten świergoczący damski głosik.

- No i co, zapracowałam sobie na tego dolara? Gdzie masz dla nich przysmaki? Takie mam w domu - powiedział na widok ciasteczek, po które sięgnęła Olivia. - Zaraz będziemy wiedzieć, który to Cecil. On tych nie rusza. Woli te z bekonem.

Parsknęła śmiechem, bo wszystkie psy rzuciły się na ciasteczka.

- Widzisz, twoja teoria się nie sprawdziła. Chodź tu, usiądź. Musimy się zastanowić, co zrobimy z Cecilem.

Jeffowi serce podskoczyło w piersi.

- Słuchaj, jeśli pójde do szefa z jakimś zażaleniem, to dadzą Cecila komuś innemu na przechowanie. Nie wiadomo, do kogo trafi. Zresztą, wszyscy są w podobnej

sytuacji, jak ja. Za dużo pracy, za mało czasu. W większości bloków nie wolno trzymać psów. Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli załatwimy sprawę między nami - w interesie Cecila, naturalnie. To oczywiste, że tu jest szczęśliwy. A skoro nie wiemy, który z nich jest który, zrobmy tak: jeżeli zgodzisz się nim zaopiekować, to honorarium będzie twoje. Wiem, mówiłaś, że nie zależy ci na pieniądzach, ale tak jest uczciwie. Dla Cecila to najlepsze możliwe wyjście. Postaram się przyjeżdżać parę razy w tygodniu i w weekendy, żeby też się nim zająć. A w zamian, mogę ci pomóc rozwiązać twój... problem. Ale to zależy od ciebie. Jeżeli chcesz, jutro możemy razem pojechać do domu twojej... Do tego domu, który dostałaś w spadku. Mam ochotę rzucić okiem na dokumenty związane z kradzieżą, które schowała w sejfie. Co ty na to?

Co ona na to? Sytuacja miała same dobre strony. Nie chciała jednak zgadzać się zbyt entuzjastycznie. Tak, dla Cecila to będzie zdecydowanie najlepsze. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie łamią prawa, ale bała się zapytać. Poza tym, miło będzie mieć towarzystwo - i to prawnika - kiedy wreszcie zdecyduje się przejechać te czterdzieści kilometrów do odziedziczonej posiadłości.

Podniosła wzrok na Jeffa. Miał przepiękne oczy, brązowe, ciepłe i łagodne.

- Zgoda. Ale musisz mi pomagać przy Cecilu. I nie chcę tych pieniędzy. Za to... bardzo bym była wdzięczna, gdybyś pojechał ze mną do tego domu. Może przestanie padać.

Jeff głośno odetchnął z ulgą. Olivia nawet nie zdawała sobie sprawy, że odetchnęła również głośno. Wyciągnął rękę, a ona ją uścisnęła. Miał taki sam uścisk dłoni jak Dennis.

Może jednak dobrze się stało.

Czas pokaże.

Rozdział 8

No, na mnie już czas - powiedział Jeff, zerkając na okno. Padał śnieg.

Olivia skrzywiła się. Znów zostanie sama ze swoimi problemami. Ale głupio było go zatrzymywać. Ojciec miał rację: nie jest asertywna. Zawsze powtarzał, iż największą wadą Olivii jest to, że chce wszystkich zadowolić i zawsze myśli najpierw o innych, a dopiero potem o sobie. Odpyskiwała mu, że to on nauczył ją myśleć najpierw o innych. Z kolei ojciec odpowiadał, że chciał jej wpoić... coś tam; już dokładnie nie pamiętała, co chciał jej wpoić.

- Uważaj na drodze. Nie powinno być zamieci, mniej sypie. Ale, gdy chwyci mróz, może być niewesoło. - Zabrzmiało to dosyć drętwo.

Jeff zmiął w dłoni i tak pogniecioną czapkę, rozprostował ją, znowu zgniótł i wreszcie włożył na głowę.

- Muszę się przebrać i chciałem chociaż zacząć spisywanie akt jednej sprawy. Kiedy będę wracać, zabiorę ze sobą wszystkie rzeczy Cecila. O której mam jutro przyjechać? I mam nadzieję, że nie zmieniłaś zdania, Cecil zostaje tu?

Olivia wzięła głęboki oddech i wciągnęła zapach gotującej się zupy.

- Dobrze by było wyjechać z rana, jeśli tylko uda ci się tu dotrzeć. Pogoda jest ciągle niepewna. - Kurczę, to zabrzmiało jak czytanka z podręcznika. - Może Cecil pozna swoje rzeczy i będzie wiadomo, który to. Gdyby ci się chciało wrócić tu wieczorem, poczekam na ciebie z obiadem. Zupa jeszcze nie jest gotowa - bo bym ci dała teraz na wynos.

- Wiesz co, Olivio, zastanowię się. Mam zadzwonić, jeżeli zdecyduję się przyjechać wieczorem? Rzeczywiście, pogoda jest niepewna. Sprawdzę prognozy i odezwę się do ciebie. - Nagle krzyknął: - Hej, Cecil, wychodź!

Cztery psy wpadły do kuchni i zahamowały na podłodze, w bezpiecznej odległości od Jeffa. Spoglądały podejrzliwie. Kiedy przykucnął, licząc, że podejda bliżej, wszystkie, jak na komendę, odskoczyły. Olivia wzruszyła ramionami.

- Mówiłem ci, ten pies mnie nie cierpi. - Jeff zmarkotniał. Olivii zrobiło się go żal.

- Nieprawda. On po prostu tęskni za panią Manning. Nianczyła go jak małe dziecko, bawiła się z nim godzinami. Przywykł do tego. I nagle ona znika, a pojawia się ty. Nie masz bladego pojęcia o psach i on to wyczuwa. Niszczył ci mieszkanie,

żeby zwrócić na siebie uwagę, ale ty byłeś zbyt zajęty. Mówiłam ci, psy też mają uczucia. Pomyśl nad tym w drodze do domu.

Jeff pokiwał głową. A potem zapytał, chociaż sam nie wiedział dlaczego.

- Co będziesz robić, kiedy pojedę? Zaśmiała się.

- Odśnieżać podjazd. Ale nie łopata, mam taką maszynę do zdmuchiwania śniegu. Może upiekę ciasto. A potem zajrzę do Internetu - chciałabym coś wiedzieć o Jill i Gwen.

- No, to widzę, że nie będziesz się nudzić. Dobra, to na razie, do zobaczenia.

Olivia wpatrywała się w mahoniowe drzwi, które już się za nim zamknęły. Miły był. Polubiła go. Potrafił ją rozbawić, co Clarence'owi nigdy się nie udało. Wzruszyła ramionami i poszła do gabinetu zamiast do kuchni. Ciasto może zaczekać. Odśnieżanie podjazdu też.

Zerknęła na zegarek, kiedy łączyła się Internetem: dziesięć trzydzieści.

Gdy poczuła, że Alice trąca ją łapą, Olivia przetarła oczy i przeciągnęła się. Druga trzydzieści. Przesiedziała przy komputerze cztery godziny. Wstała, wypuściła psy, sprawdziła zapę i przygotowała produkty potrzebne do ciasta. Ciągłe jeszcze prószył śnieg, ale nie zanosilo się na zadymkę.

Pracowała metodycznie, lecz myślami była gdzie indziej. Znalazła czterdzieści Jillian Davis i dwadzieścia siedem Gewndolyn Nolan. Ale czy którakolwiek z nich skończyła Ole Miss? Wysłała e-maila do Stowarzyszenia Absolwentów uczelni, żeby zapytać, czy coś wiedzą na temat takich osób. Gdyby знаła numer ubezpieczenia Adrianny Ames, mogłaby się zalogować na stronę, bez tego dostęp był zablokowany. Może w poniedziałek, gdy już zbada zawartość sejfu Ames, będzie mogła zadzwonić do Stowarzyszenia i wyciągnąć od nich więcej informacji. Chyba że Jill i Gwen zerwały wszelki kontakt z Ole Miss.

Bank, w którym kiedyś pracowała Allison, stał na swoim dawnym miejscu. Obecnie prowadził go wnuk człowieka będącego właścicielem wówczas, gdy dokonano kradzieży. W poniedziałek Olivia planowała wybrać się do biblioteki, żeby przejrzeć stare gazety i zorientować się, jak komentowano zdarzenie. Trzem kobietom udało się

okraść bank? Musiały mieć stalowe nerwy. Po prostu nie mieściło się jej w głowie, iż ktoś może mieć tyle tupetu, żeby obrobić bank.

Wyłączyła mikser, wylała ciasto na blachę i wstawiła do piekarnika. Posprzątała w kuchni, potem wykręciła numer ojca - zapomniała, że pewnie już wypłynął z turystami. Miała nadzieję, że się do niej odezwie, kiedy wróci do domu, ale nie zadzwonił. Co z oczu, to i z myśli. Przykro. Posmutniała jeszcze bardziej, gdy odezwała się automatyczna sekretarka. Odłożyła słuchawkę, nie zostawiając wiadomości. Bardzo potrzebowała rozmowy z kimś, kusiło ją nawet, żeby zadzwonić do Clarence'a, byle tylko usłyszeć ludzki głos. Oczywiście, po dwóch sekundach zmieniła zdanie i poszła do garażu po odkurzacz do śniegu.

Wróciła do domu trzydzieści osiem minut później, akurat kiedy brzęczyk w piekarniku zasygnalizował, że ciasto już się upiekło. Wyjęła je do ostygnięcia na metalowy ruszt i włączyła telewizję, żeby zobaczyć, co dzieje się na świecie. Nie było żadnych alarmujących wiadomości o globalnym kryzysie, więc wróciła do gabinetu i pracowała bez przerwy aż do szóstej, pory karmienia psów.

Jill Davis i Gwen Nolan jakby zapadły się pod ziemię. A może zmieniły nazwiska? Albo się ukrywają? Olivia była przekonana, że Allison po popełnieniu kradzieży chciała zatrzeć za sobą ślady. Czy nie dlatego rozwiodła się z mężem, porzuciła dziecko i zmieniła nazwisko? Ze strachu.

Postawiła na podłodze psie miski i jeszcze raz wykręciła numer ojca. Powinien już odebrać, pomyślała, patrząc na zegar. Ale znów włączyła się sekretarka. Zadzwoniła więc na komórkę. Odebrał po drugim sygnale. Pewnie jeszcze na przystani. Słyszała w tle ogłuszający hałas, wesole męskie głosy. Musiała krzyknąć, żeby ojciec ją usłyszał.

- Tato, to ja, Olivia!

- Coś się stało, skarbie?

- Chciałam cię zapytać o Gwen i Jill! - wrzasnęła. Nie doczekała się odpowiedzi, więc powtórzyła pytanie. Albo jej się wydawało, albo ojciec, kiedy się wreszcie odezwał, był rozdrażniony.

- Ollie, to wszystko działo się czterdzieści lat temu. Ledwie pamiętam te dwie, wówczas bardzo młode dziewczyny. Prawie się nie znaliśmy. Na pewno dowiesz się

wszystkiego, co trzeba, kiedy porozmawiasz z adwokatem albo pojedziesz do tego domu.

Olivia poczuła się jak skarcone dziecko. Przygarbiła się.

- No, dobrze tato, pewnie nie masz czasu rozmawiać. Przepraszam - wymamrotała.

Nawet nie zauważyła, kiedy ojciec się rozłączył. Zła na siebie, odłożyła słuchawkę i wpuściła do domu psy. Wpadły do środka jak burza, szczekały, warczały i szczyrzyły zęby, atakując każdy każdego. Powód awantury musiał być ważny, bo niełatwo dały się przywołać do porządku.

I co ona ma teraz zrobić? Użalać się nad sobą? A może tak naprawdę najbardziej martwi ją to, że Jeff Bannerman nie zadzwonił? Nie chciało mu się wracać dziś do Winchesteru. Z tą myślą zabrała się do obierania mięsa kurczaka z kości; kawałki mięsa wrzucała z powrotem do garnka. Obok gotowała się woda na makaron. Dobry rosół musi być z makaronem.

Zanim nakryła do stołu, była już siódma pięćdziesiąt pięć. Skręcało ją z głodu. Właśnie nalewała sobie na talerz gęsty, smakowicie pachnący bulion, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi. Psy znów zaczęły szaleć. Pobiegnęła za nimi, mając mimo wszystko nadzieję, że to jednak nie któryś z sąsiadów. Kiedy w progu zobaczyła Jeffa z wielkim pudłem w rękach, rozjarzyła się w uśmiechu jak stuwatowa żarówka.

- W samą porę - powiedziała, a jej serce aż podskoczyło. Uśmiechnął się szeroko.

- Umieram z głodu. - Rzucił pudło z rzeczami Cecila na podłogę. Cała czwórka dokładnie wszystko obejrzała i obwąchała, po czym pieski podniosły łapy, oznaczyły swoją własność i odeszły.

- No cóż! - Olivia parsknęła śmiechem.

- Nie da się ukryć: no cóż!

Następnego dnia od rana trzymał ostry mróz. Jechali bmw Jeffa do posiadłości Adrianny Ames. Kręta droga pięła się w górę, po obu stronach rosły okazałe srebrne świerki.

- Zupełnie jak w lesie. - Olivia westchnęła, rozglądając się, żeby nic nie przegapić.

- Ktoś tu w ogóle mieszka? - dziwił się Jeff.

- Nie wiem. Ale nie odśnieżyli podjazdu, więc zgaduję, że nie. Zwolnił.

- Pierwsza przeszkoda. - Wskazał na elektronicznie odsuwana bramę. Mały domek z boku drogi był zamknięty na cztery spusty. - Pewnie nie znasz kodu do otwierania bramy. - Pokręciła głowę. Opuścił okno i zaczął na chybił trafił wystukiwać numery, ale bez rezultatu. - W takim razie będziemy musieli przejść górą przez bramę i resztę drogi załatwić z buta, chyba że wolisz zadzwonić do tego prawnika i spytać o kod.

- Jeff, jest niedziela. Nie mam pojęcia, gdzie on mieszka. Myślę, że damy radę sforsować bramę. A dalej, jak mówiłeś, pójdziemy na piechotę.

Wysiadł z samochodu, poczekał na Olivię i zamknął drzwi kluczykiem. Podsadził ją do poprzecznej belki, na której mogła podciągnąć się, żeby przejść na drugą stronę. Wylądowała z głośnym plaśnięciem w wielkiej śniegowej zaspie. Chwilę później zeskoczył Jeff, ale utrzymał się na nogach. Pomógł jej wstać i ruszyli pod górę.

- Rany, wygląda niesamowicie! Ile twoja matka miała właściwie kasy?

- To nie jest moja matka. Mówiłam ci, urodziła mnie, ale nigdy nie była dla mnie prawdziwą matką. Więc zyskasz moją wdzięczność, jeżeli nie będziesz mówić o Adriannie Ames „twoja matka”. Musiała mieć forsę jak lodu, ale nie zapominaj, jak ją zdobyła.

Zbiła go z tropu.

- Okej, zrozumiałem. Przepraszam. Jak myślisz, mieszkała tu sama? Moja matka chyba by zwariowała ze szczęścia - tyle przestrzeni. Patrz na ten dom! Zakład, że jest tam ze dwadzieścia pokoiów? Dziesięć łazienek i pewnie sześć albo siedem kominków? Chcesz się założyć?

Olivia drgnęła.

- Nie. - Rozglądając się, dodała: - Ciekawe, czy jest tu jakiś alarm. Chyba głupio zrobiliśmy. Nie mam przecież klucza. Jakoś mi się nie wydaje, żeby ktoś, kto ma wokół domu takie ogrodzenie, zostawiał klucze pod wycieraczką.

- Przecież to twój dom, jeśli chcesz, to możesz wybić szybę. Najpierw usłyszeli hałas, a dopiero potem zobaczyli pędzącego z naprzeciwka olbrzymiego psa. Znieruchomieli z otwartymi ustami, kiedy pies wyhamował tuż przed nimi i obnażył potężne kły.

- Siad, Brutus? Waruj! - krzyknął ktoś zza rogu domu.

Nawet nie drgnęli, dopóki w polu widzenia nie pojawił się siwowłosy starzec; trzymał w ręku strzelbę, mierząc do nich.

- Nie lubimy tutaj takich, co wchodzą na cudzy teren. Najlepiej będzie, jak się zaraz zabierzecie tam, skąd żeście przyszli.

Pies w gotowości do ataku szczyrzył zęby białe jak śnieg, z pyska wydobywało się głuche, gardłowe warczenie. Jeff pierwszy odzyskał mowę.

- Nazywam się Jeff Bannerman i jestem prawnikiem. To jest Olivia Lowell, córka Adrianny Ames. Odziedziczyła tę posiadłość, więc mamy prawo tu przebywać. Przeszliśmy przez płot, bo nie wiedzieliśmy, jak otworzyć bramę.

- Brama jest wyłączona. Pokażcie jakieś papiery. - Strzelba nie zmieniła pozycji ani o centymetr.

Jeff sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów i wyciągnął prawo jazdy. Olivia podała starszkowi swoje. Ten przestudiował uważnie dokumenty i oddał właścicielom.

- Czego tu szukacie?

- Chcemy wejść do domu. I zadać panu parę pytań, jeśli można - wyjaśniła. - Nie znałam Adrianny Ames, porzuciła mnie zaraz po moim urodzeniu i rozwiodła się z moim ojcem.

- Wiem. Opowiadała mi o pani. Ale w domu ogrzewanie niewłaczzone. Zaraz pójde włączyć i zrobię wam gorącej czekolady. Chodźcie. Przemarzliście pewnie.

- Dziękuję - powiedziała Olivia. - A pies?

- To posłuszna bestia. Nie zrobi wam krzywdy, jak nie będziecie robić czegoś, czegoście nie powinni.

- Tylko pan tu pracuje? - spytał Jeff. Staruszek opuścił strzelbę i odsunął się.

- Cyrus Somers się nazywam. Sam jestem teraz. Zgodzony tu jeszcze na rok, a potem idę na emeryturę. Cała reszta odeszła po pogrzebie. Meble pozakrywane, ale wszystkie urządzenia działają. Nie opłacało się zostawiać ludzi, tak mówiły te adwokaty. Pani Ames dała hojne odpawy wszystkim rzetelnym pracownikom. Ja tu byłem najstarszy, byłem z nią od początku, odkąd się tu wprowadziła dwadzieścia pięć lat temu.

Dotarli do drzwi kuchennych. Pęk kluczy zabrzączał w rękach starego człowieka. Chwilę trwało, zanim znalazł właściwy i wpasował go do zamka. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

Oliwiizdawało się, że w środku jest zimniej niż na dworze. Staruszek podszedł do małej wnęki obok kuchni, żeby włączyć termostat. Brutus siedział przy drzwiach z uszami położonymi płasko na głowie, merdając lekko długim ogonem.

- Za parę minut się nagrzej - burknął dozorca. Popatrywał na nich nieufnie.

- Nie podoba mi się, żeście tu przyszli bez adwokata. Pewnie nie kłamiecie, kim jesteście, ale zanim wam pozwolę cokolwiek dotknąć, muszę dowiedzieć się czegoś więcej.

- Może pewniej się pan czuje, kiedy porozmawia z prawnikami pani Ames? Jeśli telefony są nie podłączone, mogę dać swoją komórkę. Albo, jeżeli chce pan zadzwonić z jakiegoś innego miejsca, proszę zostawić psa, żeby nas pilnował - powiedział Jeff. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

Cyrus machnął ręką, co znaczyło, że nie skorzysta z propozycji. Zerknął na psa.

- Waruj - przykazał.

Wyszedł z powrotem przez drzwi kuchenne. Po półgodzinie wrócił z pudełkiem herbat ekspresowych. Widać zmienił zdanie co do tej czekolady, pomyślała Olivia. I wyglądała tak, jakby zjadł cytrynę.

- Pan O'Brien powiedział, że możecie tu robić, co chcecie. Że to teraz panny dom. No to was zostawiam samych. Jak będziecie chcieli wyjść, to wciśnijcie trzy razy „X”

i brama się otworzy. - Rzucił pudełko herbaty na blat kuchenny i wyszedł, a pies za nim.

- Wesoły koleś, co? - odezwał się Jeff. - Ciekawe, czy miał w strzelbie naboje.

Olivia obróciła się, niepewna czy pies na pewno zniknął.

- Po co mu naboje, jak ma Brutusa? - powiedziała z przekąsem. - O, rzeczywiście robi się trochę cieplej. Herbaty? - ząrtowała, wskazując pudełko.

- Nie, dziękuję. Bierzmy się do roboty. Gdzie chcesz zacząć? Rozejrzała się po brzydkiej, zimnej, stalowoszarej kuchni.

- W jej sypialni na górze, bo tam będzie sejf. Mam nadzieję, że reszta domu nie jest bezduszna i przemysłowa, jak ta kuchnia.

- Mojej mamie by się nie spodobała. Nie ma żadnych kwiatków ani szmacianych chodników na podłodze. Żadnych kolorów. Żadnych firanek. Nie ma słoika z ciastkami. O, nie, mamie by się tu nie spodobało.

- Mojemu tacie też nie - przyznała Olivia.

- Dobra, chodźmy.

Zapalał światło w mijanych po drodze pokojach, gdzie wszystkie meble zakryte były białym płótnem. Osłonięto nim też ciężkie draperie w oknach, więc w pomieszczeniach panował mrok. Podłogi zasłaniał gruby brązowy papier, przymocowany po bokach niebieską taśmą malarską, który lekko ugiął się pod stopami - pewnie zabezpieczał grube dywany.

Weszli na kręte mahoniowe schody, gdzie stopnie przykrywał ten sam brązowy papier. Chrzęścił i szeleścił przy każdym kroku, gdy wspinali się na piętro.

- To mi przypomina takie niby-nawiedzone domy, do których tata mnie zabierał na Halloween, kiedy byłam mała - powiedziała Olivia, rozglądając się dookoła.

Jeff pstryknął włącznik na szczycie schodów. Lamy oświetliły korytarz, który biegł chyba przez całą długość domu i po obu stronach otwierał się na pokoje. Znow meble i brązowy papier, znow białe płótno.

Otwierali drzwi jedno po drugim. Zanim dobrnęli do końca korytarza, naliczyła siedem sypialni. Ostatni pokój nie wyglądał jak zwykła sypialnia. To był cały apartament - sypialnia, salon, garderoba, olbrzymia łazienka z kolejną garderobą i spory schowek. W małym gabinecie przylegającym do salonu znaleźli komputer, faks i telefon. Wszystko przykryte przezroczystą folią. Widocznie zabrakło płótna.

Stała jak posąg pośrodku salonu i trwała tak dłuższą chwilę. Więc to tu sypiała kobieta, która ją urodziła. Olivia wzięła głęboki oddech i szybko wróciła do rzeczywistości.

- Kombinacja do sejfów jest pod papierami na biurku, a sejf za którymś z obrazów. Widać Adrianna lubiła morze. Wściekle, wzburzone morze. - Odchyliła od ściany kolejne obrazy, żeby zajrzeć, co jest za nimi. W końcu trafiła na ten właściwy. Jeff zdjął go z haczyka i oparł o ścianę. - Przekręć w prawo trzy razy na sześćdziesiąt siedem, potem dwukrotnie w lewo na czterdzieści cztery, znów trzy obroty w prawo na pięćdziesiąt jeden, raz w lewo na trójkę, z powrotem w prawo na pięćdziesiąt jeden i powinno się otworzyć.

Przekręciła klamkę sejfów. Była zaskoczona, kiedy drzwiczki odskoczyły. Więc to jednak nie sen. W przeciwnym razie pewnie by oprzytomniała, zanim sejf by się otworzył.

- W środku jest mnóstwo rzeczy. Także pieniądze. Na kopercie pisze: pięć tysięcy dolarów. Pewnie zaskórniaki na czarną godzinę.

- Przynies wszystko tu, lampa na biurku daje lepsze światło - powiedział Jeff.

Olivia przeniosła zawartość sejfów na blat biurka. Zdjęła grubą kurtkę i rzuciła na kurtkę Jeffa, która leżała na zabezpieczonym plastikiem łóżku.

- Ja przejrzę tę część, a ty resztę. Nie interesują mnie żadne inwestycje Ames ani rachunki bankowe. Szukamy czegoś, co dotyczy tej kradzieży albo jakichś informacji o Jill i Gwen.

Jeff przeglądał rzeczy w pakiecie.

- Znalazłem coś, co jak sądzę może się przydać. Chyba pamiętnik. Czym kierują się kobiety, że muszą spisywać swoje życie? To, co się tam napisze, czasami może się na człowieku zemścić. Niejedną taką historię poznałem, będąc prawnikiem.

- W tym wypadku dziennik może nam wiele wyjaśnić. Zabieramy go. Szukaj dalej. Masz coś o Gwen i Jill? Poczekaj. Kiedy wchodziliśmy, nie zauważyłeś takiej szafeczki na dokumenty? Może tam będą kwity, w jakimś skoroszycie. Skoro Adrian miała poważne kłopoty zdrowotne, to chyba pracowała tu, w apartamencie. Logiczne, że chciała mieć dokumenty przy sobie. Pójdę sprawdzić, a ty dalej szukaj.

Kiedy wreszcie znalazła szafkę, odetchnęła, z sykiem wciągnęła przez zęby powietrze. Ale zamykając szufladę, była jak balon, z którego ktoś spuścił powietrze.

- Nic tu nie ma, same papiery dotyczące pracy - zawołała do Jeffa.

- Hej, znalazłem kopertę ze zdjęciami; z tyłu jest napisane... „Gwen, Jill i Allison”.

Olivia padła na kolana przy biurku. Wpatrywała się w osoby na zdjęciu, próbując wyczytać coś z ich twarzy, ale powiedziała tylko:

- Typowe kujonice, i te okulary w grubych oprawkach. - Skrzywiła się. - Ciekawe, czy to mój tata robił zdjęcie tym molom książkowym. Mówił, że nie miały innych przyjaciół.

Przeglądała następną kopertę ze zdjęciami, kiedy Jeff wykrzyknął:

- To dlatego nie mogłaś znaleźć Jill! Jest zaproszenie na ślub. Wyszła za jakiegoś Gilla Laramie. Allison, bo wtedy jeszcze tak się nazywała, nie odesłała potwierdzenia, czyli nie pojechała na ślub. O, jeszcze jedno. Gwen wyszła za faceta o nazwisku Ted Pascal. A co tu mamy? Następne zaproszenie. Gwen powtórnie wyszła za mąż, za niejakiego Williama Johna Hendrixa. Teraz łatwiej ci będzie je znaleźć. Chyba że znowu wyszły za mąż, ale nie przysłały zaproszenia na ślub.

- Zobacz, co znalazłam! - odkrzyknęła Olivia. - Kopia druku bankowego. Taki wypełniasz, jeśli chcesz złożyć depozyt. Podpisany przez Jill Davis i Gwen Nolan. I, o dziwo, jest tu nawet ich numer ubezpieczenia. Sejf Adrianny to istna kopalnia informacji. Teraz już na pewno je znajdę. Ale skąd Ames wzięła ten druk? - Wrzuciła go do torebki razem z trzema zaproszeniami i pamiętnikiem.

Pół godziny później zdążyli już przejrzeć całą zawartość sejfu, z wyjątkiem grubej brązowej koperty. Jeff rozkleił ją i zdrapał paznokciem pieczęć z czerwonego wosku. Wyjął gruby plik papierów i gwizdnął przeciągle.

- To są kserokopie obligacji skarbowych. Każda na dziesięć tysięcy wartości nominalnej i następne dziesięć w odsetkach. A ten stosik ma ładne kilka centymetrów grubości.

Olivia bez słowa wpatrywała się w to, co Jeff trzymał w rękach.

Rozdział 9

Jeff rozłożył plik papierów w wachlarzyk. Oboje byli totalnie zszokowani.

- Po prostu niesamowite - powiedział. - Zastanawiałem się nad tym, co mi opowiedziałś i muszę przyznać, iż doszedłem do wniosku, że twoja... że pani Matthews... wymyśliła sobie taką historyjkę pod wpływem jakiegoś spóźnionego poczucia winy. Cholera, zresztą sam już nie wiem, co sobie myślałem, ale teraz to... to zupełnie zmienia postać rzeczy. Żeby trzy studentki, nieważne jakie sprytne, obrobiły bank - to robi wrażenie. - Pacnął się w czoło. - No i w dodatku nie dały się złapać!

- Ile... ile tego jest? - wydusiła z siebie Olivia.

Podszedł do łóżka i usiadł na brzegu. Śliski plastik zaszeleścił pod nim, i mało co, a Jeff zjechałby na podłogę. Przesunął kciukiem po pliku kartek, które miał w ręku.

- Dobre pół miliona dolarów... Czterdzieści lat temu, w latach sześćdziesiątych, te obligacje mogły być warte trzy, cztery razy więcej. - Obejrzał dokładniej druk obligacji, a potem następny. - Rany, nie zauważyłem tego wcześniej. Ktoś - pewnie Allison, mózg operacji - wypisał nazwiska na dole. Widzisz? Każda obligacja ma swój numer. Wydaje mi się, iż zrobiła to na wszelki wypadek - mieć dowód, że tamte dwie

też były w to zamieszane. Równy podział zysków i równy podział ryzyka. Nikt się nie wykręci. A poza tym - Jeff podniósł rękę, żeby Olivia dała mu dokończyć - niezły dowód, żeby zmusić dziewczyny do spłaty swojej części, skoro się zdecydowała na rekompensatę.

Olivia sięgnęła po stos kserokopii. Wepchnęła je do koperty szybko, byle jak, jakby ich dotykanie brzydziło ją. Okrągła pieczęć z czerwonego wosku przyglądała jej się niby złośliwe oko. Szybko wsadziła kopertę do płóciennej torby.

- Muszę się nad tym zastanowić... Dlaczego sama nie mogła załatwić sprawy? Dla mnie to kara, Jeff. Ona popełniła przestępstwo, nie ja. I nie mów mi, że była chora albo że nie wiedziała, co robi. Miała czterdzieści lat na zadośćuczynienie. Co zrobiła? Nic. Ani ona, ani współniczki. Nie będzie łatwo spełnić ostatnią wolę Ames.

Jeff podał Olivii kurtkę i założył swoją.

- Olivio, prawdę mówiąc, możesz sobie odpuścić. Nie ciąży na tobie żaden obowiązek. List dostałaś zupełnie prywatnie, nie jest częścią jej testamentu. Ona nic od ciebie nie wymaga, tylko prosi. Jeśli potrafisz, zamknij oczy i zapomnij o tym. Powtarzaj sobie, aż uwierzysz, że to wszystko nigdy się nie zdarzyło. - Mrugnął do niej. - Przypuszczam jednak, że sumienie będzie dręczyć cię w bezsenne noce.

Olivia pomaszerowała energicznie w stronę biurka. Zamaszystym ruchem zgarnęła wszystko z blatu, upchnęła z powrotem w sejfie, zatrzasnęła drzwiczki i przekreśliła zamek. Jeff powiesił obraz.

Płócienną torbę, znacznie teraz cięższą zarzuciła na ramię.

- Znikam stąd. I mam nadzieję, że już nigdy nie będę musiała tu wrócić. Jak myślisz, powinniśmy wyłączyć ogrzewanie?

- Możemy. Chociaż Cyrus i tak na pewno wszystko sprawdzi, pozamyka, kiedy wyjdziemy. Od tego są dozorczy. A ogrzewanie powinien zostawić chociaż minimalnie odkręcone, żeby rury nie pozamarzały.

Powietrze było rześkie i mroźne. Szli w stronę bramy. Olivia, brnęła przez zasy, wypatrując Brutusa albo starego dozorczy, ale ani jeden, ani drugi się nie pokazał. Z ulgą wskoczyła do samochodu, kiedy Jeff otworzył jej drzwi, i zapięła pasy. Szczękała zębami z zimna, dopóki nie zaskoczyło ogrzewanie.

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem przez całe sześćdziesiąt kilometrów drogi do Winchesteru.

Jeff zwolnił na zjeździe z autostrady.

- Dasz się zaprosić na lunch, zanim będę musiał wracać do miasta? Jest niedziela - może nawet uda nam się załapać na późne śniadanie.

Olivia otrząsnęła się z czarnych myśli.

- Z przyjemnością. Jeśli cokolwiek będzie otwarte. Co powiesz na chińszczyznę?

Odrzucił głowę w tył i roześmiał się serdecznie. Olivii bardzo podobał się jego śmiech. Clarence jakoś tak głupio chichotał.

- Żartujesz sobie? Chińszczyzna to podstawa wyżywienia każdego prawnika. Jestem jak najbardziej za.

- Chyba powinniśmy najpierw zahaczyć o dom, żeby wypuścić psy. O, do licha, chyba znowu zacznie sypać, nie wydaje ci się?

Jeff wyciągnął szyję, żeby spojrzeć w górę. Stałowszare chmury pędziły z wiatrem po niebie.

- Taaak. I coraz silniej wieje. W takim razie po lunchu trzeba będzie szybko się zbierać. Przy jedzeniu możemy opracować grafik, kiedy mam się zajmować Cecilem. Liczę, że mi trochę odpuścisz i pozwolisz na elastyczność, ale nie zaniedbam swoich obowiązków, słowo. Czasem może się tak zdarzyć, że będę musiał u ciebie przenocować. Nie przeszkadza ci to?

- Nie, w porządku.

Jeff wjechał na podjazd i zaparkował z ryłu za terenowym fordem bronco Olivii. Idąc przez zaśnieżony trawnik do drzwi wejściowych, usłyszeli szczekanie psów.

- Chyba się za nami stęskniły. Pewnie bardziej za tobą niż za mną - dodał.

- Jeff, na zaufanie psa trzeba sobie zasłużyć. Innymi słowy, masz sporo do nadrobienia, jeśli chodzi o podlizywanie się Cecilowi.

Pół godziny później siedzieli przy stoliku z czarnej laki w restauracji Chiński Ja-deit. Postawiono przed nimi makaron ryżowy, sos słodko-kwaśny i ostry sos musztardowy. Jedli, maczali, sączyli litry zielonej herbaty i nawet poprosili o dokładkę.

- Tylko nie rozmawiajmy o pracy ani o psach, dobrze? - poprosił Jeff.
- Okej. To o czym chcesz rozmawiać?
- O tobie - odparł zwięźle.

- Nie ma za dużo do opowiadania. Dzieciństwo spędziłam tu, wychowywał mnie ojciec. Potem studia, Uniwersytet Wirginii. Zrobiłam magisterkę z nauczania początkowego, ale po dwóch latach pracy w zawodzie zrezygnowałam. Nie chodziło o dzieciaki kocham dzieci. Wykończyła mnie papierkowa robota. Wtedy tata mnie przygarnął i tak powstała firma fotograficzna Lowell & Lowell. Uwielbiam to. Specjalizują się w fotografowaniu zwierząt, zrobiłam też parę kalendarzy z dziećmi. Ojciec fotografował ludzi. Nieźle na tym zarabiam i sama sobie jestem szefem.

- Masz kogoś?

„Masz kogoś?” Serce jej zatrzepotało. Z głośnym siorbnięciem wciągnęła trochę makaronu, żeby pokryć nagłe zmieszanie.

- W sensie, chłopaka? - Jeff pokiwał głową. - Nie. A ty?

- Też nie. Jeżeli chodzi o dziewczyny, jestem wyrzutkiem społecznym. Umawiam się na spotkanie, a potem odwołuję, bo nawał pracy. Kobiety po kilku randkach oczekują stałego związku. A mnie na razie na to nie stać; brak czasu. Jeśli chodzi o... tamten wieczór, kiedy do mnie zadzwoniłaś, to Melanie jest koleżanką z pracy. Nic nas nie łączy. - Zarumienił się. - Prawdę mówiąc, wtedy zdrzemnąłem się na sofie. Melanie też przysnęła. To tylko koleżanka. Dosyć natrętna. Nie w moim typie. Chyba bredzę, co?

Olivia roześmiała się.

- Myślę, że zdołałeś ustalić, że z nikim się nie spotykasz. - Nagle poczuła się wspaniale. Po prostu odlatowo. - Lubisz swoją pracę w Waszyngtonie?

- Miejsce jak każde inne. Życie dość drogo kosztuje. Ale trafiłem do dobrej firmy. I marzę tylko o jednym, jak większość prawników: któregoś dnia wywiesić na drzwiach tabliczkę ze swoim nazwiskiem.

- Więc czemu tego nie zrobisz?

- Nie stać mnie. Muszę najpierw zbierać pieniądze. A żeby mieć pieniądze, potrzebuję klientów. Kiedyś zajmę się prawem rodzinnym. Bracia proponowali mi pożyczkę na rozruch, ale jeśli mam pracować na własną rękę, muszę dojść do tego sam, tak jak oni.

W tym momencie na stół wjechało zamówione jedzenie. Przyniosła je filigranowa dziewczyna o czarnych oczach i włosach. Z uśmiechem nałożyła im porcje na talerze. Jedli z apetytem w doskonałym nastroju. Wreszcie, po wypiciu drugiego dzbanka herbaty, czekając na rachunek, sięgnęli po ciasteczka z wróżbą.

Olivia przełamała ciasteczko i przewróciła oczami.

- „Czeka cię szczęście”.

- Ciasteczka z wróżbą nie kłamią - zauważył Jeff. Przełamał swoje ciastko i parsknął śmiechem. - „Masz powodzenie u ludzi i zwierząt”. Och, gdyby to tylko była prawda.

Wyciągnął z portfela kilka banknotów i położył na spodeczku. Później pomógł Olivii włożyć kurtkę. Kiedy przypadkiem dotknął jej dłoni, jakby przeskoczyła iskra elektryczna. Zauważyła, że Jeff szerzej otworzył oczy i poczerwieniał.

Jechali do domu na Eagle Drive spięci. Żadne się nie odezwało, dopóki Jeff nie zaparkował na podwórku. Olivia potrzebowała samotności, żeby w spokoju przeanalizować swoje uczucia, a Jeff miał minę, jakby też nie mógł doczekać się rozstania.

- Zadzwoń - powiedział, kiedy wysiadała z samochodu.

- Okej.

Pobiegła do drzwi, otworzyła i wpadła do środka. Zwierzaki witały Olivię z największym psim entuzjazmem, obskoczyły ze wszystkich stron, a kiedy przyklękła, żeby porozmawiać z nimi, jeden przez drugiego zaczęły ją łapać chcąc zwrócić na

siebie uwagę. Pozwoliły się przytulić i nie wrywały z nazbyt mocnego uścisku jej ramion. Siedziały tak z nimi, póki nie poczuła, że powoli wraca spokój.

Jeff Bannerman nie przypominał Clarence'a De Witta.

Ani trochę.

Była trzecia po południu, kiedy zaniósła dokumenty przywiezione z domu Adrian-y Ames do swojego gabinetu. Wyrzuciła zawartość torby na biurko i włączyła komputer. Pamiętnik kusił, ale nie ruszyła go. "Najpierw trzeba odnaleźć przyjaciółki Allison Matthews. Próbując się skupić, zaczęła poszukiwania.

Po trzech godzinach chciała rwać włosy z głowy. Jillian Davis Laramie wyszła za mąż dwa lata później niż Allison, a rozwiódła się z Gillem Laramie siedem lat potem. Urodziła jedną córkę, Mary Louise. To by znaczyło, że Mary Louise jest mniej więcej w wieku Olivii. Jill nigdzie nie zagrzała miejsca na dłużej. Mieszkała najpierw w Sladen w Missisipi, potem przeniosła się do Birmingham w Alabamie i tam została na kilka lat, ale wróciła do Sladen, na krótko. Na kolejne parę lat przeprowadziła się do Natchez w Missisipi, a później wyjechała do Salt Lake City w Utah. Tam ślad się urywał.

Olivia szukała numeru telefonu lub adresu e-mailowego, bez rezultatu. Uświadomiła sobie, że już nic więcej nie może zrobić. Ręce jej opadły.

Musi być jakiś sposób, żeby namierzyć Jill Laramie. Może się ukrywa? Może, tak jak Adrianna Ames, zmieniła nazwisko? Nie warto tropić Gilla Laramie czy tej córki, Mary Louise, skoro nie zna ich numeru ubezpieczenia.

Szukanie informacji przez Stowarzyszenie Absolwentów Ole Miss też na nic się nie zdało, mimo że Olivia miała numer ubezpieczenia Jill. Ale konto było chronione hasłem: nie znając go, nie można zalogować się na stronę z danymi osobowymi. Najwyraźniej Jill miała jednak jakiś adres e-mailowy. W prawie jazdy zarejestrowanym w Wydziale Pojazdów Mechanicznych figurował adres z Utah. Nieważny już od wielu lat.

Przerwała poszukiwania i poszła do kuchni nakarmić psy. Wypuściła je na dwór i wpuściła z powrotem, a potem odgrzała sobie wczorajszą zupę. O siódmej trzydzieści znów usiadła przy komputerze i pracowała bez przerwy do dziesiątej. Żadnych rezul-

tatów. Była nie tylko zniechęcona, ale wręcz zniesmaczona. Przeczucie mówiło jej, że z Gwen Nolan będzie mieć podobne problemy. Musi zmienić system poszukiwań. Tylko jak? Clarence!

Pracuje w urzędzie skarbowym. A każdy przecież musi wypełniać zeznania podatkowe. Każdy. Jill i Gwen także.

Zadzwoiła do Clarence'a i zapytała wprost, czy może zdobyć dla niej adresy tych dwóch kobiet.

- Nie pytaj mnie po co, Clarence. To sprawa osobista. Nikomu nie powiem, skąd mam adresy, ale muszę znaleźć te dwie osoby. Chodzi o coś bardzo, ale to bardzo ważnego. Próbowałam szukać na własną rękę, ale się nie udało. Cała moja nadzieja w tobie. Będę ci wdzięczna do grobowej deski, Clarence. Będę ci codziennie piekła czekoladowe ciasto, jeżeli to cię przekona.

Na jego wątpliwości i pytania odpowiadała, jak umiała najlepiej, nie zdradzając oczywiście, dlaczego potrzebuje tych danych. W końcu jednak Clarence odmówił.

- Dobra, Clarence. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. Niestety, pomyliłam się. To by ci zajęło dziesięć minut. Dziesięć minut. Chodzi tylko o głupie adresy, ale dla mnie niezwykle istotne. Cześć, Clarence.

Cholera!

Poszła pod prysznic. Obracała się, stojąc pod gorącym strumieniem i myślała intensywnie. Co robić? Znowu była w punkcie wyjścia. Prywatny detektyw - to chyba jedyne rozwiązanie. Trzeba załatwić sprawę jutro.

Rano stwierdziła ze zdziwieniem, że przespała całą noc. Mocnym snem i bez koszmarów. Wypiła sok, potem kawę, zagryzła tostem i włączyła komputer. Pora rozejrzeć się wśród agencji detektywistycznych.

Parę minut później już sięgnęła po telefon, żeby wykręcić numer Prywatnej Agencji Detektywistycznej. Zero oryginalności w nazwie! Ale strona internetowa obiecywała profesjonalną obsługę i zwrot kosztów w razie braku wyników. Najnowszy sprzęt wysokiej klasy, rzetelni pracownicy, przystępna cena usług i oczywiście absolutna dyskrecja. W zależności od życzenia klienta, wysyłali raporty codziennie albo raz w tygodniu. PAD miała w okolicy pięć biur.

Olivia przedstawiła się i zdumiała ją, że rozmawia z właścicielką, Miki Kenyan. Powiedziała, o co chodzi, agentka w tym czasie robiła notatki.

- Dzięki, serdecznie. To mi wystarczy. Odezwę się jutro, może nawet dziś wieczorem. Jeszcze tylko potrzebuję numer pani karty kredytowej. Aha, czy woli pani kontakt e-mailowy, czy telefoniczny?

Odparła, że jest jej wszystko jedno i jednym tchem wyrecytowała numer karty i datę ważności.

Agentka dorzuciła parę miłych słów, kończąc rozmowę. - Będziemy w kontakcie, serdecznie. Niech się pani nie przejmie. PAD gwarantuje efekty. -I rozłączyła się.

Olivia ostentacyjnie otrzepała ręce. Załatwione. Zajął się pracami domowymi - praniem, zmianą pościeli, sprzątnięciem łazienki, rozpalaniem ognia na kominku i odkurzaniem. Potem zrobiła sobie lunch, pobawiła się z psami i wreszcie wróciła do gabinetu. Ale zanim usiadła przy komputerze, popędziła jeszcze do kuchni, żeby wyjąć z zamrażalnika klops do rozmrożenia. Załatwiwszy w ten sposób sprawę obiadu, wróciła do gabinetu. Włączyła komputer. I zaraz wyłączyła. Spojrzała na pamiętnik Adrianny Ames.

Aż zadrżała, biorąc do ręki notes oprawny w czerwoną skórę; zaczęła przewracać strony. Pustych kartek było więcej niż zapisanych. Oblizwała wyschnięte wargi i wbiła wzrok w drobne, ściśnięte literki pisma Adrianny Ames.

W starym notesie kartki już pożółkły. Skóra, szorstka w dotyku, zeschnęła i miejscami popękała. Nic dziwnego, po czterdziestu latach. Przeczytała pierwszy wpis.

„Jill i Gwen zgodziły się. Nie były specjalnie chętne, ale kiedy im przedstawiłam cały plan, wyjaśniłam wszystkie za i przeciw, zrozumiały, że naprawdę możemy być bogate. Jill najdłużej się opierała, ale jest tak samo chciwa jak każda z nas. Nie zdziwiło mnie więc, że dała się namówić. Mają do mnie zaufanie. Chyba w końcu się zorientowały, że z nas trzech, ja mam najwięcej oleju w głowie. Przez kilka godzin snułyśmy plany, co zrobimy z pieniędzmi. Namęczyłam się, tłumacząc im, dlaczego, jeśli nam się uda, nie będziemy mogły wydać ani grosza przez pięć lat. To im się nie spodobało, ale przekonałam je wreszcie, że trzeba poczekać”.

Olivia przeczytała wpis parę razy. Allison Matthews ani razu nie wspomniała nic o „kradzieży” ani o „banku”. To, że nie będą wydawać pieniędzy przez pięć lat, mogło

dotyczyć wielu rzeczy. A że była najsprytniejsza z nich? Kto wie, może i tak. Że przekonała je do swojego planu? Wpis nie mówił, co to za plan. Czekać przez pięć lat mogło na przykład dotyczyć lokaty na procent. Trwającą, kilka godzin rozmowę łatwo zinterpretować jako dziewczynskie pogaduszki. A to, że na kartce nie było daty, znaczyło, że zapisek mógł pojawić się kiedykolwiek. Niekoniecznie przed kradzieżą.

Przewróciła kartkę i przeczytała kolejny wpis. „Zrobiliśmy to. Jill i Gwen fenomenalne. Nawet nie mrugnęły okiem. A ja byłam taka spokojna, że omal nie zasnęłam. Chyba minęłam się z powołaniem. Założę się, że mogłabym to robić zawodo. Wychodzimy wieczorem z dziewczynami, żeby uczcić sukces. Muszę powiedzieć Dennisowi, że się z nim dziś nie spotkam. To tylko nasz wieczór. Zasłużyłyśmy sobie na świętowanie. Teraz przed nami drugi etap i pięć lat czekania. Mamy umowę, że dopóki nie minie pięć lat, nie wspomnimy o tej sprawie ani słówkiem”.

A więc „zrobiły to” i dziewczyny nawet nie mrugnęły okiem. „To” mogło oznaczać wiele różnych rzeczy. Allison miała stałowe nerwy. Wychodziły coś uczcić i Allison wystawiła do wiatru Dennisa. Nadal żadnych dowodów przestępstwa. Milczenie na jakiś temat przez pięć lat mogło dotyczyć jakiegoś innego sekretu, niekoniecznie związanego z okradzeniem banku.

Olivia poszła do kuchni włączyć piekarnik. Kiedy usłyszała brzęczyk - sygnalizował, że piecyk jest już nagrzwany - włożyła klops do foremki i wsunęła do środka. Po drodze do gabinetu zabrała z lodówki puszkę z napojem.

Trzeci wpis był interesujący. Krótki, ale interesujący. „Jutro wychodzę za męża. Sama siebie pytam dlaczego, i jedyna odpowiedź, jaka mi przychodzi do głowy to: a czemu nie? Nie kocham Dennisa. Jest niewiarygodnie nudny. Miły, ale nudny. Ma niezłą pracę, przeprowadzamy się do Winchesteru w Wirginii. Ogólnie, tak mi będzie łatwiej. I zmiana nazwiska też może się przydać. Mam nadzieję. Mówiłam dziewczynom. Zdziwiły się. A jeszcze bardziej, kiedy im powiedziałam, że pierwsze co zrobię, jak minie te pięć lat, to rozwiędę się z Dennisem. Śmiały się ze mnie. To mnie wkurzyło. I nie podobało mi się spojrzenie Jill. Gwen zapytała, jak mogę wyjść za faceta, którego nie kocham. Powiedziałam, że to bardzo łatwe. Spytała o seks. Nic jej nie odpowiedziałam”.

- Co za wredna baba! Olivia cisnęła pamiętnikiem przez pokój. Wyschnięte strony odkleiły się od skórzanej okładki i rozsypały po całej podłodze. Bez dat przy wpisach,

jak to teraz ułożyć? - A co mnie to obchodzi - warknęła, zbierając kartki, jak popadło; kładła jedną na drugą.

Przeczytała jeszcze parę wpisów, strasznie nudnych, dotyczących spraw zawodowych Allison, było też o tym, że Dennis pracuje do późna, o prowadzeniu domu, o zakupach w warzywniaku. Wreszcie natrafiła na wpis o sobie. Zaszło jej w ustach. Pociągnęła łyk z puszki i napój pociekł jej po brodzie.

„Niech to szlag, nie mogę uwierzyć. Jestem w ciąży. Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby to usunąć i nic nie pomaga. Powiedziałam Dennisowi. Bo co innego mogłam zrobić? A ten kretyn się ucieszył! Zadzwoiłam do Jill i Gwen. Obie się zaśmiewały, proponując mi różne sposoby na usunięcie ciąży. Wypróbowałam wszystkie, ale też nie zadziałały. Jestem skazana na tego bachora. Jill powiedziała, że powinnam spaść ze schodów. Przypomniałam jej, że my nie mamy schodów. Śmiała się jak wariatka. Nie chcę tego dzieciaka. Kazałam Dennisowi wynosić się z sypialni. Już nigdy z nikim się nie prześpię. On może sobie wziąć to dziecko. Bo ja tego czegoś nie chcę”.

Olivia odłożyła luźne kartki na biurko i sięgnęła po chusteczkę. Allison Matthews Lowell myślała o niej „to coś”.

- Niech cię cholera! - Zaniósła się żalnym płaczem. - Niech cię wszyscy diabli!

Rozdział 10

Obudziła się, gdy cztery psie nosy natarczywie ją trącały. Mruknęła coś, jęknęła i przewróciła się na drugi bok. Nie chciała wstawać z łóżka. Marzyła, żeby zostać pod ciepłą kołderką i zapomnieć o złym śnie, który miała tej nocy. Ale te psy, ze względu na charakter, należały do grupy konsekwentnych; zsunęła więc nogi na podłogę. W skroniach jej dudniło, pięknie, pomyślała, teraz jeszcze ból głowy.

Zawiązała pasek od szlafroka i poczłapała przez cały dom do przesuwanych szklanych drzwi, żeby wypuścić psy. Na podwórku wciąż zalegała cieniutka warstewka śniegu. Przyjdzie jeszcze poczekać na wiosnę i ciepłe podmuchy wiatru! Termometr wskazywał dwa stopnie na plusie. Miała wrażenie, że jest zimniej. Zanim wstawiła kawę, przekreśliła gałkę termostatu na dwadzieścia pięć stopni.

„To coś”. Była „tym czymś”. Zgrzytnęła zębami. Gdyby teraz stanęła przed nią Adrianna Ames, zdrowo by jej przyłożyła. Gdzie jest napisane, że każdy musi kochać swoją matkę? Nigdzie. Matką zostaje się automatycznie, ale na miłość trzeba sobie zasłużyć.

Ostatnia porcja wody z bulgotem przelała się do dzbanka, sygnalizując, że kawa już jest gotowa. Nalała sobie filiżankę i łyknęła pastylkę tylenolu. Ledwo zdążyła usiąść, kiedy zadzwonił telefon. Poznała od razu Clarence'a i zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwała się trochę opryskliwie:

- Słuchaj, Clarence, przepraszam, że prosiłam cię o te adresy. Nie powinnam była. Też bym nie chciała, żeby jakiś urzędnik podawał komuś informacje na mój temat. Więc po prostu zapomnijmy o sprawie. Chwilowy brak zdrowego rozsądku.

Clarence plótł jakieś bzdury. Nawet nie zauważył, że go przeprosiła.

- Jadę na prawdziwy, poważny audyt. To duża sprawa, Ollie, może nawet da mi awans. Dzwonię, bo chcę ci powiedzieć, że nie dam rady wpaść na obiad w tym tygodniu.

- Okej. Muszę kończyć, Clarence. Pozdrów tam wszystkich ode mnie w urzędzie.

Zanim zdążył odpowiedzieć, już odłożyła słuchawkę. Telefon prawie natychmiast zadzwonił drugi raz. Pewna, że to Clarence, odczekała kilka sygnałów, zanim odebrała. Dzwonili z agencji detektywistycznej.

Zerknęła na zegarek, zdziwiona, że jest dopiero kwadrans po dziewiątej. Widać, że agentka wzięła się ostro do pracy. Porozmawiała chwilę z Miki Kenyan, nim ta przeszła do rzeczy.

- Wysłaliśmy już do pani e-maila i faks. Namierzyliśmy Jillian Davis Laramie w Woodbridge, w New Jersey. Nad Gwendolyn Nolan jeszcze pracujemy, przez te wszystkie nazwiska. Ale dziś po południu powinnam już coś dla pani mieć.

- Fantastycznie, znaleźliście jedną z nich! Macie jakieś szczegóły?

- Raport jest dość ogólnikowy. Wszystko ma pani w e-mailu. Jeśli chce pani dokładniejszych informacji, to będzie drożej kosztować. Proszę przeczytać raport i skontaktować się ze mną. Jeśli pani wsiądzie w Metrolinerz Waszyngtonu, może pani być w New Jersey za trzy i pół godziny. Samolotem do Newark leci się czterdzieści minut. Jeszcze dziś" się do pani odezwę.

Olivia odchyliła się na oparcie krzesła. Ból głowy zelżał już do lekkiego pulsowania. Liczyła, że poranny prysznic rozprawi się z nim na dobre. Ze świeżą filiżanką kawy powędrowała do gabinetu, a za nią psy. Przyjrzała im się przez chwilę. Stado żytych, szczęśliwych czworonogów. Dobrze im było ze sobą bawiły się razem, spały razem i nawet opiekowały się sobą wzajemnie. AJe ciągle nie miała pojęcia, który z dwóch yorków to Cecil.

Kiedy kliknęła w skrzynkę e-mailową wyskoczyło:

PAD@earth. link.net. Przeczytała sześć linijek.

„Jillian Marie Davis Laramie

99 High Street Woodbridge,

New Jersey

Okres zamieszkania:

19 lat Numer telefonu i adres e-mail nieznane.

Nie posiada ważnego prawa jazdy ani na nazwisko panięskie ani po mężu".

Całe sześć linijek.

Aż zamrugała. Liczyła na nieco więcej. No, ale zleciła agencji odnalezienie Jill i to zrobili. Brak telefonu i adresu e-mailowego. Znaczy że będzie musiała z nią porozmawiać w cztery oczy. Czemu nie. Mogłaby wyjechać rano i wrócić tego samego dnia. Sąsiad, kumpel ojca, przyszedłby w ciągu dnia wypuścić psy. Alice lubiła Toma Hutchinsa, emerytowanego listonosza - zawsze kiedy do nich zaglądał, miał dla suczki jakiś przysmak. Jeśli Alice go lubi, reszta psów też go zaakceptuje.

Woodbridge w New Jersey. Dość daleko od Ole Miss wywędrowała przyjaciółka Allison Matthews.

Obróciła się z krzesłem, bo psy szalały, wrywając sobie zabawkę na sznurku. Zatrzymała spojrzenie na pamiętniku. Musi skończyć go czytać, zanim wybierze się do New Jersey; teraz postanowiła, że weźmie prysznic i coś na siebie włoży.

Godzinę później, ubrana w dżinsy, bladoróżowy sweterek i botki do kostek, Olivia była w kuchni, gdzie połknęła drożdżówką i popiła jogurtem z kartonika. Przyda się więcej energii, zanim znów zmierzy się z sekretnym dziennikiem Adrianny Ames.

„To coś”.

Telefon na biurku zadzwonił przeciągle. Olivia przyglądała mu się dłuższą chwilę. Jakiś klient? Jeff? Szarpnęła słuchawkę i usłyszała pogodny głos ojca. Ból głowy, który już prawie minął, znów się nasilił.

- Co słysząc, Ollie? Zawsze tak zaczynał rozmowę.
- Dużo. - Zwykle tak odpowiadała.
- Szczegóły, proszę.
- No, więc pojechałam do domu twojej żony z Jeffem Bannermanem, tym opiekunem Cecila. Omal nas nie rozszarpało wściekle psisko. Otworzyliśmy sejf, a w środku leżały kserokopie tych obligacji, które panienki ukradły i jeszcze parę innych rzeczy się znalazło. Zabraliśmy zdjęcia, kserokopie i jej pamiętnik. Trochę wczoraj przeczytałam. Ona myślała o mnie „to coś”, tato. Wiedziałeś o tym?
- Tak, Ollie. Ale minęło już tyle lat. - Zupełnie, jakby się bronił.
- Wynajęłam prywatnego detektywa, żeby zlokalizował Jill i Gwen, bo sama nie dałam rady. Dzwonili właśnie niedawno. Znaleźli Jill w New Jersey. Gwen jeszcze nie.
- Rozumiem, że masz zamiar z nią porozmawiać. - Zabrzmiało to jak stwierdzenie, choć tak naprawdę było pytaniem.
- Tato, skąd ona miała moją bransoletkę szpitalną? Mówiłeś przecież, że nie chciała mnie nawet zobaczyć. Mnie, „tego czegoś”.

- Nie wiem, Ollie. Może pielęgniarka jej dała. Wiem tylko, że kiedy cię odbierałem, już jej nie miałaś. Pielęgniarka nie wiedziała, jak to się stało, a ja wpadłem w panikę, że może zabieram do domu nie swoje dziecko. Ale zaraz się zorientowałem, że wszystko w porządku, bo byłaś jedyną dziewczynką na porodówce. Oprócz ciebie przyszło wtedy na świat tylko czterech chłopców.

- A jak tam twój czarter?

- W porządku. Zapisali się znowu na wrzesień. Muszę lecieć, Ollie. Czekają na mnie, żeby odbić od brzegu. Zapłacili, więc wymagają pełnej obsługi. Kocham cię, malutka, nigdy o tym nie zapominaj.

W tym momencie powinna, jak zwykle powiedzieć „Ja też cię kocham, tato”, ale nie powiedziała. Odłożyła słuchawkę i zabrała się do czytania pamiętnika.

Najbardziej szczegółowy wpis, poza tymi ogólnikowymi, na jedną - dwie linijki, dotyczył podziału łupów.

„Umówiliśmy się w Holiday Inn. Przyniosłam wszystko w wielkiej torbie. Wcześniej podzieliłam towar na trzy równe części. To miała być dla nas wielka chwila, ale wyszło jakoś nijako. Tylko na siebie popa-trzyłyśmy. Jill tak się przejęła moim rozwodem, że prawie nie zwracała uwagi na to, co właśnie robimy. Nigdy nie widziałam u niej takiej wściekłości. Jakby mogła, to by mnie chyba zabiła. A Gwen była tak naćpana, że ledwo mówiła, właściwie tylko bełkotała. Wytłumaczyłam im, jak można ostrożnie upłynnić towar, ale podejrzewam, że nic do nich nie dotarło. Jill powiedziała, że spotyka się z jakimś facetem. Gwen też. Potem Jill gadała coś o swoim mężu. Z tego, co mówiły, żaden z tych facetów nie jest wart zainteresowania. Jill przytyła. Wygląda, jakby była w ciąży. A Gwen jest gruba. Chyba obie za bardzo się przejmują.

Ustaliliśmy, że nie będziemy do siebie dzwonić ani pisać. Tak będzie najlepiej, chociaż na wszelki wypadek wymieniliśmy się telefonami i adresami. Zdenerwowały się, kiedy usłyszały, że zmieniałam nazwisko. Oczywiście, legalnie. Jakbym to zrobiła, żeby być lepsza od nich! Wcale nie o to chodzi. Chciałam się go pozbyć, tak samo, jak pozbyłam się Dennisa i tego dzieciaka.

Nie bawiłyśmy się w jakieś bzdury typu uścisk na pożegnanie. Po prostu każda poszła w swoją stronę. Kawa i ciastka, za które zapłaciłam, zostały na stoliku nieruszone. Co za frajerki. Nie wiem w ogóle, po co się z nimi zadawałam. Za pięćdziesiąt lat obie będą tak samo głupie, jak dziś. Cieszę się, że mam je z głowy".

Później wpisy pojawiały się rzadko, mówiły o tym, jak przyzwyczajała się do nowego nazwiska, jak wyjechała z okolic Winchesteru (z czego, jak pisała, była bardzo zadowolona), o emocjach, gdy po raz pierwszy udało jej się coś sprzedać.

Lata leciały naprzód, ale w pamiętniku nie znalazła nic ciekawego. Jedyne krótką wzmiankę o ślubie Gwen i zwięzłe podsumowanie. „Idiotki, obie".

Przewracała kolejne strony. Wyprostowała się na krześle, kiedy znalazła coś o sobie.

„Dzisiaj wynajęłam prywatnego detektywa. Dostał zaliczkę i ma mi przysłać co kwartał raporty na temat córki Dennisa. Nawet teraz, po tylu latach, nie umiem myśleć o niej „moja córka". Dziś skończyła szesnaście lat. Dziwne, że zawsze pamiętam o jej urodzinach. Przecież dla mnie ten dzień był taki paskudny. Może dlatego tak dobrze go pamiętam.

Więc czemu wynajęłam detektywa, żeby mi donosił o tej dziewczynie?

Chyba z czystej ciekawości".

Skrzywiła się. „Ta dziewczyna" to zawsze ciut lepiej niż „to coś". Nie rozplącę się, do cholery! Zerwała się z krzesła i pobiegła do kuchni. Kątem oka zerknęła na ekspres do kawy, ale uznała, że ma już w organizmie dość kofeiny, żeby przetrwać dzień i poprzestała na soku jabłkowym. Czowała się tak, jakby w ustach miała watę, a pod powiekami piasek. Wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Kiedy doszła trochę do siebie, czytała dalej. Chciała jak najszybciej mieć to za sobą.

Kolejny zapis dotyczył jej edukacji.

„Ciężko uwierzyć, że to już dwadzieścia dwa lata. Durny detektyw nie może zrozumieć, czemu nie chcę zdjęć tej dziewczyny. Płacę mu za raporty, nie za zdjęcia. W dodatku mam wrażenie, że za dużo ode mnie wyciąga. Ta dziewczyna jest tak samo nudna jak Jill i Gwen. Nie robi nic ciekawego. Nie chodzi na randki, nie działa w żadnej organizacji. Mam oglądać jej zdjęcia, jak się ściska i całuje z ojcem? Dzię-

kuję bardzo. Nauczycielka, na litość boską. Można się było spodziewać. Założę się, że to stary dobry nudziarz Dennis podsunął jej ten pomysł".

Olivia skuliła się w sobie.

- Ty zdziro! - wrzasnęła przez łzy.

Przewracając następne strony, znalazła wyciągi z banku, a wreszcie takie wyznaczenie:

„Uwielbiam patrzeć na te wszystkie zera. Nigdy nawet w najśmielszych snach nie marzyłam, że zostanę milionerką i to stukrotną. Pisała do mnie Gwen z prośbą o pożyczkę. Aż mnie zamurowało, kiedy to przeczytałam. Pożyczka. Podarłam jej list na strzępki. Zawsze wiedziałam, że to idiotka".

Skoro Gwen poprosiła o pożyczkę, znaczyło, że skończyły jej się pieniądze. Dziwne. Co Jill zrobiła ze swoją działką?

Następne wpisy bez znaczenia, w większości na temat importu z zagranicy, nowych produktów - a w końcu najgorsza zdrada. Długoletni pracownik Allison został przyłapany na podbieraniu pieniędzy z kasy.

„Zniszczę go. Choćbym miała wydać ostatniego centa, zrobię wszystko, żeby tego pożałował. Dzisiaj już nikomu nie można ufać. Byłam bardzo hojna dla niego i jego rodziny, a on tak mi się odwdzięcza? Pożałuje dnia, w którym zaczął pracować w Skarbcu Adrianny".

- Masz za swoje, ty świętoszkowaty babsztylu. I założę się, że nie wezwałaś glin. Załatwiłaś to sama. Nie, nie chciałaś żadnych gliniarzy, złodziejko - mruknęła Olivia.

Kolejne puste kartki.

Zacisnęła zęby, kiedy przeczytała:

„Kalendarze, na miłość boską! I to z psami! Tymi małymi, śmierdzącymi, brudnymi stworzeniami, które obsikują wszystko dookoła. Nie mogę uwierzyć. To cały Dennis, jakbym go widziała. Kalendarze! Wstyd mi za nią, a przecież nawet jej nie znam".

Olivia przygryzła wargi. O ile wiedziała, w życiu nikomu nie przyniosła jeszcze wstydu. Ty wredna, podła babo!

Żadnych wpisów przez kolejne lata. I wreszcie przełomowa wiadomość. Olivia otworzyła szeroko oczy.

„Ten głupi doktor mówi, że umieram. Chyba to ja powinnam wiedzieć najlepiej, czy umieram, czy nie. Czuję się całkiem dobrze. Muszę iść do jakiegoś innego lekarza”.

I następny wpis.

„To już pewne. Trzech na trzech potwierdziło, że umieram. Nie mogę w to uwierzyć. No, cóż, nie zamierzam się poddawać. Ważne jest pozytywne nastawienie. Jeden z tych konowałów miał czelność powiedzieć mi, że powinnam już teraz uporządkować swoje sprawy. Ale nie miał tyle rozumu, żeby mi wyjaśnić, jak mam to zrobić. Tacy są mężczyźni. Nie będę więcej pisać w tym głupim pamiętniku. Sama się wszystkim zajmę. Życie jest po to, by je przeżyć, a ja jeszcze żyję”

Olivia zebrała luźne kartki i wcisnęła je między okładki pamiętnika. Zabezpieczyła wszystko dwiema gumkami, potem włożyła do koperty i wepchnęła na samo dno najniższej szuflady biurka.

Z piekącymi oczami wyszła z gabinetu i poszła do łazienki. Myła ręce w gorącej wodzie, szorując szczotką do paznokci palce i grzbiety dłoni. Teraz piekły ją też ręce. Powlokła się do kuchni, rozejrzała dookoła, lekko oszołomiona. Nie wiedziała, po co tu przyszła. Zrobiła sobie kawę tylko dlatego, żeby czymś się zająć.

Psy krążyły wokół niej, przymilały się, w oczekiwaniu na wspólną zabawę albo smaczny kęs. One przecież tylko chciały mieć kogoś, kto będzie je kochał i karmił, i zadba, żeby było im ciepło.

- Okej, z wczorajszego obiadu zostało dużo klopsa. Zaraz wam odgrzeję.

Pieski momentalnie pochłonęły jedzenie. Alice aż czknęła, co Oli-vię rozbawiło do łez.

Ponura szarość nieba nie wróżyła dobrze. Chyba znowu spadnie śnieg.

Nie myśl o tym nieszczęsnym pamiętniku ani o tej żalösnej kobiecie, która robiła zapiski, nakazała sobie. Zaplanuj wyjazd do New Jersey. Zadzwoñ do pana Hutchinsa. Zamów bilet samolotowy i dowiedz się o samochód do wynajęcia.

Zrobiła wszystko po kolei. Udało jej się kupić bilet do Newark na siódmą rano i zarezerwować lot powrotny o siódmey wieczorem tego samego dnia. W wypożyczalni samochodów Avis zamówiła fordą taurusa na dwadzieścia cztery godziny. Pan Hutchins zgodził się zaopiekować psami i posiedzieć u niej w domu aż do jej powrotu. Miał przyjść jutro o piątej rano. Teraz jeszcze chciała wejść na stronę z mapami, żeby wydrukować trasę dojazdu do domu Jill Laramie.

Robię to, bo... bo... Sama nie wiem dlaczego.

Jakoś udało jej się zabić czas do końca dnia. Poszła do spożywczego, oddała rzeczy do pralni a potem pojechała je odebrać, zajrzała też do sklepu zoologicznego, gdzie kupiła psom nowe piszczące zabawki i przysmaki z suszonej skóry do żucia. W ostatniej chwili poprosiła jeszcze o dwukilogramową torbę suchej karmy, chociaż dobrze wiedziała, że psy jej nie ruszą. Ale i tak wzięła.

Po drodze do domu zatrzymała się we włoskiej knajpce Violino, gdzie zamówiła obiad, a do tego na przystawkę pieczywo czosnkowe. Ostatnim przystankiem był sklep monopolowy, w którym kupiła butelkę śliwownicy dla pana Hutchinsa i piwo, na wypadek, gdyby Jeff zajrzał do niej wkrótce.

Chowała zakupy do szafek, kiedy właśnie zadzwonił. Znowu miał zmęczony głos. Szybko streściła mu zapiski Adrianny Ames i powiedziała o swoich planach jutrzejszej podróży do New Jersey.

- Będę w domu około dziewiątej wieczorem, jeżeli chciałbyś przyjechać.
 - Dobra, przywiozę coś na obiad. Uważaj na siebie, Olivio. Kiedy w grę wchodzi pieniądze, ludzie przestają być sobą. Jeśli taka osoba uzna, że w czymś jej zagrażasz, nie cofnie się przed niczym. Bądź czujna i uważaj.
 - Dobrze, taato. - Roześmiała się.
 - Chyba się za tobą stęskniłem, Oliwio.
- Jej ręka sama jakoś wyładowała na sercu.

- Tak?

No, brawo, co za cięta riposta.

- Tak. Siedzę nad tym zakichanym sprawozdaniem. Zaczynałem je już cztery razy i żadna wersja nie trzyma się kupy. Wiesz, wczoraj mi się śniło, że ten brytan, Brutus, gonił mnie wokół zalewu nad Po-tomakiem, a za nim biegł Cecil Masz ochotę wyjść ze mną na obiad w środę wieczorem? Mógłbym wtedy u ciebie przenocować. Jak tam Cecil?

- Jeff czy ty mnie zapraszasz na randkę? - O, mój Boże. co na siebie włożyć? Musi kupić coś nowego. Już nie pamiętała, kiedy ostatnio była na prawdziwej randce. Chyba z Bradem, wuefistą z miejscowego liceum. Nie wyszło im, bo Olivii nie interesowało schlebianie jego sportowemu ego. A Clarence zwyczajnie się nie liczył.

- Cecil ma się dobrze. Loopy też. Obaj mają się świetnie.

- Na pewno? A tęskni za mną? Olivia przewróciła oczami.

- Tak, na pewno, chociaż nie, nie tęskni. Przynajmniej nie wydaje mi się. Trudno powiedzieć. Zachowuje się normalnie. To znaczy, wszystkie zachowują się normalnie. No, może trochę tęskni.

- Jasne! - usłyszała z drugiej strony słuchawki. - Kończę, Olivio. Widzimy się w środę. A, nie, przecież mam przyjechać jutro. No to do jutra i do pojutrze, dobra?

- Mnie pasuje. Ja chyba też stęskniłam się za tobą. Troszkę. To na razie!

Pobiegła do swojego pokoju i jednym szarpnięciem otworzyła drzwi szafy. Zawartość nie wyglądała atrakcyjnie. Gorączkowo przesuwała wieszaki i zaglądała na tył szafy, jakby w nadziei, że gdzieś tam kryje się jakiś fantastyczny markowy ciuch. Nie, to naprawdę żałosne. Nic nie nadawało się na taką okazję.

Przeżyła chwilę załamania, ale szybko się ożywiła. Przecież może wstać w środę wcześniej rano i pojechać na zakupy do centrum handlowego. A przy okazji pójść do fryzjera, może nawet do kosmetyczki. Chociaż, prawdę mówiąc, to sama randka wydawała się ekscytująca, bardziej niż nowe ciuchy. Tak, zdecydowanie randka. Omal nie zapiszczała z radości.

Odurzona nadmiarem emocji, poszła do gabinetu i włączyła komputer. Triumfalnie wyrzuciła pięść w górę, kiedy zobaczyła w skrzynce e-mailowej wiadomość z agencji.

E-mail, dotyczący Gwen Kolan, był tak samo krótki, jak poprzedni. Pod spodem dopisek: kolejny raport prześlemy w ciągu trzydziestu sześciu godzin.

„Gwendolyn Rose Nolan. Pascal Hendrix

246 Indian Drive

Summerville, Karolina Południowa

Adres jest aktualny od czterech lat.

Nie zarejestrowano numeru telefonu ani adresu e-mail.

Prawo jazdy na nazwisko Gwendolyn Rose Hendrix. Dokument jest ważny”.

No, moje panie, szykujcie się, bo jadę do was z wizytą!

Rozdział 11

O jedenastej Olivia wiedziała już, że pomyliła drogę, mimo instrukcji wydrukowanych z serwisu MapQuest. Na jakimś odcinku skręciła tam, gdzie większość samochodów pędzących stanowią jedynką, i to był błąd. Nie cierpiała tych wielkich ciężarówek, które przelatywały obok z ogłuszającym świstem. Skręciła w lewo w aleję Amboy, byle tylko wydostać się z zatłoczonej autostrady. Zjedzie na stację benzynową i spyta o drogę. A przy okazji skorzysta z łazienki i kupi sobie coś do picia.

Jeśli coś może pójść nie tak, na pewno to się stanie, pomyślała z rozbawieniem.

Dziesięć minut później kupiła na stacji colę light i spytała o drogę. Ucieszyła się, że do celu podróży zostało niecałe pięć kilometrów. Sprzedawca naszkicował jej nawet mapkę.

Wsiadła do samochodu i sunęła wolno drogą numer 35, aż dotarła na miejsce, do High Street. Tu mieszka Jill Laramie. Pojechała kawałek dalej, żeby trochę oswoić się z otoczeniem. Na ulicach było czysto i porządknie, domy wyglądały przyzwoicie, podobnie jak na Eagle Drive, pomyślała; widać, że dbano tu o porządek. Jeszcze leżał śnieg, ale wiosną i latem, kiedy drzewa nabiorą soczystej zieleni, a kwiaty i krzewy zakwitną, będzie tu naprawdę ślicznie.

Pod numerem 99 stał piętrowy dom z zabudowanym ganekiem. Po lewej znajdowały się drzwi kuchenne. Na ganek prowadziło sześć schodków. Był też garaż, ale zamknięty. Przypomniała sobie, że prawo jazdy Jillian Davis Laramie dawno straciło ważność. Ciekawe, jak się w takim razie przemieszcza.

Układała sobie w głowie, co powie przyjaciółce Allison Matthews, ale dalej lustrowała dom. Wszystkie okiennice pozamykane, zasłony zaciągnięte. Może Jill już tu nie mieszka. Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Wsiadła z samochodu i zdecydowanym krokiem weszła na ganek. Drzwi były zamknięte, więc nacisnęła na dzwonek. Zasłony po obu stronach drzwi ani drgnęły. Zadzwoiła znów, próbując coś dojrzeć przez mleczną szybę drzwi przeciwsztormowych. Żadnego odzewu. Zadzwoiła jeszcze parę razy. Cisza.

Nie zrezygnowała jednak i podeszła do drzwi kuchennych. Załomotała pięścią w szybę - nie zauważyła żadnego dzwonka ani kołatki. Górna część drzwi była przeszklona i zasłonięta żaluzjami. Najwyraźniej Jill ceniła sobie prywatność. Olivia zapukała. Nadal bez rezultatu. Przycisnęła ucho do drzwi, nasłuchując jakichś odgłosów z wewnątrz, radia albo telewizora. Cisza.

Sfrustrowana, wyszła na chodnik przy ulicy. Może dowie się czegoś od sąsiadów. Niewykluczone, że Jill wyniosła się na południe, wiele osób tam przeczekuje zimę, z dała od mrozu i śniegu. Podeszła do domu po lewej i zadzwoniła do drzwi. Otworzył jej uśmiechnięty staruszek ze strzechą siwych włosów i równie siwą brodą.

- W czym mogę pomóc, miła panienko?

- Szukam pani Laramie. Nikt nie otwiera drzwi. Może pan coś wie, czy gdzieś nie wyjechała?

Staruszek zarechotał i podciągnął sobie szelki.

- Pani wchodzi, bo zimno. Olivia posłusznie weszła.

- Może kawy albo herbaty? Właśnie zaparzyłem. Z rana nie pijam kawy, ale koło południa mój żołądek już jest w stanie poradzić sobie z nią. Pani idzie za mną to pogadamy.

Olivia powlokła się za nim przez gorące, duszne wnętrze domu. W powietrzu czuć było anyżek i maść Ben-Gaya. Dom był czysty i zadbane, a meble, choć stare, wyglądały na wygodne. Do kuchni przez okno w wykuszu wpadały promienie słońca. Na blacie stał telewizorek, ustawiony na odbiór całodobowej stacji informacyjnej. Staruszek wyciszył dźwięk w odbiorniku i wyciągnął do niej rękę.

- Paul Hemmings.

- Olivia Lowell. Mieszkam w Winchesterze, w Wirginii. Co może mi pan powiedzieć na temat pani Laramie? - Przesła od razu do rzeczy.

Starszy pan uniósł krzaczastą siwą brew, nie przerywając nalewania kawy do ślicznej filiżanki w kwiatuszki. Chyba ze specjalnej zastawy dla gości, jak podejrzewała Olivia.

- Nic nie mogę pani powiedzieć. Wprowadziła się tu ze dwadzieścia lat temu. Widziałem ją, jak wchodziła do domu, ale od tamtej pory - ani razu. Nie złożyła mi kondolencji po śmierci mojej żony, nawet kartki nie przysłała. Jasne, to było osiem lat temu i właściwie dobrze się nie znaliśmy, więc może za wiele się spodziewałem. Z początku ludzie trochę gadali. Pewnie powtarzali jakieś bzdury wysrane z palca. Tak robią, kiedy nie znają całej prawdy - jakakolwiek by ta prawda była. Dostawcy zostawiają dla niej przesyłki pod drzwiami kuchennymi. Kiedyś cała okolica się przejmowała, bo nie wiedzieliśmy, czy ona tam w środku jeszcze żyje, czy już umarła. Ale po jakimś czasie przestaliśmy się o nią troszczyć i teraz już nikt nie zwraca uwagi. Ma córkę, mieszka w Avenel. Ktoś mi mówił, że pracuje w gazecie, „News Tribune”. Ktoś inny chyba mówił, że nazywa się Mary Louise, ale nie wiem, czy to prawda. Może ciasteczko? Sklepowe, ale nienajgorsze.

- Nie, dziękuję, panie Hemmings. Kawa wystarczy. A czy córka przyjeżdża czasem w odwiedziny?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Na oczy jej nie widziałem. Niektórzy sąsiedzi mówią, że może ze sobą nie rozmawiają - one, znaczy się, matka i córka. Ale nie wiem na pewno. Dlaczego chce się pani z nią widzieć? Jakaś ważna sprawa?

- Tak, panie Hemmings, bardzo ważna. Czy byłby pan tak miły i użyzył mi kawałka papieru i taśmy klejącej? Przykleję pani Laramie liścik na drzwiach, a potem spróbuję znaleźć jej córkę. Powie mi pan, jak trafić do redakcji?

Paul Hemmings wyrwał kartkę z notesu, znalazł też jakiś długopis oraz kopertę i podał Olivii.

- Lepiej narysuję pani mapę.

Wyciągnął skądś ogryzek ołówka, splunął na końcówkę i przystąpił do rysowania szczegółowej mapy dojazdu do redakcji lokalnej gazety.

Olivia nabazgrała na kartce:

„Koniecznie muszę z panią jak najszybciej porozmawiać na prośbę Allison Matthews. Jestem jej córką”.

Dopisała jeszcze numer swojej komórki i zakleiła kopertę. - Czuj się zaproszona w odwiedziny, miła panienko. Lubię towarzystwo. Zima nie służy takim starym rupieciom jak ja. Latem możemy się wygrzewać na ganku i plotkować, a teraz zostaje nam tylko telewizja

- chociaż nie jest już tak źle, odkąd syn kupił mi komputer. Po całych dniach gram z kumplami w pokera. Ale to nie to samo, co rozmowa z żywym człowiekiem.

Olivia uściśniła rękę starszemu panu, podziękowała za kawę i wyszła. Starannie przykleiła kopertę na drzwiach kuchennych i zapukała tak głośno, jak się tylko dało - jeśli Jill Laramie jest w domu, niech wie, że wróciła. Potem odeszła.

Pół godziny później była już w redakcji „News Tribune” i wypytywała o Mary Louise. Powiedziano jej, że jest tu tylko jedna osoba o takim imieniu, Mary Louise Rafferty, i że pracuje w dziale ogłoszeń drobnych. Recepcjonistka wykreśliła numer i za parę minut zjawiała się młoda, piegowata zielonooka kobieta. Miała na sobie ciepłe wełniane spodnie i błękitny sweter. Uśmiechnęła się sympatycznie na powitanie.

- W czym mogę pani pomóc? Olivia wyciągnęła rękę.

- Olivia Lowell. Jestem z Winchesteru, w Wirginii. Czy możemy chwilę porozmawiać na osobności?

Zielone oczy zmierzyły ją badawczym spojrzeniem. Instynkt reportera.

- O czym? - spytała ostrożnie.

Mary Louise wydała się Olivii porządna i uczciwa. Z miejsca przypadła jej do gustu.

- O pani matce. Pojechałam do niej do domu, ale mi nie otworzyła. Rozmawiałam z sąsiadem, Paulem Hemmingsem. To on mi poradził, żeby tu przyjść. Naprawdę muszę z panią porozmawiać. Moja matka kiedyś przyjaźniła się z pani matką. Nazywała się Allison Lowell. Niedawno zmarła i prosiła mnie, żebym odnalazła jej dwie dawne przyjaciółki.

Mary Louise Rafferty zmarszczyła brwi, ale poprowadziła Olivię przez korytarz w stronę ozdobnej ławeczki, stojącej pod rozrośniętym fikusem obok czegoś w rodzaju fontanny z małą sadzawką. Usiadły, Mary Louise zacisnęła ręce na kolanach. Olivia spjrzała na jej obrączkę, a kobieta uśmiechnęła się blade.

- Mam siedmioletnie bliźniaki. Pracuję tylko w tym czasie, kiedy są w szkole. A teraz niech pani mówi, w czym mogę pomóc.

- Proszę mi powiedzieć, jak mogę się skontaktować z pani matką. Ma jakiś numer telefonu albo adres e-mailowy? Jeśli ma zastrzeżony telefon, to może pani mogłaby zadzwonić i przekonać ją do rozmowy ze mną. Sprawa jest naprawdę bardzo ważna. Bardzo - to mało powiedziane. To niezwyklej wagi sprawa.

Mary Louise zawahała się. Wreszcie odpowiedziała.

- Mogę zadzwonić w pani imieniu, ale wątpię, żeby to coś pomogło. Moja matka jest... nietypowa. Unika ludzi. Nie wychodzi z domu. Nigdy. Nikogo nie wpuszcza do środka, bo boi się zarazków. Taka fobia. Nigdy nie spotkała się z moimi dziećmi, wysyłam jej tylko zdjęcia. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale nie widziałam jej, odkąd się przeprowadziła na High Street, a to już prawie dwadzieścia lat. Nie muszę chyba dodawać, że nie jesteśmy sobie specjalnie bliskie, ale zawsze to matka. Przez lata próbowałam jakoś do niej dotrzeć, ale... w końcu się poddałam. Lepszy kontakt mam z ojcem. I jest takim cudownym dziadkiem dla moich dzieciaków. Niestety, mieszka

aż w Arizonie, ale mogę pani dać jego adres e-mailowy i telefon. Matka też ma e-maila. W ten sposób załatwia wszystkie sprawy w banku i urzędach, no i zamawia przez Internet; zostawiają jej wszystko pod kuchennymi drzwiami. Pewnie pomyśli pani, że to nienormalne.

Z ust Olivii wyrwał się dziwny dźwięk, który chyba miał być śmiechem.

- Chce pani posłuchać o czymś naprawdę nienormalnym, to proszę bardzo. Moja matka urodziła mnie, po czym oświadczyła mojemu ojcu, że nie chce „tego czegoś”. To ja byłam „tym czymś”. Tego samego dnia powiedziała mu, że żąda rozwodu. Ojciec od tamtej pory już jej nie widział. Wychowywał mnie sam, mówiąc, że matka nie żyje. A kilka dni temu w moim domu zjawił się jakiś prawnik, który poinformował mnie, że moja matka zmarła przed paroma tygodniami. To dopiero jest dziwne.

- O, choroba. Racja, normalne to jest. Nic mi nie wiadomo o żadnych przyjaciółkach mojej matki. Może w tamtych czasach w Missisipi panowała jakaś epidemia dziwaczności. - Mary Louise zaśmiała się gorzko.

- Jest jeszcze jedna przyjaciółka - powiedziała Olivia. - Ma na imię Gwen. Mieszka w Południowej Karolinie. Za parę dni wybieram się tam, żeby z nią porozmawiać. Nic pani o niej nie wie?

Mary Louise skrzywiła się.

- Nie, pierwsze słyszę. Ciekawe, czy to też świruska. Więcej niż pewne - mruknęła do siebie. - Mój ojciec ma takie powiedzonko: ciągnie swój do swego. Olivia roześmiała się.

- Mój nieraz to powtarzał. I zgadzam się - z nią też chyba coś nie tak. Zostawiłam pani matce kartkę na drzwiach. Myśli pani, że przeczyta?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Był czas, że bardzo się nią przejmowałam, ale szybko mi przeszło, kiedy nawet nie chciała zobaczyć swoich wnuków. Mój mąż nie chce o niej słyszeć. Proszę tu zaczekać, zadzwonię do niej z biura. Zapiszę pani też jej adres e-mailowy.

Olivia spacerowała po rozległym, nieprzytulnym holu, przyglądając się zdjęciom na ścianach, gdy usłyszała, że ktoś ją woła.

Mary Louise już z daleka kręciła głową na znak, że matka nie chce rozmawiać. Podała Olivii karteczkę.

- Zapisałam pani mój numer domowy i telefon do pracy, gdyby jeszcze kiedyś chciała pani zadzwonić. Mój ojciec na pewno z panią porozmawia. A matka kazała pani przekazać, że co było, to było i że ani trochę jej nie obchodzi, że pani matka nie żyje. Przykro mi, ale ona nie przebiera w słowach.

Olivia westchnęła ciężko.

- Da mi pani przynajmniej adres e-mailowy matki? Przysięgam, że jej nie powiem, skąd go mam.

Mary Louise zawahała się, ale w końcu skinęła głową i dopisała adres na dole karteczki. Olivia podziękowała wylewnie i obiecała, że się jeszcze odezwie.

Już wychodziła, kiedy nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Obróciła się w drzwiach.

- Nie ma gdzieś w pobliżu kafejki internetowej?

- Pewnie, że są. Jedna w centrum handlowym, a druga w mieście, przy głównej ulicy.

- A jak tam trafić?

Mary Louise jeszcze raz wzięła od niej kartkę i napisała, jak dojechać do obu kafejek. Pożegnały się.

Olivia wyjechała na autostradę, kierując się wskazówkami, które otrzymała. Po przestudiowaniu mapy już wiedziała, że centrum handlowe znajduje się niecałe półtora kilometra od domu Jill Laramie.

Dobre pół godziny zajęło jej zlokalizowanie kafejki, kiedy już znalazła miejsce na olbrzymim parkingu. Zarezerwowała wolny komputer, zapłaciła i usiadła, żeby za jednym zamachem napisać do Gilla Laramie, byłego męża Jill, i do niej samej. Spoglądała na zegar - może poczekać na odpowiedź przynajmniej dwie godziny, jeśli tylko Jill albo jej eks-mąż siedzieli akurat przy komputerze. Potem już będzie musiała jechać prosto na lotnisko, żeby nie wpakować się w korki na autostradzie, oddać sa-

mochód do wypożyczalni i przejść odprawę. Nie zamierzała zostawać na noc w New Jersey. Chciała zobaczyć się z Jeffem.

Najpierw napisała do Gilla Laramie. Podała mu swojego e-maila i adres domowy. Może odpisze od razu. Streściła pokrótce całą sprawę, ale nie wspomniała nic o kradzieży.

Długo się zastanawiała nad wiadomością do JUL. Jeśli kobieta rzeczywiście tak zdziwaczała, jak twierdziła Mary Louise, całkiem możliwe, że usunie e-maila Olivii bez czytania, chyba że uda jej się jakoś przykuć uwagę już w temacie. Trzeba czegoś naprawdę mocnego. W końcu zdecydowała się na trzy słowa, które wypisała dużymi, pogrubionymi literami. „Napad na bank”. Sama wiadomość była krótka i do rzeczy.

„Proszę pomyśleć: FBI. Niech pani przypomni sobie, co się zdarzyło czterdzieści lat temu. Byłam dziś u pani w domu, bo chciałam porozmawiać. Moja matka, Adriana Ames, którą pani знаła jako Allison Matthews, zmarła przed paroma tygodniami. Prosiła, żebym zwróciła jej część pieniędzy do tego banku w Missisipi. Chciała też, żeby pani i Gwen zwróciły to, co ukradłyście. Wie pani chyba, że napad na bank uznaje się za przestępstwo w całych Stanach. Muszę z panią porozmawiać. A pani musi wiedzieć, że jeżeli chodzi o tę sprawę, równie trudno mnie zniechęcić, jak zatrzymać czterystukilowego goryla. Na dole podaję swój e-mail i numer telefonu. W tym tygodniu wybieram się w odwiedziny do Gwen. Pani też mi się nie wyrnknie, pani Laramie. Jeśli spróbuje pani znowu gdzieś uciec, to znajdzie panią FBI. Ja panią znalazłam, i znajdę znowu, jeśli pani ucieknie”.

Podpisała się i dodała swój numer telefonu i adres e-mailowy. Potem się wyłogowała i wyszła z kafejki. Miała do dyspozycji maksymalnie dwie godziny. Wstępowała do sklepów, ale myślami była zupełnie gdzie indziej. Od St. Johna wyszła lżejsza o pięćset dolarów, ale za to z uroczą bordową sukienką, która opinała jej figurę, jakby była szyta na miarę. W Lord & Taylor znalazła idealnie pasujące buty i torebkę. Chociaż zwykle nie wydawała dużo na ciuchy, właśnie stwierdziła z przerażeniem, że na randkę z Jeffem Bannermanem poszła równowartość rocznego budżetu ubraniowego, który sobie wcześniej ustaliła. Przekonywała samą siebie, że wszystko, co kupiła, jest eleganckie i stylowe i że to inwestycja na lata. Zanim te rzeczy się zniszczą, jeszcze zdążą jej się znudzić.

Potem wróciła do kawiarenki internetowej i znowu wykupiła czas na komputerze. Nie zdziwiła się, że w skrzynce nie było żadnych wiadomości. Wylogowała się,

zabrała torby z zakupami i poszła do samochodu. Czas wracać do Winchesteru, do kochanych zwierzaków. Czas do domu, gdzie będzie mogła poczekać na Jeffa.

Wjeżdżając na podwórko, zobaczyła od razu samochód Jeffa. Jak miło. Wyciągnęła torby i pobiegła do domu. Gdy otworzył drzwi, psy wypadły i rzuciły się na Olivię, co należało do rytuału powitania; mało jej nie przewróciły. Śmiała się od ucha do ucha. Nie majak w domu.

Wieczór, a właściwie jego końcówka, okazał się bardzo przyjemny. Jeff czekał na nią z obiadem - co prawda, wziął coś na wynos, ale nie szkodzi. Zdaniem Olivii, w dobrym towarzystwie każde jedzenie smakuje. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, jak starzy, dobrzy znajomi. Potem, racząc się piwem, obejrzeni nocny program Davida Lettermana - zaśmiewali się do łez z jego absurdalnych dowcipów. Było już wpół do drugiej, gdy zaprowadziła swojego gościa do pokoju gościnnego. Ojciec urządził go w męskim stylu - przeważała ciemna zieleń i czekoladowy brąz, z bordowymi akcentami. Pokój prawdziwego mężczyzny. Nawet ręczniki w przylegającej łazience pasowały kolorystycznie. Wystrój wnętrz - to kolejne hobby ojca Olivii.

W korytarzu powiedzieli sobie „dobranoc” - ale zamiast iść spać, oboje przestępowali z nogi na nogę, aż nagle Jeff podszedł bliżej i pocałował Olivię bardzo, bardzo mocno. Kiedy spojrzeli na siebie, ich twarze miały identyczny wyraz - totalnego zdumienia. Olivia zrobiła krok w tył, Jeff też. Chwilę później, on był już w swoim pokoju. Oli-via odzyskała władzę w nogach i pobiegła do siebie. Zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz, ale zaraz otworzyła zamek. Cztery psy przyglądały jej się, siedząc na łóżku. Może to jakaś nowa zabawa?

A ona czuła się tak, jakby miała szesnaście lat. Wskoczyła na łóżko i harcowała z psami, śmiała się wesoło na całe gardło, jak wariatka. Wreszcie, zmęczona, rozebrała się, umyła zęby i wśliznęła pod kołdrę. Już zasypiała, kiedy przypomniało jej się, że nie sprawdziła poczty.

- Nieważne - mruknęła sennie.

Czworonogi chodziły po kołdrze, ugniatały sobie łapami miejsca do spania, w końcu ułożyły się: suczki po jej prawej stronie, a psy po lewej, wszystkie łebkami zwrócone na pokój. Pilnowały swojej pani czujnie.

O piątą trzydzieści rano Jeff i Olivia zerkali na siebie niepewnie. W końcu ona nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem. Jeff też się roześmiał, ale lekko się przy tym zarumienił.

- Będziesz jadł śniadanie?

- Nic z tego, Olivio. Mam dziś w sądzie sprawę spadkową. Muszę tam być przed rozprawą, a już pada śnieg. Zobaczymy się wieczorem. Jesteśmy umówieni, prawda?

- Już nie mogę się doczekać, Jeff. Jakby coś się zmieniło, dzwoń. Zapisał jej na skrawku papieru adres e-mailowy do siebie do pracy, zarzucił kurtkę i pobiegł do drzwi. Ale zanim wyszedł, jeszcze się odwrócił, żeby pocałować OIivię w policzek.

- Napisz do mnie, jeśli dostaniesz jakąś odpowiedź.

- Nie ma sprawy.

Dwa pocałunki: jeden taki prawdziwy, drugi w pośpiechu, bardziej przyjacielski. Jak dla mnie, całkiem w porządku. Chciało jej się śpiewać.

Razem z psami pobiegła do przesuwanych drzwi. Cała czwórka ujadała piskliwie, próbując łapać w powietrzu płatki śniegu, a leciały z nieba w wielkiej obfitości. Stała w progu i patrzyła na psią zabawę w śnieżki, lecz myślami była daleko. Gdy psy wbiegły do domu, osuszyła je ręcznikami i zrobiła sobie kawę, chociaż korciło ją, żeby od razu usiąść do komputera.

Na dworze już się rozjaśniało, ale wiatr wyl i wirujące białe płatki osiadały na szybach. Chyba zanosilo się na kolejną śnieżycę. Znowu trzeba będzie siedzieć w domu. Olivia poszła do salonu rozpalić w kominku. Pomyślała o ojcu, który w tej chwili pewnie wygrzewał się w słońcu na swoich wyspach, wdychając zapach ciepłej bryzy. Ale nie zastanawiała się nad tym długo, bo właśnie drewno w palenisku zajęło się i buchnęły płomienie; psom będzie ciepło. W kuchni nalala sobie kawy, złapała jeszcze ciastko truskawkowe i pobiegła włączyć komputer. Jak dziecko trzymała kciuki, licząc, że będą jakieś nowe wiadomości. I były, siedemdziesiąt, z czego co najmniej sześćdziesiąt pięć - czysty spam. Pokasowała je, a otworzyła tę od Gilla Laramie. Jill nie odpisała. Może jeszcze nie przeczytała. No, ale kartkę na drzwiach musiała przecież zauważyć.

Gill napisał tylko, żeby zadzwonić do niego na numer telefonu, który podaje.

Wypiła kawę jednym haustem i wykręciła numer do Arizony. W słuchawce odezwał się niski głos o przyjemnym brzmieniu.

- Gill Laramie, słucham. Olivia wstrzymała oddech.

- Panie Laramie, z tej strony Olivia Lowell, córka Adrianny Ames, vel Allison Matthews. Wczoraj wysłałam panu e-maila z New Jersey, Pana córka, Mary Louise, powiedziała mi, że mieszka pan w Arizonie i podała mi pana adres.

- Tak, wiem. Wczoraj wieczorem do mnie dzwoniła. Wyjaśniła mi, o co chodzi. Więc słucham, w czym mogę pomóc?

- Właściwie to nie bardzo wiem, panie Laramie. Dlaczego pańska była żona tak unika ludzi, z nikim nie chce rozmawiać? Jej sąsiad, Paul Hemmings, twierdził, że ona w ogóle nie wychodzi z domu, że nawet nie widuje jej na podwórku. Pana córka mówiła to samo... A ja koniecznie muszę z nią porozmawiać. To bardzo ważne.

- Wie pani, ja nie jestem w dobrych kontaktach z Jill. Właściwie w ogóle nie utrzymujemy kontaktów. Odkąd się rozwiedliśmy, nawet z nią nie rozmawiałem. A że jest dziwna, to się zgadza. Zawsze mi się wydawało, że chce być taka jak ta Allison Matthews, której zresztą na oczy nie widziałem. Poznałem natomiast Gwen. Jill ciągle się czegoś bała. Nigdy nie mogłem zrozumieć, o co jej chodzi. Mary Louise... bardzo to przeżywała, będąc dzieckiem. Raz Jill zachowywała się normalnie, jak na nią - co i tak bywało dziwaczne - a następnego dnia nie chciała wychodzić z domu i z nikim rozmawiać. Żyła praktycznie w jednym pokoju. Po jakimś czasie to się stało nie do zniesienia, więc wniosłem o rozwód i zabrałem ze sobą Mary Louise. Jill było wszystko jedno.

Olivia analizowała te informacje.

- Coś się stało? Jakiś kryzys?

- Jill wiecznie miała kryzys. Załamała się, bo Allison nie odpowiedziała na zaproszenie na nasz ślub. Od Gwen dostaliśmy srebrną zastawę do herbaty, a Allison nie przysłała żadnego prezentu. Potem jakby Jill przeszło. Ale parę lat później, kiedy zaszła w ciążę, znów zaczęła się dziwnie zachowywać. Myślałem, że to takie wahania nastroju, z powodu ciąży, ale kiedy urodziła, było coraz gorzej. Do dziś nie wiem, jak zdołałem tak długo z nią wytrzymać. Zauważyłem, że to źle działa na Mary Louise i zażądałem rozwodu. Najpierw Jill wpadła w panikę. Nie chciała zostać sama.

Przyrzekła, że będzie chodzić na terapię, ale bała się wyjść z domu, więc przez jakiś czas terapeutka przychodziła do nas. Potem i to się skończyło. Te wizyty były piekielnie drogie, ale Jill ma zyski z jakiegoś funduszu inwestycyjnego. Po rozwodzie dała mi pięćdziesiąt tysięcy na opiekę nad Mary Louise. Czy to, co powiedziałem, w czymś pani pomogło?

- Nie jestem pewna, panie Laramie. Jill utrzymywała jakieś kontakty z Allison i Gwen?

- Krótko. Urwały się niedługo przed urodzeniem Mary Louise. Powiedziała, że na nią naskoczyły. Nie tyle chodziło jej o Gwen, ile o Allison. Czasem coś mamrotała, że się na niej odegra, że ją załatwi i tym podobne. Kiedyś powiedziała, że Allison to samolubna zdzira i że zrujnowała jej życie. Nawet nie próbowałem dociekać, o co chodzi - uznałem, że to jakieś babskie sprzeczki.

- Cóż, dziękuję, że mi pan poświęcił trochę czasu, panie Laramie. Czy będę mogła do pana zadzwonić, gdybym chciała jeszcze o coś zapytać?

- Nie ma problemu. Fundusz inwestycyjny, akurat!

Reszta dnia minęła jej jak z bicza strzełił. Jill ciągle nie odpisywała. Około ósmej przyjechał Jeff. Obgadali dokładnie to, czego dowiedziała się od Gilla Laramie, a potem pobawili się trochę z psami i poszli spać.

Rozdział 12

W środę rano Olivia ocknęła się dość gwałtownie. Spojrzała na zegarek: dziewiąta dwadzieścia. Wyskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok i pognała korytarzem obudzić Jeffa, pewna, że oboje zaspali. Psy, warczeniem i skomleniem dopominały się spaceru. Drzwi do pokoju gościnnego były otwarte, a łóżko pościelone. Pomyślała, że Jeff jest w kuchni, więc przebiegła przez salon, dzwoniąc z zimna zębami. Psy zaszczekały

głośniej. Wypuściła je szybko i wróciła do kuchni. W ekspresie paliła się czerwona lampka, a kawa w środku nie różniła się od smoły, więc wylała ją do zlewu. Rozglądała się dokoła, w nadziei, że dojrzy jakiś liścik i znalazła, był przyklejony do mikrofalówki. Po głębokim oddechu ulgi, aż zakręciło jej się w głowie. Z liścikiem w rękę poszła wpuścić psy. Wtedy dopiero zauważyła śnieg. Czapy śniegu przypominające drzewa. Góry śniegu. Popsuło jej to humor, ale gdy tylko przeczytała liścik Jeffa, poweselała.

„Dzień dobry, Olivio!

Nie mogłem wczoraj zasnąć, więc pomyślałem, że dobrze będzie, jeśli od razu wyjadę. Wychodzę teraz, jest czwarta rano i mocno pada śnieg. Zadzwońię do Ciebie później i mam nadzieję, że jednak uda nam się pójść na randkę. Sam nie wiem, czemu nie mogłem zasnąć. Nie, to nieprawda. Dobrze wiem czemu”.

Za podpis starczyło wielkie, zamaszyste J.

Uśmiech nie schodził jej z ust przez cały czas, kiedy „odśnieżała” psy i rozpałała w kominku. Miała nadzieję, że ogień nie zgaśnie za szybko. Psy zajęły swoje miejsce przed kominkiem i wygrzewały się z lubością, pogryzając smakołyki.

Przeczytała liścik od Jeffa jeszcze sześć razy. Nie mógł zasnąć. A ona za to spała jak niemowlę. Nawet zasnęła.

Ciągle padało i wiało. Kolejny szarobury dzień. Cholera. Później włączy prognozę pogody. Miała pecha. Nowa sukienka, nowy strój, debet na koncie - a teraz zawieja. No, ale służby miejskie może do wieczora zdążą oczyścić drogi w okolicy, przynajmniej te główniejsze.

- Wszystko wzięło w łeb, i fryzjer i kosmetyczka, cholerna pogoda - mruzczała do siebie, gdy szła z kawą do gabinetu. Nie mogła się doczekać, żeby sprawdzić, czy Jill Laramie odpisała. Sącząc kawę, otworzyła skrzynkę e-mailową. Zobaczyła kopertę, czyli w skrzynce jest jakaś wiadomość. Kliknęła na nią myszką i aż zamrugęła. W temacie wiadomości zobaczyła „Re: Napad na bank”. Jill Laramie odpisała. To panią wreszcie zainteresowało, co, pani Laramie? Rozwinęła wiadomość na pełny ekran. Musiała przeczytać dwa razy, żeby do niej dotarło.

„Panno Lowell.

Jak pani śmie wysyłać mi takie listy! Jak pani śmie węszyć wokół mojego domu i naruszać moją prywatność! Jak pani śmie! W ogóle nie wiem, o co pani chodzi. Śmierć pani matki nic dla mnie nie znaczy. Tak dla jasności, serdecznie jej nienawidziłam. Owszem, znałam pani matkę w czasie studiów, ale później nasz kontakt się urwał i każda poszła w swoją stronę. I proszę mnie nie straszyć FBI. Jak pani śmie mi grozić¹. Proszę się trzymać ode mnie z daleka. Lepiej niech się pani zajmie życiem swojej matki, a nie moim. To była okropna kobieta, bez serca. I chyba pani się w nią wrodziła, skoro robi takie rzeczy". Podpis: Jill Davis Laramie.

Olivia przerzuciła papiery na biurku w poszukiwaniu świstka papieru, na którym zapisała firmowy adres e-mailowy Jeffa. Przesłała mu wiadomość od Jill i postanowiła zaczekać na odpowiedź. Odpisał niemal natychmiast.

„Sorry, że zwałem, Olivio, ale kiedy zobaczyłem ten śnieg, uznałem, że lepiej ruszać od razu. Myślałem o Tobie przez całą drogę do domu, ślizgając się na autostradzie. Zrobię, co będę mógł, żeby przyjechać do Ciebie po południu. Jeśli się uda, wyjdę wcześniej z pracy. Mam w szufladzie przenośne radyjko i słucham prognozy pogody.

A co do Jill, to moim zdaniem szykuje się, żeby pokazać plecy. W prawniczym żargonie - zamierza zniknąć. Chyba myśli, że uda jej się z tego wywinąć. Może napisz do niej jeszcze raz i powiedz jej o dowodach, które Allison zostawiła w sejfie. Muszę kończyć.

Jeff"

Olivia wydrukowała list od Jeffa, żeby mieć go pod ręką. Potem kliknęła znowu na e-maila od Jill i odpisała: „Droga Jill!

Dziękuję, że zechciała mi pani odpisać. Odpowiem na pani pytania po kolei. Jak śmiem mówić i robić takie rzeczy? A jak pani śmiała obrabować bank? I jak pani śmie zaprzeczać? Mam dowody. Allison Matthews zrobiła kserokopie wszystkich tych obligacji. Pani udziały są pod-pisane, Gwen też. Nie ma co się wykręcać. Nie ma pani żadnej polisy, okłamała pani swojego męża i córkę. Przy rozwodzie dała pani Gillowi pięćdziesiąt tysięcy dolarów na opiekę nad Mary Louise. Rozumiem, co pani czuje do Adrianny Ames. To nie była miła osoba. Rozumiem też, że to pomysłodawczyni kradzieży. Ale pani i Gwen włączyłyście się w to dobrowolnie. Mam formularz depozytu bankowego, na którym figurują numery ubezpieczenia pani i Gwen. To tam schowałyście obligacje, póki cała sprawa nie przycichnie. Poza tym, Adrianna Ames zostawiła pamiętnik. Wszystkie te rzeczy mam w domu. Mam też pani ślubne zapros-

zenie i jeszcze dwa od Gwen. Adrianna Ames z jakiegoś powodu je zachowała. Chciałabym z panią porozmawiać, żeby załatwić to bez większych zgrzytów. Gdyby sprawa wyszła na jaw, to pani i Gwen będziecie siedzieć za kratkami do końca życia. Napady na bank raczej nie ulegają przedawnieniu. Dałam już pani mój numer telefonu, ale wysyłam go jeszcze raz".

Przeczytała wiadomość dwukrotnie, dopisała jeszcze swój telefon i podpisała się. Czy rzeczywiście Jill i Gwen coś zagraża! Może jednak tego rodzaju przestępstwu ulegają przedawnieniu. Nie miała pewności, ale kliknęła ikonkę „Wyślij” i wiadomość zniknęła z ekranu.

Po kąpieli ubrała się w ciepły polarowy dres, wiedząc, że czeka ją odśnieżanie podwórka. Ale jeszcze nie teraz - ciągle sypało, jak z rogu obfitości; przybyło co najmniej kilkanaście centymetrów białego puchu. W kuchni zrobiła sobie jajecznicę na bekonie i tosta; jedzeniem podzieliła się z psami. Nie odrywając wzroku od okna, podeszła do zamrażalnika wyjąć coś na obiad - nie wiedziała, czy Jeffowi uda się przyjechać. Zdecydowała się na pieczeń. Już całe wieki nie robiła pieczeni. Do tego marchewka, fasolka szparagowa i placki ziemniaczane. Hm... Posprzątała w kuchni, ale zdawała sobie sprawę, że to tylko zabijanie czasu. W końcu nie mogła już dłużej czekać i pobięła do komputera.

W skrzynce odbiorczej pojawiło się tylko dziewięć wiadomości w folderze „Spam”. Skasowała je. Naiwnością byłoby spodziewać się, że Jill siedzi przy komputerze i czeka na jej e-maile. Tę kobietę nie tak łatwo nastraszyć. Nie wiedzieć czemu, zdziwiło ją to. No, cóż - ona może poczekać. Ma mnóstwo czasu.

Weszła na stronę MapQuest i wyszukała adres Gwen. Wydrukowała sobie plan dojazdu. Wycieczka do Południowej Karoliny to konieczność noclegu. A może i nie, gdyby udało jej się wylecieć wcześniej rano. Zadzwoiła do biura linii lotniczych i zrobiła rezerwację na sobotę, na szóstą pięć, z przesiadką w Charlotte. W Charleston będzie przed dziesiątą. Pół godziny na odebranie samochodu z wypożyczalni i w Summerville powinna być w południe, może nawet wcześniej. Zarezerwowała sobie lot powrotny na ósmą dwadzieścia wieczorem. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będzie w swoim łóżku o wpół do trzeciej w nocy.

Jeżeli Jill wie, gdzie mieszka Gwen, to bardzo możliwe, że ją uprzedzi i wtedy cała podróż Olivii nic. Ale chciała przynajmniej spróbować.

Znowu w kuchni, czekając, aż kawa się podgrzeje, zmagala się ze swoim sumieniem. Czemu to wszystko robi? Czemu w ogóle tak się przejmuje? Nic nie jest winna tym kobietom. Najpierw nie chciała mieć nic wspólnego ze sprawą a teraz próbuje zastraszyć Jill Laramie. Po tem zapewne Gwen. Adrianna Ames napisała, że jezeli tamte dwie nie zechcą z nią współpracować, to ma zapłacić całą sumą z pieniędzy ze spadku; jasne, pomysł na kradzież wyszedł od Allison.

Wyklócala się ze sobą. Spójrz tylko na siebie, Olivio Lowell. Byłaś gotowa ukraść psa i skłamać w tej sprawie. W takim razie, co różni ciebie od tych kobiet? A w dodatku w imię przyjaciela nakłaniałaś Clarence'a, żeby złamał prawo.

Spuściła głowę. To prawda, chciała to wszystko zrobić, ale - podniosła głowę - żadnej z tych rzeczy nie zrobiła. Cecił ciągle był u niej, ale za zgodą Jeffa. I zajmie się nim, kiedy tylko załatwi swoją sprawę. A te trzy kobiety były chciwe i samolubne. Obrabowały bank dla własnej korzyści. A ja po prostu chciałam uszczęśliwić małego pieska. I robię, co mogę, żeby spełnić ostatnią wolę Ames. Sama nie wiem dlaczego. A właściwie wiem. Ojciec wychował mnie tak, żeby zawsze robiła to, co trzeba. A teraz właśnie trzeba zwrócić skradzione pieniądze do banku - i wypełnić ostatnią wolę kobiety, bądź co bądź mojej matki, której zależało jednak na tamtych dwóch i przejmowała się ich wyrzutami sumienia.

Następne kilka godzin zajęło Olivii pranie psich legowisk oraz odśnieżanie podjazdu i podwórza, choć wiedziała, że za parę godzin znów ją to czeka. Biegała też raz po raz do komputera - czy nie ma czasem e-maila od Jill Laramie. Nie było. Jeff też więcej nie napisał.

O trzeciej po południu, po kolejnej akcji z odkurzaczem do śniegu, Olivia wróciła do kuchni. Dobrze się stało, że rozmroziła mięso. Nawet jeśli Jeff tu dziś dotrze, przy takiej pogodzie chyba nie wybiorą się nigdzie na obiad. Przez następne pół godziny pracowała bez przerwy. Uduśiła mięso, obrała warzywa i upiekła ciasto z budyniem kokosowym. W połowie przygotowań obiadowych zadzwonił Jeff. Tańczyła, niemal fruwała po kuchni, kiedy z nim rozmawiała. Potem nie potrafiła sobie przypomnieć, o czym rozmawiali. Zapamiętała, że zaraz zamykają biuro i on za pięć minut wychodzi.

- Będę u ciebie wtedy, kiedy dotrę. Nie wiem, ile czasu zajmie podróż, ale oczekuję na powitanie wielkiego kubka gorącej czekolady z dodatkiem brandy, rozpalonego kominka i jakichś ciepłych ubrań -mówił z rozbawieniem.

- Tak jest, kapitanie. Jedź ostrożnie.

- Jasne. To na razie.

Olivia była w cudownym nastroju. Podeszła do przesuwanych szklanych drzwi i z uśmiechem patrzyła na sypiące się z nieba srebrzystobiałe gwiazdeczki. Minia nadzieję, że nie przestanie padać. Uwięziona przez śnieżycę z kimś takim jak Jeff... Cóż może być lepszego?

O siódmej mogłaby już podać obiad. Zostały tylko placki ziemniaczane do usmażenia. Wyjęła swoją najlepszą zastawę i sztucce. Postawiła na stole dwie świece zapachowe o waniliowym aromacie. Jak randka, to randka. Nieważne, że ma na sobie dres. Śnieżyło obficie.

Mimo zmęczenia włożyła kurtkę i poszła do garażu po odkurzacz, żeby po raz kolejny odśnieżyć podjazd. Właśnie kończyła, kiedy mrugnął światłami nadjeżdżający samochód. Jeff! Odstawiła odkurzacz do garażu i wybiegła na podjazd, akurat w momencie, kiedy wysiadał z oblepionego śniegiem samochodu. Miał w sobie coś tak pociągającego, że chciała rzucić mu się na szyję i uściskać. Uściskałaby, gdyby nie pośliznął się na ubitym śniegu, którego nie ruszył nawet odkurzacz. Wziął ją za rękę i oboje stracili równowagę.

Wykonali tylko parę chaotycznych ruchów, szukając jakiegoś oparcia i wywinęli kozła. Olivia poczuła zapach wody po goleniu Jeffa i miętowy oddech. Śnieg ciągle padał, a oni toczyli się w dół aż do końca podjazdu. Pocałował ją, gdy wylądowali twarzą w twarz. Pocałunek był równie cudowny, jak ten pierwszy, ale był też inny. Miał w sobie obietnicę i zapowiedź czegoś więcej.

Uwolniła się z jego ramion, stanęła na nogi i wyciągnęła rękę do Jeffa - razem weszli do garażu.

- Olivio... Czy między nami coś jest? Dziś znowu nie mogłem przestać o tobie myśleć.

Zlizwała z warg płatki śniegu.

- Chyba tak - odparła po prostu.

W kuchni Jeff rozejrzał się, powęszył, zauważył oczywiście nakryty stół.

- O, jak miło. Fantastycznie. To wszystko dla mnie?

- No, mniej więcej. Tak, tak. Dla ciebie. Randka to randka. Ja dotrzymuję umowy. Udało ci się przyjechać, więc mamy randkę. Położyłam ci ciepłe ubrania na łóżku w twoim pokoju - znaczy, w gościnnym. Weź gorący prysznic, żebyś się nie przeziębził. Zanim się wykąpiesz, obiad już będzie na stole. Wygląda na to, że popada przez całą noc - dodała.

- Przez całą noc? - rzucił Jeff przez ramię.

Olivia, odwrócona do niego plecami, nie widziała, że jego pięść wystrzeliła w górę.

Oboje przysypiali na miękkiej sofie, a psy leżały obok nich zwinięte w kłębki. Nagle rozdzwonił się telefon, wyrывая Olivię z płytkiej drzemki. Wymacała za sobą słuchawkę i odezwała się sennie.

- Mówi Paul Hemmings. Czy to panna Olivia Lowell? Natychmiast oprzytomniała.

- Tak, panie Hemmings, Olivia z tej strony. Czy coś się stało?

- Właściwie to nie wiem, miła panienko. Stałem sobie na ganku i czekałem, aż chłopak odśnieży mi podjazd, żeby mu zapłacić i zobaczyłem, że pod dom pani Laramie podjeżdża samochód. Mamy tu w Woodbridge trochę śnieżycy. W telewizji widziałem, że tam u was też nieźle sypie, panienko. To był jeden z tych odlotowych samochodów kurierskich, Arrow Service. Zatrąbił, a tu wychodzi pani Laramie z torebką i torbą na ramię. Ani jedno, ani drugie nie wyglądało mi na ciężkie. No i pomyślałem sobie, że chciałaby pani o tym wiedzieć. Wcale bym nie zauważył, że wychodzi, gdybym akurat nie stał na ganku. I ja, i ludzie dookoła dalej byśmy myśleli, że siedzi w domu. Porozmawiałem z paroma sąsiadami przez telefon i wszyscy żeśmy uznali, że powinienem do pani zadzwonić. Nic nas nie obchodzi, co ona kombinuje, ale czy to nie dziwne, że mieszka tu od dwudziestu z czymś lat i znika akurat po tym, kiedy pani o nią pytała? Jak dla mnie, to bardzo dziwne.

- Dziękuję, że pan zadzwonił, panie Hemmings. Dobrze pan zrobił. Bardzo się cieszę. Dobrej nocy, panie Hemmings.

Kiedy odłożyła słuchawkę, słowa posypały się z ust Olivii tak szybko, że Jeff musiał jej przerwać.

- No i co ty na to, Jeff? Wziął głęboki oddech.

- A nie mówiłem, że szykuje się, żeby nawiać, zniknąć? Jeśli wynajęła samochód, to znaczy, że albo wsiądzie w Metroliner, albo pojedzie na lotnisko. O rany, ale przeżyje szok, skoro nie wychodziła z domu od dwudziestu lat. Co to strach może zrobić z człowiekiem. Co teraz zamierzasz, Olivio?

Wszystkie romantyczne myśli wywietrzały Olivii z głowy, kiedy spacerowała w tę i z powrotem po salonie. Zatrzymała się na chwilę, żeby dorzucić do kominka.

- Nie wiem. Czy mam ją spisać na straty i zająć się Gwen? Czy zadzwonić znów do agencji detektywistycznej, żeby spróbowali ją znaleźć? Jill z pewnością nadal ma te pieniądze. Skoro przez ostatnie dwadzieścia lat żyła jak pustelnica, to chyba nie wydała o wiele więcej, niż te pięćdziesiąt paczek, które zapłaciła byłemu mężowi za opiekę nad córką. Mary Louise powiedziała mi, że matka wszystkie sprawy bankowe załatwia przez Internet, więc pewnie ma jakieś inwestycje. Jeśli inwestowała mądrze, to podejrzewam, że mogła już zebrać niezły portfel akcji. Pamiętasz, jakie w latach osiemdziesiątych były wysokie zyski z lokat? Ciekawe, czy jej córka już wie. Jak myślisz, Jeff, powinnam do niej zadzwonić?

- Nie wiem, Olivio, mnie ta sprawa nie dotyczy. Córka na pewno będzie chciała wiedzieć, co się dzieje. Jesteś gotowa odpowiadać na jej pytania? Rozmawiają ze sobą czy nie, ale zawsze to matka. Olivia znowu zaczęła krążyć po pokoju, załamując ręce.

- Wiem, wiem. Chyba jednak nieźle ją wystraszyłam. Znaczą, że Jill nie chce oddać swojej części. Zakładając, że ciągle ma pieniądze. Moim zdaniem nie powinno jej to uść na sucho. Gwen też nie.

- Twojej matce zebrało się na wyrzuty sumienia dopiero, kiedy się dowiedziała, że umiera. I chociaż kradzież przedawniła się już ze dwadzieścia lat temu, to gdyby ją ujawnić, dla obu pozostałych przy życiu pań byłoby to mocno kłopotliwe. A tego Adrianna Ames nie chciała. Chodziło o to, żeby zwróciły pieniądze, żeby im pomóc uporać się z wyrzutami sumienia, a nie narażać na publiczne potępienie. Olivia zatrzymała się, otwierając szeroko oczy.

- Ja tylko tak ją postraszyłam. Nie miałam zamiaru donosić. Chciałam tylko, żeby oddały pieniądze. Chyba że... chyba że... Czy przez to, że wiem, a nie doniosłam, będę współwinną przestępstwa? W ogóle nie znam się na prawie.

Jeff zamachał rękami.

- Zastanów się, Olivio. Jeśli one nie mogą zostać skazane za kradzież, bo sprawa się przedawniła, to na jakiejś podstawie ty możesz być uznana za współwinną przestępstwa tylko dlatego, że teraz nic nie zrobiłaś? Z punktu widzenia prawa, nic tu nie ma do zrobienia. Masz czyste konto.

Olivia znowu ruszyła wokół pokoju.

- Czym ja sobie na to zasłużyłam? Czemu ta kobieta mi coś takiego zrobiła? Nawet jeżeli w świetle prawa wszystko jest w porządku, to w pewien sposób jestem teraz częścią jej brudnej przeszłości. Muszę jak najszybciej zobaczyć się z O'Brienem, chciałabym wiedzieć, kiedy mogę zacząć dysponować pieniędzmi Allison Matthews. Pytanie tylko, jak mam wypłacić tyle gotówki naraz, żeby ktoś się nie przyczepił i nie zaczął zadawać niewygodnych pytań. O, Boże, z tego wszystkiego dostałam potwornej migreny.

Migrena. Słyszac to magiczne słowo, Jeff uznał, że właściwie mógłby już iść spać.

- Pochodź sobie jeszcze, a ja pójde wypuścić psy. Olivia tylko pokiwała głową. Dlaczego tak się tym przejmujesz? Dlaczego? Nienawidzę cię, Adrianno Ames. Nie miałaś prawa wciągać mnie w to wszystko. Nic ci się ode mnie nie należy. Ani miłość, ani tym bardziej szacunek. Nie starczyło ci odwagi, żeby samej oddać te pieniądze i muszę za ciebie robić brudną robotę. Niech cię cholera'. A niech cię jasna cholera!

Usłyszała szelest przesuwanych drzwi i szcęknięcie zamka, a potem tupot łap - psy biegły na wyścigi do pralni, gdzie czekał Jeff z ręcznikiem. Stamtąd cała procesja poszła do pokoju gościnnego.

- Dobranoc! - zawołał jeszcze Jeff.

- ..branoc - mruknęła. A to nam się randka udała.

Powlokła się do gabinetu. I tak nie będzie w stanie zasnąć. Może już nigdy nie zaśnie, a w końcu zmarnieje i umrze.

Włączając komputer, nie spodziewała się właściwie żadnych nowych e-maili w skrzynce, ale znalazła trzy wiadomości: jedną od Gilla Laramie, jedną od Mary Louise, i jedną od Paula Hemmingsa.

Kliknęła najpierw na wiadomość od Gilla Laramie.

„Droga panno Lowell!

Dostałem dziś e-maila od mojej byłej żony. Była zła, że z panią rozmawiałem. Nie wiem, co jej pani powiedziała ale Jill ewidentnie to się nie spodobało. Powiedziała, że wyjeżdża bo nie chce być prześladowana. Mówiła też, że będzie panią skarżyć. Pomyślałem sobie, że panią ostrzegę. Sam nie wiem czemu. Coś mi mówi, że tu nie chodzi tylko o życzenie pani zmarłej matki, żeby odnalazła pani jej dawną przyjaciółkę. Tak czy owak, nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Mary Louise strasznie się zmartwiła. Teraz wyrzuca sobie, że dała pani jej adres e-mailowy. Zawsze miała nadzieję, że Jill jednak zainteresuje się bliźniakami, a teraz to już na pewno nie. Bardzo serdecznie panią proszę, żeby trzymała się pani od nas z daleka. W cokolwiek moja eks-żona była zamieszana - czy może nadal jest - Mary Louise, jej rodzina i ja nie chcemy mieć z tym nic do czynienia. Jill należy do naszej smutnej przeszłości, a nie do naszej szczęśliwej przyszłości".

Olivian zamrugała czując łyż pod powiekami, i otworzyła e-maila od Mary Rafferty. Nie miał tematu ani żadnego powitania. Tylko krótki tekst. „Nie wiem, w co pani gra. panno Lowell. ale chcę pani powiedzieć, że moja matka wyjechała z miasta. Martwię się, jak da sobie radę poza domem, ho przez, tyle lat żyła jak odludek. Nie wiem, czy sobie poradzi. A w dodatku przekreśliła pani wszelkie szanse, że kiedyś zdecyduje się spotkać z moją rodziną. Żałuję, że dałam pani jej adres e-mailowy. Proszę nigdy więcej do mnie nie dzwonić, ani nie pisać". Sięgnęła po chusteczki, otarła oczy i wydmuchała nos. - Jasne. Ciekawe, co byś powiedziała, gdybyś wiedziała to, co ja. Chciałam być dyskretna i ci tego oszczędzić - mruknęła, otwierając wiadomość od Paula Hemmingsa.

„Miła panienko, tu Paul Hemmings. Późno już, więc nie chciałem dzwonić, żeby pani nie budzić. Ze mnie to taki nocny marek. Jakaś godzinę po tym, jak pani Laramie wyjechała, do jej domu weszła jakaś młoda kobieta i wyniosła cztery duże pudła. Nie wiem, czy to dla pani ważne, czy nie, ale pomyślałem, że pani o tym powiem. Wynosiłem akurat śmieci, bo nie lubię, jak zostają w domu na noc, i ją zobaczyłem. Pomachałem do niej, spojrzała na mnie, ale nic nie powiedziała ani nawet nie odmachwała. Sympatycznie się z panią rozmawiało, miła panienko. Poprawiła mi pani humor. Jak znowu się czegoś dowiem albo coś przyuważę, dam pani znać e-mailem".

Olivia osunęła się w swoim obrotowym krześle i beczała, wtulając twarz w plik papierowych chusteczek.

Rozdział 13

Na dworze było jeszcze ciemno, kiedy Olivię obudziło delikatne poszturchiwanie w ramię. Wymamrotała coś pod nosem i chciała przewrócić się na drugi bok, ale otarła twarzą o jakiś dziwny materiał, nieprzy-pominający fakturą bielizny pościelowej. Otworzyła oczy i zorientowała się, że leży na kanapie, a nad nią stoi Jeff. Psy powarkiwaniem próbowały wymusić wcześniejszy spacer.

- Olivio, obudź się. Zobacz, ile śniegu napadało. Co zrobić z psami? Chcą wyjść. Nie będą mogły się ruszyć, wpadną w zaspę. Może powinienem najpierw odśnieżyć trochę, zrobić im dróżkę?

Olivia usiłowała zebrać myśli.

- Która... która godzina?

Jeff zerknął na swój olbrzymi zegarek na rękę.

- Prawie piąta. Niedawno przestało sypać.

Przerzuciła nogi przez brzeg kanapy.

- Niedawno? To ty nie spałeś?

- Trochę tylko się zdrzemnąłem. Psy spały ze mną uwierzysz w to?

Wstała z kanapy. Nie, nie mogła w to uwierzyć. Banda małych zdrajców, pomyślała urażona.

- Jeszcze raz, o co pytałeś? W porządku, już pamiętam. Tak, tak, to świetny pomysł. Poczekaj, ubiorę się, pomogę ci.

- Nie, sam to zrobię. Odśnieżę tylko kawałek dla psów. Ty możesz w tym czasie zrobić śniadanie, jeżeli będzie ci się chciało. Dokończę robotę, kiedy się rozwidni. Wcześniej słyszałem, że jeździły pług śnieżny, czyli koniec podjazdu od strony ulicy

będzie zablokowany. Znaczy, że będę musiał odgarniać śnieg szuflą. Ale to nie szkodzi, przyda mi się trochę ruchu.

Olivia patrzyła, jak Jeff się ubiera, a psy nie spuszczać zeń oczu, niecierpliwie przestępują z łapy na łapę.

- Przepraszam cię za wczorajszy wieczór, naprawdę strasznie mi przykro. Ten... ten cały galimatias zaczyna mnie przytłaczać i w ogóle mi się to nie podoba.

Pokiwał głową wyrozumiale.

- No, to widzimy się za chwilę.

Poszła do kuchni nastawić kawę, a potem do łazienki. Wzięła szybki prysznic i ciepło się ubrała.

Włożyła nowy fioletowy dres, który dostała od ojca na gwiazdkę, grube wełniane skarpety i kapcie. Kiedy będzie wychodzić na dwór, zamieni je na wysokie buty z grubą gumową podeszwą.

Szybko rozmroziła ciasto na naleśniki, odsmażyła kilka kielbasek z zamrażalnika i odgrzała syrop, też z mrożonki. Absolutnie nie miała zamiaru czytać listy składników na opakowaniu.

I tak na różnych codziennych czynnościach minął im dzień. Późnym popołudniem stanęli wreszcie naprzeciwko siebie przy zlewozmywaku w kuchni.

- Czuję się zupełnie jakbyśmy byli starym, dobrym małżeństwem, ale brakuje nam pewnego elementu małżeńskiego pożycia - zażartował Jeff.

Olivia wzięła go pod rękę i z uśmiechem posadziła **na** krześle. Otworzyła puszkę z napojem i rozlała po równo do dwóch szklanek. - Potrzebuję twojej pomocy, Jeff. Już nie wiem, co mam robić. Ojciec nie potrafi mi pomóc. A ty powiedziałeś, że ciebie sprawa nie dotyczy, więc możesz na to spojrzeć obiektywnie - powiedz, co o tym wszystkim myślisz.

Jeff zmiażdżył w rękę i rozprostował zwitek papierowych serwetek. - Nie mogę ci powiedzieć, co masz zrobić, Olivio. Stałaś się częścią przeszłości Adrianny Ames w momencie, kiedy przeczytałaś jej list. Nikt nie wie, co w nim jest, oprócz ciebie. No i mnie, aleja jestem twoim prawnikiem i obowiązuje mnie tajemnica zawodowa. Nikt

na świecie, żadna agencja, nie może mnie zmusić, żebym ją wyjawiał. Możesz sobie odpuścić sprawę. Ale podejrzewam, że gdybyś miała taki zamiar, nie pojechałabyś do New Jersey i nie planowałabyś na sobotę podróży do Południowej Karoliny. Wysłałem e-maila do Seana, mojego kumpla, i przedstawiłem twój problem, jako hipotetyczne zagadnienie. Jest ekspertem w dziedzinie prawa karnego. Będzie wiedział dokładnie, jak to wygląda od strony prawnej. Ja zajmuję się prawem spadkowym. To, co mówiłem wczoraj znajduje uzasadnienie w kodeksie prawa karnego, paragraf 101. Ale właściwej interpretacji musi dokonać ktoś, kto ma szerszą wiedzę w tym zakresie.

Nie możesz zastraszać ludzi, żeby robili to, co chcesz, tylko dlatego, że frustruje cię sytuacja, w której się znalazłaś. Zresztą widzę, że właściwie sama nie wiesz, czego chcesz. Puszka Pandory już została otwarta. Z punktu widzenia prawa, nie masz obowiązku doniesienia o tym organom ścigania. Jeśli się zdecydujesz, powiedz, że jesteś gotowa zapłacić całą kwotę ze spadku, plus ewentualne kary i grzywny, które, jak sądzę, nie zostaną naliczone. Nie przypuszczam, żeby władze miały jakiś wpływ na to, co zrobią Gwen i Jill.

Możesz też powiedzieć, że potrzebowałaś czasu na zastanowienie się, co zrobić z informacjami, które uzyskałaś. To, że poznałaś treść listu z chwilą przekazania go przez O'Briena, wcale nie znaczy, że musiałaś kogoś natychmiast poinformować. Nie wydaje mi się, żeby oni - kimkolwiek by byli ci „oni” - czepiali się twojego ojca. Jego związek z Allison skończył się w dniu, kiedy się urodziłaś. A do kradzieży doszło jeszcze zanim się pobrali. Poza tym, jak już mówiłem, moim zdaniem sprawa uległa przedawnieniu, nikt nikogo nie będzie karać po czterdziestu latach.

- Tak myślisz? Skoro Adrianna Ames była taka sprytna, wiedziałaby, czy czas działa na jej korzyść, czy nie. Nad tym warto się zastanowić.

- Może i masz rację. Na pewno kiedy dowiedziała się o śmiertelnej chorobie, sprawa nabrała wymiaru moralnego, aspekt prawny, jak przypuszczam, w ogóle nie wchodził w grę. Może Jill o tym wie, i dlatego ma cię gdzieś. Zresztą, sam już nie wiem, Olivio.
- Jeff westchnął ciężko.

Olivia wstała, żeby podlać kwiatki stojące na blacie. — Coraz bardziej męczy mnie ta cała afera, w którą zostałam bezczelnie wplątana. Wcale się nie prosiłam, żeby zaistnieć w życiu Ames. Nie chcę jej wypasionego domu, jej pieniędzy ani żadnego spadku. Do cholery, nic od niej nie chcę.

Podeszła do okna i patrzyła na oślepiająco biały śnieg. Poczula, że Jeff stanął za jej plecami, poczuła na karku muśnięcie ciepłego oddechu. Serce Olivii załomotało, a nogi jakby wrosły w podłogę. Odwrócił ją do siebie i nagle okazało się, że ją całuje, a ona jego.

Później nie pamiętała, żeby szła do sypialni. Może Jeff ją tam zaniósł. Ale do końca życia będzie pamiętać, jak to było, gdy oboje dotarli do celu, fizycznie i emocjonalnie.

Jeff Bannerman to jej przeznaczenie. Chyba się nie myli.

Zapinając pas bezpieczeństwa, Olivia zamknęła oczy. Jej myśli pędziły chyba z prędkością samolotu, w którym siedziała. Postanowiła, że dopóki nie porozmawia z Gwen Hendx, wstrzyma się z decyzją w sprawie Ames. Zadzwoiła do agencji detektywistycznej i znów zleciła poszukiwanie Jill. Obiecali raport w ciągu trzydziestu sześciu godzin, to znaczy, że dostanie go w niedzielę. Chyba że prywatne agencje mają wolne, wtedy musi czekać do poniedziałku. Ale to też w porządku.

Wcześniej niż się spodziewała, stewardesa poprosiła ją, żeby znowu podniosła oparcie siedzenia. Lądowanie było krótkie i przebiegło gładko. Kiedy wysiadła, musiała biec do bramki, żeby złapać następny samolot, bo ten pierwszy miał pół godziny spóźnienia. Ledwo zdążyła. Siedząc już z zapiętymi pasami, zamknęła oczy. Pomyślała o Jeffie Bannermanie, o nowych uczuciach, które w niej wzbudził. Już nie mogła doczekać się powrotu do Winchesteru. Ciekawa, jak on sobie radzi z psami i ze śniegiem. Jeszcze czuła na wargach ten gorący, mocny pocałunek na pożegnanie, zanim wyszła z domu. Uśmiechnęła się. Jej przeznaczenie. Miała nadzieję, że Jeff myśli o niej tak samo.

Pięćdziesięciminutowy lot przebiegł bez zakłóceń. Lądowanie -czego Olivia zawsze najbardziej się bała - tym razem bezproblemowe.

Bardzo jej się spodobało lotnisko, jedno z tych małych lotnisk na których nie sposób się zgubić. Spędzała tam tylko tyle czasu, ile było trzeba, żeby kupić coś zimnego do picia, i udała się do wypożyczalni Avis po samochód. Niecałe dziesięć minut później ruszyła w drogę. Z Dorchester Road skręciła w prawo i znalazła się na Old Trolley Road; potem znowu skręciła w prawo - i zanotowała w pamięci, żeby w drodze powrotnej wstąpić na pizzę do baru Pies on Pizza. Pojechała prosto aż do skrzyżowania pięciu ulic i tam jeszcze raz skręciła w prawo w drogę równoległą do sie-

demnastki. W samochodzie zrobiło się duszno, więc opuściła szybę, nie mogąc się nadziwić, że w Karolinie Południowej jest tak ciepło. I tak zielono w lutym. Zupełnie, jakby zima zapomniała o niej. Wróciła myślami do mroźnej Wirginii, z której wyjechała ledwie parę godzin wcześniej.

Mknęła trasą, która nosiła nazwę ulicy Głównej i podziwiała sliczne małe miasteczko Summerville. Przypominało jej trochę Winchester - na wiosnę. Wspomnienie o domu sprawiło, że zaraz pojawił się Jeff, ale odsunęła od siebie te myśli. Musiała skupić się na spotkaniu z Gwen i zastanowić, co jej powie.

Piętnaście minut później skręciła w lewo, w drogę pełną kolein, która prowadziła do osiedla składającego się z bieda-domków i przyczep kempingowych. Po bokach drogi między krzakami leżały zardzewiałe rowery, nie brakowało też zdezelowanych samochodów.

Płatało się mnóstwo bezpańskich kotów i psów. Może jej się przywidziało, ale chyba widziała dwa kurczaki uciekające przed kotem z napuszonym ogonem. Gdzieś blisko zawył silnik motocykla, potem rozhuczał się następny i jeszcze dołączyły dwa motory z ogłuszającym warkotem. Gang motocyklowy. Żołądek jej się ścisnął na samą myśl. Musiała zjechać na pobocze, zarośnięte gąszczem chwastów, które zasłaniały głęboki rów.

Gwendolyn Hendrix mieszkała na Indian Road pod numerem 246. Olivia rozglądała się w poszukiwaniu, krzewów albo drzewek oleandrów, ale nic takiego tu nie rosło. Wreszcie znalazła zaułek Oleander Drive i ostro skręciła, żeby ominąć głęboką koleinę. Zatrzymała samochód i popatrzyła na zapyziałą, rozpadającą się przyczepę po drugiej stronie ulicy. Do drzwi wchodziło się po trzech schodkach, ale środkowego brakowało. Na brudnych drzwiach wisiał jeszcze rachityczny wieniec bożonarodzeniowy. Do jednego z okien była przyczepiona połamana rama z siatką. Rama miejscami przerdzewiała a siatka zwisała w strzępach.

Olivia wzięła głęboki oddech i podeszła do przyczepy. Wskoczyła od razu na najwyższy schodek - szczęście, że nie wpadła w dziurę po tym środkowym. Z wnętrza dobiegł dźwięk, a właściwie ryk telewizora, akurat leciał jakiś teleturniej. Może Gwen ma kłopoty ze słuchem. Załomotała z całej siły do drzwi. Nikt nie odpowiedział, więc zawołała Gwen po imieniu. Nagle zrobiło się cicho. Otworzyły się drzwi i stanęła w nich wysoka kobieta. Ani trochę nie przypominała tamtej dziewczyny ze zdjęcia, które zostawiła Ames.

- Pani Hendrix?

- A kto pyta? - Głos miała zachrypnięty i jakby zdarty- ojciec by powiedział, że przepalony i przepity.

- Jestem Olivia Lowell - powiedziała. - Urodziła mnie Allison Matthews. Moim ojcem jest Dennis Lowell. Na pewno pamięta go pani z czasu studiów. Allison... zmarła przed kilkoma tygodniami. Czy możemy wejść do środka, żeby porozmawiać? Kobieta bawiła się guzikami białej, bawełnianej koszuli tak przetar-tej, że prawie prześwitywała.

- To zależy, o czym chcesz rozmawiać. Nie wiem, po co Allison miałaby cię tu przysyłać.

A więc to jednak Gwen!

- Może o tym, jak we trzy okradłyście bank w Missisipi - wypaliła bez ogródek. - Mogę wejść czy nie?

Kobieta usunęła się na bok. Olivia zdziwiła się, bo chociaż sprzęty wyglądały na mocno sfatygowane, w środku panował porządek. Wnętrze przczepy było czyste i schludnie utrzymane. Gwen wskazała jej sztruksowy fotel z odchylanym oparciem, jeszcze w dość dobrym stanie. Z różnych kątów powychodziły koty, które przysiadły lekko obok gospodini.

- Mów - powiedziała Gwen.

Olivia odchrząknęła

- Adrianna Ames, którą pani знаła jako Allison Matthews, poprosiła mnie, żebym odnalazła panią i Jill. Przed śmiercią naszły ją chyba wyrzuty sumienia i chciała oddać ukradzione z banku pieniądze. Ona... była bardzo drobiazgową, jeżeli chodzi o przechowywanie dowodów. Mam kopię formularza na depozyt w banku, z podpisami pani i Jill, są też wasze numery ubezpieczenia. Właśnie dzięki temu udało mi się was znaleźć. To tam... tam schowałyście obligacje do czasu skończenia studiów, kiedy Allison powiedziała, że już można je przenieść gdzie indziej. Oczywiście ona położyła rękę na wszystkim, dopóki nie przyszedł czas podziału łupów, skoro miała u siebie kserokopie wszystkich obligacji. Spisała numery i zaznaczyła, które obligacje dostała pani, a które Jill Prosiła, żeby zwrócić pieniądze możliwie jak najdyskretniej.

Kobieta siedząca naprzeciw niej na koślawym stołku, wybuchnęła ochryplym śmiechem.

- Trochę się spóźniłaś, gołąbeczko. Już dawno nie ma śladu po tej forsie. Czy ty myślisz, że mieszkałabym w slumsach, gdyby mnie było stać na coś lepszego? Popelniałam w życiu parę błędów. Mówiąc wprost, najpierw wysłałam za jednego łachudrę, który przepuścił połowę forsę. Myślałby kto, że po tym zmadrzałam - ale nie. Zakreśliłam się i na drugiego męża wzięłam sobie jeszcze większego łajdusa, który wydał wszystko, co do centa. Chciałam pozbyczyć trochę pieniędzy od Adrianny

Ames, ale nawet nie odpisała na mój list. Potem już właściwie nigdy nie mogłam się pozbierać. Dobrze, że mam chociaż tyle i starcza mi na jedzenie dla kotków. Stoję za barem przez trzy wieczory w tygodniu. Kiepsko płacą. Od czasu do czasu popilnuję kogoś dzieciaków. I co teraz zrobisz, zadenuncjujesz mnie, żeby zgarnąć nagrodę? No, co? Olivia zignorowała to pytanie.

- A co z Jill? Nie pomogłaby pani?

Gwen znowu się zaśmiała, tym samym charczącym śmiechem.

- Szybko straciłam z nią kontakt. Niezła aparatka. Kiedy studiowałyśmy na Ole Miss, to już mi się wydawała zdziwaczała. A potem, po studiach, zaczęła bać się zarzków i mówiła, że się czymś zakazi. Najchętniej żyłaby w szklanej bańce. Powiedziała mi kiedyś, że pierze pieniądze w wodzie z mydłem. Jeśli to nie jest oznaka dziactwa, to ja już nie wiem. Nie mam pojęcia, gdzie ona się teraz podziewa. No, to jak beknę za ten nasz mały przekręt?

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze Olivia.

- Wiesz, mała, twoja matka to była dziwna osoba. Chyba w ogóle nie miała sumienia. Interesowały ją tylko pieniądze, pieniądze i coraz więcej pieniędzy. Diabłu by duszę sprzedała za pieniądze. I chyba to zrobiła. Znaczący, sprzedała diabłu duszę. Nie wiem, czy nazwać ją cwana czy wręcz przebiegłą. Sama wszystko wykombinowała, a my tylko wykonaliśmy jej plan. Do licha, nie zamierzam niczemu zaprzeczać. Jeśli chcesz mnie zadenuncjować, to radzę ci, znajdź Jill i donieś też na nią. No i proszę, kto by pomyślał, Allison - to znaczący, Adrianna Ames - wygrała z systemem, bo umarła! Może jestem okrutna, że tak przy tobie mówię, ale mam to gdzieś. Wyszła na tym najlepiej, zmieniła nazwisko i w ogóle. Gdzieś czytałam, że wyceniali ją na dziesiątki milionów dolarów. To prawda? - spytała z goryczą.

- Możliwe. Nie dostałam jeszcze dokładnych zestawień od prawników.

- Skoro tak się wzbogaciła, możesz to spłacić z jej majątku. W każdym razie ja nie czuję, żebym miała wobec niej jakieś zobowiązania. Mogą mnie wsadzić do więzienia, a niech tam. Czas najwyższy, żeby ktoś się mną zajął. Gołębaczko, a czemu ty o niej jakoś tak oględnie mówisz? Ani razu nie słyszałam, żebyś powiedziała „moja matka”. Pewna jesteś, że to twoja matka? W ogóle nie jesteś do niej podobna. Może to i dobrze, bo Allison nie była pięknoscią. Żadna z nas zresztą urodą nie grzeszyła. Dziś na takie mówią „kujonice”. I chyba to by do nas pasowało.

- Zna pani powód równie dobrze jak ja. Powiedziała wam, kiedy dzieliłyście się obligacjami, że oddała mnie ojcu od razu po urodzeniu. Tego samego dnia zażądała rozwodu. Ojciec nigdy więcej jej nie zobaczył. Mnie sprzedał bajeczkę, że matka nie żyje. Przez te wszystkie lata nie wiedziałam, że mam matkę, dopóki nie zjawił się u mnie jakiś prawnik z wiadomością, że moja matka właśnie zmarła.

- Tak, mówiła o tym. Co zrobić, mała. Ale nie przejmuj się, nie polubiłabyś jej. Wierz mi. Wtedy najważniejsza była Allison. Wiedziała, czego chce i kiedy, i umiała zrobić, co trzeba, żeby to dostać. Ona kazała nam skakać, a my pytałyśmy, jak wysoko. Jedno, czego żałuję, to że teraz dowie się o tej historii mój syn. Robiłam, co mogłam, żeby trochę dla niego odłożyć, ale ten łajdak Hendrix wycyckał mnie ze wszystkiego. Mój syn mieszka w Dystrykcie Kolumbii. Jest gliniarzem, uwierzysz w to? Ma trzech chłopczków. Pracuje na dwa etaty, jego żona też, bo odkładają dla chłopców na studia. Cóż, widać że to, co się stało, było mi pisane, bo inaczej by się nie zdarzyło. Co chcesz teraz ze mną zrobić?

Dobre pytanie. Życie tej kobiety było jak dryfująca tratwa. Olivia spojrzała na święte obrazki wiszące na ścianie. Gwen zauważyła, że na nie patrzy.

- Na starość zrobiłam się religijna. Dlatego jestem gotowa przyjąć karę, jakakolwiek by ona była.

- No... to ja jeszcze zadzwonię, dobrze? Ma pani jakiś telefon?

- Nie. Mam tylko rzeczy niezbędne do życia. Ale grzecznościowo korzystam z telefonu w sklepie na rogu. Co dwa tygodnie dzwonię stamtąd do syna. Tak w ogóle, to nie potrzebuję telefonu. Jeżeli zechcesz się ze mną skontaktować, możesz dzwonić do sklepu, a oni dadzą mi znać. Potem mogę oddzwonić, ale to będzie musiało być na twój koszt.

- Nie ma sprawy. Może pani dzwonić na mój koszt. Gwen oderwała róg papierowej torby na zakupy i zapisała jej numer do sklepu. Olivia schowała kawałek papieru do kieszeni.

Zanim wyszła z przyczepy, sięgnęła do torebki i podała Gwen pięćdziesiąt dolarów.

- Na jedzenie dla kotów.

Kobieta wyciągnęła ręce, żeby ją uściskać. Czuć ją było kotami i dymem papierosowym.

- Nie uwierzysz, Olivio, ale teraz mi ulżyło. Dusiałam to w sobie tyle lat. Żałuję, że w ogóle dałyśmy tak się skołować Allison, ale żal przecież nic nie zmienia. Tak jak mówiłam: przyjmę każdą karę, jaka mi zostanie wyznaczona. No, moja panno, jedź bezpiecznie do domu.

Olivia balansowała na najwyższym schodku, wiedząc, że będzie musiała zeskończyć na sam dół. Odwróciła się jeszcze.

- Nie było ani jednej takiej rzeczy, za którą by pani lubiła Allison Matthews? Musiała przecież mieć w sobie coś dobrego.

Gwen wyprostowała plecy.

- Gdybym powiedziała, że tak, to bym skłamała. Ale nie jesteś do niej w niczym podobna, jeśli o to chciałaś spytać, do tej złej i okrutnej kobiety.

Olivia odjechała. Wciąż dźwięczały jej w uszach te słowa, kiedy zatrzymała się w barze na pizzę. Zamówiła trzy kawałki z różnymi dodatkami - pepperoni, zieloną papryką cebulą i czosnkiem - a do tego sprite'a. Pochłonęła wszystko, a potem wzięła jeszcze jednego sprite'a na wynos.

Dobrze chociaż, że nie musiała się spieszyć. Była sobota, więc nie musiała obawiać się korków. Spokojnie pojechała na lotnisko, a w głowie jej szumiało od natłoku myśli.

Oddała samochód do wypożyczalni i na lotnisku wstąpiła do paru sklepów. W końcu kupiła dla Jeffa czapkę z napisem „Stingrays” na daszku i kilka gumowych zabawek, które mogłyby służyć dla dzieci do kąpieli, albo dla psów - i posłużą właśnie psom. Sobie kupiła torebkę solonych orzechów pekanowych. Po przejściu przez odprawę poszła do lotniskowego baru, zamówiła piwo i zadzwoniła do... swojego przeznaczenia. Tak teraz myślała o Jeffie. Na jej twarzy pojawił się błogi uśmiech, kiedy w słuchawce zabrzmiał głos przeznaczenia: „halo”.

Rozdział 14

Była niedziela, minęło południe. Weekend już dobiegał końca, a Jeff wymyślił, żeby wyjść z domu i poszaleć na śniegu tak, jak robili to, będąc dziećmi.

- Ostatni raz tak się bawiłem, kiedy miałem chyba trzynaście lat. Bracia, starsi ode mnie, zrobili mi wielką frajdę. Jakby wiedzieli, że już wyrastam z dzieciństwa. Ich też wciągnęła zabawa. Później dołączyli do nas mama i tata. To jedno z moich najmilszych wspomnień.

Śniegu mieliśmy po pas i bawiliśmy się przez jakieś trzy czy cztery godziny, przemoczeni, przemarznięci, ale nikomu nawet do głowy nie przyszło, żeby przerwać zabawę. Tak było fajnie. Wreszcie mama tupnęła nogą i poszliśmy do domu. Najpierw kazała nam wziąć prysznic i włożyć ciepłe ubrania, potem dostaliśmy gorącą czekoladę z takimi małymi piankami w środku, a do tego tosty posmarowane grubo masłem z dżemem truskawkowym mamy roboty. Do dziś pamiętam wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Nawet czuję smak tego dżemu.

- Dobrze mieć takie wspomnienia ze szczenięcych lat. Moje związane są z tatą. Szkoda, że nie miałam rodzeństwa. Byliśmy sami. I zawsze powtarzał: „Tylko my dwoje, mała”. Nie odmawiał żadnej mojej prośbie. Nie chciał, żebym się czuła czegoś pozbawiona. Ja potrzebowałam jego, a on mnie. Tworzyliśmy zgrany zespół - powiedziała Olivia z dziwnie błyszczącymi oczami.

Jeff patrzył na nią i słuchał z uwagą.

- Przechowuję w pamięci jedno takie naprawdę dobre wspomnienie - mówiła w zamyśleniu. - Miałam wtedy chyba szesnaście lat i poszłam z przyjaciółmi na sanki do parku. Kochałam się w fantastycznym chłopaku, nazywał się Danny Salyan. Przyszedł razem z kolegami ze studiów. I chociaż oni byli od nas starsi, już po dwudziestce, w tym parku wszyscy mieliśmy po tyle samo lat. Omal nie zemdlałam, kiedy zaprosił całe towarzystwo do domu. Jego mama, Betty Lou, przyjęła nas bardzo mile. Wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać matka. Zrobiła nam gorącą czekoladę i dała każdemu po wielkim, grubym kawale ciasta. Ojciec nazywał się Bill i był tak samo sympatyczny jak mój tata. A Betty Lou miała w sobie tyle ciepła i przytulności, i tak ładnie pachniała. Zarabiała szyciem. To się chyba nazywa „ekspert

krawiectwa". Nawet mnie przytuliła na do widzenia. Często się zastanawiałam się czy ona wiedziała, że zauroczył mnie jej syn. On wstąpił do marynarki, ożenił się. mieszkają na Florydzie. Mają synka, Connora Williama. - A teraz? - odezwał się cicho Jeff. Uśmiechnęła się, co bardziej przypominało grymas. - Teraz tata ma Leę. Mnie już nie potrzebuje. I tak powinno być. Zasłużył sobie na trochę szczęścia. Ja mam moje psy. A jeśli chodzi o Danny'ego, to zakochanie przeszło mi już następnej wiosny. - Jej głos brzmiał tak bezbarwnie, że sama prawie go nie poznawała.

- Masz teraz mnie. Przecież o tym wiesz, prawda? - Oczy Jeffa lśniły jak diamenty.

Miała nadzieję, że coś takiego usłyszy, ale nie była pewna. To, co w tej chwili czuła, w ogóle nic przypominało szczeniackiego zadurzenia w Dannym. Czyżby Jeff myślał o stałym związku? Aż jej się w głowie zakręciło. Wiedziała, że nie zdoła zapanować nad głosem, więc tylko pokiwała głową.

Jeffowi rozbłyśły oczy.

- I wiesz co, Olivio? Wychodząc za mnie, zostałabyś żoną opiekuna Cecila. To rozwiązałyby nasze problemy z nim.

Żoną.

- Hej, hej, spokojnie. Przecież prawie się nie znamy. Nie możemy ot tak, z marszu do ołtarza. Moi rodzice pospieszyli się i zobacz, jak to się skończyło.

- Moi znali się tylko dwa tygodnie i zobacz, jak to dla nich się skończyło. Sześciu dorodnych chłopaków. Może być różnie. Ale ja nie jestem twoim ojcem, a ty nie jesteś swoją... to znaczy, nie jesteś Adrianną Ames, czy tam Allison Matthews. Moi rodzice pokochają cię, wiem, co mówię. I jestem pewien, że ty ich polubisz, i moich braci też. Największy życiowy zawód mojej mamy, to że nie miała córki. Nie mówiłem ci, że kazała nam zakładać fartuszki do pracy w kuchni? Tak, i żaden z nas nawet nie protestował.

Fartuszki. Może to był jakiś tajny szyfr. Pokiwała głową, zastanawiając się, co by to mogło znaczyć, że chłopcy nosili fartuszki. Ona nawet nie miała w domu fartucha, używała ściereki do naczyń, tata zresztą też.

- No, dobra, to chodźmy na dwór. Ale ostrzegam cię, Jeff, mam mocny rzut. Słońce rozmiękczyło śnieg, będzie w sam raz na śnieżki. Zawsze celowałam lepiej od ojca. A budowałeś kiedyś ze śniegu fortecę?

- Taaa, jak byłem mały. Marzy ci się zamek obronny? Możemy zrobić dużą warownię, żeby starczyło miejsca i dla nas, i dla psów.

- To zróbmy!

Złapała skafander i pognąła do przesuwanych drzwi. Psy podążyły za nią, a Jeff zamykał tyły. Olivia ubiła garść śniegu i rzuciła z półobrotu. Jeff stęknął teatralnie, zginając się wpół.

Wojna na śnieżki trwała dobre pół godziny. Kiedy Jeff podniósł ręce, stało się jasne, kto wygra. Objęci ramionami, przygotowali na podwórku teren pod fortyfikacje, a potem utoczyli wielkie śniegowe kule. Po dwóch godzinach byli wprawdzie wykończeni, ale mogli pochwalić się dwu pokojową budowlą.

- Kiedy byłem dzieckiem, to w środku czegoś takiego mogłem usiąść swobodnie - kwękał Jeff. - Nie jestem z gumy, żeby tak zwijać się w osiem, to żadna radocha.

- Kiedy byliśmy dziećmi, to przecież byliśmy dwa razy mniejsi niż teraz - powiedziała ze śmiechem Olivia. - Kręciły nas zabawy na śniegu. Ale chyba rzeczywiście starzejemy się, bo ja już bym wołała pójść do domu i pooglądać jakiś film w telewizji.

- O, tak, ja też - przytaknął ochotczo. - Cóż, człowiek ma tylko jedno dzieciństwo. Szkoda, że wtedy o tym nie wiedziałem. Więcej bym się bawił. No, chodź. - Wyciągnął do niej rękę.

Olivia, siedząc w kukki, zapała się piętami o ziemię, żeby Jeff pociągnął ją do góry. Ale nogi „wyjechały” spod niej, straciła równowagę i upadła do tyłu, a forteca zawałiła jej się na głowę. Przez zwały śniegu ledwo słyszała Jeffa.

- Zaraz cię wyciągnę. Spokojnie. Zaraz cię odkopię. Tylko spokojnie, Olivio!

Uwolniona, potoczyła błędnym wzrokiem.

- Teraz wiem, co to znaczy „żywcem pogrzebany”. Ale ten śnieg ciężki! - wy sapiała.

- Dobrze się czujesz? Powiedz, że wszystko w porządku. Przysięgnij, że nic ci nie jest - mówił podniesionym głosem coraz bardziej zdenerwowany.

Psy zareagowały natychmiast. Wyszczrzyły zęby i rzuciły się na Jeffa, w gardłach im się gotowało, kiedy szarpały za buty i spodnie, próbując wgryźć się w jego nogi. Odstąpiły, gdy wziął Olivię na ręce i niósł do domu. Ale futra miały nadal zjeżone. Popatrzyły jeden na drugiego, jakby niepewne, czy to jakaś nowa zabawa, do której ich nie zaproszono, czy atak na panią.

Kiedy serce przestało jej walić ze strachu, Olivia pomogła Jeffowi powycierać, spokojne już, psy i zawinęły je w cytrynowożółte ręczniki, sadzając przed kominkiem. Kiwnęła na Jeffa palcem i sugestywnie uniosła brwi.

Pojął w lot. Poszedł za nią pod prysznic.

Bladym świtem w poniedziałek Olivia, obejmując się ramionami z zimna, stała w otwartych drzwiach i machała Jeffowi na pożegnanie. Nie zamknęła drzwi, dopóki tylne światła samochodu nie zniknęły.

Bez Jeffa zrobiło się bardzo cicho. Dziwne. Przecież wcale nie był głośny. Może „cicho” to nie najlepsze słowo. Raczej „pusto”. Rozejrzała się dookoła, zdumiona, że nigdzie nie widać psów. Wyruszyła na poszukiwania i znalazła je pozwijane w kłębki na łóżku, w którym spał Jeff. Musiała zatkać sobie usta dłonią, żeby ich nie pobudzić głośnym śmiechem.

Czekał ją męczący, długi dzień. Powinna zająć się pracą, zadbać, żeby interes się kręcił. Nie mogła się zdecydować, czy popracować w atelier nad zdjęciami, czy zająć się sprawą Adrianny Ames. Tak naprawdę to miała ochotę pomarzyć o Jeffie i rozmyślać o wspólnym weekendzie, ale wiedziała, że nie może sobie na taki luksus pozwolić. Nie była też w stanie skupić się na pracy, bo sprawa Adrianny Ames nie dawała jej spokoju.

Miała nadzieję, że Jeff nie mylił się, mówiąc o przedawnieniu. Logiczne, że po czterdziestu latach nie będą skazywać kogoś, kto okradł bank, skoro sprawy molestowania nieletnich przedawniają się już po pięciu czy siedmiu latach. Ale sumienie to co innego.

Idąc do gabinetu, uświadomiła sobie, że właściwie już podjęła decyzję, spełni ostatnią wolę Ames. Nieważne, jakim kosztem. Ale będzie musiała to zrobić dyskretnie, w przeciwnym razie ucierpi zbyt wiele niewinnych osób: Mary Louise Rafferty i jej rodzina, syn Gwen z rodziną, no i wreszcie - ona sama. Uważała, że jest silna psychicznie, i poradziłaby sobie, nawet gdyby prawda wyszła na jaw, ale co z Jeffem? Jeśli rzeczywiście jest jej przeznaczony, co by pomyśleli ludzie, gdyby ożenił się z córką złodziejki? Nie pomogłoby mu to w karierze. Może nawet straciłby pracę, a wtedy powstałby kolejny problem: Cecil.

Olivia nie zamierzała zrezygnować z prób przekonania Jill do współpracy. Jednym z powodów była chęć pomocy tej kobiecie w odnalezieniu spokoju sumienia, co mogłoby jej ułatwić powrót do normalnego życia. Skoro Gwen stała się religijna, gotowa przyjąć karę, to na tym polu niewiele zostało do zrobienia. Może najwyżej spróbuje jakoś pomóc jej finansowo.

Otworzyła skrzynkę e-mailową i bardzo się ucieszyła, bo wśród masy spamu znalazła wiadomość od Prywatnej Agencji Detektywistycznej. Po przeczytaniu miała powody do satysfakcji. Jill Laramie wróciła na miejsce przestępstwa, do Oxford w Missisipi. U dołu widniał dokładny adres, a pod nim informacja: „Znajduje się tam trzy-pokojowe mieszkanie do wynajęcia. Poszukiwana podpisała umowę najmu na rok”.

Olivia chwyciła za telefon. Zarezerwowała bilet samolotowy na następny dzień, na rano. Przy okazji będzie mogła zajrzeć do tego małego banku, który został okradziony. No i czy to nie rewelacja? Jasne, że rewelacja, uznała.

Wysłała Jeffowi informację o swoich planach na następny dzień i zadzwoniła do sąsiada - zgodził się zająć psami.

Zerknęła na zegarek. Jeszcze parę minut. Punktualnie o dziewiątej zadzwoni do kancelarii O'Briena i poprosi o otwarcie specjalnego konta, na które przeleje dwa miliony dolarów. Miała nadzieję, że w ten sposób będzie mogła spłacić dług. Ale jaka jest wartość tych obligacji po czterdziestu latach? Nigdy nie była orłem z matematyki, więc chyba zatrudni dobrego księgowego, który jej to policzy. Przynajmniej miała czas, żeby zająć się wszystkim po kolei, a nie łapać dziesięć srok za ogon. To jedno z wielu ulubionych powiedzonek ojca.

Czytała po raz dziesiąty i dwudziesty testament Adrianny Ames i przyglądała się kserówkom obligacji. Kapitał pozostawiony przez Allison mógł robić wrażenie. Aż gwizdnęła na widok długiej listy. I to wszystko dzięki sprzedaży wysyłkowej. Jęknęła

głośno, kiedy na dalszych stronach znalazła szczegóły zarządzania przedsiębiorstwem. Czy ktoś wyobrażał sobie, że teraz ona przejmie stery w firmie? O, takiego. Może któryś z konkurentów Ames będzie chciał wykupić ją.

Odchyliła się na oparcie i przymknęła oczy, żeby w spokoju porozmyślać o wszystkich problemach. Ale zaraz zasnęła.

Obudziła się późnym popołudniem. Bolały ją szyja i ramiona. Masowała napięte mięśnie, aż trochę się rozluźniły. Rozciągając szyję, sięgnęła po telefon i zadzwoniła do miejscowego urzędu podatkowego, w którym księgowym był kolega ze szkoły. Przedstawiła swoją sytuację jako hipotetyczny problem, obiecała mu wynagrodzić czas, jaki jej poświęci i zamilkła w oczekiwaniu na odpowiedź. On z kolei wyrecytował mantrę powtarzaną przez każdego księgowego w lutym - nawał pracy, szczyt okresu rozliczeniowego; oddzwoni do niej, kiedy znajdzie wolniejszą chwilę. Dobre i to. Olivia wzruszyła ramionami.

Wróciła do komputera i wysłała e-miła do ojca i Lei, żeby im powiedzieć, jak sprawy stoją. Ojciec nienawidził komputera, więc raczej odpisze Lea. Jeśli w ogóle odpisze. Weszła na stronę MapQuestu, żeby poszukać miasteczka Oxford w stanie Missisipi. Znowu straciła poczucie czasu - na dworze zrobiło się już całkiem ciemno. Zapaliła światło i znów sprawdziła pocztę, ale nic nie przyszło. Wypuściła psy, potem je nakarmiła, a sobie zrobiła kanapkę i przygrzała trochę zupy. Obejrzała wieczorne wiadomości, ale nie było żadnych ciekawych informacji. Znużona, poszła wziąć prysznic. Zabiegi toaletowe nie zajęły jej dużo czasu i już o ósmej leżała w łóżku. Nastawiła budzik na czwartą rano i po paru sekundach zasnęła.

Przespała trzy telefony: od kolegi księgowego, od Jeffa i od ojca. Rano tak się spieszyła, że nie zawracała sobie głowy odsłuchiowaniem wiadomości. Kiedy tylko pojawił się sąsiad, który przejął opiekę nad zwierzyńcem, wyszła. Mknąc pustą autostradą, w rekordowym czasie pokonała trasę na lotnisko Reagan National i zdążyła nawet przed wejściem na pokład kupić kawę.

Nikt nie siedział obok niej, więc na wolnym miejscu rozłożyła kserokopie, które miała ze sobą. Czytała je raz, drugi, piąty i starała się zapamiętać to, na czym jej zależało.

Zanim jeszcze doleciała do Missisipi, była wściekła na siebie. To przecież nie jej problem, a jednak tam jedzie. Myślała z odrazą o tym, co robi. Woląла swoje dawne, spokojne i przyjemne życie. Siadając za kierownicą wynajętego samochodu, najpierw zdjęła dżinsową kurtkę. Później przez chwilę przystosowywała się do kierowania autem z napędem na cztery koła, ale w końcu wrzuciła bieg i wyjechała z lotniska.

Kupiła sobie sałatkę oraz napój w barze U Wendy i ruszyła dalej. Ciekawe, jak tu wszystko wyglądało czterdzieści lat temu, kiedy Allison i jej przyjaciółki pilnie studiowały. Jak się okazało, każda miała głowę nie tylko do nauki. Gdyby to były tylko trzy zwariowane studentki, którym oduło i zrobiły skok na bank - głupi, szczeniacki wybryk - to na pewno by je złapali. Ale nie. akcja została zaplanowana, przeprowadzona z rozmysłem, niezwykle precyzyjnie. I uszło im to na sucho.

Olivia zagryzła zęby z wściekłości. Zorientowała się, że przegapiła zjazd z trasy, który doprowadziłby ją prosto pod wynajęte mieszkanie Jill. Zmarnowała czterdzieści pięć minut na zawracanie, co tylko jeszcze bardziej ją zdenerwowało. Kiedy wreszcie znalazła miejsce na parkingu dla gości, czuła, że jest już w odpowiednim stanie ducha, żeby się zmierzyć z Jill Laramie. Była nawet gotowa tak długo walić do drzwi, aż ta ogłuchnie albo wezwie policję. Ale teraz nienawidziła siebie prawie tak bardzo jak Jill.

Weszła po czterech schodkach na mały, kryty ganeczek, nacisnęła dzwonek, nie odrywając ręki. Wiedziała, że przez wizjer patrzy na nią czyjeś oko. Mocniej nacisnęła dzwonek. Jeśli będzie trzeba, oprze się o niego i będzie dzwonić do skutku. Doznała szoku, kiedy w końcu otworzyła drzwi atrakcyjna, zadbana kobieta. Olivia aż zamrugała na jej widok. Jill Laramie w niczym nie przypominała tamtej dziewczyny ze zdjęć.

- Nie wyglądasz na czterystukilowego goryla - zauważyła Jill.
- A pani nie wygląda na kogoś, kto okrada banki - odcięła się Olivia.
- Słusznie. Wejdz. Nie sądziłam, że tak szybko mnie znajdziesz.
- Cóż, można powiedzieć, że miałam silną motywację.

Jill Laramie była wysoka i dość chuda, ale nie koścista. Miała markowe ciuchy i modną fryzurę. To taka z niej pustelnica. Profesjonalnie zrobiony manikiur. Olivia mogłaby założyć się, że pedikiur też ma. Nie zostało ani śladu po dawnej Jill z twarzą

jak księżyc w pełni, którą widziała na zdjęciach. Lifting buźki, jak nic. Na pewno też operacja nosa. Pewnie wszędzie jest ponaciągana i poprzączana. Nie wiedzieć czemu, rozzłościło to Olivie.

Jill zaprosiła ją gestem do salonu, który wyglądał, jak z kolorowego magazynu o dekoracji wnętrz: biała wiklina, złociste żółcie, limonkowa zieleń. Ale Olivia nie dostrzegła żadnych osobistych drobiazgów, nawet gazety. Za to na stoliku ze szklanym blatem zauważyła popielniczkę i paczkę papierosów. Typowe miejsce na postój.

- Może kawy? Właśnie zaparzyłam świeżej.

- Żeby mi pani coś do niej dosypała i znowu mogła zniknąć? - Spojrzała na Jill z pogardą. - Dziękuję bardzo.

Kobieta zaśmiała się, ale nie był to przyjemny śmiech.

- Coś podobnego mogłaby powiedzieć Allison. Jak widać, nie daleko pada jabłko od jabłoni. Czego chcesz? - zapytała lodowatym tonem.

- Części pani pieniędzy, żeby je zwrócić do banku, tam, gdzie ich miejsce.

Jill znowu zaśmiała się, teraz z rozbawieniem.

- Moja droga - wyszczała, patrząc na nią z politowaniem. - Na jakim ty świecie żyjesz? Nasz mały przekręt już dawno uległ przedawnieniu.

W świetle prawa jestem czysta. To znaczy, że nikt nie będzie mnie ścigać i że mogę zatrzymać pieniądze. Allison o rym wiedziała, ale nie raczyła powiedzieć ani mnie, ani Gwen. Ja się zainteresowałam sprawą, ale biedna Gwen... Cóż mogę powiedzieć.

Słowa kobiety wstrząsnęły Oliwią. Miała tylko nadzieję, że jej twarz nie zdradza tego, co w tej chwili czuje i myśli. Zastanawiała się nad odpowiedzią. Odchyliła się na oparcie cytrynowożółtego krzesła i zaczęła mówić, co jej ślina na język przyniosła.

- Cóż... - zaczęła równie zjadliwym tonem. - Jest jeszcze kwestia moralności, i sprawa w sądzie cywilnym; może ją wam wytoczyć wnuk człowieka, którego okradłyście. Jest teraz właścicielem tego banku. A zresztą, każdy głupi wie, że firmy ubezpieczeniowe nigdy nie dają za wygraną. Zrobią wszystko, żeby odzyskać

wypłacone odszkodowanie. Trzy kobiety, którym udało się okraść bank, trafią na pierwsze strony gazet. Prasa nieźle będzie na was używać. Pamięta pani sprawę OJ. Simpsona? Było o nim głośno przez ponad rok. Niech się pani nad tym dobrze zastanowi, pani złodziejko. - Olivia nie wiedziała, czy cokolwiek z tego mogło się sprawdzić. Z miny Jill wynikało, że i ona się nad tym zastanawia.

- No, cóż, jakoś to zniosę - odparła chłodno.

- Na pani miejscu nie sięgałabym też po paszport. Jestem gotowa śledzić panią przez dwadzieścia cztery godziny. Wystarczy jeden telefon, a to miejsce będzie pod obserwacją dzień i noc. Tym razem będzie pani zmuszona naprawdę stać się pustelnicą. Nie to, co ta szopka, którą pani odgrywała w New Jersey.

Jill sięgnęła po papierosa. Dmuchięła dymem w stronę Olivii.

- Jaki masz w tym interes? Co mogę zrobić, żebyś się ode mnie odczepiła?

Olivia żałowała, że odmówiła kawy. Miałaby czym zająć ręce.

- Nic.

Kobieta zmrużyła oczy i zaciągnęła się papierosem. Olivia zamachała ręką, żeby odpędzić dym.

- Nie żartuj. Wszystko ma swoją cenę. Ile? Ach, rozumiem. Odziedziczyłaś przecież majątek Adrianny. Nie potrzebujesz forsy. To o co ci chodzi, taka z ciebie świętoszka, czy w ten sposób mścisz się na matce? W końcu porzuciła cię przy urodzeniu.

- Wiem. Ale pani zrobiła to samo z Mary Louise, prawda? Tylko trochę później. Jest pani taka sama jak Allison. Tylko Gwen jest inna. Widziałam się z nią, wie pani? Naprawdę kiepsko jej się powodzi. Ledwo jej starcza na jedzenie dla kotów. I wie pani co? Jest całkiem zadowolona z życia. Mówiłam już, że mieszka w przyczepie?

- I to niby powinno mną wstrząsnąć, chwycić za serce? – prychnęła Jill.

Olivia wzruszyła ramionami.

- A tak z ciekawości, czy porzuciła pani córkę, bo Allison wyrzekła się dziecka? Rozwiodła się pani z Gillem, bo przyjaciółka zostawiła Dennisa, swojego ojca?

Zazdrościła jej pani, prawda? Chciała pani być taka jak ona. Allison to dostrzegła. Prowadziła coś w rodzaju pamiętnika. Pisała tam o was, mówiąc wprost, że jesteście idiotki. Nawet was nie lubiła.

Twarz Jill stężała, oczy błyszczały złowrogo.

- Co robiłam i dlaczego, to moja prywatna sprawa. Ja też nigdy nie lubiłam twojej matki. Szczerze mówiąc, serdecznie jej nie znosiłam. Dla mnie to był diabeł wcielony. Za Gwen nie przepadałam, ale przynajmniej nie działała mi tak na nerwy jak twoja matka. Samotnej dziewczynie na studiach potrzebne są przyjaciółki. Moim zdaniem te twoje groźby to tylko blef, panno Lowell. Rób, co chcesz. To się wydarzyło wieki temu. Teraz nikt się tym nie będzie interesować.

- O, myli się pani. Media będą bardzo zainteresowane informacją, w jaki sposób Allison Matthews rozkreśliła swoją firmę wysyłkową. Przykład idzie z góry. I na pewno nie ucieknie pani przed agentami ubezpieczeniowymi. Wystarczy, że wpadną na trop, a wywęszą jak psy, gdzie leży smakowity kąsek. Pewnie dostają procent od odzyskanych pieniędzy. Proszę pamiętać, że Allison zostawiła pamiętnik i wszystko tam jest opisane.

Olivia nie sądziła, że twarz Jill może stężeć jeszcze mocniej.

- Mam uwierzyć, że doniesiesz na własną matkę?

- Radzę uwierzyć. To mój dług i zamierzam go spłacić. Widzi pani, ojciec mówił mi, że moja matka umarła przy porodzie. A tydzień temu zjawił się u mnie prawnik, który wyjaśnił mi, kim była Allison Matthews. A potem przeczytałam jej pamiętnik. Myślała o mnie „to coś”. A jednak zapisała mi cały swój majątek. Pewnie gryzło ją sumienie. Zostawiła też list, w którym prosiła, żebym oddała część jej pieniędzy do banku, a także odnalazła was i przekonała, byście zrobiły to samo. Chyba wyobrażała sobie, że panią i Gwen dręczy poczucie winy i zwracając pieniądze, odzyskacie spokój sumienia.

A ponieważ Gwen nie ma grosza przy duszy, a przy okazji nawróciła się i pogodziła z tym, że poniesie karę, jeśli powiadomię władze, ja spłacę jej część z majątku Adrianny. Ale pani nie ma sumienia, więc musi pani zwrócić swoją część. Wraz z sprawą z powództwa cywilnego, sąd nakaze odszkodowanie na rzecz pokrzywdzonego. Mogą pani odebrać wszystko. Pierwsze, o co pytają, to pani rachunki bankowe i inwestycje.

Jill sięgnęła po następnego papierosa. Olivia z satysfakcją zauważyła, że zadrżała jej ręka, kiedy go przypalała. Olivia czekała... sama nie wiedziała na co.

- Allison wpadła na szatański pomysł. My nie chciałyśmy w to wchodzić. Wtedy jeszcze biedna Gwen nie miała na tyle rozumu, żeby o siebie zadbać. A ja wcale nie byłam od niej mądrzejsza. Allison nigdy nie dała nam zapomnieć o tym, jaka jest sprytna. Wszystko zorganizowała, ale to my wzięłyśmy paczkę z jej biurka i zanosiliśmy do depozytu. Ona tylko podmieniła obligacje na biurku pana Augustusa na kawałki papieru; obligacje wsadziliśmy do sejfów, a papiery zostały na biurku. Udało jej się pomnożyć swoją działkę i stąd fortuna, którą po niej odziedziczyłaś. Kiedy ostatni raz spotkałyśmy się, żeby podzielić obligacjami, oświadczyła, że najlepiej będzie, jeśli każda z nas pójdzie w swoją stronę i że nie powinnyśmy się kontaktować. Myślałam wtedy, że się boi, albo wie o czymś, o czym my nie wiemy, więc zrobiliśmy tak, jak powiedziała. Gwen i ja widywałyśmy się jeszcze przez jakiś czas, ale szybko odkryłam, jaka ona jest naprawdę i odciełam się od niej, tak jak Allison zerwała wszelki kontakt z nami dwiema.

Olivia zmarszczyła brwi. Ta przemowa brzmiała sztucznie, jakby Jill wcześniej ją sobie przygotowała. Nie uwierzyła w ani jedno słowo.

- Co z tego. Wszystkie jesteście tak samo winne - powiedziała.
- Ile mam zwrócić? - zapytała nagle Jill.

Rozdział 15

Olivię zatkało, kiedy usłyszała pytanie Jill. Widocznie udało jej się trafić w jakiś czuły punkt tej wyrachowanej kobiety. Ciekawe, czy zadziałała wzmianka o sprawie cywilnej, czy może agenci ubezpieczeniowi okazali się skuteczniejsi. Wyjęła z torby kartkę, na której zrobiła wyliczenia. Udawała, że coś sprawdza, a tak naprawdę próbowała uporządkować myśli, bo miała chaos w głowie.

- No? - rzuciła z irytacją Jill. Minę miała zaciętą i ponurą.

Olivia znów improwizowała.

- Jeśli zgodzi się pani spłacić wartość nominalną, plus półroczne odsetki, zniknę pani z oczu. To pani działka. - Wyciągnęła rękę z kartką, gdzie u góry było napisane „Jill”.

Kobieta skrzywiła się, gdy zobaczyła sumę, ale nie powiedziała ani słowa. Wstała i wyszła z pokoju. Kiedy wróciła, miała w ręku czek biura maklerskiego New York Goldman Sachs.

- A teraz wyjdź. I nigdy już tu nie wracaj. Nie chcę cię więcej widzieć - mówiła lodowatym tonem, cedząc słowa.

- Tak? - Olivia natychmiast nabrała podejrzeń. - Znowu chce pani gdzieś wyjechać?

- Nigdzie nie wyjeżdżam. Po prostu nie mogę na ciebie patrzeć. Za bardzo przypominasz mi swoją matkę. Koniec z tym. Wynos się z mojego życia. - Otworzyła drzwi i niecierpliwie tupiała nogą, podczas gdy Olivia pakowała papiery do torby.

Obserwowała Olivie, dopóki ta nie wsiadła do samochodu. Wtedy Jill zaczęła działać. Błyskawicznie znalazła się w sypialni i dopadła do małego laptopa, który stał na biurku. Klikała i klikała, aż na monitorze pojawił się wyciąg z jej konta w domu maklerskim. Klikała jak szalona, wreszcie na ekranie zostały same zera. Wskoczyło okienko z informacją: „Transakcja przyjęta do realizacji”. Napisała jeszcze do swojego brokera, żeby anulował czek numer 5694. Pozwoliła sobie na uśmiezek zadowolenia. Teraz musiała tylko zaczekać, aż się ściemni, żeby znowu zniknąć. Dziewczyna była cwana, ale nie aż tak cwana jak jej matka. Allison nigdy by się nie nabrała na taką nagłą zmianę.

Jill nie miała wątpliwości, że ktokolwiek ją tu znalazł, pewnie jakiś prywatny detektyw, ten sam, który wziął na spytki wścibskiego starucha, jej sąsiada w Woodbridge, nie patrzył dalej niż czubek własnego nosa. W dzisiejszych czasach wszystko załatwia się przez komputer. Ale na pewno nie wiedzą - kimkolwiek są - że Jill ma też umowę na wynajem dwóch sąsiednich domów po obu stronach tego, w którym teraz mieszkała, ale tylko na papierze. Żeby zniknąć, wystarczyło wyjść przez drzwi kuchenne i przejść do któregoś z tych mieszkań po zmroku, oczywiście w przebraniu.

A wszyscy myśleli, że Allison jest najsprytniejsza. Jill niechętnie przyznawała, że przejęła od niej pewną zasadę: nie wystarczy mieć plan A i plan B. Teraz właśnie wcielala w życie plan C.

Z kieliszkiem wina zasiadła przed telewizorem, żeby pooglądać popołudniową porcję idiotycznych seriali. Kilka razy wstawiała i wyglądała przez okno. Nie było samochodu Olivii. Ale to nic nie znaczyło. Dziewczyna mogła gdzieś tu się czaić.

Po piątej zapaliła wszystkie światła i zamówiła pizzę przez telefon. To stanowiło część planu C. Jedzenie przywieziono o szóstej dwadzieścia. Zapłaciła dostawcy, wzięła pizzę i wyrzuciła do zsypu. W sypialni zdjęła markowe ubrania. Piętnaście minut później wyglądała już jak niechlujny nastoletni chłopak z plecakiem. Na peruke z dreadami, sięgającymi ramion wcisnęła czapkę bejsbolówkę, jeszcze brudniejszą niż dżinsy i kurtka. Teraz nie różniła się wyglądem od połowy studentów z Ole Miss.

O szóstej pięćdziesiąt weszła przez drzwi kuchenne do domu po lewej stronie. Włączyła światło w kuchni, a potem w łazience i odczekała dokładnie siedem minut, zanim zapaliła lampę w salonie. Na wypadek, gdyby ktoś ją obserwował, biegła w tę i z powrotem, zapalała i gasiła światła, to tu, to tam. Wreszcie, o siódmej trzydzieści pięć, zarzuciła na ramię plecak, w którym miała laptopa i parę drobiazgów. Była gotowa do drogi. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, ostentacyjnie pobrzękiwała kluczami. Przygarbiona, zeszła po schodkach i kołysząc się na nogach - rozleniwiony, niechlujny dzieciak z college'u - poszła przed siebie. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

W ciemnościach, Jill Laramie uśmiechnęła się. Co z tego, że właśnie straciła piętnaście tysięcy dolarów na potrójny zadatek i depozyt, wynajmując trzy domy. Da się przeżyć. Plan C. - Dzięki, Allison - mruknęła pod nosem.

Olivia podjechała do niewielkiego banku, w którym Allison pracowała w czasie studiów. Budynek nie różnił się zbytnio od tego, który widziała na zdjęciu znalezionym w sejfie Adrianny. Miał nowy dach z czerwonej blachy, a biała farba na kolumnach przy wejściu wyglądała świeżo. Wcześniej, gdy przejeżdżała obok, kolumny lśniły w słońcu. Wewnątrz nic się nie zmieniło od czasów Allison, poza okienkiem dla kierowców i mosiężną szufladą na składanie depozytów w nocy. Jak przed laty pracowały tu tylko dwie urzędniczki; jakiś mężczyzna, pewnie wnuk Augustusa, siedział w przeszklonym gabinecie. W recepcji nikogo nie było, ale na oparciu krzesła przy biurku wisiał żółty sweter, co pozwalało przypuszczać, że ktoś tu urządzuje.

Olivia poprosiła urzędniczkę, żeby jej rozmieniła studolarowy banknot. Nie miała odwagi zapytać jej wprost, jak długo tu pracuje. Kobieta uśmiechnęła się do niej i zapytała, czy kogoś tu odwiedza. Olivia pokiwała głową.

- Moja siostra studiuje na Ole Miss. Wpadłam, żeby się z nią zobaczyć. Jest na pierwszym roku, trochę tęskni za domem.

Urzędniczka poprawiła okulary i uśmiechnęła się.

- Widuję tu mnóstwo studentów z Ole Miss. Sporo nawet ma u nas konta na stypendium. Latem zwykle zatrudniamy kilkoro.

O to właśnie chodziło Olivii.

- Matka przyjaciółki mojej siostry pracowała u was, kiedy tu studiowała. Allison Matthews. - Starła się mówić tak swobodnie, jak tylko mogła. - Czterdzieści lat temu.

- O, to czasy Margaret. Kiedy odeszła na emeryturę, zajęłam jej stanowisko.

- Mam nadzieję, że korzysta z emerytury.

- Już nie żyje.

- Ojej. Tak mi przykro. No, cóż, miłego dnia - powiedziała Olivia, wciskając do kieszeni zwitek banknotów.

I to by było na tyle.

Spacerowała po kampusie, półtorej godziny zeszło jej zjedzenie późnego lunchu, potem wróciła na lotnisko.

Choć zbliżała się północ, kiedy wyruszała z lotniska w studwudzie-stokilometrową podróż do Winchesteru, nie morzył jej sen; rozpierało ją podniecenie. Wyrwała od Jill Laramie czek i miała zamiar zrealizować go z samego rana. Była z siebie dumna, mogła pogratulować sobie sprytu. Musi jeszcze wymyślić jakiś sposób, żeby zwrócić pieniądze do banku anonimowo. A kiedy już to załatwi, wreszcie będzie mogła wrócić do pracy. No i poświęcić więcej uwagi Jeffowi.

Westchnęła z zadowoleniem. Tej nocy będzie spać jak niemowlę.

Nie odsłuchiwała nagrań na sekretarce. Ledwo umyła zęby, padła na łóżko. Zdążyła jeszcze pomyśleć: gdzie jest teraz moje przeznaczenie, co robi? I z tym pytaniem odpłynęła.

Jeff Bannerman przekładał papiery, które piętrzyły się na jego biurku. Spojrzał na stojący w kącie pożółkły kwiatek. Matka chyba dostałaby zawału, gdyby zobaczyła, jak go zaniedbał. Ale kto by sobie zwracał głowę podlewaniem kwiatków? Otworzył brązową papierową teczkę. Nie miał ochoty pisać sprawozdania. Nie miał nawet ochoty dłużej siedzieć w tym zagraconym biurze. Wolałby być teraz w Winchesterze, z Olivią i psami. Gdzie ona się, do diabła, podziewa? Już dawno powinna była do niego zadzwonić. Aż się wyprostował, bo nagle do głowy przysłała mu niepokojąca myśl. Czy może żądać od Olivii, żeby informowała go o wszystkim, czy ma do tego prawo? Stał się częścią jej życia tylko dlatego, że wynikła sprawa z Cecilem. Nie, to nieprawda. To coś więcej niż tylko Cecile. Wspólne posiłki, zabawy na śniegu, łóżko. To chyba coś znaczy. On nie sypiał z byle kim, wiedział, że ona też szanuje siebie. Razem wkroczyli na drogę, która doprowadzi ich do małżeństwa. Przynajmniej taką miał nadzieję. Czy Olivia myśli tak samo? Może powinien do niej zadzwonić? Pokręcił głową. Nagrał się już trzy razy na sekretarkę i wysłał trzy e-maile. Bez odpowiedzi. Nigdy jeszcze nie uganiał się za żadną dziewczyną. To one lgnęły do niego, starając się wzbudzić zainteresowanie.

Olivia była inna niż wszystkie. Tak bardzo inna, że chciałby przedstawić ją rodzicom i braciom. Ale skoro nie oddzwaniała ani nie odpisywała na jego e-maile? Jasne, że potrzebował porady eksperta. A kto mógłby udzielić lepszej rady niż matka? Nie zastanawiając się, wykręcił numer i czekał, aż ktoś odbierze. Głos matki poznałby zawsze - ciepły, miły i życzliwy.

- Cześć, mamó. Tu Jeff. - Tak, jakby ona mogła nie poznać głosu swojego syna.

- Jeff, co się stało? Wszystko w porządku? Nie jesteś czasem chory? Proszę cię, powiedz, że nie miałeś wypadku. Wiem z telewizji, że u was straszna zima. Ty przecież nigdy nie dzwoniśz w dzień. O, mój Boże, Jeff, chyba nie zgubiłeś tego małego pieska? Jeff, odezwij się wreszcie.

- Mamó, spokojnie, wszystko w porządku, naprawdę. Przepraszam, jeśli ci w czymś przeszkodziłem. Nie martw się, nie zgubiłem Cecila. Jak się czujesz? I jak tata? Co porabiacie?

- Ojciec czyta gazetę. Wczorajszą. Już drugi raz, bo dzisiejszej nie dowieźli. A ja robię jarzynową. Wiesz przecież, że tata przepada za jarzynową. Słowo daję, ten człowiek mógłby codziennie jeść zupę. No, ale co się stało, Jeff?

- Mamo, potrzebuję twojej rady.

- Bardzo dobrze, przyda mi się przerwa; wciąż kroję warzywa. No, śmiało, mów, co cię gryzie.

Słowa posypały się bezładnie z ust Jeffa.

- ... a w dodatku ten pies mnie nie cierpi - zakończył opowieść. -No, może „nie cierpi” to za dużo powiedziane. Przecież spał w moim łóżku - to znaczy, wszystkie spały. Więc może jednak przekona się do mnie. Czyli co, mam do niej zadzwonić albo napisać, czy raczej poczekać? Nie chcę się narzucać.

- Powiedz mi, Jeff, naprawdę podoba ci się ta dziewczyna?

- Mamo, nie dzwoniłbym przecież, gdyby mi się nie podobała. Bardzo. Wydaje mi się, że ona też czuje coś do mnie. Myślisz, że ona jest we mnie zakochana? Sam już nie wiem, mamo. Pytanie, czy mam do niej teraz zadzwonić albo wysłać jej e-maila. Lepiej zaczekać? Powinienem dać jej trochę czasu, nie? No, dzięki mamo. Wiedziałem, że mi dobrze poradzisz. Pozdrów tatę. Zadzwonię jeszcze w weekend. Smacznej zupy.

Jeff wrócił do sprawozdania, które oskarżycielsko łypało na niego z teczki. Olivia na pewno zadzwoni albo napisze, kiedy będzie na to gotowa. Na pewno. Ale nie zaszkodzi wysłać jej e-maila z pytaniem o Cecila. Wystukała na klawiaturze jedno zdanie na temat psa, podpisał się i wysłał wiadomość. Zaraz potem wrócił do pracy nad sprawozdaniem, ale jakoś mu nie szło. Właśnie uświadomił sobie, że jest zakochany w Olivii Lowell i był tym przerażony.

Olivia obudziła się i przeciągnęła rozkosznie. Spała kamiennym snem. Ach, jak miło tak się wylegiwać, razem z psami, które umościły się przy niej na kołdrze. Przewróciła się na bok, żeby spojrzeć na zegarek. Trzecia trzydzieści. Po południu, na pewno, bo na dworze było jasno. Spała ponad dwanaście godzin. A niech to szlag, w nocy nie będzie mogła zasnąć.

Psy wskoczyły jej na brzuch, więc pobawiła się z nimi, dopóki nie zaczęły szczekać i dopominać się o spacer. Wyszła z sypialni, patrząc pod nogi; uważała, żeby nie wdepnąć w jakąś kałużę, mogła też natrafić na inną niespodziankę. Odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że nie trzeba nic sprzątać. Grzeczne pieski. Wytrzymały dwanaście godzin - to długo jak na czworonogi. Dobrze je wychowała.

Zrobiła sobie kawę i tosta. Co ma dziś do załatwienia? Już za późno, żeby jechać do banku z czekiem od Jill. Zajmie się sprawą jutro. Na dziś rano miała umówioną wizytę u weterynarza z Alice, na czyszczenie zębów. Cóż, przepadło - trzeba będzie się umówić na inny termin. Nie mogła sobie przypomnieć pozostałych spraw, które miała zaplanowane, więc chyba nie były takie ważne. Powinna zadzwonić do Jeffa i zdać mu relację z wczorajszego dnia. Na pewno będzie zszokowany reakcją Jill.

Z telefonem przy uchu, odsłuchując sekretarkę, naląła sobie kawy i posmarowała tosta masłem. Cztery telefony od Jeffa wywołały na jej twarzy uśmiech, skrzywiła się na wiadomość od Lei i zirytowały ją wywody księgowego. Zapisała jeszcze cztery zgłoszenia od potencjalnych klientów, potem zadzwoniła do Jeffa do pracy.

- Bannerman - warknął do słuchawki
- Lowell z tej strony - odwarknęła Olivia. Westchnął, a ona się uśmiechnęła.
- Dzwoniłem do ciebie, Olivio. Myślałem, że się odezwiesz, czekałem. Jak tam Cecil?

Martwił się o nią. Poczula zawrót głowy.

- Z Cecilem wszystko dobrze. Słuchaj, nie uwierzysz, co się stało. Jill zapłaciła. Wystawiła czek. Nie mogłam wyjść z szoku. Zapłaciła, Jeff. Byłam tak zmęczona, że padłam na łóżko i zasnęłam, dopiero parę minut temu wstałam. Chciałam dziś pojechać do banku, ale już za późno, załatwię to jutro. Nieźle, co?

Serce jej zatrzepotało, kiedy usłyszała:

- Poprosiłaś o potwierdzenie czeku?
- Nie, a powinnam? Po prostu wypisała mi czek biura maklerskiego. O, Boże, a jeśli on jest bez pokrycia? Ale byłam głupia. I zbyt pewna siebie. Zmyśliłam historyjkę o sprawie cywilnej i oszustwie ubezpieczeniowym. Wyglądała na przestraszoną, w końcu zapytała, ile jest winna. Najpierw próbowała mnie przekupić. Cholera, nie

mogę uwierzyć, że mogła mnie nabrać. Jutro będzie wszystko jasne, ale już się denerwuję.

- To normalne, że jak każdy prawnik jestem podejrzliwy. Rozumiem, byłaś zadowolona, kiedy dostałaś czek, że nawet nie pomyślałaś o potwierdzeniu. Przypuszczam jednak, że w tej sytuacji są powody do zmartwienia. Holender, wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że związała. A jeśli tak, to pewnie nie zostawiła śladów. Tym razem nie masz tam żadnego Paula Hemmingsa, który by ci donosił o każdym jej ruchu. Słuchaj, pogadamy później. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, przyjechałbym do ciebie po pracy. Z Cecilem na pewno wszystko w porządku?

- Ma się o wiele lepiej niż ja teraz. Dobra, to do zobaczenia.

Psy powitały Jeffa, jakby był ich dawno utraconym panem, który właśnie się zjawił, kiedy groziło im jakieś straszliwe niebezpieczeństwo. Olivia patrzyła z rozbaawieniem, jak Jeff przykucnął i przetoczył się po dywanie z przedpokoju do salonu, a psy kasały go w uszy i lizały po twarzy.

- Czy to wystarczająca odpowiedź na pańskie pytanie, panie Bannerman? - droczyła się.

- Może być - wysapał Jeff. Cztery psiaki siedziały mu na klatce piersiowej. - A ty chociaż trochę za mną tęskniłaś? - wystękał.

- O wiele bardziej niż trochę! Jadłeś coś? - To dopiero romantyczne powitanie.

- Po drodze do ciebie zjadłem całą pizzę. Resztki mam na ubraniu, nie widać? Ale napiłbym się piwa, jeśli masz. - Rozchylił marynarkę, pokazując koszulę. - Siedzenia w samochodzie też są w taki deseń.

Olivia przyniosła do salonu dwa piwa i kolorowy wełniany szal, który Lea zrobiła dla niej na drutach. Jeff siedział przed kominkiem, a Cecil, czy może Loopy, oparł mu łeb na ramieniu. Reszta psów usadowiła się na kolanach. Wygląda na zadowolonego, pomyślała, mimo że taki jest zmęczony, stara się zachować pogodę ducha. Rozczulił ją ten widok.

Długo tak siedzieli, wtuleni w siebie, trzymali się za ręce i po prostu patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Olivia wydostała się z ciasnego kokonu szala, w który byli zawinię-

ci, dorzuciła trzy szczapy do kominka, przyniosła poduszki z sofy i znów przytuliła się do niego. Chwilę później Jeffowi same zamknęły się oczy i już za moment twardo spał. Psy, drzemiąc, wygrzewały się przy ogniu. Olivia przymknęła powieki i słuchała miarowych uderzeń serca Jeffa, zanim też odpłynęła w sen.

Następnego dnia o dziewiątej dwadzieścia Olivia wkroczyła do miejscowej filii National City Banku. Poprosiła kierownika oddziału, żeby zadzwonił do biura Goldman Sachs i sprawdził, czy na ten czek będzie można wypłacić pieniądze. Młody urzędnik dyskretnie obrzucił ją spojrzeniem. Suma, na którą opiewał czek, nie zdziwiła go w najmniejszym stopniu. Pracownicy banków mają na co dzień do czynienia z olbrzymimi kwotami. Przeprosił ją grzecznie, bo wołał jednak nie rozmawiać w jej obecności.

Olivia rozsiadła się na krzesle i rozejrzała po sali, porównując ją do wnętrza banku w Oxford, w którym była przedwczoraj. A czuła się tak, jakby minęło już kilka tygodni.

National City Bank był dużym bankiem, ostatnio przeszedł już trzecią fuzję. Tego lata, po ostatniej fuzji, zmieniono wystrój wnętrza i teraz wszystko miało kolor chabrowy - zasłony, dywany i terakota przed okienkami. Inaczej niż w banku w Missisipi, tu pracowało bez przerwy, obracając pieniędzmi, sześć okienek. Urzędnicy zwijali się jak w ukro-pie, nawet nie podnosili głowy, żeby spojrzeć na klienta. Ten był tu tylko numerem. Na wszystkich wolnych ścianach wisiały akwarelowe portrety miss piękności winchesterskiego Święta Jabłoni sprzed czterdziestu lat. Olivia wątpiła, by którykolwiek z klientów w ogóle kiedyś spojrział na te akwarele.

Od czasu ostatniej fuzji, bank już trzy razy pomylił się w obsłudze jej konta i zawsze musiała godzinami wysiadywać w przeszklonych gabinetach, czekając na wyjaśnienie sprawy. A komputery zawieszały im się przynajmniej raz na dzień. Wielkie mi interesy finansowe, sarknęła zdegustowana, akurat w chwili, kiedy kierownik oddziału wrócił do swojego biurka. Miał plakietkę z nazwiskiem: Anthony Bortellie. Był wyraźnie skonfundowany. Olivie aż ścisnęło w dołku. Wiedziała, co jej powie, zanim jeszcze otworzył usta.

- Bardzo mi przykro, panno Lowell, ale ten rachunek u Goldman Sachs został zamknięty przedwczoraj, dokładnie o godzinie pierwszej trzydzieści. Przykro mi.

Olivia zamrugnęła oczami. Czuła się jak idiotka.

- To znaczy, że pani Laramie zablokowała ten czek, czy że...

- Pani Laramie przelała wszystkie środki z tego konta na inne, przedwczoraj o pierwszej trzydzieści, a potem zamknęła rachunek. Czy w czymś jeszcze mogę pani pomóc? - Mówił takim tonem, jakby był nauczycielem matematyki, który wyjaśnia zadanie wyjątkowo tępej uczennicy.

Olivia wzięła czek i wrzuciła do torebki. Jeszcze jeden bezwartościowy papiererek.

- Nie, na dziś to już wszystko. Dziękuję za pomoc.

Idąc do samochodu, obrzucała się najgorszymi wyzwiskami. Czowała, że Jeff miał rację, Jill Laramie na pewno już zniknęła z wynajmowanego domu w Oxfordzie. Dała się zrobić w konia. Jak można być taką idiotką?

Szlag!

- Dorwę cię, ty wiedźmo! - syknęła, wyjeżdżając tyłem z parkingu. - Pożalujesz tego. - Przez całą drogę do domu wściekała się na siebie, przez głupotę dała się wyrolować. Teraz trzeba będzie wymyślić nowy plan.

Pierwsze, co zrobiła, to zadzwoniła do agencji detektywistycznej, żeby wznowili poszukiwania. Była w tak podłym nastroju i głos miała tak podenerwowany, że psy podkułiły ogony i na wszelki wypadek wyniosły się z pokoju.

Druga sprawa, to oddzwonić do Lei. Od razu wiedziała, że coś jest nie tak. Usłyszawszy jej głos, jęknęła w duchu; brzmiał tak obco, że aż się zdrygnęła.

- Olivio, nie będę owijać w bawełnę. Dennis mi powiedział, że jego była żona prosiła, żebyś kupiła mu najnowocześniejszą łódź, i że on się nie zgodził. A ja jednak bym chciała, żebyś to zrobiła. Silnik naszej łodzi zepsuł się i naprawa będzie kosztować fortunę. Nie stać nas na to. Twój ojciec przeżywa swoją złotą jesień i powinien mieć szansę cieszyć się życiem. I byłoby miło, gdybyś ojcu założyła konto i wpłaciła tam parę tych milionów, które ci zostawiła matka. Dennis chyba sobie na to zasłużył przez te wszystkie lata, kiedy sam ciebie wychowywał. - Mówiła takim obojętnym tonem, że równie dobrze mogłaby rozmawiać o cenie wołowiny.

Olivia, dzwoniąc do Lei mogła się spodziewać różnych rzeczy, ale na pewno nie tego. Nawet nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- A tata wie, że do mnie dzwoniysz? - zapytała w końcu.

- Nie, i wolałabym, żeby się o tym nie dowiedział, bo na pewno się nie zgodzi. Ja mogę zająć się pieniędzmi, on nawet nie musi o niczym wiedzieć, póki nie przyjdzie odpowiedni moment. Z czasem przyzwyczai się do tego, że mamy pieniądze i nie będzie pytać, skąd się biorą. To by nam bardzo ułatwiło życie, Olivia.

- Ja... zastanowię się, co z tym zrobić, Lea. Muszę już lecieć. Ktoś puka do drzwi.

- To czemu psy nie szczekają? - Lea zrobiła się podejrzliwa. - Czy ty przypadkiem nie próbujesz mnie spławić?

- Lea, muszę kończyć. Na razie.

Olivia powstrzymywała łzy, cisnące jej się do oczu. „Tylko my dwoje, mała”.

Gorące łzy spływały jej po policzkach. Załkała bezsilnie. Psy przybiegły i stłoczyły się przy niej. Zsunęła się z krzesła i przygarnęła gromadkę do siebie. Zwierzaki kochały ją bezwarunkowo, nie chciały od niej pieniędzy.

- Wiedziałam, że to się tak skończy - poskarżyła się im przez łzy. - Wiedziałam!

Rozdział 16

Jill Laramie wśliznęła się do toalety na pierwszej stacji benzynowej, na którą trafiła. Ciuchy i perukę z dredami wrzuciła do brudnego kosza na śmieci, zmieniła ubranie na czyste dżinsy, bluzę i kurtkę dżinsową. Modną fryzurę schowała pod granatową wełnianą czapkę. Zarzuciła na ramię plecak z laptopem, wymknęła się z toalety i ruszyła dalej.

Idąc spacerkiem przez miasto, rozmyślała o swojej sytuacji. Tak się cieszyła, że wraca do Ole Miss. Bardzo jej się tu podobało, kiedy studiowała, po prostu kochała to miasteczko.

Może, jeżeli się uda, kiedyś jeszcze tu wróci. Może nawet zdąży na doroczną konferencję znawców twórczości Williama Faulknera. Uwielbiała Faulknera i Eudorę Welty. Uczelnia miała teraz prawa własności domu Faulknera, posiadłości Rowan Oak. Chciała zobaczyć ten dom, przejść się po pokojach, odetchnąć tą atmosferą, w której pisarz tworzył arcydzieła. Allison zawsze z niej kpiła, kiedy przyłapała ją z książką Faulknera. Gwen też nie rozumiała jej uwielbienia dla tych dwojga autorów.

Już za parę miesięcy w Ole Miss odbędzie się zjazd miłośników jazzu. Też ma w planie wziąć w nim udział. Czy raczej, miała w planie. A jej największym pragnieniem, gdyby kiedyś zebrała się na odwagę, było wkręcić się jakoś do kadry Instytutu Kultury Południa. Marzyła o tym, żeby tam uczyć i badać różne aspekty kultury Południa. Z tego marzenia nigdy nie zwierzyła się ani Allison, ani Gwen.

Tu było jej miejsce. Wiedziała o tym już od pierwszego dnia, kiedy stanęła na terenie kampusu. Ole Miss, mekka pisarzy, muzyków grających blues Deltę i różnorodnych artystów. Znowu chciała być częścią tego świata. Za długo już czekała, żeby tu wrócić. A teraz, gdyby nie pojawiła się ta upierdliwa córka Allison, mogłaby spokojnie zająć się urzeczywistnieniem swojego marzenia, zamiast znowu uciekać. To cała Allison, dręczą ją nawet zza grobu i po raz kolejny udowadnia, jaka jest przebiegła. Kiedy Allison kazała komuś skakać, jedyna odpowiedź możliwa dla niej do zaakceptowania brzmiała: Jak wysoko?"

Jill poprawiła ciemne okulary i weszła do kawiarenki, pełnej studentów. Stąd będzie mogła zadzwonić po taksówkę. Pojedzie do bursy, którą znała jeszcze z czasów studenckich. Nie ma sensu szukać teraz jakiegoś hotelu czy motelu. Zrobiło się późno i chętnie by coś zjadła. Przypomniała sobie pizzę, którą wyrzuciła do zsyphu. Ślinka jej leciała, więc usiadła przy barze i zamówiła hamburgera, frytki, shake'a czekoladowego i filiżankę kawy. Rozejrzała się, ale wszystkie stoliki były zajęte. Zdjęła okulary i przetarła oczy. Okulary słoneczne bardziej jej przeszkadzały, niż pomagały. Fatalny pomysł, nie przemyślała tego dobrze.

Młody chłopak z twarzą pokrytą kraterami pryszczy przysunął jej jedzenie. Zjadła szybko i chciała zamówić jeszcze jedną porcję, ale się rozmyśliła. Zapłaciła i podeszła do telefonu na ścianie obok toalet. Nie znosiła zapachu chloru czy innych środków do dezynfekcji, którymi czyszczono publiczne łazienki. Spodziewała się, że na tablicy ogłoszeń znajdzie wizytówkę korporacji taksówkowej i nie pomyliła się. Wykreśliła numer. Taksówka przyjedzie za dziesięć minut. Postanowiła, że poczeka na zewnątrz - nie było znowu aż tak zimno.

Za jakiś miesiąc cały teren kampusu Ole Miss - ponad osiemset hektarów - ozdobią przepyszne kwiaty magnolii; zakwitną krzewy derenia i kolorowe azalie, zazielenia się wiekowe dęby porośnięte brodami z mchu. Ciekawe, czy te dwadzieścia dwa tysiące obecnych studentów będzie witać wiosną z taką samą radością jak ona kiedyś. Na razie dygotała z zimna, czekając na taksówkę.

Życie na Ole Miss nie wyglądało różowo, póki nie poznała Allison Matthews. To Gwen, najlepsza przyjaciółka, przedstawiła ją Allison. Czowała się dumna, że taka inteligentna dziewczyna chce się z nimi przyjaźnić; prawdę mówiąc, niewiele je łączyło. Ona i Gwen fascynowały się sztuką, Allison interesowała tylko kasa. Kiedyś powiedziała nawet, że pieniądź to jej religia. Dlatego pracowała na pół etatu w banku - żeby być blisko pieniędzy. Jill i Gwen zdawały sobie sprawę, że nigdy nie będą bogate i przyjdzie im ciężko pracować na chleb. Staraly się nie zwracać uwagi na to, jaką namiętnością ich przyjaciółka darzy pieniądze.

Na ostatnim roku studiów coś zaczęło się zmieniać. Allison opowiadała, jak to wspaniale byłoby, gdyby wszystkie trzy doszły szybko do fortuny. Roztaczała wizje przed Jill i Gwen jako protektorkami sztuki, mówiła, że będą mogły wreszcie brać udział we wszystkich wydarzeniach kulturalnych organizowanych na Ole Miss. Kusila bez litości, przekonując, że wreszcie będą mogły poznać prawdziwe studenckie życie. Potrzeba im tylko pieniędzy, mnóstwa pieniędzy. Nic dziwnego, że Jill i Gwen coraz częściej rozmawiały o forsie. Kiedy Allison przedstawiła im swój diabelski plan zdobycia takich pieniędzy, które pozwolą spełnić wszystkie marzenia, co prawda nie bez oporów, ale połknęły haczyk. Musiały tylko zrobić to, co im kazała.

Do dziś Jill nie wiedziała, w jaki sposób właściciel banku zdobył obligacje i dlaczego tak lekkomyślnie zostawił je na biurku. I czemu nie zgłosił kradzieży, tylko zatrudnił do przeprowadzenia śledztwa detektywa z agencji w Memphis, w stanie Tennessee. Ją i Gwen bardzo niepokoił taki stan rzeczy. Czyżby stary Augustus był w coś zamieszany? Najwyraźniej Allison tak uważa, szeptały, i było im to nawet na rękę, jeżeli chodzi o kradzież.

Zobaczyła z daleka światła nadjeżdżającego samochodu - pewnie to jej taksówka. Przycisnęła plecak mocniej do siebie. W dłoni ścisnęła zwitek banknotów za przejazd.

Nie przyszło jej do głowy, żeby zastanawiać się nad oszustwem ubezpieczeniowym, póki nie zjawiała się Olivia Lowell. Dziewucha na pewno zmyślała, chciała ją zastraszyć. Ale Jill nie miała pewności, więc musiała uciekać. Znowu. Pytanie, dokąd teraz. Podjechała taksówka i Jill wsiadła z tyłu. - Do bursy Mandala, proszę. Nie

pamiętam adresu. Kierowca, młody chłopak, który pewnie dorabiał sobie do stypendium jeżdżąc taksówką na nocną zmianę, skinął głową i ruszył.

Niecałą godzinę później Jill zdążyła już rozgościć się w pustawym, choć czystym pokoiku ze wspólną łazienką na korytarzu. Nie było telewizora ani radia. Położyła się do łóżka w ubraniu. Kiedy tylko rano otworzą sklepy na rynku, kupi sobie jakieś ciuchy i dodatki dobre do kamuflażu, zanim obmyśli nowy plan.

Wcisnęła się głębiej w gniazdo z poduszek. Może czas wyjechać z kraju. Ale z drugiej strony, czemu by nie zastosować starej zasady Allison: kiedy chcesz coś ukryć, schowaj to na widoku, bo najciemniej jest zawsze pod latarnią. Niewykluczone, że to sprawdzi się w odniesieniu do kogoś, kto się ukrywa. Mogłaby ufarbować włosy i zmienić fryzurę, kupić sobie okulary, nosić luźne ubrania i taszczyć stertę książek. Wyglądałaby tak jak połowa kobiet w (Mordzie. Intelktualistka.

Jeśli będzie mieć ochotę, znajdzie sobie jakieś lokum w Holly Springs, oddalonym od (Mordu o jakieś sześćdziesiąt kilometrów, albo przeniesie się do Beldon. A jeśli uzna, że trzeba wyjechać trochę dalej, zawsze zostaje Memphis w Tennessee, niecałe osiemdziesiąt kilometrów stąd.

Rano włączy laptopa, żeby sprawdzić w Internecie, o co chodzi z tymi oszustwami ubezpieczeniowymi i czy rzeczywiście jest się czym przejmować. Teraz czuje się zbyt zmęczona, żeby jasno myśleć. Zasnęła niespokojnym snem, w którym nawiedzały ją postacie z przeszłości. Najpierw przyśniło jej się, że dusi Gwen kocem, pod którym obie się ukrywały. Potem odkopywała grób Adrianny Ames w poszukiwaniu ukrytych wskazówek. Sen stał się jeszcze bardziej groteskowy, bo okazało się, że idzie pod ramię z Dennisem Lowellem, który drugą ręką pchał wózek niemowlęcy. Wykrzykiwał coś z wściekłością, ale nie słyszała, co mówi. Zupełnie, jakby miała w uszach zatyczki.

Obudziła się w ciemności, zlaną potem. Jeszcze przed świtem. Musi być naprawdę zestresowana, jeśli śni takie idiotyczne koszmary. Dennis Lowell. Dlaczego akurat on? Że Adrianna i Gwen, to jeszcze rozumiała, ale żeby Dennis?

Kiedy Jill zastanawiała się, czemu przyśnił jej się Dennis, on na pokładzie swojej łodzi, „OliviiLei” czekał na wschód słońca. Siedział na płóciennym leżaku i palił fajkę. Nowy zwyczaj po przeprowadzce na wyspy.

Boże, jak tu cudownie. Ciepłe kraje, jego nagroda za lata ciężkiej pracy, za samotność w zmaganiach się z losem. Zawsze był wzorowym obywatelem, dobrym sąsiadem, gorliwym chrześcijaninem. A teraz coś takiego.

Nie ma mowy, żeby to sobie odpuścił, żeby wrócił przegrany do Winchesteru. Na ten jacht wydał wszystkie oszczędności, co do centa. Z renty Lei i jego emerytury żyli sobie jak w raju, sielankowo i bezstresowo. Znaleźli tu cudownych przyjaciół. Zarobki z czarterów pozwalały im na drobne przyjemności: od czasu do czasu kolacja poza domem, nowa sukienka dla Lei, nowa koszula dla niego. Częściej mieli na obiad steki. Uzgodnili, że połowę dodatkowych pieniędzy będą wydawać, a połowę odkładać. Problem w tym, że tej drugiej połowy już prawie nie było. „Olivia Lea” potrzebowała kompletnego remontu hydrauliki. Już stracił dwa czartery na rzecz Daimona. Inni właściciele jachtów, jego przyjaciele, oferowali pomoc przy naprawie łodzi, ale nie znali się na hydraulice. Większość z nich, będąc na emeryturze, podobnie jak on, próbowała urzeczywistnić marzenie o spokojnym życiu na starość.

Na domiar złego, Lea ostatnio dziwnie się zachowywała. Ciągłe było podenerwowanie, łatwo wpadała w złość i nie miała ochoty z nikim się spotykać. Wczoraj powiedziała, że ma dosyć mieszkania w tej norze. A przecież kiedy kupowali dom, mówiła, że jest uroczy i że tanim kosztem zrobi z niego cacuszko. I zrobiła.

Pieniądze. Koniec końców, wszystko rozbija się o pieniądze. W tym wypadku akurat o brak pieniędzy. Jeszcze nie wiedziała, że odmówiono mu krótkoterminowej pożyczki. Bez żadnego zabezpieczenia, z wyjątkiem niesprawnej łodzi, i bez gwarancji zarobków z przyszłych czarterów, bank nie chciał ryzykować. Pozostawały prywatne kredyty. Nie mógł nawet sprzedać jachtu, skoro siadła hydraulika.

Dennis nie należał do tych, którzy całe życie czekają na mannę z nieba. Brał się do pracy i robił to, co zaplanował. Ale dobiegał siedemdziesiątki i znał swoje możliwości. Nawet gdyby miał jakichś bogatych przyjaciół i tak nie poprosiłby ich o pomoc.

Niech to cholera, to się nie może tak skończyć. Po prostu nie może.

Zszedł do kambuza, zrobić sobie kawę. Woda sączyła się do filiżanki, a on próbował powstrzymać gonitwę myśli. O Boże, a co zrobić, jeśli nie starczy na czynsz? Mógłby mieszkać na łódce, ale Lea na pewno nie. Uwielbiała brać długie, pachnące kąpiele i po dwóch dniach mycia się w mikroskopijnej kabinie prysznicowej na łodzi chyba dostałaby szału.

Wrócił na leżak z kawą przelewającą się przez brzeg filizanki. Świt już rozjaśniał niebo. Szarzało. Dennis lubił patrzeć na wschód słońca i na jachty zacumowane rzędem w przystani. Bywało, że delikatne kołysanie łodzi znowu go usypiało, rano sen przerywały dopiero hałasy budzącego się portu. W niektóre dni czuło się w powietrzu niesione wiatrem przenikające się zapachy kawy, smażonego bekonu, słonej wody i wodorostów; czasem dołączała się nuta jakiejś wody po goleniu albo perfum. Ciepła, lekka bryza i niebo w kolorze lawendy. Tak spokojnie, tak pięknie, tak cudownie.

Nad jego głową przeleciało stado mew w drodze na wczesne śniadanie. Wieczorem, kiedy szedł do domu, zawsze zostawiał dla nich na pomoście pół bochenka chleba; szybko się do tego przyzwyczyli. Przylatywały każdego ranka, żeby razem z nim zacząć dzień.

Chciało mu się płakać. Jak on ma porzucić to spokojne życie? No, jak?

Pił właśnie drugą filizankę kawy, kiedy na pomoście zobaczył Leę. Instynktownie skulił się w sobie. Wyglądała na wściekłą. Stawiała zamaszyste kroki, ze złością. Ręce miała puste, więc śniadania nie będzie. Kiedy tu się sprowadzili, zawsze wstępowała do ciastkarni i kupowała pączki albo drożdżówki. Ale wtedy jeszcze oboje nocowali na łodzi, rozkoszując się nowo odkrytym rajem.

Lea pomachała mu bez przekonania, wskakując na pokład. Nie usiadła na drugim leżaku, tylko stanęła, oparta o poręcz.

- Czemu nie przyszedłeś na noc do domu, Dennis? Nie był już tak ostrożny w dobieraniu słów jak kiedyś.

- Nie chciałem znowu kłócić się z tobą. Widzę, że jesteś ciągle niezadowolona. Coś ci powiem, Lea: ja też nie skaczę z radości. Wczoraj w banku odmówili mi pożyczki. Po prostu nie czułem się gotowy rozmawiać o tym ani z tobą ani z kimkolwiek. Chciałem trochę pomartwić się sam. Zanim o coś spytasz, powiem ci, że postanowiłem pogadać z tymi, którzy mają po kilka jachtów - może potrzebują dodatkowej pary rąk do pomocy. Nie zaszkodziłoby, gdybyś i ty znalazła jakąś pracę. Będziemy oszczędzać każdy grosz, a po jakimś roku może udałoby się odłożyć na grubsze naprawy. Albo mogę spróbować sprzedać „Oli-vię Leę” i wrócimy do domu. Robię, co w mojej mocy.

Lea była przystojną, zadbaną kobietą o krótkich blond włosach, niebieskich oczach i zgrabnej figurze, niewątpliwie miłą ale w tym momencie Dennisowi przypominała sekutnicę.

- Nie pójde do pracy, Dennis, zapomnij o tym. Jestem na emeryturze, tak jak ty. Zgodziłam się na to wszystko, bo obiecywałeś raj na ziemi. Ale widać nie znasz się na jachtach, w przeciwnym razie nie kupiłbyś takiego gruchota. Dałeś sobie wcisnąć kupę złomu. Wydałeś na to cudo wszystkie nasze oszczędności, a teraz jesteśmy splukani i nie mamy możliwości dalej zarabiać. Chyba, żebyś...

- Nawet nie zaczynaj, Lea. Odpowiedź brzmi: nie. Powiedziałem ci, że znajdę sobie jakąś pracę. Ale nie jestem sam, mogłabyś też za czymś się rozejrzeć.

Zacisnęła wargi w cienką kreskę. W błękitnych oczach pojawił się błysk.

- Dennis, Olivia powiedziała, że chce ci kupić nowoczesną łódź. Czemu nie chcesz przyjąć? Nie rozumiem, dlaczego tak głupio się upierasz. Rusz trochę głową przecież za parę lat mógłbyś oddać pieniądze, nowa łódź to więcej czarterów. Potraktuj to jak pożyczkę i nie zastanawiaj się, skąd się wzięły te pieniądze. Dennis, przecież to dla nas kwestia przetrwania. Nie cierpię, kiedy tak się upierasz.

- Mnie też się nie podoba twoje zachowanie. Co się z tobą stało?

- Co się ze mną stało? - Lea zaskrzeczała głośniejsz niż stado mew. - Jesteśmy zrujnowani! Niedługo możemy stracić dach nad głową! Na koncie zostało ledwie kilkaset dolarów, a emerytura ledwo nam starcza na życie. Masz pojęcie, ile jesteśmy winni za benzynę do łodzi? Grube tysiące! Nikt już nie chce nam dawać nic na kredyt. Ludzie wiedzą że jesteśmy splukani. Dłużej tego nie wytrzymam.

Dennis zagryzł wargę.

- Powiedz to, Lea. Po prostu to powiedz.

Lea pochyliła się nad nim, z twarzą wykrzywioną wściekłością.

- W porządku, Dennis. Powiem. Naobiecywałeś mi Bóg wie czego. Uwierzyłam ci. Władowałam w twoją łódź wszystkie swoje pieniądze i nie mam z tego nic. Poprosz córkę o pieniądze. Przecież siedzi na setkach milionów dolarów, sam mówiłeś. Po co jej tyle pieniędzy? Ty masz prawo coś na tym skorzystać. Przecież wychowałeś córkę tej dzidziry. Więc upomnij się o swoje. Schowaj tę fałszywą dumę do kieszeni. Daj mi

to życie, które mi obiecywałeś. Idę teraz do domu i dziś po południu będę czekać na twoją odpowiedź, Dennis. Rzuciła mu na kolana telefon komórkowy.

Dennis już nie walczył ze łzami. Nie docierało do niego skrzeczenie mew na pomoście ani odgłosy z przystani. Po prostu siedział i płakał.

Rozdział 17

Olivia wpatrywała się tępo w kuchenne okno, kiedy zadzwonił telefon. Była w bardziej niż ponurym nastroju. A niech sobie dzwoni, pomyślała, kuląc ramiona. Wszystko idzie nie tak. Pewnie z drugiej strony jest ktoś, kto ma jeszcze gorsze wiadomości. No, ale nie przekona się, póki nie podniesie słuchawki. To mógł być Jeff, z nim akurat chętnie by porozmawiała. Po siódmym sygnale podniosła słuchawkę.

- Ollie? Tu tata. Co słyhać, skarbie?

Olivia odchrząknęła. Wciąż miała w pamięci niedawną konfrontację z Lea. Czyżby ojciec dzwonił w tej samej sprawie? Nagle zrobiło jej się niedobrze.

- Cześć, tato. Wszystko w porządku. A co u ciebie? - Zabrzmiało to raczej chłodno.

- Ollie, mam problem. Wysiadła mi hydraulika na łodzi. Muszę cię o coś poprosić. Może wzięłabyś pożyczkę pod zastaw albo jeszcze jedną hipotekę na dom? Ja będę spłacał. Zebrało się trochę niezapłaconych rachunków, wierzyciele już zaczynają naciskać. I straciłem parę czarterów. Myślisz, skarbie, że da się to jakoś załatwić?

Poczuła taką ulgę, że aż zakręciło jej się w głowie i musiała przytrzymać się krzesła. On wcale nie chce pieniędzy Adrianny Ames. Dzięki ci, Boże. O tak, dzięki ci, Boże. Minęło kilka sekund, zanim odpowiedziała.

- Jasne, tato. Zjrzę do Internetu i zobaczę, co się da zrobić. Teraz wszystko można załatwić przez Internet. Ile potrzebujesz?

- Ile tylko ci się uda zdobyć. Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale jeśli się kupuje używaną łódź, to przy okazji kupuje się też cudze problemy. Pewnie dlatego tamten facet chciał się jej pozbyć. Dzięki, skarbie. Wiedz, że ratujesz moją złotą jesień.

„Tylko my dwoje, mała”.

- Cieszę się, że mogę ci pomóc, tato.

W tym miejscu normalnie spytałaby, co u Lei, ale ugryzła się w język; czekała, co teraz powie ojciec.

- A w ogóle co słyhać, Ollie? Ciągłe pada? Jak psy? Wyjrzała przez okno. Kolejny szary dzień, a w prognozie pogody znowu zapowiadali, że wieczorem trochę poproszy. Powiedziała to ojcu.

- Psy mają się dobrze. Jeff czasem przyjeżdża mi pomóc. Jest bardzo miły, tato, i naprawdę mi się podoba.

- To świetnie, Ollie. Kiedy będziesz mogła wejść do Internetu? Skrzywiła się.

- Od razu po naszej rozmowie, tato. Wyślę ci potem e-maila, dobrze?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła drażniąca cisza.

- Wiesz, skarbie, chyba lepiej będzie, jeśli zadzwonisz do mnie na komórkę. Mieszkam teraz na łodzi. Nie chciałbym, żeby ją zniszczyli jacyś wandal, skoro jest niesprawna. A nie mogę przecież oczekiwać, że inni właściciele jachtów, przy całej swojej sympatii do mnie, nie będą robić nic innego, tylko pilnować mojej łodzi. W ciągu ostatnich tygodni mieliśmy tu kilka incydentów, kręcą się różne podejrzane typy.

Olivia nawet przez chwilę w to nie uwierzyła. Zagryzła zęby, żeby czegoś nie chlapać, ale nieposłuszne słowa i tak wyrwały jej się z ust.

- Czy chodzi o to, żeby Lea o tym nie wiedziała? Znowu ta irytująca cisza.

- Tylko na razie, Ollie.

Dobrze знаła ojca. Nic więcej nie powie. Kiedy się pożegnali, stanęła znów przy oknie i jeszcze długo przez nie wyglądała. Wydawało jej się, że z nieba już sypią drobne płatki. Czy ta zima nigdy się nie skończy? Idąc do gabinetu, czuła łyzy pod powiekami.

Godzinę później siedziała przed komputerem i wpatrywała się w monitor. Bank zgodził się dać jej sto sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów pod drugą hipotekę, bo pierwszą spłacała z wzorową starannością i nigdy nie przekraczała progu kredytowego. Musiała tylko pojechać rano do banku i złożyć podpis, żeby wystawili czek. Zaciśnęła kciuki, jak mała dziewczynka, modląc się, żeby ojciec rzeczywiście był w stanie regularnie spłacać pożyczkę. Jeśli nie, to jej mizerne oszczędności stopnieją w okamgnieniu.

Wiedziała, że ojciec siedzi na pokładzie jachtu i czeka na jej telefon. „Tylko my dwoje, mała”. Spojrzała na słuchawkę leżącą na biurku, ale nie sięgnęła po nią. Gwizdnęła na psy.

- Kolacja!- zawołała zduszonym głosem. Psy pognały do kuchni.

Po jedzeniu otworzyła im przesuwane drzwi. Harcowały na śniegu, a Olivia spacerowała w tę i z powrotem wzdłuż holu, zaciskając pięści. Była zła, smutna i sfrustrowana. Życie toczyło się tak normalnie, bez wstrząsów, dopóki pod jej drzwiami nie zjawił się Prentice O'Brien z informacją, że odziedziczyła majątek Allison Matthews. A teraz wszystko się pogmatwało. Czuła się zagubiona. Nie miała nawet pewności co do swoich uczuć.

Starala się uporządkować myśli. Dawno już powinni zadzwonić z PAD. Jeff też jeszcze nie dzwonił. W tej chwili ucieszyłaby się z każdego telefonu nie związanego z tą sprawą, nawet od Clarence'a. No, może od Clarence'a to nie. Odsunęła drzwi, żeby wpuścić psy. Ustawily się karnie w kolejkę po przysmaki i każdy ze swoim smakołykiem uciekł do kąta. Olivia wróciła do gabinetu, żeby zadzwonić do ojca.

Wcale się nie zdziwiła, że odebrał po pierwszym sygnale i od razu przeszedł do rzeczy.

- Mam nadzieję, że dzwonisz z dobrymi wiadomościami, Ollie.
- Chyba tak, tato. A ile ci potrzeba?

- Ile tylko dasz radę załatwić. Był jakiś problem?

Mózg Olivii pracował na najwyższych obrotach. Mogłaby wziąć coś z tego konta, które na jej prośbę założył Prentice O'Brien. W głosie ojca brzmiała prawdziwa desperacja. Nie mogła tego słuchać.

- W banku powiedzieli, że dadzą mi dwieście tysięcy - zmyśliła naprędce. - Wystarczy ci, tato?

Znowu ta nieprzyjemna cisza.

- Wystarczyłoby, gdyby chodziło tylko o naprawę, ale Lea chce, żebym sprzedał łódź i oddał jej to, co włożyła. Kiedy pozwracam wszystkie długi, zostanę z niczym. Może pożyczylabyś coś na firmę, Ollie?

Olivii ścisnęło się serce. „Tylko my dwoje, mała”.

- Mogę spróbować, tato, ale dużo tego nie będzie. Dobrze wiesz. Mam ci przelać pieniądze na konto? Jeśli tak, to podaj numer rachunku.

- Nie, nie. Przyślij mi priorytetem potwierdzony czek. Na adres przystani. Tam go odbiorę.

- Tato, co się dzieje? Macie z Leą jakieś problemy?

Na dworze zapaliły się światła. W żółtawej poświacie wirowały płatki śniegu. Olivia czekała na odpowiedź ojca.

- Można powiedzieć, że ostatnio nie najlepiej nam się układa. Dziś rano postawiła mi ultimatum, a ja nie lubię takich sytuacji. Dlatego nocuję na łodzi. Słuchaj, Ollie, nie musisz się tym przejmować. Jakoś sobie poradzę.

- Ale jak, tato? Ile Lea dała na łódź?

- Osiemdziesiąt sześć tysięcy, i jeszcze dwadzieścia na dom.

- Słuchaj, tato, wiem, że nie chcesz ani grosza z majątku Adrianny Ames, ale to nie znaczy, że Lea nie może ich dostać. Wyślę ci dwa cheki, jeden na dwieście tysięcy z pożyczki, a drugi na te sto sześć tysięcy. Lea nie musi wcale wiedzieć, skąd je masz.

Powiedz, że wzięliśmy drugą hipotekę na dom. A co zrobisz potem, to już tylko od ciebie zależy. Powiedz, tato, zrobiłeś coś, czego żałujesz?

- No cóż, Ollie, jak to mówią - stary, a głupi. Bardzo cię przepraszam. Wyślij te dwa czek. Wypisz oba na mnie, a ja sobie wpłacę na konto i sam wypiszę czek dla Lei. Życie mi ratujesz, córciu. Wiesz o tym, prawda?

- To nie są moje pieniądze, tato. Ja nie chcę, żebyś sprzedawał łódź. Wiem, że ci tam dobrze. Spełniłeś swoje marzenie. I co teraz, będziesz mieszkać na łodzi czy jak?

- Chyba tak. Tu wszyscy zdziwaczali staruszkowie tak robią jeśli nie mają żony. Zakumplowaliśmy się. W każdym razie, mnie to nie przeszkadza, widzę także plusy - nie będę miał dodatkowych wydatków. I dzięki temu może wreszcie stanę na nogi. Jasne, że nie od razu, bo sprzedaż domu zajmie mi trochę czasu, no i przecież będę spłacać pożyczkę. Dom spróbuję wynająć, zanim uda się go sprzedać. Ryzykowne, ale może zadziała.

- Dobra, tato, wszystko załatwię. A co teraz będziesz robić?

- Posiedzę sobie tu na swoim starym, rozklekotanym leżaku i poczekam, aż się pokażą gwiazdy. Spróbuję znaleźć gwiazdkę Ollie Lowell i będę sobie na nią patrzył, póki nie zasną. Ostatnio kiepsko sypiam, córciu - za bardzo się wszystkim przejmuję. No, ale dziś wreszcie się wyśpię. Dzięki, że pomogłaś swojemu staruszkowi.

- Okej, tato. Jakby coś, to dzwoń.

Olivia w zadumie stuknęła palcem w blat biurka. Wszystko zawsze rozbija się o pieniądze. Życie z minuty na minutę robiło się coraz bardziej skomplikowane.

Zegar na kominku wskazywał północ, a Jeff jeszcze się nie odezwał. Nie dzwonili też z agencji detektywistycznej. Poczulią się samotna i opuszczona. Przez cały wieczór rozmyślała o ojcu i jego problemach. Wiedziała, że jest załamany. Co teraz zrobi Lea? Będzie się go trzymać, licząc, że Dennis jednak się namyśli i zażąda części majątku Adrianny Ames? Jeżeli tego się spodziewa, to nie zna Dennisa Lowella. Olivia była ciekawa, czy ojciec powiedział Lei, w jaki sposób Adrianna Ames zdobyła fortunę. Pewnie nie. Nie lubił wspominać byłej żony ani o niej opowiadać. Ciekawiło ją też, co zrobiłaby Lea, gdyby dowiedziała się prawdy. Czy próbowałaby ich szantażować? Niech to cholera, nikomu już nie można ufać. Powinna iść do łóżka i próbować

zasnąć. Nie będzie łatwo, z tyloma problemami na głowie! Może kieliszek wina by pomógł, taki spory. Albo całe pudełko lodów. Ostatecznie kanapka z podsmażoną morta-delą. Lody, kanapka z mortadellą i kieliszek wina. Po takiej kombinacji pewnie przez całą noc miałyby koszmary.

W końcu dorzuciła tylko trochę szczap do ognia i skuliła się przed kominkiem na stosie poduszek obok psów. Spojrzała na kolorową bawełnianą chustę od Lei, ale w przypływie złości cisnęła ją w ogień. Przyniosła sobie kołdrę z sypialni i otuliła się nią razem z psami. Po kilku sekundach już spała, a w ciepłe bijącym od kominka łąy zasychały jej na policzkach.

Obudziła się z mocnym postanowieniem, żeby zrobić dziś coś konkretnego. Dobrze by się stało, żeby wreszcie wszystko wróciło do normalności. Przygotowując sobie śniadanie, podsumowała w myślach ostatnie parę tygodni. Dla ojca już nic więcej nie mogła zrobić. Odnalazła Gwen, ale ją należało wykluczyć z dalszych planów. Jill zajmowała się agencja detektywistyczna, więc Olivia mogła tylko czekać. Jeff był zajęty pracą, dopóki sam się do niej nie odezwie, też nie wchodził w grę. Cecil, jak na razie, był bezpieczny i zadowolony. Więc zostawała tylko Olivia - no i Adrianna Ames.

Ugryzła chrupiący kawał bekonu, dziwiąc się, że jest taka głodna. Połknęła jajecznicę z trzech jajek i dwa tosty, a ostatnim kawałkiem bekonu podzieliła się z psami. Posprzątała w kuchni i włączyła zmywarkę.

Już wiedziała, co teraz robi. Kiedy załatwi pieniądze dla ojca, pojedzie do posiadłości Adrianny Ames. Pora przekonać się, jaka naprawdę była kobieta, która ją urodziła. Im szybciej pogodzi się z istnieniem Ames, tym szybciej będzie mogła się ze wszystkim uporać.

Godzinę później jechała do banku. Z samochodu pomachała sąsiadowi, który w razie potrzeby opiekował się psami. Załatwienie sprawy zajęło jej całe dwadzieścia dwie minuty. Potem w samochodzie lekko drżącą ręką wypisała czek dla ojca. Kiedy włożyła go do koperty FedExu, odetchnęła głośno z ulgą. Podjechała do skrzynki, żeby wrzucić kopertę.

Załatwione.

A teraz - do Adrianny Ames, powiedziała sobie.

Olivia wprowadziła kod, żeby otworzyć bramę wjazdową i zobaczyła, że po drugiej stronie czekają już dozorca z Brutusem. Zadzwoiła wcześniej, żeby poprosić o włączenie ogrzewania w domu. Teraz podjeżdżała powoli do domu i przez opuszczone okno rozmawiała z Cyrusem Somersem, który siedł obok samochodu.

- Zrobiłem dla panny dzbanek kawy. Mówiła panna, że chce rozmawiać, a mnie się zawsze lepiej gada przy kawie. Przyjechała panna na stałe?

- Nie, nie na stałe. Ja tylko... ja chciałam...

- Dowiedzieć się czegoś o kobiecie, która pannie to wszystko zostawiła? - Zatoczył ręką dookoła.

- Właśnie. I byłabym wdzięczna, gdyby mógł mi pan o niej opowiedzieć wszystko, co pan wie. Długo pan dla niej pracował, więc pewnie wyrobił pan sobie zdanie na jej temat. Opowiadała panu o sobie? Zwierzała się? A tak w ogóle, gdzie jest pochowana?

Stary dozorca naciągnął mocniej nauszники futrzanej czapy. Popatrywał na Olivie, jakby się zastanawiał, co jej powiedzieć, a czego nie.

- Tak się zastanawiałem, kiedy panna o to spyta. Normalnie córka od razu by o to zapytała.

- Ale ja nie jestem normalną córką i dobrze pan o tym wie. Wierzyłam, że ona zmarła trzydzieści cztery lata temu. Wydawało mi się, że jest pochowana gdzieś w Missisipi. Nie wiem, czemu tak myślałam. Może dlatego, że studiowała na Ole Miss. A kiedy byłam starsza, już nie pytałam o to. Bo i po co?

- Grób ma tutaj, za domem, pod dębem. Latem tam sobie siadywała, żeby poczytać. Brutus też tam z nią chodził. Czasami mu głośno czytała. Pies kobitę lubił. Nie chciała żadnego nagrobka. Mówiła, że nagrobki to istna makabra. To jej wyrznięłem mały krzyżyk na drzewie, zaraz nad ziemią. Teraz zarosło mchem. A Brutus to nawet nie podejździe do drzewa. Stoi z daleka i się gapi. Zwłaszcza teraz, w zimie. Sam nie wiem czemu. Ona nie mogła się zdecydować, czy chce, żeby ją skremować czy pochować. W końcu powiedziała, żeby pochować. Wiedziała, że i tak nikt nie będzie przychodził na grób. Ale Brutus i ja zaglądamy codziennie.

No, cóż, sama o to zapytała. To nic znaczy, że musi być zadowolona z odpowiedzi.

Odetchnęła z ulgą, kiedy wreszcie dotarli do odśnieżonego parkingu. Wsiadła z samochodu i poczuła, że mróz szczypie ją w policzki, więc tym bardziej wolała jak najszybciej znaleźć się w środku.

- Nie wiem, czy panna wie, ale ona się bała. Teraz, pod sam koniec. Właściwie to przez cały ostatni rok.

Olivia parsknęła cynicznym śmiechem.

- Niech mi pan tu nie ściemnia, panie Somers. Ta kobieta nie wiedziała, co to strach. Może mi pan wierzyć, ona nie była taka, jak się panu wydaje. Nawet nie nazywała się Adrianna Ames, ale to akurat pewnie już pan wie.

- Źle panna myśli. Bała się, i to okropnie. Widziałem, że płakała, jak jej się wydawało, że nikt nie patrzy. Ja się tu nią opiekowałem.

- Pan ma swoje zdanie na jej temat, panie Somers, a ja mam swoje. I raczej nigdy się nie zgodzimy w kwestii Adrianny Ames.

- Bóg wybacza wszystkim swoim dzieciom. Jak on może, to pannie co przeszkadza? - Chce się panna do końca swoich dni dusić w nienawiści i zgorzknieniu? Szkoda życia.

Olivia zrzuciła kurtkę i podeszła do dzbanka z kawą. Nalała do dwóch kubków. Usiadła przy stole naprzeciwko Cyrusa Somersa. Brutus rozłożył się i wygrzewał przy dmuchawie.

- Proszę mi coś opowiedzieć o Adriannie Ames. I niech pan nie owija w bawełnę. Zależy mi na prawdzie.

Cyrus wziął kubek z kawą w obie ręce.

- Z początku za nią nie przepadałem. Za moich czasów mówiło się o takich, że zadzierają nosa. Nikt z personelu jej nie lubił. Strasznie była wymagająca. Na początku to prawie codziennie odwoziłem kogoś z obsługi do miasta i przywoziłem kogoś nowego. Jedna kucharka, co miała świetne referencje, strasznie pomstowała na panią Ames, jak ta ją zwolniła. Kucharka podburzyła innych i wszyscy się pozwalnia-

li. Wyzwiska leciały, że aż uszy wędły. Przez prawie rok nikogo tu nie mieliśmy do pomocy. Sam wszystko robiłem. Matka panny nie wiedziała, jak się z ludźmi obchodzić. Myślała, że jak dobrze zapłaci, to może traktować człowieka jak szmatę. Musiałem jej tłumaczyć, że tak nie wolno - zagroziłem nawet, że odejdę. W końcu znalazła jakieś pokojówki z Jamajki. Były tu do samego końca. Zapisała im spore sumy w spadku. Wszystkie cztery płakały, jak ją chowałem.

Olivia zagapiła się na dozorcę znad swojego kubka.

Cyrus wysączył kawę i mówił dalej.

- W końcu zaczęła na mnie polegać i się zaprzyjaźniliśmy. Zgadzała się, żebym jej mówił bez ogródek, co myślę. A jak już się do tego przyzwyczaiła, to czasem pytała mnie o zdanie w sprawach interesów, co kupować na różnych targach. Rzeczy dla psów testowała na Brutusie. Jak mu się coś spodobało, to zamawiała. A jak nie, to rezygnowała, nieważne, co to było.

Kiedyś, dawno temu, wspomniała mimochodem, że ma córkę, której nigdy w życiu nie widziała. Wtedy o nic nie pytałem. Później, kiedy pannie stuknęło szesnaście lat, zaczęła mi pokazywać raporty, co to jej przysyłali z agencji detektywistycznej, o pannie i panny ojcu. Spytała mnie o panny zdjęcia, to jej powiedziałem, że niebrzydka z panny dziewczuszka. Przytaknęła mi i powiedziała, że to dobrze, że panna do niej niepodobna. Wtedy właśnie mi się zwierzyła, że zostawiła pannę z ojcem, bo uznała, że on zapewni pannie lepsze życie. Mówiła, że nie nadaje się na matkę. Popatrzyła mi prosto w oczy i powiedziała: „Cyrus, ja nie jestem dobrą, kochającą kobietą. Dennis za to jest dobrym, kochającym człowiekiem, a dziecko potrzebuje, żeby je wychowywał dobry, kochający człowiek. To, że ją zostawiłam, to chyba najlepsze, co w życiu zrobiłam, ale Olivia nigdy tak nie pomyśli. Dennis pewnie mnie nienawidzi. Ale spójrz tylko, Cyrus, jak świetnie sobie z nią poradził. Na pewno jest z niej dumny. Przez wszystkie te lata wysyłałam prezenty i pieniądze przez mojego prawnika, ale Dennis wszystko odsyłał z powrotem. Nigdy nie mogłam tego pojąć. Nie chciał przyjąć ode mnie ani centa. Ale nie wiedzieć czemu, podobało mi się to. Wiem, że to, co zrobiłam, było najlepsze dla nas wszystkich”. Tak mówiła.

Olivia wzruszyła ramionami. Nie podobało jej się to, co usłyszała. Na twarzy miała wypisaną odrazę.

- Wysyłała pieniądze i prezenty dwa razy do roku, na panny urodziny i na Gwiazdkę. Poszła na panny zakończenie szkoły i rozdanie dyplomów na studiach.

Wiem, bo z nią pojechałem. Stała z boku, chciała tylko pannę z daleka zobaczyć. A jak panna wyszła na scenę odebrać dyplom, to myślałem, że palce mi połamię, tak mnie ścisnęła za rękę.

Olivia nie miała ochoty słuchać takich miłych rzeczy o Adriannie Ames. Chciała słuchać ohydnych, wstrętnych rzeczy, żeby się utwierdzić w nienawiści do niej.

Cyrus wstał, żeby dolać kawy.

- Przez wszystkie te lata, co u niej robiłem, raz tylko widziałem, jak matka panny się śmieje. I chyba nigdy się nie uśmiechała. Ale śmiała się, jak jej przyniosłem pierwszy kalendarz z panny zdjęciami, ten z psami. W końcu go nie powiesiła, ale go trzymała w biurku. Nieraz widziałem, jak go oglądała. Mówiła, że ma panna niezłe oko. Olivia przejechała językiem po wyschniętych wargach. - Czy Adrianna mówiła panu, skąd wzięła pieniądze na rozkręcenie firmy?

Cyrus pochylił się nad stołem.

- Powiedziała mi, że okradła bank. Z początku pomyślałem, że sobie ze mnie żartuje. Powiedziała mi o tym zaraz, jak tylko lekarze stwierdzili chorobę. Tak już to z siebie zrzuciła, to mówię pannie, wyglądała, jakby jej kto kamień z serca zdjął. Wiedziała, że mnie może zaufać. Tego się Olivia nie spodziewała.

- A mówiła coś o swoich wspólniczkach? Jill i Gwen?

- Wszystko mi powiedziała. Mówiła też, że w testamencie zrobiła zapis, żeby spłacić pieniądze do tego banku. Powiedziała, że straciła kontakt z tamtymi, i raczej tego nie żałowała. Ale kradzież i te koleżanki nie były dla niej ważne przez ostatni rok życia. Najwięcej wysiłku kosztowało ją, żeby przeżyć kolejny dzień. Mówiła mi za to, że gdyby mogła coś w życiu zmienić, to chciałaby z panną porozmawiać, chociaż raz.

- O trzydzieści cztery lata za późno - mruknęła Olivia.

- Przez ostatnie pół roku musiałem już za nią płacić rachunki, w tym rachunek za telefon. Nieraz tam widziałem panny numer, do Winchesteru w Wirginii. Podejrzewam, chociaż nigdy jej o to nie pytałem, że dzwoniła i rozłączała się, jak tylko usłyszała panny głos w słuchawce. Niech no panna pomyśli, na pewno sobie panna przypomni serię pomyłek albo głuchych telefonów.

Olivia obracała w dłoniach uszko od kubka. Rzeczywiście, pamiętała, że były takie telefony, kiedy wydawało jej się, że ktoś słucha, ale nikt się nie odzywał.

- Wyrzuty sumienia potrafią mieszać ludziom w głowach. Proszę, żeby zechciał pan więcej nie nazywać Adrianny Ames moją matką. Ona nie była żadną matką. Na takie miano trzeba sobie zasłużyć. Nie wystarczy tylko, że mnie urodziła.

- Niech no panna nie będzie taka zgorzkniała. Przecież na koniec próbowała wszystko naprawić. To się chyba liczy. A ojciec coś pannie opowiadał o tym, jaką panną mat... eee... jaką pani Ames miała przeszłość?

- Nie. Mówił tylko, że nie żyje. Nie wydaje mi się, żeby coś wiedział o jej przeszłości. Był u mnie w zeszłym tygodniu i rozmawialiśmy o niej, ale nic takiego nie mówił.

- Nieciekawe miała życie. Rodzice - meły społeczne. Ojciec pił, a matka... zarabiała na ulicy. Mieszkali w przyczepie, gdzie zimą nie było ogrzewania. Musiała żebrać o jedzenie. Opowiadała mi, że jedna sąsiadka, jakaś miła staruszka, raz w tygodniu, w sobotę, pozwalała jej wziąć kąpiel. Chodziła w ubraniach z darów. Uciekła z przyczepy, jak miała czternaście lat i zaczęła zarabiać jako kelnerka. Po drodze miała kilku... sponsorów, i chyba nie muszę pannie tłumaczyć, co to znaczy. Mimo wszystko, nie rzuciła szkoły. Miała takie marzenie, żeby iść na studia i do czegoś w życiu dojść. Wzorowo się uczyła. Pochwaliła mi się, że dostała dyplom z wyróżnieniem.

- A w nagrodę za cztery lata pilnej nauki okradła sobie bank - powiedziała z przekąsem Olivia.

- Coś w tym rodzaju. Mówiła mi, że właściciel banku i jego kolesie robili jakieś lewe interesy. Z początku się bała, że ją znajdą ci z ubezpieczalni, bo ten pan August ubezpieczył swoje obligacje. To między innymi dlatego zmieniła nazwisko i zaczęła unikać ludzi. No, to tyle mogę powiedzieć. Chyba że ma panna jakieś pytania.

Czy miała jakieś pytania?

- Czy kiedykolwiek mówiła coś o moim ojcu?

- Tylko tyle, że to dobry człowiek. Złego słowa o nim nie powiedziała. Był wniebowzięty, jak się panna urodziła. Chciał mieć mnóstwo dzieci, tak mi mówiła.

Powiedziała, że wyszła za mąż głównie po to, żeby się wynieść z miasta, wyjechać z daleka od tego banku i ubezpieczalni. Nowe nazwisko, te rzeczy. A potem znowu zmieniła nazwisko, jak się rozwiodła. Zawsze się dziwiła, że tak łatwo im poszło z tą kradzieżą. Ale i tak ciągle miała duszę na ramieniu, cały czas się bała, że ktoś przyjdzie i wsadzi ją do więzienia. Pani Ames nie była szczęśliwa. Ja myślę, że ona nawet nie wiedziała, jak być szczęśliwą. Ani pieniądze, ani sukcesy, ani to wszystko, co miała jej w tym nie pomogło.

Olivia miała już dosyć.

- Przejdę się teraz po domu, panie Somers, i pozdejmuję wszystkie pokrowce. Nie wiem dlaczego, ale chciałabym zobaczyć, jak wyglądał ten dom, kiedy był zamieszkały. Jeszcze nie jestem pewna, ale może nawet zostanę na noc.
- Chce panna, żebym z nią został i pomógł?
- Nie, panie Somers, to jest coś, co potrzebuję zrobić sama.
- No, to jakby coś, niech panna dzwoni na komórkę. Mam ją cały czas przy sobie.
- A nie wie pan przypadkiem, która to firma ubezpieczała te obligacje?
- Wielka Skala z Missisipi.
- Dziękuję.

Rozdział 18

Olivia biegła jak w transie przez dom Adrianny Ames i zrywała wszystkie pokrowce. Rzuciła je na kupę na środku podłogi. Dostała zadyszki, zanim poodłaniała meble i draperie na parterze. Wciągała powietrze głośnymi, urywanymi haustami i dopiero teraz, rozglądając się, spostrzegła, jakiego narobiła bałaganu.

Ciekawe, czy Adrianna sama projektowała wystrój pokojów, czy zatrudniła do tego specjalistę? Pokoje urządziła bardzo elegancko i kosztownie. Zdaniem Olivii,

wyglądało to jak scenografia do filmu, gdzie każdy przedmiot ma swoje miejsce; wszędzie rzucały się w oczy wielkie pieniądze. Jedwab, satyna, brokat, złocenia. Dywany na podłodze to pewnie oryginalne persy.

Szukała jakichś osobistych drobiazgów, ale nic takiego nie było - żadnych zdjęć, żadnych pamiątek z podróży do miejsc, które się mile wspomina. Podeszła do kominika. Wyglądał, jakby ktoś wyszorował go szczotką. Tu nikt nie rozpałał ognia, żeby zrobiło się przytulniej. Sprawdziła sofę. Tak twarda i sztywna, że Olivia zaraz wiedziała: nigdy nie siadano na tych złocistych brokatakach.

Stała tak, trzymając się pod boki, i patrzyła na przebogie, ale pozbawione duszy wnętrze. Może właścicielka miała taki gust, a może było to swoiste rozliczenie się z przeszłością. Posiadłość to kompletne przeciwieństwo zardzewiałej przyczepy bez ogrzewania, będącej kiedyś domem rodzinnym Allison; uciekła stamtąd, bo miała dość nędzy.

Olivia powlokła się do kuchni. Z poprzedniej wizyty pamiętała, że jest tam spiżarnia, wielkości sporego pokoju. Zanim weszła do środka, wiedziała, że spiżarnia będzie zaopatrzona jak mały sklep spożywczy. Półki zajmowały wszystkie ściany, od podłogi do sufitu, i ugięły się od puszek, pudełek i paczek. Zamrażarka była wypchana do granic możliwości. Olivia mogłaby się założyć, że w środku znajdzie porcje wołowiny, każdą w osobnym, podpisanym woreczku. Otworzyła drzwiczki i okazało się, że miała rację. O nie, z głodu Adrianna Ames raczej by nie umarła. Ktoś, kto kiedyś musiał zebrać o jedzenie, na pewno dbał o to, żeby zawsze mieć odpowiednie zapasy.

Musi poprosić Cyrusa, żeby sprawdził daty ważności na wszystkich produktach. Jeśli nie są przeterminowane, trzeba będzie je zawieźć do najbliższej jadłodajni dla bezdomnych. Wychodząc, zamknęła za sobą drzwi. Nie chciała już patrzeć na to pomieszczenie. Ani w nim przebywać.

Stała na środku kuchni i sięgnęła po komórkę. Zadzwoiła do Cyrusa.

- Mam jeszcze jedno pytanie, panie Somers. W kopercie, razem z listem, który mi przekazał prawnik pani Ames, była moja bransoletka z porodówki. Nie wie pan, jakim cudem się u niej znalazła? Kiedy się urodziłam, ta kobieta nie chciała mnie widzieć na oczy.

Przez telefon głos starego dozorczy wydawał się jeszcze bardziej zdarty i ochryply.

- Mówiła mi, że poprosiła pielęgniarkę, żeby jej przyniosła bransoletkę tego dnia, co ojciec miał pannę zabierać do domu. Że chciała mieć coś na pamiątkę porodu, bo to było dla niej takie straszne przeżycie. Ale panny to faktycznie nie miała ochoty oglądać, tak mi przynajmniej mówiła. Tyle pannie wystarczy?

- Wystarczy, panie Somers. Dziękuję.

Olivia poczuła łzy pod powiekami, ale zacisnęła zęby i pomaszerowała w stronę przepięknie rzeźbionych krętych drewnianych schodów na piętro. Brązowy papier, po którym szła, wydawał okropny chrzęst, nieprzyjemny jak skrobanie paznokciem po tablicy.

Na górze energicznie ruszyła wzdłuż korytarza, zdzierając z rzeczy płachty materiału i plastiku. Zawróciła na koniec korytarza, chcąc zacząć od pokoiów gościnnych - a przynajmniej zakładała, że to pokoje dla gości, skoro Adrianna Ames nie miała rodziny. Ciekawe, gdzie mieszkaly te służące z Jamajki? Znowu wyciągnęła komórkę, żeby zapytać Cyrusa Somersa.

Głos w słuchawce brzmiał jak połączenie żwiru i smoły.

- Pani Ames kazała przerobić dawny garaż na przybudówkę mieszkalną; miały tam cztery sypialnie, kuchnię, dwie łazienki i salon z dużym telewizorem. One wszystkie były kuzynkami i chciały mieszkać razem. Ten garaż widać z okna salonu u pani Ames, zaraz za moim domkiem. Coś jeszcze panna chciała?

- Nie, dziękuję.

Wzruszyła ramionami i wzięła się znowu do ściągania zabezpieczeń z mebli, obrzów i zasłon w pokojach gościnnych. We wszystkich czterech pomieszczeniach królowały jasne, pogodne i żywe kolory. Zachwycił ją przepiękny wystrój: kobiecy i pełen wdzięku. Łazienki przy pokojach były w tej samej tonacji co sypialnia. Grube, mięsiste ręczniki w kolorze pasującym do pościeli nie wisały na kołkach, tylko leżały złożone w szarkach. Olivia znów wzruszyła ramionami. Po co to wszystko, skoro i tak nikt tu nie przyjeżdżał.

W apartamencie Adrianny zwały plastiku leżały na środku podłogi tak, jak je zostawili z Jeffem podczas ostatniej wizyty. Odsloniła resztę mebli i rozejrzała się dookoła.

Pokoje wyglądały na zamieszkane. Tu pani domu zrobiła sobie kryjówkę. Meble w salonie miały neutralny kolor, były miękkie i wygodne. Grube jasnobezowe pasiaste zasłony opadały aż do podłogi. Przed olbrzymim fotelem stał wyścielany podnózek. Pewnie lubiła rozprostować nogi, gdy oglądała telewizję. Olivia na próżno rozglądała się za wieżą; może Adrianna nie lubiła muzyki.

Kiedy usiadła za biurkiem, rozdzwoniła się jej komórka. Jeff, uśmiechnęła się mimo woli. Głos był nieśmiały, ale bardzo, bardzo ciepły. Miała nadzieję, że jej brzmi podobnie, albo jeszcze milej.

- Co słychać? - spytała.

- Jestem zmęczony. Naprawdę chciałem wczoraj przyjechać do Winchesteru, ale nie dałem rady. Już kiedy przyszedłem do biura, padałem z nóg. Miałem do ciebie zadzwonić po powrocie do domu, ale usiadłem sobie na chwilę, przymknąłem oczy i... obudziłem się dopiero dziś rano. A co u ciebie? Dowiedziałaś się czegoś?

Olivia zdała mu szczegółową relację.

- ... a teraz właśnie siedzę w jej gabinecie. Skopiuję sobie wszystkie pliki z jej komputera na płytę i zabiorę do domu. Chciałam nawet zostać tu na noc, ale jakoś przeszła mi ochota. Może zabiorę nawet cały komputer i przejrzę wszystko w domu. Wolę spędzić noc z tobą - wyznała nieśmiało. - Jeśli rzeczywiście chcesz do mnie przyjechać, kup po drodze coś na wynos. Ja tu spakuję, co trzeba i jadę do domu. Jak tam pogoda?

- Teraz dla odmiany pada deszcz, i dobrze, bo topi się ten paskudny lód na asfalcie. Okej, to widzimy się wieczorem. Z Cecilem wszystko w porządku?

- Pewnie, że tak. Do zobaczenia wieczorem.

Skoro już miała w ręku komórkę, zadzwoniła jeszcze raz do Cyrusa Somersa.

- Chcę zabrać parę rzeczy. Mógłby mi pan przygotować kilka pudeł, żebym to zapakowała?

Po godzinie bagażnik forda bronco był szczelnie wypchany kartonami, znalazł się w nim też komputer Adrianny. Olivia wyciągnęła wszystko z sejfów i opróżniła szuflady biurka. Sama właściwie nie wiedziała, co się spodziewa znaleźć.

Zanim wsiadła do samochodu, uściśniła rękę dozorczy i podrapała Brutusa za uszami.

- Panie Somers, wcale pan nie musi odchodzić na emeryturę ani się stąd wyprowadzać. Jeżeli czuje się pan na siłach, może pan tu zostać. Cały czas dostawałby pan pensję. Nie musi się pan decydować teraz, niech się pan nad tym zastanowi i zadzwoni do mnie. Ma pan przecież mój numer telefonu.

Nie miała pewności, ale wydawało jej się, że w oczach starego człowieka pojawiło się coś, jakby ulga. Skinął głową. Olivia wrzuciła bieg i ruszyła.

Była już czwarta po południu i właśnie poczuła, że jest strasznie głodna. Skręciła na parking za ciepłownią i znalazła miejsce naprzeciwko hotelu Sleep Inn. Z parkingu poszła prosto do kawiarni Daily Grind, gdzie zamówiła dużą kawę i kanapkę. Zmieściłaby więcej, ale skoro Jeff ma coś przywieźć, nie powinna się teraz objadać. Uwielbiała posiłki w jego towarzystwie i te rozmowy o wszystkim i o niczym.

Do domu dojechała czterdzieści minut później. Zastanawiała się, czy nie zabrać kartonów z samochodu, ale padał deszcz. Może później Jeff to zrobi. W końcu musi jakoś odpracować tego dolara, przecież mu zapłaciła. Uśmiechnęła się. Naprawdę lubi tego faceta. Nie, to nie tak - właściwie to chyba jest zakochana w Jeffie Bannermanie.

Weszła do domu, zapłaciła sąsiadowi za opiekę nad psami i chwilę się z nimi pobawiła. Nie chciały wychodzić na deszcz, więc ustawiła im kuwety pod drzwiami.

Otworzyła puszkę z napojem i poszła do salonu poszukać słuchawki od telefonu, która jak zwykle zawieruszyła się gdzieś wśród poduszek beżowej kanapy. Zadzwoniła do ojca. Czekając, aż odbierze komórkę, niecierpliwie tupiała nogą. Kiedy się odezwał, naskoczyła na niego z pretensją w głosie.

- Czemu mi nie powiedziałaś, że twoja była żona, ta kobieta, która mnie urodziła, przysyłała mi jakieś prezenty? I dlaczego je odsyłałeś? A w ogóle to skąd wiedziałeś, że te prezenty są od niej? Do cholery, tato, dlaczego mnie okłamywałeś?

Nie wykręcał się. Nie próbował jej zbyć byle czym.

- A po co miałbym ci o nich mówić, Ollie? Myślałaś, że twoja matka nie żyje. Prezenty wysyłał jakiś przedstawiciel prawny. To od kogo niby miały być?

Olivia tak wściekle tupiała nogą, że psy przerwały swoje zajęcia i przyglądały się jej z zainteresowaniem, przekrzywając łebki.

- To dlaczego mi nie powiedziałeś teraz, kiedy się wszystko wydało? Czemu dalej coś przede mną ukrywałeś? Miałam prawo o tym wiedzieć, tato. Nie wiem, czy potrafię ci to wybaczyć.

- Ollie... Pewnie byś chciała, żebym cię przeprosił, ale ja tego nie zrobię, nawet ze względu na ciebie. Pomyśl tylko, jak ci z tym teraz ciężko. Nie chciałem, żebyś przez coś takiego musiała przechodzić. Wiem, że to brzmi nieludzko, ale ona odrzuciła ciebie, Ollie. O tym, że nie chce swojego dziecka powiedziała mi, przy pielęgniarkach i tych prawnikach, którzy u niej wtedy byli, kilka godzin po twoim urodzeniu. Na miłość boską, Ollie, ta kobieta okradła bank, bo tak sobie wymyśliła. Prezenty wysyłała ci pewnie z poczucia winy. Wiedziała, gdzie mieszkamy: jak inaczej prawnicy by je wysyłali? Gdyby chciała spotkać się z tobą, nic nie stało na przeszkodzie. Jeżeliby przyszła, Ollie, to ja bym jej nie wyprosił. To był jej wybór. - Po chwili milczenia dodał jeszcze, chłodno: - Kiedy wreszcie pozbiasz się z tym bałaganem?

- Nie wiem - odburknęła Olivia.

- No, no, moja panno, nie podoba mi się ten ton. Jeśli chcesz jeszcze coś powiedzieć, to proszę bardzo, mów od razu, nie mam ochoty co kilka dni przechodzić przez to samo. Nie zmienię przeszłości. A nawet, jakbym mógł, to też bym tego nie zrobił. Było ci ze mną dobrze, Ollie. Cholernie dobrze, i nie mów, że to nieprawda.

- Wiesz co, tato, a mnie się nie podoba, że przez te wszystkie lata mnie okłamywałeś. I uważam, iż mam powody, żeby mówić do ciebie takim tonem. A teraz wydaje mi się, że powinniśmy skończyć tę rozmowę, zanim któraś z nas powie coś, czego potem będzie żałować.

Ojciec rozłączył się bez pożegnania. Na pewno jest na nią zły. Rozplakała się.

Chodziła w kółko po pokoju, zatrzymując się tylko, żeby wytrzeć oczy i nos. To nie fair, myślała. Nie prosiłam się o coś takiego. I nic się nie da zrobić, żeby się z tego jakoś wyplątać. Podniosła oczy na sufit.

- Chcę, żeby moje życie wróciło do normy! Chcę gotować gulasze i przejmować się tym, jak wypadną zdjęcia w kalendarzu! Chcę się martwić o pieniądze i zastanawiać się, czy mogę sobie na coś pozwolić!

Chcę tu mieszkać z moimi psami, chcę uczciwie pracować, a przede wszystkim chcę być z Jeffem. Czy Ty to słyszysz?!

Sufit nie udzielił żadnej odpowiedzi, więc Olivia rzuciła się na sofę i załkała, chociaż powtarzała sobie, że nie powinna płakać, bo kiedy przyjedzie Jeff, będzie czerwona i zapuchnięta.

A Jeff, gdy się pojawił, jednym spojrzeniem ogarnął stojącą przed nim kupkę nieszczęścia; przytulił Olivię i szeptał do ucha słowa, które trochę ją ukołysły, choć nie przestała płakać. Psy zbiły się w gromadkę pod jego nogami.

- Jesteś prawnikiem, Jeff, i zapłaciłam ci za usługę. Powiedz mi, co mam zrobić. Powiedz, jak mam z tego wybrnąć. Ta... ta kobieta po śmierci zrobiła więcej złego niż za życia. Tata jest na mnie wściekły i wcale mu się nie dziwię. Uważa, że zrobił dobrze. A ona - wyciąga rękę zza grobu, żeby zniszczyć naszą rodzinę. Chyba mam prawo tak myśleć? Bo już nigdy nie będzie tak samo jak wcześniej, prawda? Może właśnie z tym najtrudniej mi się pogodzić - wyszlochała Olivia.

- Później porozmawiamy - mówił Jeff uspokajająco. - Przy kominku, z kieliszkiem dobrego wina w ręku. Ale teraz jestem po prostu wściekle głodny. Wziąłem włoskie zarcie, spaghetti z klopsikami w czosnkowo-cytrynowym sosie. Kupiłem w Mama&Papa's - to najlepsza włoska knajpa w całym Dystrykcie Kolumbii. Czekaj no! Przecież wziąłem z samocho... Gdzie to może być? - Rozglądał się, zdezorientowany.

- Postawiłeś to na ziemi?

- Tak. O, nie!

Pobiegli do salonu. Cztery kudłate pyszczki patrzyły na nich wyzywająco, jakby chciały powiedzieć: „No, co - pora kolacji już dawno minęła, czego żeście się spodziewali?” I zaczęły sobie nawzajem oblizywać wąsy. Plastikowe pojemniki były rozwłócone po całym salonie.

- Widać nie lubią spaghetti. Wyjadły tylko klopsiki. - Jeff parsknął śmiechem. Olivia też się roześmiała i razem posprząтали po psach.

Uciekły pod kanapę, kiedy Olivia nachyliła się i pogroziła palcem.

- Wstydźcie się!

- Mnie wystarczy jajecznicza - powiedział Jeff. - Psy często robią takie rzeczy?

- Często. Z nimi jest jak z dziećmi. Widziałeś ich pyszczki? Te małe łobuzy wiedziały, że coś zbroiły! - Znow parsknęły śmiechem. I nagle Olivia poczuła się dużo lepiej.

Kiedy następnego ranka Olivia męczyła się, próbując podłączyć komputer Adrian-ny Ames, Dennis Lowell czekał w biurze na przystani na przesyłkę z FedExu. Chodził w tę i z powrotem, to znow przysiadł, żeby zamienić kilka słów z pomarszczonym starszym opalonym na mahoniowy brąz. Ten człowiek miał skórę suchą jak zelówka buta. Dennis, który myślami był gdzieś indziej, nie wiedział, o czym starszy pan opowiada i tylko od czasu do czasu wtrącał niezobowiązujące „hm”. Odetchnął z ulgą, kiedy na parking zajęchała czerwono-biało-błękitna furgonetka FedExu. Musiał się powstrzymać, żeby nie wybiec jej naprzeciw.

Wiedział, że wygląda jak półtora nieszczęścia po nieprzespanej nocy. I wiedział też, że gdyby w tej chwili okazało się, że Allison Mat-thews - a może Adrianna Ames, czy jak tam chciała - jeszcze żyje, to dopadłby ją i zamordował własnymi rękami. Jeśli mógłby ją obwiniać za problemy z hydrauliką to pewnie by to zrobił.

Podpisał odbiór koperty i wolnym krokiem wrócił na łódź. Przed pójściem do banku musiał wziąć stamtąd swoją książeczkę depozytową. Ale przede wszystkim chciał posiedzieć na płóciennym leżaku i nacieszyć się widokiem czeków, które - bez żadnej przesady - ratowały mu tyłek. Ollie go nie zawiodła. Tylko my dwoje, mała, pomyślał. Jak mogło mu się kiedykolwiek wydawać, że trzecia osoba w tym układzie nic nie zmieni?

Patrzył na czeki i przed oczyma miał rzędkie cyfr, ale myślami wciąż pozostawał w Winchesterze, przy córce. Była na niego zła. No, cóż, on też był na nią zły. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna nie wie, co myśleć o Adriannie Ames, bo nie umie pogodzić się z prawdą. Jeśli miałoby jej to pomóc, był gotów wziąć winę na siebie za ten cały galimatias z matką, dopóki Olivia z tym się nie upora.

Lekko zeskoczył na pomost i wszedł do samochodu - obdrapanego jeepa z ręczną skrzynią biegów. Przypomnił sobie, że wybrał takie auto, bo Lea nie umiała jeździć, zmieniając biegi. Miała swoją automatyczną hondę. Dopiero teraz Dennis uświadomił sobie, jak wyraźne podziały istniały w ich związku. To moje, a to twoje. A on w swojej naiwności czasami zauważał takie drobiazgi dopiero wtedy, kiedy już było za póź-

no. Ollie zawsze mu to powtarzała. No, to miała rację, przynajmniej co do jego byłej żony!

Po czterdziestu minutach wyszedł z banku, czując się zupełnie innym człowiekiem. Zadzwoił do hydraulika i zamówił naprawę łodzi. Potem pojechał do redakcji miejscowej gazety, gdzie dał kolejne ogłoszenie, miał bowiem nadzieję, że w ten sposób zyska nowych klientów.

Po drodze do domu zjechał na bok i kupił sobie hot doga z chili, kiszoną kapustą, cebulą i sosem, a do tego napój gazowany. Połknął hot doga niemal w całości, popił i znowu zapaścił jeepa. Czek dla Lei parzył go przez materiał spodni.

Siedziała na schodkach przed domem, z jakimś czytałem w jednej ręce i szklanką mrożonej herbaty w drugiej. Żwir przysnął spod kół jeepa, kiedy Dennis zahamował. Wsiadł z samochodu i oboje z Leapopatrzyli na siebie niepewnie. Chyba nie była zła, raczej zrezygnowana. Poczł ukłucie w sercu, ale otrząsnął się z przygnębienia i wyprostował plecy. Lea przesunęła się w bok, żeby miał gdzie usiąść. Czekal, co mu powie i czy w ogóle się odezwie.

- Nie wychodzi nam, prawda, Dennis?

- Obawiam się, że nie, Lea. Wszystko brzmiało cudownie, kiedy to razem planowaliśmy, ale nie wzięliśmy pod uwagę takich drobiazgów jak hydraulika. Pewnie to moja wina. Bardzo żałuję, Lea, naprawdę. Wiem, że nie jesteś tu szczęśliwa. Tego też żałuję. Niechcący podsłuchałem twoją rozmowę z Olivią. Akurat wracałem do domu i wszedłem kuchennymi drzwiami. Słyszałem, że prosiłaś ją o pieniądze ze spadku po Adriannie. Jak mogłaś? Przecież wiedziałaś, co ja o tym myślę. Jak mogłaś?

Z Lei jakby uszło powietrze. Kiedy się odezwała, w jej głosie słycać było zniechęcenie.

- Dennis, to by nam rozwiązało wszystkie problemy. Szczerze mówiąc, bardziej chodziło mi o pieniądze dla ciebie niż dla mnie. Marzyliśmy o naszej złotej jesieni. A wychodzi na to, że zamiast złota mamy byle jaką imitację. - Lea poruszyła się na schodku. Mówiła teraz chłodnym, pewnym siebie tonem. - Co w takim razie proponujesz, Dennis?

Sięgnął do kieszeni i wyjął czek, który kazał w banku wystawić na nazwisko Lei.

- Dzwoniłem wczoraj do Ollie i poprosiłem ją żeby wzięła drugą hipotekę na dom. Tu masz wszystko, co wyłożyłaś, kiedy kupowaliśmy łódź i dom. Z pożyczki jeszcze trochę zostało, więc pospłacam domowe rachunki i oddam to, co jesteśmy winni za paliwo. Znajdę kogoś do drobnych napraw na łodzi, a sam popracuję u Hemmingsa, albo u kogoś innego. Sprzedam dom i będę mieszkać na łodzi. Dzięki temu koszty się trochę zmniejszą.

- Czyli zakładasz, że ja tu nie zostanę?

- Lea, za starzy jesteśmy na takie gierki. Jasne, że nie zostaniesz. To nie jest życie dla ciebie i oboje dobrze o tym wiemy. Naprawdę żałuję, że nam nie wyszło, ale nie wiem, czy kiedykolwiek bym potrafił zapomnieć o tym, co zrobiłaś. Tak przy okazji, Ollie nic mi nie mówiła nie mówiła o twoim telefonie.

Lea pokiwała smutno głową.

- Ja też żałuję, Dennis. To wszystko... jakoś tak nagle się stało. Na pewno dasz sobie radę? A może...

Dennis podejrzliwie zmrużył oczy w ostrym porannym słońcu.

- A może co?

- Może próbujesz się mnie pozbyć, żeby nie musieć się ze mną dzielić pieniędzmi Allison?

Wstał i spojrział z góry na drobną kobietkę siedzącą u jego stóp. Zauważył przy tym, że kostki lodu w jej herbacie mrożonej już się rozpuściły. Herbata wyglądała teraz jak lekko zabarwiona woda. Potrząsnął głową i podszedł do jeepa. - Żegnaj. Lea.

Rozdział 19

Apetycznie wyglądasz z rana - podśmiewała się Olivia. - Zobacz, psy też mają na ciebie ochotę. - Wszystkie cztery wskoczyły właśnie na łóżko. Cecil, czy może Loo-py, skubał Jeffa za ucho, Alice ciągnęła go za rękaw, żeby wreszcie się ruszył, a Bea, ta mała flirtiara, siadła mu na piersi i przy akompaniamencie rozbajających popiskiwań lizała go po nieogolonej brodzie.

Olivia oparła się na łokciu i patrzyła na to z rozbawieniem. Jeżeli wyjdzie za Jeffa Bannermana, to codziennie rano czeka ją taki widok. Oczywiście, pod warunkiem, że Jeff poprosi ją o rękę. A jeśli tak będzie, kto zajmie się psami na czas ich podróży poślubnej? I dokąd pojechaliby w podróż poślubną? Może musieliby zabrać je ze sobą. To by było coś, miesiąc miodowy w towarzystwie czterech psów. Na myśl o tym znów zachichotała. - Co cię tak bawi? - Jeff udawał obrażonego. Ale Bea wybrała ten właśnie moment, żeby dać susa i klapnęła częściowo na poduszkę, po części też na jego głowę. Alice pacnęła łapą Beę i warknięciem przywołała do porządku. Akcja okazała się skuteczna, bo Jeff wyskoczył z łóżka. Psy, myśląc, że wreszcie zaczyna się zabawa, pobiegły za nim do łazienki, ale - jak jeden pies - zawyły żałośnie, kiedy Jeff zamknął im drzwi przed nosem.

Olivia włożyła szlafrok, kiwnęła na czworonogi i wypuściła je na dwór. Rzuciła okiem na zegar w kuchni - Jeff ma jeszcze czas na tosta i kawę. Zrobiła mu jedno i drugie. Akurat smarowała tosta masłem, kiedy wszedł do kuchni. O mało nie zemdląła. Miał na sobie dopasowany grafitowoszary garnitur, śnieżnobiałą koszulę i krawat w czerwone paski. A do tego pachniał... bosko. Nie omieszkała mu tego powiedzieć.

- Tak myślisz? To co, skoro tak bosko pachnę, nadaję się na męża? Olivia błyskawicznie odwróciła się od tostera.

- Czy... czy to miały być oświadczenia?

- Eeee... Tak. Niezbyt romantycznie to wyszło, co? Powiedz, źle to zrobiłem? Jeszcze nigdy nikomu się nie oświadczałem. Mogę przed tobą uklęknąć. A może powinienem zadzwonić do twojego ojca i poprosić o twoją rękę? Jak myślisz? Poradz mi coś.

Był taki przejęty i miał wypieki na twarzy, że Olivia wreszcie się nad nim ulitowała. Ręka jej drżała, gdy podała mu tosta.

- A ja... nawet jeszcze nie zdążyłam umyć zębów - wyrwało jej się. - Nie musisz prosić mojego taty o moją rękę. Klękać też nie musisz. Ja... mnie też jeszcze nigdy nikt się nie oświadczał, więc jesteśmy w takiej samej sytuacji. Zgadzam się. Tak. To znaczy, wyjdę za ciebie. A kiedy?

Jeff wytrzeszczył oczy.

- Kiedy? No... A kiedy byś chciała „to” zrobić?

- Może pomyślimy o dacie, gdy będziemy mieć więcej czasu. Teraz już musisz iść, bo spóźnisz się do pracy. - Świetnie, kolejna błyskotliwa uwaga.

Spojrzał na zegar i skrzywił się. Faktycznie, musiał już lecieć.

- Wyjdę dziś wcześniej i kupię po drodze szampana. Spróbuję jeszcze raz, bardziej romantycznie. Olivio, nie mogę przestać myśleć o tobie. Na niczym innym nie jestem w stanie się skupić. Słuchaj, mogę zadzwonić do moich rodziców i powiedzieć im o nas?

Powiedzieć rodzicom. To już brzmi poważnie. Pokiwała głową, uśmiechając się szeroko.

- No, to super. Ty też zadzwoń do swojego taty. Zrób mi dobrą opinię - no, wiesz, powiedz, że mam zdrowe zęby, że ciężko pracuję, że będę o ciebie dbać. I że będziemy mieć śliczne dzieci. A, i nie zapomnij powiedzieć, że lubię psy. Uwielbiam psy! Cześć. Aha - i kocham cię!

Olivia znieruchomiała na środku kuchni. Dzieci. Powiedział „dzieci”. To już naprawdę brzmiało poważnie. Chce, żeby ona zadzwoniła do taty. On zadzwoni do swoich rodziców. Dziś wieczorem będą świętować zaręczyny. Nie może przestać o niej myśleć.

- Jeeeeee! - wrzasnęła.

I w dodatku powiedział, że ją kocha. Czy dzień mógłby zacząć się lepiej?

Czereda uznała, że to jakaś nowa zabawa. Gdy Olivia przykucnęła, psy obskoczyły ją, no i zaczęła się jazda. Tarzała się razem z nimi, śmiała się jak szalona, a psy czekały i popiskiwały z uciechy. Jeszcze wczoraj była w strasznym dołku, a dziś

czuła się, jakby wygrała los na loterii. „Zadzwoń do swojego taty”. I zadzwoni. W końcu to przecież ojciec wydaje córkę za mąż.

Pobiegła z powrotem do sypialni. Wzięła szybki prysznic, a potem wciągnęła dzinsy i żółtą bluzę. Jak na skrzydłach pomknęła do gabinetu, żeby zadzwonić do ojca. Kiedy tylko się odezwał, załała go potokiem słów. Wreszcie zamilkła.

- Bardzo się cieszę, Ollie. Jeśli tego właśnie chcesz, ja nie mam nic przeciw temu. Tyle że teraz już nie będziemy „tylko we dwoje, mała”.

Na te słowa euforyczny nastrój Olivii całkiem opadł. Odpowiedziała chłodnym, obojętnym tonem.

- Jakbyś jeszcze nie zauważył, to już od dawna tak nie było. Odkąd poznałeś Leę. A propos, jak tam Lea?

Cisza w słuchawce mówiła głośniejsz niż słowa. Tym razem Olivia wiedziała, że lepiej nie nalegać na odpowiedź.

- Ollie, przypadkiem podsłuchałem, jak Lea dzwoniła do ciebie i mówiła o pieniądzach. Tego dnia wracałem do domu na piechotę, bo była wspaniała pogoda. Wszedłem drzwiami kuchennymi. Nie miałem pojęcia, że ona planuje coś takiego. Nigdy, przenigdy się tego po niej nie spodziewałem. W każdym razie, dałem jej czek i wyjeżdża. Chyba sprzedam dom i będę mieszkać na łodzi. Chciałem tylko, żebyś o tym wiedziała. Cieszę się, że tobie się układa, Ollie. Może nie wyraziłem tego, co naprawdę czuję, tak jak bym chciał, ale mam straszny mętlik w głowie.

- W porządku, tato. Szkoda, że tak wyszło z Leą, ale kto wie? Może tak będzie lepiej. Słuchaj, muszę już kończyć. Ja tu też mam niezły galimatias. Zadzwoń niedługo, okej? - Aż trzy razy wciskała czerwony guzik, zanim w końcu się rozłączyła.

Nawet o tym nie myśl, Olivio, nakazała sama sobie. Zostaw to na później, teraz się tym nie zajmuj. I ani mi się ważyć płakać.

Usiadła do komputera, włączyła go i czekała, aż załaduje się zawartość skrzynki e-mailowej. Jedyna ważna wiadomość pochodziła od Miki Kenyan z Prywatnej Agencji Detektywistycznej. Krótka, ale rzeczowa.

„Agent, któremu przydzieliłam Pani sprawę, ma trzy obiecujące tropy. Osoba przypominająca poszukiwaną widziana była na lotnisku w Memphis, w stanie Tennes-

see. Nie jest łatwo zdobyć listy pasażerów, ale - jak już Pani mówiłam - nasza agencja gwarantuje rezultaty. Kolejny raport otrzyma Pani w ciągu dwudziestu czterech godzin". Wiadomość podpisana była inicjałami MK. Zignorowała resztę e-maili i wpisała w przeglądarkę internetową „Towarzystwo Ubezpieczeniowe Wielka Skała, Missisipi". Drukarka warczała, wypływając wszystko, co pojawiło się na ekranie. Oli-via wyszukała numer na infolinię, zaznaczyła go sobie. Może dopisze jej szczęście i trafi na agenta ubezpieczeniowego, który czterdzieści lat temu autoryzował zwrot pieniędzy dla banku za ukradzione obligacje.

Odeszła od komputera w południe, żeby wypuścić psy i przegryźć co nieco. Zajadała kanapkę z szynką i serem, kiedy zadzwonił Jeff. Powiedział, że ją kocha, że oświadczyli byli na poważnie i że już nie może doczekać się wieczoru. Zanim się rozłączył, zapytał jeszcze o Cecila. Rozbawiło to Olivię serdecznie.

Przerzucając wydrukowane kartki, zorientowała się, że obecnie Wielka Skała to potężne towarzystwo ubezpieczeniowe. Czterdzieści lat temu Skała z Missisipi - bo takiej nazwy wtedy używano - była podrzędną firmą, zatrudniającą pięciu pracowników i dwóch agentów. Biuro mieściło się w Oxfordzie. Dziś firma, z siedzibą w Biloxi, zatrudniała ponad czterystu pracowników, osiemnastu agentów w pełnym wymiarze godzin i dodatkowo czterech na niepełny etat. Wypłata tego ubezpieczenia dla banku przed czterdziestu laty powinna była mocno zaszkodzić takiej małej firmie. Jak im się udało utrzymać na rynku po wypłaceniu blisko miliona dolarów, skoro sprzedawali tylko niewielkie polisy na życie i od czasu do czasu ubezpieczenia na dom? Cholera, a może to wszystko jeden wielki przekręt i towarzystwo ubezpieczeniowe miało powiązania z właścicielem banku? Olivia była na tyle inteligentna, by wiedzieć, że ma znikome szanse na dowiedzenie się prawdy.

Odchyliła się w tył z krzesłem i położyła nogi na biurko. Trzeba pomyśleć. Na ile jest możliwe, żeby znaleźć tych dwóch agentów ubezpieczeniowych? Zakładając, że wtedy mieli po dwadzieścia albo trzydzieści kilka lat, teraz powinni być po sześćdziesiątce albo siedemdziesiątce. Całkiem możliwe, że już nie żyją. Potrzebne są nazwiska, żeby zacząć poszukiwania.

Jeff przypominał sobie, że coś chyba widział na temat ubezpieczalni w papierach, które zabrali z domu Adrianny. Może ona miała nazwisko tego agenta? W pamiętniku na pewno nie było nic o Wielkiej Skale.

Spojrzała na zegarek. Nie ma sensu przeglądać komputera Adrianny. Jutro będzie na to czas. Teraz weźmie pachnącą kąpiel w pianie, wystroi się i przyszykuje na ofic-

jalne oświadczyzny Jeffa. Była tak podekscytowana, że aż kręciło jej się w głowie. Ach, w co tu się ubrać?

Jeff przybiegł do domu przed trzecią. Wziął błyskawiczny prysznic, ogolił się, a potem spryskał wodą kolońską. Brat mówił, że kobiety szaleją za tym zapachem. Zastanowił się przelotnie, jakby wyglądała szalejąca Olivia. Włożył świeżą koszulę i garnitur, zdecydował się na krawat ten sam, który miał rano i prawie wyfrunął z mieszkania. Po drodze wstąpił najpierw do jubilera; wybór pierścionków zaręczynowych przyprawił go o zawrót głowy. Dwa razy dzwonił do matki, nim zdecydował się na pierścionek z dwukaratowyrn diamentem, którego cena poważnie uszczupliła jego oszczędności na koncie. Pierścionek iskrzył się i mrugał do niego z czarnej aksamitnej poduszeczki, na której ułożył go jubiler. Jeff zamknął oczy, próbując sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać na palcu Olivii.

Nagle zabrakło mu tchu. Co jest, przecież nie może zemdleć u jubilera. Wziął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Udało się! Wybrał pierścionek zaręczynowy! I poprosił już Olivie o rękę. O Boże!

Wyściełane aksamitem czerwone pudełeczko parzyło go w dłoń. Wepchnął je do kieszeni. Wsiadając do samochodu, poczuł, że cały oblewa się potem. To naprawdę poważna sprawa. Właśnie związał się z kobietą, i to taką którą znał niecałe dwa tygodnie. Ale czy czas ma jakieś znaczenie, jeśli się człowiek zakocha? Był pewien, że kiedyś spotka kogoś, z kim będzie chciał spędzić resztę życia. Nie wiadomo, dlaczego wydawało mu się, że czeka go najpierw kilkumiesięczny lub dłużej trwający burzliwy związek z taką kobietą, że będą kłótnie, rozstania, a wreszcie pocałunki na zgodę i wyznania dozgonnej miłości. Tymczasem nic takiego się nie działo.

Noga zadrżała mu na pedale gazu. Znów zakręciło mu się w głowie. Musi się wziąć w garść, żeby nie zjechać z drogi. Będzie myśleć o Cecilu. Bo gdyby nie Cecil, to nigdy by nie spotkał Olivii. Stary, dobry Cecil. - Boże, jak ja kocham tego psa - mruknął pod nosem. A może by tak zatrzymać się w Burger Kingu i w podziękowaniu kupić Cecilowi i reszcie hamburgera? Tak. I do tego frytki. Może jeszcze parę medalionów z kurczaka; psy będą miały prawdziwą ucztę. Cecil przepadał za kurczakiem, prawie tak jak za wołowiną. Lilian Manning zawsze sama dla niego gotowała - a to wątróbki drobiowe, a to filety z piersi, a to kotlety jagnięce.

Nie patrząc, wymacał na siedzeniu obok swoją komórkę. Zadzwoił do informacji, żeby mu podali numer do kwiaciarni po drodze, na Valley Avenue. Wystukał numer; odezwała się ekspedientka o imieniu Mary, u której zamówił dwa tuziny żółtych róż.

- Niech pani da jakąś ładną wstążkę i dużo tego zielonego. Odbiorę za dwadzieścia minut. - Zanim się rozłączył, podał jeszcze numer swojej karty kredytowej.

Czekoladki? Kupić jeszcze czekoladki? E, nie. Szampan¹. Nie miał pojęcia, gdzie w pobliżu znaleźć sklep monopolowy, więc zadzwonił jeszcze raz do kwiaciarni i Mary podała mu numer. Ekspedient, który podniósł słuchawkę nazywał się Peter; obiecał, że zostawi mu butelkę najlepszego szampana i że będzie można odebrać przed zamknięciem sklepu. Znowu musiał podać numer swojej karty kredytowej.

Jeff miał wrażenie, że z nerwów zaraz oszaleje. Z piskiem opon zahamował przed Burger Kingiem, żeby zamówić hamburgera i medaliony z kurczaka. Kiedy chłopak w okienku wyciągnął w jego stronę torebkę, wyrwał mu ją i odjechał.

Cholera! Palnął się w czoło. Czy miał kupić coś na obiad? Za nic nie mógł sobie przypomnieć. Już zwariowałem, to pewne, pomyślał skreślając gwałtownie na parking chińskiej restauracji Pagoda. Nie wiedział, co zamówić, kompletna pustka w głowie.

- Proszę po porcji ze wszystkiego, co macie - powiedział. W samochodzie tak mocno pachniało jedzeniem, że musiał opuścić szybę. Podjechał na Loudoun Street, do kwiaciarni i monopolowego. Potem ze zdenerwowania dwa razy źle skręcił, zanim wreszcie trafił na Eagle Drive. Kiedy tylko zgasł silnik, usłyszał szczekanie psów.

Stał bez ruchu, a krople deszczu bombardowały jego nowy garnitur. Jakby chciał, to jeszcze może się wycofać. Wcisnął rękę do kieszeni. Ciągle miał wrażenie, że małe pudełeczko parzy w dłoń. Psy zaszczeły głośniej. Przed drzwiami zapaliło się światło. Wyciągnął z samochodu kwiaty i szampana, utykając wszystko pod pachą. W drugą rękę wziął torbę z Burger Kinga i pudełko z chińszczyzną - po porcji z każdego rodzaju. Drzwi musiał zamknąć nogą.

Podbiegł w deszczu do drzwi i gdy tylko znalazł się w środku, psy obskoczyły go, usiłując się dostać do torby z Burger Kinga, a Olivia wpiła się w jego usta. Westchnął, uszczęśliwiony.

Cóż może być lepszego? Nic, odpowiedział sobie.

Odsunęli się od siebie zdyszani, z rozmarzonym zdumieniem w oczach. Nagle onieśmieleni, ręka w rękę weszli do salonu. Jeff karmił psy, a Olivia rozplątywała się w zachwytach nad bukietem żółtych róż. Włożyła je do dwóch wazonów, zielone dodatki rozłożyła w dekoracyjny wachlarz.

- Cudne są! - zachwycała się. - Szampan! Och, mam takie prześliczne kieliszki, w sam raz na taką okazję. Uwielbiam pić z delikatnego szkła, a ty?

Jeff chciał już odpowiedzieć, że jemu wystarczyłyby papierowy kubek, ale pomyślał, że widocznie dziewczyny tak mają.

- Ja też - zgodził się. Spojrzeli na siebie.

- Będziemy się oficjalnie zaręczać teraz, czy po jedzeniu? Wziąłem chińszczyznę, jeśli dłużej poleży to całkiem wystygnie.

- No, to jedzmy! Rozpuszczasz psy, wiesz o tym? Nakryłam do stołu z myślą, że coś przywieziesz, ale nie pamiętałam, jak się w końcu umówiliśmy. Gdybyś nic nie kupił, to jedlibyśmy kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Masło orzechowe z dżemem przy świetle świec - to takie romantyczne, nie uważasz?

- Uwielbiam masło orzechowe z dżemem, w świetle świec i każdym innym. Pomóc ci w czymś?

- Nie trzeba. Wszystko tak ładnie popakowali, że możemy nakładać sobie prosto na talerze. Chyba że chcesz potem zmywać półmiski. A kwiaty postawimy na stole. Są śliczne, Jeff. Dziękuję. Żółty to mój ulubiony kolor.

Rozdziawił usta ze zdziwienia.

- Moja matka też najbardziej lubi żółty.

No, proszę. Znalazł dziewczynę podobną do mamy.

Olivia uśmiechnęła się do niego znad talerza.

Jeff zdjął marynarkę i powiesił na oparciu krzesła. Odpiął guzik koszuli pod szyją i poluzował krawat. Chcąc się upewnić, że małe czerwone pudeleczko nadal jest tam,

gdzie powinno być, wsadził rękę i wymacał je w kieszeni. Nie wiadomo, dlaczego ciągle mu się wydawało że jest gorące.

Psy wpadły do kuchni, gdy tylko wyczuły jedzenie. Krążyły wokół stołu, ale nie nachalnie. Wiedziały, że prędzej czy później i tak coś dostaną. Przynajmniej do tej pory tak było.

Jeff, wpatrzony w Olivię, w ogóle nie zwracał uwagi na psy. Cecil, czy może Loopy, obwąchał jego buty, obszedł krzesło, i zainteresował się marynarką Jeffa. Pacnął łapą w wybrzuszenie widoczne w kieszeni. Alice, widząc, że york skacze na tylnych łapach, pojęła w mig, że dzieje się coś ciekawego. Też pacnęła łapą w wypukłość. Ponieważ nic nie wypadło, wsadziła do środka pysk i wyciągnęła małe czerwone pudełeczko. Upuściła je na podłogę i wszystkie psy od razu okrążyły cenny łup. Coś do jedzenia? Smakołyk? Bea przysunęła się bliżej, obwąchała pudełko i popchnęła je lekko, żeby sprawdzić, czy to gryzie. Nie gryzło, więc spokojnie je podniosła i truchcikiem wybiegła z jadalni do sypialni Olivii, gdzie upuściła pudełeczko na podłogę. Psy stłoczyły się dookoła, obwąchiwały i poszturchiwały nowy skarb. Dziwną zabawkę, jakąś piłeczkę, która nie skacze.

Bawiły się na zmianę, tocząc pudełko po podłodze. Cecil chwycił je w zęby i mocno ścisnął, żeby mu nie wypadło, przez co otworzyło się wieczko. Upuścił je i odskoczył, reszta psów też się cofnęła. Gdy zorientowały się, że pudełko nic im nie robi, przysunęły się bliżej do diamentu, połyskującego w świetle żyrandola.

Alice, królowa domostwa pod numerem 509 na Eagle Drive i szefowa sfory, podeszła i wzięła w zęby pudełko razem z pierścionkiem. Pobiegła z powrotem korytarzem do gabinetu, gdzie miała swój kosz z zabawkami. To jej skarb, więc powinien leżeć w jej koszu. Cecil, czy może Loopy, któremu to się nie spodobało, zaczął, aż Alice zagrzebie pudełko pod puszystym wypchany ptakiem, świsnął je stamtąd i pobiegł na drugi koniec korytarza, gdzie stał jego kosz z zabawkami. Grzebał w stercie tak długo, aż znalazł odpowiednie miejsce i upuścił tam pudełko. Bea szczeknęła, tak samo Loopy, czy może Cecil. Cecil, czy może Loopy, warknął ostrzegawczo. Alice pacnęła go łapą tak mocno, że na chwilę przestał warczeć, a w tym czasie Bea skorzystała z okazji i podwędziła pudełko. Pierścionek już ledwo się trzymał w środku. Wpadł mniej więcej w połowie korytarza, więc Loopy, czy może Cecil, chwycił go w zęby i pognął do łazienki, gdzie schował go za sedesem. Reszta psów zawarczała, ale on się nie przejął, zadowolony, że jest w centrum uwagi. Ze wszystkich sił próbował zagrzebać swój skarb we włochatym dywaniku łazienkowym, ale w

końcu znudził się i w podskokach wybiegł na korytarz. Bea upuściła pudełko, Alice je podniosła, szukała nowej kryjówki, i cała zabawa zaczęła się od nowa.

A w jadalni Jeffowi przyspieszyło tętno, bo Olivia już sprzątała ze stołu. Na deser miały być ciasteczka z wróżbą i pierścionek. Zaszło mu nagle w ustach, więc dołał sobie szampana. Zerknął na krzątającą się po pokoju kobietę. Była taka ładna jak jego matka - może nawet ładniejsza. Jasne loki tańczyły wokół jej twarzy. Nigdy dotąd nic widział Olivii takiej wystrojonej. Jego bracia - wszystkich pięciu - powiedzieliby, że wygląda powalająco. Miała na sobie prostą wrzosową sukienkę z długim rękawem, a do tego perłowe kolczyki i naszyjnik. Jego matka też zawsze nosiła perty. Olivia wystroiła się specjalnie dla niego, tak samo jak on ubrał się tylko dla niej. Na razie, jeszcze nie oszalała pod wpływem zapachu jego wody kolońskiej. Szkoda, bo on był już odurzony jej perfumami. Oby szybko zaczęła szaleć. Nalał sobie jeszcze trochę szampana, a ona wreszcie usiadła.

Nadszedł ten moment. Ten moment! Ale najpierw musieli otworzyć ciasteczka z wróżbą. Podał jedno Olivii i zaśmiał się nerwowo, kiedy rozwijała swoją karteczkę.

- Moja mówi, że szczęście się do mnie uśmiechnie - zachichotała Olivia. - A twoja?

Jeff przełamał ciastko i przeczytał swoją wróżbę.

- Moja mówi, „W końcu znajdziesz to, czego szukasz”. Ciekawe, o co chodzi.

Olivia uśmiechnęła się. Uwielbiała ciasteczka z wróżbą.

- Zgubiłeś coś ostatnio?

Jeff też uwielbiał ciasteczka z wróżbą. I codziennie czytał w gazecie horoskop, chociaż nikomu by się do tego nie przyznał.

- Nie, raczej nie.

Wstał i obszedł stół, klękając przed Olivią na jedno kolano.

- Zrobię to tak, jak trzeba. Moja mama powiedziała, że tata oświadczył jej się na kolanach. Więc ja też. - Wziął Olivię za rękę. - Olivio, wyjdiesz za mnie? Przyrzekam, że zawsze będę się o ciebie troszczyć, i że zawsze, ale to zawsze będę cię

kochać. Zrobię wszystko, żeby cię nie rozczarować. Proszę, powiedz „tak”, żebyśmy już mogli wstać z kolan.

Olivia zanosła się od śmiechu.

- Tak, tak, po tysiąc razy tak. Możesz wstać.

Sama też wstała i pocałowała go. Pocałunek był gorący, słodki i przeciągły; zapowiadał to, co dopiero miało nadejść.

- O rany, pierścione! Kupiłem ci dziś pierścionek zaręczynowy. Jeśli ci się nie spodoba, możemy wymienić. Sam go wybierałem. Pomyślałem, że... Boże, gdzie on jest? - Grzebał w kieszeniach marynarki i spodni. - Musiał gdzieś wypaść. Miałem go w kieszeni, kiedy siadaliśmy do stołu. Sprawdziłem, gdy zdjąłem marynarkę. Nie widzisz go gdzieś, Olivia? Był w takim małym, czerwonym pudełeczku.

Pierścionek zaręczynowy. Boziu, Boziu, to jest to - ten moment, na który każda kobieta czeka od czasu, gdy wyrośnie z pieluszek. Pierścionek zaręczynowy.

- Czekaj no, Jeff. Spokojnie. Jesteś pewien, że miałeś go w kieszeni marynarki, kiedy ją zdjąłeś i powiesiłeś na krześle?

- Olivia, jestem pewien. Denerwowałem się i nie wiedziałem, czy ci się spodoba. Dotknąłem go, był tam na pewno - mówił z rozpaczą w głosie. Myślała, że zaraz się rozplacze.

- Cóż, Jeff, ja go nie wzięłam. Zastanówmy się, kto nam jeszcze zostaje?

Sięgnęła za siebie, do szuflady pod blatem, i wyciągnęła gwizdek. Dmchnęła w niego trzy razy. Psy przybiegły natychmiast.

- Mogę się założyć o mój miesięczny czynsz, że to one za tym stoją! No, dobra, teraz musisz im pokazać, kto tu rządzi. Pokaż im palcem na kieszeń, na marynarkę, i każ aportować. Może przyniosą a może nie. Głowę daję, że go schowały.

- Schowały? - powtórzył Jeff zdławionym głosem. - Czy to znaczy, że możemy go już nie znaleźć?

Olivia wzruszyła ramionami.

- W tym domu jest tysiąc różnych miejsc, w których można coś schować. Każdy z nich ma swój kosz z zabawkami, ale to zbyt oczywiste. Pokaż im, kto tu rządzi!

Jeff czuł się jak idiota, stojąc na środku z marynarką w rękach.

- No, dobra, łobuzy. Wyjęłyście mi coś z kieszeni i macie to oddać. W tej chwili! Aport!

Alice zerknęła na niego i zaszczekała. Bea położyła się na podłodze i zamknęła oczy. Cecil i Loopy zaczęli warczeć, bo nie spodobał im się ton Jeffa. Warczenie przeszło w ujadanie. Bea i Alice dołączyły się do ogólnego jazgotu, po czym cała czwórka odwinęła się i wybiegła z pokoju.

- Nie przyniosą, prawda? Tylko się ze mnie nabijały, co? - powiedział markotnie Jeff.

- Nie, na pierwsze pytanie. I tak, na drugie. Mówiłam ci, psy mają swój rozum. Jeśli im się znudzi, może go wyciągną z kryjówki. A może nie. Ja zacznę z tej strony domu, a ty z tamtej.

- Nie tak planowałem spędzić ten wieczór, Olivio. Miało być naprawdę romantycznie.

- Och, Jeff, nie przejmuj się. W każdym razie, na pewno będziemy ten wieczór pamiętać do końca życia. Powiedz sobie, że zabawimy się w poszukiwaczy skarbów. Zobaczysz, po latach będziemy to miło wspominać.

Jeff roześmiał się wreszcie.

- Okej. Fajna z ciebie dziewczyna, Olivio. Cieszę się, że się tym nie przejmujesz.

- Wyobrażam sobie, że mam na palcu pierścionek i czuję się prawie tak samo, jakbym rzeczywiście go miała. No, to szukajmy.

Rozdział 20

Ogień na kominku już dogasał, kiedy Olivia z Jeffem, niezmiernie umorusani, usiedli na kanapie i otworzyli wino. Jeff dorzucił do ognia dwie szczapy. Snop iskier wystrzelił w górę.

- Strasznie mi głupio, Olivio. Przetrasaliśmy każdy centymetr kwadratowy domu, a pierścionka ani śladu. Co będzie, jeśli go już nigdy nie znajdziemy?

Olivia położyła mu palec na wargach.

- Ćśś, nawet tak nie myśl. Znajdziemy. Jakoś przechytrzymy złodziejasków. To na pewno nie Alice. Oddałaby natychmiast. Loopy i Bea są u mnie na tyle krótko, że jeszcze ich nie rozgryzłam. A jeśli chodzi o Cecila, wiem tylko to, co mi powiedzieliście, Lillian Manning, no i ty. Jedno z tej trójki zrobiło taki numer, jestem pewna. Zapamiętaj sobie, yorki są niesamowicie bystre. Nieraz potrafią przechytryć człowieka. Tak przynajmniej mówiła Lillian Manning. To znaczy, że musimy użyć podstępny. O, ależ miło tak siedzieć przy kominku.

Psy leżały im na kolanach. Olivia teatralnym ruchem zdjęła z palca pierścionek, który dostała od ojca na dziesiąte urodziny i położyła go przed paleniskiem.

- Zobaczymy, który z nich go weźmie. Jest duża szansa, że zabierze go do tej samej kryjówki i *voilà*, tamten pierścionek jest nasz. Tylko musimy udawać, że nie patrzymy, co robią.

- Cwane bestyjki, co? - Jeff uśmiechnął się.

Bea zsunęła mu się z kolan, reszta psów poszła za nią. Jeff udał, że nachyla się do ognia, a Olivia zdjęła pantofle. Loopy, czy może Cecil, porwał pierścionek i wybiegł z salonu; pognał korytarzem, a za nim reszta psów.

Jeff spojrział na Olivię, z uznaniem.

- Musimy się skradać, bądź teraz cicho poinstruowała go Olivia, biegnąc korytarzem na pałac. - Aha! - wykrzyknęła. Łazienka'. Szybko! Szybko! Zamknij drzwi! Ale gdzie one tu mogły coś schować?

Złapane na gorącym uczynku, cztery psy położyły się na podłodze. Cecil, czy może Loopy, wypuścił pierścionek z pyszczka. Z brzękiem potoczył się po posadzce. Olivii zrobiło się słabo.

- Szybko, załóż mi go na palec. Nigdy go nie zdejmę. Przenigdy! Później, kiedy już odpływała w sen, pomyślała sobie, że ta chwila miała w sobie coś z magii i że nigdy tego nie zapomni.

Jej przeznaczenie leżało tuż obok niej. I wszystko było dokładnie tak, jak trzeba.

Następnego ranka, kiedy Jeff pojechał do pracy, Olivia wróciła do atelier, żeby od nowa zorganizować sobie pracę. Spędziła godzinę na wydzwanianiu do klientów i umawiała się na zdjęcia. Musi przecież zarobić na suknię ślubną.

Po godzinie, kiedy jej kalendarz wystarczająco się zappełnił, posprzątała w studiu i poszła do gabinetu. Dała sobie jeszcze kilka dni - do poniedziałku - żeby zająć się interesami Adrianny Ames. Od poniedziałku pierwszeństwo będzie miała praca.

Zabrała się do układania i porządkowania wcześniej wydrukowanych kartek z informacjami o towarzystwie ubezpieczeniowym Wielka Skała. Zanim znowu zatrudni Miki Kenyan, postanowiła na własną rękę poszukać tego agenta ubezpieczeniowego. Musi działać sprytnie i podstępnie. Zadzwoiła pod 0-800, do siedziby towarzystwa w Biloxi. Kiedy zgłosiła się telefonistka, poprosiła o połączenie z działem personalnym.

Kobieta po drugiej stronie słuchawki miała pogodny, młody głos. Olivia postarała się wypaść równie sympatycznie. Przedstawiła się jako Helen Noonan i powiedziała, że próbuje odtworzyć swoje drzewo genealogiczne.

- I właśnie mam taki problem, pani Berensen. Udało mi się znaleźć prawie wszystkich, poza jednym wujkiem. Nazywał się Leroy Sullivan. Jedna z kuzynek pamięta, że za młodu pracował w państwa firmie, kiedy jeszcze mieliście biuro w Oxfordzie, jakieś czterdzieści lat temu. Nie mogę nic znaleźć na jego temat. Może mi pani jakoś pomóc?

- Obawiam się, że to było na długo przedtem, zanim zaczęłam tu pracować, pani Noonan. Nawet nie wiem, gdzie szukać takich informacji.

- Wiem tylko, że obecnie nikt o tym nazwisku u nas nie pracuje. Jaką funkcję pełnił?

Jasne, że nie było tam nikogo o tym nazwisku - Olivia właśnie przed chwilą je wymyśliła.

- Kuzynka mówiła, że chyba pracował jako agent. Nie ma już u was nikogo, kto by pamiętał tamte czasy, z kim mogłabym porozmawiać? Może ktoś go sobie przypomni.

- Zaraz sprawdzę, pani Noonan. Mogłaby pani chwilkę poczekać?
- Oczywiście. Bardzo dziękuję za pomoc.

Oliwia wyjrzała przez okno. Jęknęła, bo za szybą wirowały płatki śniegu. Pomyślała o Jeffie. Kiedy zrobi się ciepło, zabierze go na piknik. Uwielbiała pikniki.

Z zamyślenia wytrącił ją głos pani Berensen. - Nie wiem, na ile to pani pomoże, ale jest tu taki człowiek, nazywa się Hudson Buckley. Nie mogę pani dać jego numeru, ale mogę sama do niego zadzwonić i spytać, czy zgodziłby się z panią porozmawiać. Mieszka tu, w Biloxi. W zeszłym roku wyprawialiśmy mu pożegnalną kolację, bo przeszedł na emeryturę. Ma jakieś siedemdziesiąt pięć lat. Jeżeli chciałaby pani porozmawiać z nim, to proszę jeszcze moment poczekać, zadzwonię i zapytam, czy mogę pani dać jego numer. Jeśli ma adres e-mailowy, też chciałaby go pani dostać?

- Tak, to by mi bardzo pomogło.

Znowu pobiegła myślami do Jeffa. Czyjego rodzina ją polubi? Ciekawe, jacy są ci bracia. Czy ona w ogóle będzie pasować do takiej dużej rodziny? Czy będą jeździć na święta do jego rodziny?

Głos w słuchawce znowu ją zaskoczył, aż się wzdrygnęła.

- Pani Noonan, pan Buckley mówi, że mogę pani podać jego numer telefonu i adres e-mailowy. Ma pani pod ręką coś do pisania?

Olivia potwierdziła i szybko zapisała informacje. Jeszcze raz podziękowała i rozłączyła się.

Zapatrzone w padający za oknem śnieg, zastanawiała się, czy napisać e-maila, czy raczej zadzwonić. Jako że jej adres e-mailowy nie zgadzałyby się ze zmyślnym nazwiskiem Helen Noonan, zdecydowała, że jednak zadzwoni. Wykręciła numer i czekała.

Odezwał się energiczny, służbisty głos.

- Hudson Buckley.

- Panie Buckley, mówi Helen Noonan. W Wielkiej Skale dali mi pana numer. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

- Nie, nie. W czym mogę pani pomóc?

Olivia powtórzyła bajeczkę o drzewie genealogicznym i czekała, co emerytowany agent jej odpowie.

- Nie przypominam sobie, żeby dla Wielkiej Skały pracował jakiś Leroy Sullivan. Ja wtedy miałem inną funkcję. Zaczynałem jako dozorca, później awansowałem. O ile dobrze pamiętam, mieliśmy wtedy tylko dwóch agentów. To była mała firma.

- Znał pan bliżej któregoś z tych dwóch agentów? - spytała Olivia.

Starszy pan zaśmiał się pod nosem.

- O tyle, o ile dozorca może się kumpłować z dwoma urzędnikami. Ale pamiętam, jak się nazywali. Nate Clancy i Darryl Spencer. Obaj odeszli jakiś rok po tym, jak zacząłem tam pracować. Widziałem ich w zeszłym roku na koncercie w Ole Miss. Chodzę tam co roku. Prawie ich nie rozpoznałem, ale oni mnie pamiętali. "Nasze żony chwilę sobie pogadały. Oni obaj też są na emeryturze, ale dalej mieszkają w tamtych okolicach. No, to chyba wszystko, co mogę pani na ten temat powiedzieć.

- Bardzo dziękuję, panie Buckley. Cóż, czyli muszę szukać wujka w jakimś innym miejscu. Jeszcze raz dziękuję.

Wstała, żeby rozprostować nogi, a przy okazji poszła pościelić łóżko i zaniosiła brudne ubrania do pralni. No, cóż, przynajmniej wiedziała, kogo szukać i gdzie. Jeśli jej się poszczęści, to może w informacji podadzą numery telefonów do tych dwóch facetów, Ale czy zechcą z nią rozmawiać przez telefon? I czy powinna im powiedzieć prawdę? Który z tych dwóch agentów był odpowiedzialny za sprawę kradzieży?

Nastawiła świeżą kawę i czekając, aż się zaparzy, wyjrzała przez okno. Padało coraz mocniej. Mimo woli, przeszedł ją lekki dreszcz, chociaż miała na sobie ciepłutki ciemnoróżowy dres. Akurat w chwili kiedy sięgała do szafki po filiżankę, zadzwonił telefon. Rzuciła się na słuchawkę.

- Jeff!

- Dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć, że cię kocham. Chyba za rzadko ci to mówię. Naprawdę cię kocham.

Rozanielona Olivia przytrzymała słuchawkę uchem i objęła się ramionami.

- Ja też cię kocham. Tęsknię już za tobą. Łapię się na tym, że nic nie robię, tylko patrzę na pierścionek. Jest przepiękny, Jeff. Dobrze wybrałaś. Wiesz, znowu pada śnieg. - Zmieniła temat.

- Nieważne. Będę u ciebie wieczorem, nawet gdybym musiał założyć rakiety śnieżne. Ja też tęsknię, Olivio. Ale muszę już kończyć, mam tonę papierów do przeobrażenia na biurku. Chciałem cię tylko usłyszeć. Do zobaczenia wieczorem. Kocham cię.

Promieniała.

- Ja też cię kocham.

Kiedy się rozłączyła, spojrzała wokół, zdziwiona, że wszystko wygląda tak jak przedtem. Ziemia się nie zatrzęsała, niebo nad głową, dom nie wyleciał w powietrze. Coś powinno się zmienić. Śmiała się od ucha do ucha, zadowolona, iż nikt nie widzi, że robi z siebie idiotkę. Ciekawe, czy pierwsza miłość zawsze tak wygląda?

Z filiżanką kawy w rękę, pobiegła w podskokach do gabinetu. Nie przejmowała się, że rozlewa, bo wiedziała, że psy zaraz zliżą. Była zakochana z wzajemnością i na dowód tego miała pierścionek. Kiedy człowiek jest zakochany, wszelkie zasady przestają obowiązywać. Usiadła wreszcie za biurkiem i ze zdziwieniem stwierdziła, że w filiżance została ledwie połowa kawy. Wybuchnęła śmiechem. Rozejrzała się po pokoju, przekonana, że powinien zawirować - ale nic z tego. Znowu się roześmiała. Jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa. Nigdy. Przenigdy.

Zabrała się do pracy, ale wciąż myślami wracała do Jeffa. Wykręciła numer do informacji telefonicznej w Oxfordzie, Missisipi i ku swojemu zaskoczeniu dowiedziała się, że w tamtej okolicy mieszka mnóstwo osób

O nazwisku Clancy i Spencer. Kiedy telefonistka powiedziała jej, że może podawać tylko po trzy numery, Olivia głośno jęknęła. To potrwa wieki. Stwierdziła, że zanim zacznie dzwonić, potrzebuje dolewki kawy.

Wczesnym popołudniem miała już ścisłą listę sześciu, może siedmiu, których inicjały zgadzały się z nazwiskami Nate'a Clancy'ego i Darryla Spencera. Nie wykluczała możliwości, że któryś z odrzuconych przez nią numerów mógł być zarejestrowany na żonę jednego z tych panów.

Zerknęła na zegarek. Pora pomyśleć o obiedzie. Wyjrzała przez okno i zaniemówiła. Śnieg padał tak gęsto, że nie widziała drugiego końca podwórza. Wypadła z gabinetu i pognąła do kuchni, żeby się lepiej przyjrzeć. Wyglądało na to, że spadło już z dziesięć centymetrów świeżego puchu. Jeff nie da rady dziś przyjechać. Przybita, opadła na krzesło. Ożywiła się, bo przyszło jej do głowy, że może w Waszyngtonie nie pada. Ale długo nie cieszyła się tą myślą. Wiadomo przecież, że pogoda tu i tam zwykle jest prawie identyczna.

Na wypadek, gdyby Jeff jednak zdołał dotrzeć, przekopała zamrażarkę w poszukiwaniu czegoś na obiad. Wyciągnęła trzy duże zrazy wieprzowe; przygotowała je parę tygodni temu, a potem zamroziła. Od ojca nauczyła się obcinać równo brzegi. To on uczył ją gotowania. Zawsze jeden albo dwa dni w miesiącu przeznaczal tylko na przygotowywanie i zamrażanie jedzenia. Oboje pracowali do późna, ale potem wygodnie było tylko wyjąć coś i odgrzać w piecyku. Zapiekanka ze słodkich ziemniaków i rzepy z czosnkiem - ulubione danie ojca - powędrowała do piekarnika w ślad za zrazami. Kiedy mięso będzie już prawie gotowe, trzeba je polać sosem z cebulki cukrowej. Do tego sałata, bułeczki z zamrażalnika, jakiś deser - i posiłek gotowy. Znowu nachyliła się i wyciągnęła zamrożone na kość ciasto z brzoskwiniami, które wystarczyło odgrzać w piecu. Zacisnęła kciuki w nadziei, że Jeff jednak się pojawi.

Podeszła do rozsuwanych drzwi i chwilę się z nimi mocowała, zanim zdołała je odsunąć. Psy tylko na nią spojrzały, po czym odwróciły się i pobiegły w głąb domu. Wzruszyła ramionami. Cóż, to zrozumiałe. Postawiła pod drzwiami nowe kuwety i wróciła do gabinetu, żeby dalej dzwonić.

Na dworze zrobiło się już całkiem ciemno, kiedy dodzwoniła się do kogoś, kto przedstawił się jako Nate Clancy.

- Nie, proszę pani, ja się zajmowałem sprawami spoza miasta. To Darryl miał przydzielony teren Oxfordu. Mieszka jakieś dwa kilometry ode mnie. Jeśli pani chce, dam pani numer telefonu do niego. Proszę chwilę zaczekać. Moja żona, Emily, i żona Darryla, Melissa, bardzo się przyjaźnią. Zaraz wracam.

Olivia triumfalnie potrząsnęła pięścią. Szybko zapisała numer, podziękowała grzecznie i skończyła rozmowę.

Nagle poczuła, że jest jej zimno. Psy też musiały zmarznąć - skuliły się wszystkie razem na legowisku Alice, w kącie gabinetu. Podkreśliła termostaty, które regulowały temperaturę w całym domu, pozapalała też światła. Zanim wróciła do gabinetu, sprawdziła jeszcze piekarnik i rozpałała w kominku buzujący ogień. Psy obskoczyły ją ujadając. Palnęła się w czoło. Jasne! Przecież to ich pora kolacji. Poszła do kuchni, przygotować im coś do jedzenia. Przez cały dzień żyła jakby na innej planecie.

Myślała o Jeffie i o śnieżycy za oknem. Da radę przyjechać? Oczywiście, że tak. Ale może powinna do niego zadzwonić i powiedzieć, żeby jednak nie ryzykował? Zerknęła na lśniący diament na swoim palcu i uśmiechnęła się. Owszem, bardzo chciała zobaczyć się z narzeczonym, lecz rozsądek podpowiadał, że ukochany nie powinien podróżować w taką śnieżycę. Zatelefonowała do niego, ale odezwała się poczta głosowa. Zostawiła mu wiadomość, żeby nie wyjeżdżał z domu, tylko odezwał się do niej. Zadzwoniła na komórkę, ale tu też automat poinformował, żeby spróbowała później.

Kiedy wyszła z kuchni, usłyszała, że dzwoni telefon w gabinecie. Myśląc, że to Jeff, od razu odezwała się do słuchawki. - Mój słodki, mój kochany! Skrzywiła się, słysząc głos z drugiej strony.

- Widzę, Olivio, że wzięłaś mnie za kogoś innego. Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Lea z tej strony. Na pewno wiesz, co zaszło między mną a twoim ojcem. Tak przynajmniej zrozumielałam z tego, co mi powiedział, jak mogłaś być tak małostkowa, tak nieżyczliwa dla niego i dla mnie? A mogłaś nam tak ułatwić życie. Dennis to twój ojciec, a ja traktowałam cię jak córkę, Olivio. Kochałam cię, bo jesteś córką Dennisa. Powinnaś się wstydzić, że jesteś taka samolubna. Jesteś taka sama jak twoja matka. Gdybyś kochała ojca, znalazłabyś jakiś sposób, żeby ułatwić mu życie. To twoja wina, że się z Dennisem rozstajemy. Twoja wina, Olivio! Słyszysz? Mam nadzieję, że te pieniądze przyniosą ci same nieszczęścia. Słyszysz mnie? - skrzeczała Lea do słuchawki.

Olivia była zbyt zaskoczona, żeby w ogóle się odezwać. Właśnie szukała jakiejś sensownej odpowiedzi, kiedy Lea się rozłączyła. - O Boże!

Lzy zapiekły ją pod powiekami. Zmagała się z tym, co usłyszała przez telefon. Nie była taka jak Adrianna Ames! To Lea chciała tych pieniędzy! Nie ojciec! On poprosił,

żeby wzięła pożyczkę. Gdyby chciał tych pieniędzy, to by o tym powiedział. Prawda? A jeśli Lea mówi prawdę? Jeśli ojciec rzeczywiście poprosił o pożyczkę, żeby pomyślała, iż nie zależy mu na pieniądzech Adrianny, a tak naprawdę chciał dać do zrozumienia, że ich potrzebuje? Lea miała rację, te pieniądze bardzo by ojcu pomogły. Cholera, już sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

Nagła chęć ucieczki jak najdalej stąd, oładnęła nią tak silnie, że o mało nie wybiegła z gabinetu. Jeszcze parę minut temu była wniebowzięta, a teraz, po jednym telefonie, miała wszystkiego dosyć. Łzy kapąły na diament w pierścionku. Rozpłakała się bezradnie, wycierając szlachetny kamień.

Zaraz jednak wzięła się w garść i usiadła za biurkiem. Wcale nie musi się przejmować Leą. Może o niej wcale nie myśleć. No i nie będzie myśleć. Z ponurą determinacją wzięła słuchawkę i wykręciła numer Darryla Spencera. Kiedy mężczyzna już odebrał, zdała sobie sprawę, że nie zdecydowała, jaki powód tej rozmowy mu podać. Cóż, będzie improwizować.

Spencer miał głos starego, niedołężnego człowieka. Olivia przedstawiła się jako Margaret Tyson, pośredniczka w sprawie ubezpieczeniowej sprzed czterdziestu laty.

- Dowiedziałam się, panie Spencer, że to pan był w tamtym czasie wywiadowcą ubezpieczalni. Przepraszam, ale na razie nie mogę zdradzić nazwiska mojego klienta. Mogę natomiast powiedzieć, że mój klient jest gotów oddać Wielkiej Skale to wszystko, co musieliście wypłacić bankowi po kradzieży. Czy wszystko jasne, panie Spencer?

- Chyba tak. Widzi pani, zwolnili mnie, kiedy tylko wypłacili tamto odszkodowanie. Firma omal nie zbankrutowała przez tę sprawę. Młody byłem wtedy i nigdy przedtem nie trafił mi się taki przypadek. A i Missisipi z tamtych czasów, to coś całkiem innego, nie to co dziś. Mówiąc krótko, nie bardzo wiedziałem, co robię. Ale do dziś jestem przekonany, że tego nie mógł zrobić nikt z zewnątrz. I ten właściciel banku też mi się wydawał jakiś podejrzany. Firma wypłaciła odszkodowanie prawie natychmiast. Już samo to mnie zdziwiło. Z początku bank nie chciał nawet zgłaszać kradzieży. Nie mogłem pojąć dlaczego. Cała sprawa potoczyła się błyskawicznie, tyle pamiętam. A potem mnie wyrzucili i musiałem szukać innej pracy; dopiero co się ożeniłem i dziecko było w drodze. Później próbowałem ciągnąć dochodzenie na własną rękę, ale nigdy do niczego nie doszedłem. Tyle mogę pani powiedzieć.

- Mój klient chce zwrócić te pieniądze, panie Spencer.

- Czy pani klient to ta osoba, która... podprowadziła te obligacje?

- Na razie nie wolno mi o tym mówić, panie Spencer. Mówił pan, że tego nie mógł zrobić nikt z zewnątrz. Podejrzewa pan kogoś?

Gdzieś w tle Olivia usłyszała głos kobiety, która krzyczała do męża, żeby przestał strzępić język i zajął się swoimi sprawami. Mówiła, że są za starzy, żeby się w coś takiego mieszać, że jeszcze ktoś ich pozwie za coś, co zdarzyło się czterdzieści lat temu. Olivia ledwo dosłyszała słaby głos mężczyzny, który uciszał żonę i mówił, że powinien już coś powiedzieć.

- Była tam jedna taka zarozumiała dziewczucha, pracowała na pół etatu. Zawsze mi się wydawało, że to ona. Strasznie przemądrzała. I spokojniutka, jakby nigdy nic. Patrzyła mi bezczelnie w oczy, wiedząc, że jej nie oskarżę, bo nie mam żadnych dowodów. Pan Augustus złego słowa nie dał na nią powiedzieć. Studiowała na Ole Miss i mogę pani powiedzieć... - Głos kobiety w tle podniósł się do krzyku; wrzasnęła na męża, żeby się zamknął.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła chwilowa cisza, ale Olivia słyszała, jak mąż i żona półszepem sobie wymyślają. Nie miała pojęcia, co takiego powiedziała Spencerowi żona, ale widać poskutkowało, bo nie dokończył tego, co chciał wcześniej powiedzieć.

- Długo obserwowali tę dziewczynę, latami. Tak przynajmniej słyszałem. Wzięła ślub zaraz po studiach i wyprowadziła się stamtąd. Pilnowali jej przez lata, ale nic się nie wydało. Tak słyszałem. No i chyba firma zrezygnowała. A mnie po jakimś czasie też przestało na tym zależeć. A dlaczego pani klient chce zwrócić pieniądze? Myślę, że ta sprawa już dawno jest zamknięta.

Oliwię ścisnęło w dołku. Spencer czegoś jej nie powiedział. Jego żona nie dała mu o czymś mówić.

- Bo tak trzeba, panie Spencer. Mój klient chce również spłacić odsetki, które zarabiłaby firma, gdyby zainwestowała te pieniądze.

Darryl Spencer gwizdnął. Tak samo anemicznie i słabo, jak mówił.

- A niech mnie! Kto by pomyślał? No, to powodzenia, panienko.

- Panie Spencer, jest pan pewien, że nie chce mi pan jeszcze o czymś powiedzieć? Może pan mnie potraktować jak reportera, który nigdy nie zdradza źródła informacji.

Spencer milczał - o wiele za długo. W końcu się odezwał.

- Powiedziałem pani wszystko, co wiedziałem.

Olivia westchnęła. Wiedziała, że facet kłamie, ale co mogła zrobić?

- Dziękuję za rozmowę, panie Spencer.

Opadła na krzesło i patrzyła gdzieś w dal niewidzącym wzrokiem.

Rozdział 21

Mijały godziny, a Olivia nie przestawała myśleć o rozmowie z Darry-lem Spencerelem. Co on takiego wiedział - albo podejrzewał - i bał się o tym mówić? Próbowała myśleć o czym innym: o Jeffie, o brzydkiej pogodzie, o tym, że obiad wysycha w piekarniku. Nawet psy, cokolwiek robiły, nie przyciągały jej uwagi.

Była dziewiąta, kiedy zasiadła do obiadu, który już ledwo nadawał się do jedzenia. Przeżuwała wysuszone na wiór zrazy, nadal myśląc o odbytej rozmowie. Zastanawiała się, czy nie powinna jeszcze do niego zadzwonić. Chociaż miał swoje lata, to umysł jasny i całkiem dobrą pamięć. Pewnie po jej telefonie oboje z żoną rozmawiali o tym do upadłego. Jeśli zadzwoni do niego dziś, to chyba nic jej nie powie. Ale może by tak poczekać z dzień, czy dwa, wziąć go z zaskoczenia, wtedy może coś zdradzi.

Tylko czy miała prawo coś takiego robić? Grzebać w przeszłości starego człowieka, wypytywać go pod fałszywymi pozorami, tylko po to, żeby spełnić ostatnią prośbę Adrianny Ames.

Bezmyślnie dłużyła w kawałku ciasta brzoskwińskiego, który miała na talerzu. Gdzie się podziewa Jeff? Czemu nie zadzwonił? Może utknął gdzieś na autostradzie? Właśnie odsunęła talerz z resztkami, kiedy rozległ się dzwonek. Psy pognały za nią do

drzwi. Gdy tylko otworzyła drzwi i Jeff wszedł do środka, rzuciła mu się w ramiona. Psy hałasowały, domagając się zainteresowania.

- Nie mogłem zadzwonić, bo po drodze siadła mi bateria w komórce. Kochanie, umieram z głodu. Masz coś do jedzenia?

Olivia ze śmiechem pomogła mu ściągnąć kurtkę.

- Zrobiłam obiad, tylko że zrazy trochę jakby się zeschły. Ale wystarczy dołożyć więcej sosu i da się zjeść. A jak pogoda?

Jeff uśmiechnął się szeroko.

- Fatalnie. Nie dojadę jutro do pracy. Dlatego właśnie zależało mi, żeby tu dziś dotrzeć. Myślę, że jutro ogłoszą stan klęski żywiołowej, więc biuro też będzie nieczynne. Cztery godziny jechałem. Przez pół drogi kompletnie nic nie widziałem, trzymałem się po prostu tylnych świateł przede mną.

Uradowana Olivia z nowym zapalem zajadała ciasto, a Jeff z apetytem pałaszował obiad.

- Pycha, Olivio. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem zrazy zawijane. Moja mama też robi taką zapiekankę, ale twoja jest lepsza, bo ma czosnek - uwielbiam czosnek. Myślę, że małżeństwo z tobą to będzie cudowna sprawa, o ile codziennie będziesz tak gotować. No i podejrzewam, że oboje będziemy musieli korzystać z najbliższej siłowni.

Olivia była uszczęśliwiona tym komplementem. W końcu nieczęsto się zdarza, żeby chłopak powiedział dziewczynie, że gotuje lepiej od jego matki.

- Powiedz, jak ci minął dzień? - zapytał między jednym a drugim kęsem.

Opowiedziała mu, co się wydarzyło.

- Nie sądzę, żeby mi się tylko zdawało - zakończyła. - Jeff, pan Spencer chyba wie o czymś, czego żona nie pozwala mu powiedzieć.

A jeśli nawet nie wie na pewno, to coś podejrzewa. Chciałam zadzwonić jeszcze raz, ale pomyślałam, że nie będę go denerwować. Tego biedaka nie obchodzą przecież moje sprawy, po co go zameczać? Jutro zadzwonię do prawnika Adrianny Ames, a co

dalej - to się jeszcze zobaczy. Chcę jak najszybciej mieć tę sprawę z głowy i wreszcie zabrać się do pracy.

Dolała Jeffowi wina.

- O, mój Boże, zapomniałam ci powiedzieć, że po południu dzwoniła Lea. Mówiła straszne rzeczy. I pomyśleć, że kiedyś lubiłam tę kobietę, nawet bardzo. Pieniądże każdego potrafią zmienić. To tak jak z ludźmi, którzy wygrywają na loterii. Nagle mają mnóstwo przyjaciół, i wszyscy liczą, że załapią się na kasę. Muszę pomyśleć i zdecydować, co zrobić z jej majątkiem, żeby przynajmniej z tego galimatiasu wyniknęło coś dobrego. Tylko jeszcze nie wiem co. W tej chwili mój mózg jest w stanie hibernacji.

Na pewno chcę spłacić odszkodowanie firmie ubezpieczeniowej. Sądzę, że O'Brien mógłby się tym zająć. Nawet jeśli załatwię sprawę, zostaje jeszcze reszta majątku, bo pieniądze z odszkodowania to dosłownie kropla w morzu. Chodzi mi po głowie parę pomysłów, ale nie chcę jeszcze

o niczym decydować, bo mam wrażenie, że nadal coś mi nie gra. Kiedy już się z tym uporam, chciałabym mieć poczucie, że zrobiłam wszystko najlepiej, jak umiałam. Na razie tak się nie czuję. Jeff, może ty zwróciłeś uwagę na coś, co mi umknęło? Jakies pomysły, sugestie?

Pokręcił głową.

- Przykro mi, Olivio, ale nie. O'Brien to bardzo dobry prawnik, jego firma ma świetną renomę. Złeć to im, a na pewno będziesz zadowolona.

Olivia wzruszyła ramionami i zabrała się do sprzątanía ze stołu. Jeff chciał pomóc, ale kazała mu się wynieść do salonu razem z psami.

- Dorzuc do kominka, okej?

Niosąc w każdym ręku kieliszek wina, Olivia zgasiła po drodze światło w kuchni. W salonie przywitały ją wdzięczne spojrzenia psów i merdające ogonki. Jeff spał jak zabity na kanapie. Przykryła go i usadowiła się z psami na stercie poduszek przed kominkiem. To by było na tyle, jeśli chodzi o romantyczny wieczór we dwoje.

Pięć dni później, Olivia wkroczyła zdecydowanie do biura Prentice'a O'Briena. Wymienili uwagi na temat paskudnej pogody i odwołanych spotkań z klientami, po czym przeszli do rzeczy.

Olivia obciągnęła spódnicę bordowego kostiumu. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej list od Allison Matthews. Obserwowała prawnika w trakcie czytania, ale jego twarz nie zdradzała absolutnie nic. Tak jak pozbawione wyrazu spojrzenie, kiedy podniósł wzrok.

- Wiedział pan o tym, panie O'Brien?

- Nie, panno Lowell. Byłem prawnikiem pani matki, a nie jej powiernikiem. Osobiście spotkałem się z nią tylko dwa razy. Wszelkie sprawy załatwialiśmy faksem albo przez telefon. A teraz proszę mi powiedzieć, czego pani ode mnie oczekuje?

- Chcę, żeby znalazł pan sposób na zwrot tych pieniędzy bankowi albo firmie ubezpieczeniowej, Wielkiej Skale z Missisipi, ale tak, żeby nie dowiedzieli się, skąd pochodzą. Wszystko ma być słacone z majątku Adrianny Ames. Wiem, że sprawa została zamknięta czterdzieści lat temu, ale to nic nie zmienia. Tak wypada postąpić i chcę, żeby pan to załatwił. Przelał pan na moje konto dwa miliony dolarów. Ja wyjęłam dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Proszę, tu jest książeczka z czekami. - Podała mu książeczkę. - Chce pan całą czy starczy jeden czek?

Prawnik złożył dłonie w wieżyczkę. Twarz miał nieprzeniknioną.

- Wystarczy jeden czek. Mogę złożyć wskazaną przez panią kwotę na jednym z naszych rachunków depozytowych. Nie widzę tu żadnego problemu. Czy jeszcze coś mogę dla pani zrobić?

- Zastanowię się, panie O'Brien. Jak długo trzeba będzie czekać na zatwierdzenie testamentu?

- Ma pani mnóstwo czasu do namysłu, panno Lowell. To potrwa jakieś sześć do dziesięciu miesięcy, może trochę krócej. Jeśli zależy pani na czasie, spróbuję nieco przyspieszyć procedurę.

- Chcę mieć to z głowy tak szybko, jak to możliwe. Ja... myślałam... to znaczy, zastanawiałam się... nad kilkoma rzeczami, ale jeszcze nie mogę powiedzieć nic konkretnego. Za to może pan się już zająć założeniem kilku funduszy inwestycyjnych.

Jeden będzie dla syna Gwen, Timothy'ego, i jego trójki dzieci; drugi dla córki Jill i jej synków. - Olivia sięgnęła znowu do torebki i wydobyła plik papierów. - Myślę, że uda się panu ich zlokalizować dzięki tym notatkom. Przykro mi, że na razie tylko tyle, ale więcej nie udało mi się wymyślić.

- Zajmę się wszystkim, panno Lowell. Nie chciałaby pani też założyć takiego funduszu dla swoich dzieci, jeśli kiedyś będzie je pani miała? Nalegam, żeby pani to zrobiła. Dzieci, jak pani wiadomo, dorastają i zaczynają pytać o dziadków i babcię. Widzę, że nie jest pani przekonana, i rozumiem, co pani czuje, ale, jak sama pani przed chwilą powiedziała, tak wypada postąpić. Za osiemnaście lat chesne za studia będzie pewnie cztery razy wyższe niż teraz.

Olivia oblizwała wyschnięte wargi. To, co mówił prawnik, miało ręce i nogi. Wiedziała, że Jeff nie będzie protestował. Fundusz inwestycyjny przeznaczony dla ich dzieci oznaczał, że ona sama nie będzie wydawać tych brudnych pieniędzy. Znowu oblizwała wargi.

- Dobrze. Jeszcze to uzgodnię z narzeczonym i dam panu odpowiedź.

- Zastanawiała się pani już, co zrobi z domami i resztą nieruchomości? A co z łodzią, którą miała pani kupić dla ojca?

Zamiast oblizywać wargi, Olivia przygryzła wewnątrz policzka.

- Cóż... Tak zupełnie tego nie wykluczam, ale też jeszcze dam panu znać w tej sprawie. Naprawdę, panie O'Brien, nie jest mi łatwo z tym wszystkim. Nie mam pojęcia, co robić. Nie prosiłam o coś takiego.

Prentice O'Brien odchylił się w krzesło.

- Pracuję w tym zawodzie już od wielu lat, panno Lowell. Czasami wydaje mi się, że nic mnie już nie zdziwi. Rozważam, czy nie powinienem napisać książki. Ale zaraz stwierdzam, że i tak nikt by nie uwierzył w to, co przeczytał. Poruszam tę kwestię z pewną intencją: chcę pomóc pani uwolnić się od nienawiści do matki. Wiem, że nie lubi pani tego słowa, ale Adrianna Ames była pani matką. Nie ma przykazania, które mówi, że człowiek musi kochać swoją matkę. Bo nie musi. Ale pani musi wyzbyć się wreszcie tej nienawiści. Inaczej ona zniszczy pani życie. Niech pani o niej myśli jak o przeszkodzie na drodze, którą trzeba pokonać, żeby dotrzeć do celu.

Widzę na palcu pierścione. Nie było go, kiedy się ostatnio widzieliśmy. Czyli zaczyna pani nowy rozdział w życiu - niech pani sama nie stawia sobie przeszkód na drodze. Widywałem już w takich sytuacjach rozbite rodziny i zniszczone związki. Nie chciałbym, żeby pani z własnej winy stała się ofiarą.

Byłem przedstawicielem prawnym pani matki przez blisko trzydzieści lat i nie poznałem jej lepiej niż w dniu, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz. Wątpię, żeby ktokolwiek naprawdę znał i rozumiał Adriannę Ames. Może prawnicy z jej firmy ją rozumieli, ale nie wydaje mi się to możliwe. Może te dwie przyjaciółki ze studiów ją rozumiały, ale też wątpię.

Olivia zaciskała pięści. Odezwała się cichym, niemal delikatnym tonem.

- Ona mnie nie chciała. Mówiła o mnie „to coś”. Myślę, że mam prawo czuć to, co czuję, panie O'Brien.

- Oczywiście, że tak, ale pani musi się od tego uwolnić, bo inaczej przeszłość matki już zawsze będzie na pani ciążyć. Proszę o tym pomyśleć, panno Lowell. Co konkretnie się zmieniło w pani życiu od naszego pierwszego spotkania? Nic, poza tym, że nagle stała się pani bardzo bogata. Wszystko, co pani zrobiła, lub czego nie zrobiła, było dobrowolne. Nikt pani do niczego nie zmuszał. Chce pani zrobić to, co wypada, to, co słuszne - i założenie tych funduszy tylko dowodzi, że mam rację. Myślę, że powinna pani być dumna z ojca, że tak panią wychował. Jest pani szlachetną osobą, panno Lowell. Niech pani tego nie zaprzepaści. A jeśli miałyby pani z naszego dzisiejszego spotkania zapamiętać tylko jedno, to proszę pamiętać o tym, koniec końców, pani matka chciała naprawić swój błąd.

- W takim razie czemu sama tego nie zrobiła? - obruszyła się Oli-via. - Czemu ja mam to za nią robić?

Prawnik zastanowił się dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

- Mogę się tylko domyślać. Wydaje mi się, że chciała pani pokazać, kim była. Gdyby sama załatwiła tę sprawę, pani nigdy by się o tym nie dowiedziała. Wtedy nie miałaby powodu się do niczego przyznawać. Hej, będąc studentką, okradłam bank - to by było bez sensu. Nie, to nie w stylu Adrianny Ames. Może to pani tłumaczyć na tysiąc sposobów, ale proszę tego nie robić. Musi pani iść dalej i nie oglądać się za siebie. To najlepsza rada, jaką mogę pani w tej chwili dać.

Olivia wstała, przerzucając przez ramię beżowy płaszcz. Skinęła głową i wyciągnęła rękę. Prawnik uściśnął jej dłoń i odprowadził do drzwi. Zdziwiła się, kiedy po ojcowsku poklepał ją po ramieniu.

- Jakoś to będzie, panno Lowell.
- Mam nadzieję - mruknęła Olivia.

Długo siedziała w samochodzie, nie ruszając z parkingu. Wciąż brzmiały jej w uszach słowa prawnika. Kiedy wreszcie przekreśliła kluczyk w stacyjce i ruszyła, była przekonana, że O'Brien mówił szczerą prawdę.

Ale wiedzieć, że miał rację i postępować zgodnie z jego mądrymi radami - to dwie zupełnie różne rzeczy.

Mijały dni i tygodnie. Nim Olivia się obejrzała, przyszła wiosna, ubrana we wszystkie kolory tęczy na zielonym tle.

Życie wróciło do normy. Prawdę mówiąc, ta normalność powoli zaczynała Olivię nudzić. Skupiała się na pracy, ale codziennie liczyła godziny do wieczora, kiedy przyjeżdżał Jeff.

Tego dnia skończyła już pracę, pomachała na do widzenia pudelkowi o imieniu Tiffany i właścicielce, która też nazywała się Tiffany, otworzyła butelkę coli i rzuciła się na fotel, opierając nogi o wyściełany podnóżek. Spojrzała na kalendarz na przeciwległej ścianie. Trudno uwierzyć, że już za tydzień przewróci kartkę z kwietnia na maj. A w pierwszy weekend maja miało się odbyć Święto Kwitnącej Jabłoni. Już się cieszyła na samą myśl, że tym razem zabierze Jeffa.

Ciekawe, czy ojciec przyjedzie na święto? Do tej pory ani jednego nie opuścił. To takie smutne, że od czasu, kiedy poprosił ją o pożyczkę, rozmawiali ze sobą tylko raz. Lea też więcej się do niej nie odezwała. Ale marcowa i kwietniowa rata za hipotekę wpłynęła na czas. Może ojciec czeka, aż ona do niego zadzwoni? Tylko jaki jest sens w tym, żeby dzwonić do kogoś, kto nigdy nie odbiera telefonu?

Szła właśnie do kuchni, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. W przedpokoju prawie udało jej się prześcignąć psy. Roześmiała się, podpisała kwitek odbioru przesyłki i zabrała kopertę z DHL-u do kuchni. Nadawcą tej grubej, ciężkiej paczki okazał się Prentice O'Brien. Rzuciła ją na stół i jeszcze przez chwilę pokręciła się po kuchni.

Teraz, kiedy dostała przesyłkę, wróciły wszystkie emocje; czuła, że przyspiesza jej tętno.

Zrobiła sobie herbaty z rumem, żeby się wzmocnić, zanim otworzy złowieszczy pakunek. Mierzyła go spojrzeniem, sącząc herbatkę. Wreszcie rozerwała kopertę i wyjęła ze środka wstępny projekt umów dotyczących założenia funduszy kapitałowych. Z dołączonego listu dowiedziała się, że ma przeczytać dokumenty i dać O'Brienowi odpowiedź.

Przerzucała kartki, ale równie dobrze umowy mogły zostać sporządzone w obcym języku, bo prawie nic z nich nie rozumiała. Zrozumiała za to stronę z liczbami, gdzie było napisane, że wszystkie wnuki Gwen mają zagwarantowane opłaty za czesne, kiedy będą szły na studia. Syn Gwen, Timothy, miał dostawać dwa tysiące dolarów miesięcznie do końca życia, a każde dziecko - pięćset dolarów miesięcznie do ukończenia trzydziestego piątego roku życia. Co roku doliczana będzie stopa wzrostu kosztów utrzymania.

Fundusz przeznaczony dla córki Jill zasadniczo niczym się nie różnił, oprócz kwot. Ponieważ miała tylko dwoje dzieci, ich czesne za studia też będą pokryte w całości, a każde z nich dostanie siedemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie do wieku trzydziestu pięciu lat. Mary Louise miała otrzymywać trzy i pół tysiąca miesięcznie do końca życia.

Dokumenty dotyczące funduszy dla dzieci Olivii były znacznie krótsze, a liczby - podobne jak w poprzednich umowach. Pokrycie pełnej kwoty czesnego i pięćset dolarów dla każdego dziecka do trzydziestego piątego roku życia. Dla niej samej - ani grosza.

Wszystko w porządku. Wystarczyło podpisać, a umowa wejdzie w życie.

Sięgnęła po ostatni folder, cieniutki, w jaskrawoczerwonej okładce, i otworzyła go. Pojedyncza kartka papieru głosiła, że na 15 maja - czyli za nieco ponad dwa tygodnie - zaplanowano doroczne posiedzenie zarządu Skarbcza Adrianny. Jako jedyna spadkobierczyni Adrianny Ames, Olivia miała to zebranie poprowadzić. Wytrzeszczyła oczy. Nie, to jakaś pomyłka. Ona nie ma zamiaru przejmować firmy Adrianny. I bynajmniej nie wybiera się do Baltimore, żeby przewodniczyć jakiemś głupiemu posiedzeniu.

Wyprostowana jak struna, z groźnym błyskiem w oku, wystukała prywatny numer O'Briena. Aż się trzęsła, ale nie mogła zapanować nad nerwami. Kiedy prawnik odebrał, nie bawiła się w uprzejmości. Przeszła od razu do rzeczy.

- Nie, nie pojedę na to posiedzenie. Mówiłam już panu, że nie chcę mieć nic wspólnego z majątkiem Adrianny Ames ani z jej firmą. Co znaczy: muszę pojechać? Wcale nie muszę. Firma najwyraźniej świetnie sobie radzi i bez Adrianny za sterem. To znaczy, że w zarządzie muszą być jacyś kompetentni ludzie. I niech tak będzie, dopóki nie zostaną podjęte jakieś decyzje w tej sprawie.

Zamknęła oczy, kiedy prawnik zaczął mówić.

- A kto, pani zdaniem, będzie podejmować te decyzje? Skarbiec Adrianny daje pracę bardzo wielu ludziom. Ci ludzie mają rodziny, które liczą na wypłaty i ubezpieczenie, jakie zapewnia im firma. Chcą być pewni, że nadal będą zarabiać. Powiedziano mi, że morale wśród pracowników nie jest w tej chwili zbyt wysokie. Minęło już kilka miesięcy, odkąd zmarła pani Ames. To, że pani poprowadzi posiedzenie, jest bardzo istotne - dzięki temu zobaczą że jest ciągłość działań firmy, że ich stanowiska pracy nie są zagrożone. Nie zajmie to pani więcej niż dziesięć minut. Na pewno uda się pani wygospodarować tyle czasu.

Olivia aż się przygarbiła.

- Skoro tak pan to ujmuje, cóż - chyba rzeczywiście nie mam wyboru. No, dobrze, pojedę. Ale niech mnie pan o nic więcej nie prosi.

- Panno Lowell, obawiam się, że to nie takie proste. Właściwie, bardzo skomplikowana sprawa. Nasza firma ciężko nad tym wszystkim pracuje. Jak powiedziałem, to nadzwyczajnie skomplikowana sprawa. Same podatki są niewyobrażalnie wielkie. Proszę mi powiedzieć, czy odpowiadają pani sformułowania umów? Olivia postukała palcami o blat.

- Nie przeczytałam ich linijka po linijce, jeżeli o to panu chodzi. Ale liczby są w porządku. Jak długo to potrwa, zanim zaczniecie wysyłać pieniądze do dzieci Gwen i Jill?

- Około sześciu tygodni, plus minus dwa tygodnie. Czy mam przedtem wysłać do nich listy, żeby ich uprzedzić o pani zamiarach?

- Nie, jeszcze nie. Muszę coś wymyślić, jakąś historię, która nie zdradzi... przeszłości ich matek. Nie chcę im tego robić. Coś jeszcze, panie O'Brien?

- Nie, na razie to wszystko. Czyli jest pewne, że stawi się pani na posiedzeniu w Baltimore.

- Tak, panie O'Brien, stawię się na tym posiedzeniu.

Usiadła za stołem. Herbata już wystygła, ale i tak ją wypila. Niezależnie czy tego chciała, czy nie - czy miała dobre, czy złe intencje - świat Adrianny Ames wciągał ją do środka.

I, do jasnej cholery, nie mogła nic na to poradzić.

Rozdział 22

Olivia w skupieniu przejrzała się w lustrze na drzwiach łazienki. Powinna była kupić nowy kostium. Albo przynajmniej dać do czyszczenia ten, który miała na sobie. Co z tego, że dopiero wyjęła go z szafy. Cóż, musi zostać tak, jak jest. Przyglądała się sobie krytycznie. Grafitowy kostium miał typowo biznesowy krój; włożyła do niego śnieżnobiałą koszulową bluzkę. Żadnej biżuterii, z wyjątkiem pierścionka zaręczynowego na lewej ręce i pierścionka od ojca na prawej; do tego tylko zegarek i perłowe kolczyki. Namęczyła się z makijażem i fryzurą, nie mogąc się zdecydować na właściwy odcień szminki czy odpowiednie cienie do powiek. Włosy uczesała w prosty kok. Wykrzywiła się do swojego odbicia. Wyglądała schludnie i porządnie.

Już wychodziła z sypialni, ale jeszcze raz wstąpiła do łazienki, żeby się spryskać perfumami. Zapach był dla niej jak zbroja. Teraz już mogła wyruszyć w długą podróż do Baltimore.

W kuchni naląła psom świeżej wody, wysypała suchą karmę i postawiła pod drzwiami kuwety.

- Wracam po południu, więc bądźcie grzeczne. Kiedy przyjadę, dostaniecie smakołyki.

Psy spojrzały na nią, jakby rozumiały każde słowo. Nikt ich dziś nie pilnował, co znaczyło, że mogą robić, co im się żywnie spodoba. Olivia spojrzała na nie podejrzliwie, wiedząc, że coś kombinują. Nieważne, zajmie się nimi po powrocie.

Westchnęła ciężko na myśl o tym, co ją dziś czeka i poszła do przedpokoj - właśnie w momencie, kiedy zadzwonił dzwonek. Otworzyła drzwi i zobaczyła przed sobą eleganckiego mężczyznę, a na podjeździe limuzynę.

- Tak?

- Nazywam się David Lerner i jestem pani kierowcą. Jeśli jest pani gotowa, to możemy już jechać. W samochodzie czeka na panią kawa i dzisiejsza prasa, panno Lowell.

Olivia zdołała powiedzieć tylko:

- Och.

Limuzyną do samego Baltimore. No, pięknie. Kawa i poranna prasa. Jasne, wypije kawę i oczywiście wyleje ją sobie na bluzkę. A od gazety będzie miała na rękach ślady tuszu. Wiedziała, że jest rozdrażniona, ale nic nie mogła na to poradzić.

W nocy nawet nie zmrużyła oka. Wiedząc, że będzie nie w sosie, powiedziała Jeffowi, żeby został w mieście. Położyła się o jedenastej i do pierwszej przewracała z boku na bok. Wstała i uprasowała kostium. O drugiej nastawiła pranie. O trzeciej zrobiła sobie jajka na bekonie, ale ostatecznie dała je psom. O czwartej odkurzyła salon, wypolerowała meble i poskładała pranie. O piątej wzięła prysznic i umyła głowę.

O siódmej była już ubrana i umalowana - a nerwy miała napięte do granic możliwości.

Teraz była siódma czterdzieści pięć i Olivia siedziała w limuzynie, która wiozła ją do Baltimore z uprzejmości firmy Skarbiec Adrianny. Musiała przyznać, że to znacznie przyjemniejsze niż podróż własnym samochodem.

Siedząc na pluszowym siedzeniu, próbowała się odprężyć. Pomyślała o Jeffie i o ślubie, który zaplanowali na drugi tydzień września, ale I to nie pomogło. W wyobraźni widziała jedynie długi stół konferencyjny, a przy nim grupę ludzi, którzy nie spuszczała z niej wzroku i czekali na jej werdykt co do swojej przyszłości. Szkoda, że nie przygotowała sobie jakiegoś przemówienia. Samo „dzień dobry” i „do widzenia” raczej nie załatwią sprawy.

Zamknęła oczy i próbowała sobie przypomnieć wszystkie filmy, w których bohaterowie musieli prowadzić spotkania zarządu. Ale to zwykle byli mężczyźni, a sekretarki robiły za nich notatki. Jeff powiedział, że powinna po prostu być sobą. Nie takiej rady od niego oczekiwała. Członkowie zarządu raczej nie byłiby zadowoleni, gdyby poznali jej opinię o Adriannie Ames.

Przed pójściem spać zadzwoniła jeszcze do ojca, ale - jak zwykle od jakiegoś czasu - nie odebrał telefonu. Była zdana na siebie i niestety nie przychodziło jej do głowy nic poza „dzień dobry” i „do widzenia”. Improwizacja to nie najlepsze rozwiązanie w takich sytuacjach, ale nie miała wyjścia - będzie musiała improwizować. Może ją wyrzuci. Ta myśl poprawiła jej humor.

Z każdym przejechanym kilometrem Olivię coraz bardziej zżerał stres. Żałowała, że nie ma przy sobie gumy do żucia, czegokolwiek, co pomogłoby rozładować napięcie. Kiedy była młodsza, tata zawsze dawał jej listek gumy, kiedy się czymś denerwowała. Samo żucie już uspokajało. Szkoda, że nie zostawiła ojcu wiadomości z prośbą, żeby oddzwonił. Może wypłynął na czarter i nie miał tam zasięgu. Kto wie, wszystko możliwe.

Mijały minuty. Olivia przyjrzała się paznokciom i strzeliła kostkami palców, co oczywiście nie przystoi eleganckiej kobiecie. Potem oglądała swoje buty, następnie przeszła do kontroli zawartości torebki. Same śmieci.

Wreszcie limuzyna zwolniła i skręciła z autostrady w miejscu, które przypominało dzielnicę fabryczną. Siedmio- i dziewięciopiętrowe brudne budynki z czerwonej cegły wyrastały po obu stronach ulicy. Kiedy samochód się zatrzymał, Olivia nachyliła się w stronę kierowcy.

- To już? Tu jest główna siedziba firmy? - W jej głosie brzmiało niedowierzenie.

- Tak, proszę pani. Wejść z panią do środka. Wewnątrz wygląda to trochę inaczej niż tu.

Otworzyły się drzwiczki i pokazała się w nich ręka, o którą się oparła, wysiadając. Przelknęła ślinę i poszła za szoferem.

Przyglądała się, jak wystukuje długi ciąg cyfr na klawiaturze obok brzydkich stalowych drzwi, które otworzyły się bezszelestnie. Miał rację, wewnątrz było naprawdę inaczej - przepięknie. Na środku mieściło się rozległe atrium, pełne bujnych, zielonych drzewek i roślin.

Z boku, przy blacie z czarnego marmuru, starannie ubrana recepcjonistka w średnim wieku zawzięcie stuknęła w klawiaturę. Przytulne fotele w kolorach tęczy witały każdego wchodzącego. Na ścianie wisiała przeszklona tablica informacyjna. Olivia podeszła bliżej. Pierwsze piętro to dział nowych produktów, drugie - zwroty, trzecie - dział kadr, czwarte - dział prawny; przy piątym piętrze napisane było tylko: Adrianna Ames. Nie doczytała, co jest na szóstym i siódmym, bo szofer dotknął jej łokcia i gestem zaprosił ją do windy.

- Jedziemy na szóste piętro. Tam jest sala konferencyjna i jadalnia - powiedział beztrosko. - Ma pani jeszcze dziesięć minut, jeżeli potrzebuje się pani odświeżyć. Łazienka będzie po prawej, a sala konferencyjna to drugie drzwi po lewej.

Odświeżyć się. O tak. Pewnie, że pójdzie się odświeżyć. Wszystko, byle tylko odsunąć moment wejścia do tej strasznej sali konferencyjnej. Wszystko. Żołądek zrobił salto. Nie będzie wymiotować, o nie. Zerknęła na zegarek. Jeszcze dwie minuty. A, do diabła z tymi minutami. Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi i otworzyła je jednym szarpnięciem, tak energicznie, że omal się nie przewróciła. Okej, drugie drzwi na lewo. Wciągnęła powietrze i na pięć sekund wstrzymała oddech, wypuściła powietrze i dopiero wtedy ruszyła korytarzem. Bez wahania przekreśliła gałkę i weszła do środka. Nawet nie mrugnęła na widok kobiet i mężczyzn siedzących dookoła stołu. Czekali tylko na nią.

Jednym spojrzeniem objęła całe pomieszczenie: wyszukany bukiet z wiosennych kwiatów na środku stołu z ciemnego, egzotycznego drewna, talerze z ciasteczkami, wielki srebrny serwis na bocznym stoliku, przy którym stała kelnerka, gotowa podawać napoje. Nie była pewna, ale zdawało jej się, że na stoliku leżą też płócienne serwetki.

Musiła obejść cały stół, żeby się dostać na jedyne wolne miejsce. Dwanaście osób śledziło każdy jej krok. Usiadła. Na ścianie dokładnie naprzeciw niej wisiał portret Adrianny Ames. Zaskoczyło ją to. Ktokolwiek go namalował, udało mu się uchwycić

w twarzy chciwość i lodowate spojrzenie. Wyczuła instynktownie, że portret miał onieśmielać patrzącego. Może na innych tak działał. Na nią na pewno nie.

Potoczyła wzrokiem wokół stołu.

- Bardzo proszę, niech się państwo nie stresują. Nazywam się Oli-via Lowell i jestem córką Adrianny Ames. - W odpowiedzi usłyszała niewyraźne „witam”, „dzień dobry”, „miło panią poznać”.

- Nie mam dziś zbyt wiele do powiedzenia. Przepraszam, że nie udało mi się dotrzeć tu wcześniej, ale... to było dla mnie spore zaskoczenie.

Chcę, żebyście państwo wiedzieli, iż nie planuję żadnych zmian. Proszę o poinformowanie kierowników działów, że firma będzie pracować tak samo jak dotychczas. Zapewniam, że nie nastąpią żadne przesunięcia na kierowniczych stanowiskach. Nic się nie zmieni. - Wzięła głęboki oddech i sięgnęła po filiżankę kawy, którą podała jej usłużna kelnerka. Odstawiła kawę i rozejrzała się. -A, nie, przepraszam. Będzie jedna zmiana. Zamierzam wprowadzić program premii dla pracowników w oparciu o wysługę lat. Premie będą wypłacane co roku przed Gwiazdką. Oprócz tego, zauważyłam, że od paru lat zaniedbywano podwyżki, więc cały zarząd otrzyma dziesięcioprocentową podwyżkę z ważnością wstecz, od pierwszego stycznia tego roku. Procent inflacji będzie doliczany półrocznie, w styczniu i czerwcu. Jeśli mają państwo jakieś pytania, to proszę je zadać. Pewnie i tak nie będę w stanie odpowiedzieć na wszystkie, ale przynajmniej spróbuję.

Potoczyła wzrokiem po twarzach zebranych. Wszyscy mieli takie poważne, podejrzliwe miny. Dlaczego? Program premii i wiadomość o podwyżkach powinny przecież wywołać jakieś pozytywne reakcje. Kobieta w surowo skrojonym granatowym kostiumie uniosła rękę.

- Carol Vinter, dział kadr. Skąd możemy mieć pewność, że zrobi pani to, co zapowiedziała? Wcześniej też obiecywano nam podwyżki, ale jakoś ich nie widać.

Aha. Czyli Adrianna Ames nie była lubiana jako szefowa.

- Carol, ja nie rzucam słów na wiatr. Bardzo proszę, żeby dział prawny przygotował dla wszystkich państwa nowe umowy, na czas nieokreślony. To chyba dobry moment, żeby państwu powiedzieć, że... że ja... nie jestem taka jak moja matka! Właściwie o tym, że Adrianna Ames to moja matka, dowiedziałam się dopiero po jej

śmierci. Wcześniej mówiono mi, że moja matka zmarła przy porodzie. Ta cała - tu Olivia zamachała rękami - sytuacja... jest dla mnie dość niespodziewana. Ale jeśli coś państwu obiecuję, tak się stanie. Macie to państwo jak w banku. Muszę skonsultować z prawnikami procedurę przekazania firmy pracownikom. Nie wiem, jak to przeprowadzić, ale taką decyzję podjęłam. Może nie natychmiast, ale tak szybko, jak to możliwe. To też macie jak w banku.

Opadła na krzesło i napiła się kawy. Oczekała chwilę, żeby słuchacze przyswoili sobie to, co powiedziała. Po kilku sekundach ciszy wszyscy zaczęli gadać jeden przez drugiego. Niektórzy się uśmiechali. Wysączyła resztę kawy i podała kelnerce filiżankę, prosząc o dolewkę. Nagle przestała się denerwować.

Każdy prawnik, około pięćdziesiątki, wstał i odezwał się głośno.

- Akceptujemy pani propozycje. Olivia klasnęła w ręce.

- Świetnie! Mogę już iść?

To ich rozbawiło. Wstała, podała każdemu rękę na pożegnanie, zamieniła jeszcze kilka słów i poczęstowała się drożdżówką z jabłkami i cynamonem. Idąc korytarzem, pogryzała ciastko. Zanim weszła do windy, zawołała jeszcze:

- Proszę pracować dalej!

Do licha, zupełnie jak generał George S. Patton. Brakowało jej tylko szpicruty w ręku. W tym momencie rzeczywiście czuła się jak generał.

Skulona na pluszowym, bordowym siedzeniu limuzyny, przespała całą drogę do Winchesteru.

Psy powitały ją entuzjastycznie. Pobawiła się z nimi przez kilka minut, a potem wypuściła na dwór. Dokazywały w ogrodzie, a Olivia w tym czasie otworzyła butelkę coli, potem przebrała się w dżinsy, koszulkę i trampki. Zabrała colę oraz telefon na taras; stamtąd zadzwoniła do Prentice'a O'Briena, żeby zdać sprawozdanie z posiedzenia. Nie mogła powstrzymać złośliwego uśmiechu, kiedy napuszony prawnik wykrzyknął z oburzeniem:

- Nie może pani tego zrobić!

- Oczywiście, że mogę! Jestem właścicielką Skarbca Adrianny, panie O'Brien.

- Ale podatki...

- Proszę to załatwić, panie O'Brien, albo znajdę kogoś innego, kto z przyjemnością wystawi Skarbcowi te przyjemne rachunki za porady prawne. Co do premii i podwyżek - chcę, żeby weszły w życie od razu. A kiedy mówię „od razu”, to mam na myśli „od razu”. Czyli natychmiast.

Władza upaja, pomyślała Olivia. Była z siebie bardzo zadowolona. Osunęła się na leżak, grzejąc się w złotych promieniach słońca. Wkrótce zasnęła, a śniły jej się suknie ślubne i koronkowe welony.

O czwartej rozpętało się istne pandemonium. Zadzwonił dzwonek - to klient umówiony na czwartą - i jednocześnie odezwał się telefon, który leżał obok niej. Biegając do drzwi, odebrała telefon. Dzwonił Jeff, bardzo zdenerwowany. Instynktownie domyśliła się, że chodzi o Cecila. Psy oszalały, kiedy w drzwiach atelier stanęła rodzina golden retrrieverów z właścicielem. Będzie zabawa.

- Zaczekaj chwilę, Jeff- powiedziała Olivia. Zawiesiła połączenie i wsadziła telefon do kieszeni dżinsów.

- Panie Donovan, w samą porę. Och, przyprowadził pan Sonię, Stasha i szczeniaczki! Zapraszam do studia, tam może pan ubrać psy, w co pan chce. Przepraszam, muszę załatwić piIną sprawę, ale to długo nie potrwa. Na półce znajdzie pan kosz z przysmakami dla psów, może pan śmiało brać.

Z bijącym sercem przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Co się stało? Coś nie tak?

- Oliwio, lepiej usiądź, zanim ci powiem. Siedzisz?

- Siedzę. O co chodzi, Jeff?

- Właśnie wracam od szefa. Wezwał mnie do siebie. Podobno znaleźli kuzyna Lillian Manning, jakaś dwudziesta siódma woda po kisielu. Przyjedzie tu, kiedy tylko mój szef wyśle mu pieniądze na naprawę harleya. Ma się wprowadzić do domu Lillian Manning i przejąć opiekę nad Cecilem. To chyba jeden z tych fanatyków motocykli, których pokazują w telewizji.

Olivia aż się zapowietrzyła.

- Ale... ale... Przecież Lillian wyznaczyła ciebie na opiekuna Cecila. Chciała, żebyś to ty nim się zajął. Taki jest zapis w jej testamencie. Nie mogą tego zmienić. Będziesz to wyjaśniał, prawda? Powiedz im, że chcesz jakiś dowód na to, że on rzeczywiście jest krewnym pani Manning.

- Jeśli się okaże, że tak, pójdę na bruk. Lillian wyznaczyła mnie, bo nie wiedziała, że ma jeszcze jakąś rodzinę. Jeżeli zostaną bez pracy, Olivio, nie będziemy mogli się pobrać. A co gorsza, stracimy Cecila. To nasi prawnicy znaleźli tego gościa, on wcale się o to nie starał. Nawet nie wiedział, kim była Lillian Manning. Z tego, co wiem, to leser, nie ma stałej pracy, obija się, od czasu do czasu złapie jakąś robotę. Dużo pije, a jeszcze więcej śpi. Dwa razy siedział za posiadanie narkotyków. Raport z dochodzenia mówi, że ma siedmioro dzieci z siedmioma różnymi kobietami i nie płaci alimentów. Sporo czasu spędza za kratkami, ale akurat teraz jest na wolności. A w ogóle to ma tylko dwadzieścia trzy lata. I komuś takiemu oni chcą oddać Cecila! - Jeff aż dławiał się ze złości.

Olivia nie mogła złapać tchu. Nie będzie Cecila i nie będzie ślubu. Nieszczęścia chodzą parami. Ale nie tym razem! Póki ona ma tu coś do powiedzenia, nic takiego się nie stanie.

- Niemożliwe, żeby ktoś taki miał dostać Cecila! Pójdziemy z tym do telewizji i do prasy. Słuchaj, Jeff, w studio czeka na sesję cała psia rodzina, więc na razie muszę kończyć. Przyjedziesz wieczorem? Pogadamy o tym i obmyślimy jakiś plan.

- A jak myślisz? Już jestem w połowie drogi do ciebie. Wyszedłem. Zaraz po rozmowie z szefem. Do zobaczenia niedługo.

Olivia schyliła się i podniosła oba yorczyki. Przytuliła je mocno. Później przysięgała Jeffowi, że wiedziały, co się dzieje, bo ich małe serduszka łomotały potrójnie szybko.

- No, już, już dobrze - uspokajała je. - Nigdzie się stąd nie ruszacie. Żaden głupi motocyklista nie dostanie was w swoje tłuste łapska.

Zaniosła pieski do studia i dała wszystkim po przysmaku, żeby przestały szaleć. Myślami błądziła daleko, ale to jej nie przeszkadzało w fotografowaniu pary pięknych retrieverów i ich rozbrykanych szczeniaków.

Godzinę później Olivia wciąż jeszcze miała w ręku aparat. Robiła właśnie zdjęcia szczeniakom, dokazującym z kłębkim czerwonej włóczki. Właściciel psów zaśmiewał się do łez. Najgrubszy szczeniak ugryzł małego w ucho, a ten w odwecie capnął ciemnego za ogon. Wszystkie były beznadziejnie zamotane w zwoje włóczki. Sonia i Stash szczekaniem i warczeniem usiłowali doprowadzić potomstwo do porządku. Kiedy to nie podziało, psia mama postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce - czy raczej zęby - i chwyciła w pysk najgrubszego, przeszła z nim przez studio i posadziła szczeniaczka na podłodze obok butów właściciela. Ojciec wziął w zęby najmniejszego, zostawił go na stołku i szczeknął krótko, jakby chciał powiedzieć: „Siedź spokojnie”. Ten ciemny rozejrzał się dookoła, próbując się wyplątać. Kiedy mu się nie udawało, rozłożył się na podłodze i zasnął wśród zwojów włóczki. O! i via zaśmiała się razem z właścicielem.

- To wszystko, panie Donovan. Zadzwońnię za jakiś tydzień, kiedy będą gotowe odbitki.

- Dzięki nim jestem ciągle młody, no i śmiechu mam co niemiara - powiedział starszy pan. - Świetni z nich kompani. Zostawiam sobie wszystkie trzy szczeniaki! Na łóżku będzie może trochę ciasno, ale co tam! W moim wieku człowiek już nie potrzebuje tyle snu.

- I tak trzymać, panie Donovan.

Znów dała wszystkim po przysmaku, podrapała za uszami dorosłe psy, i wreszcie zamknęła za nimi drzwi. Pobieгла do kuchni, gdzie zastała już Jeffa. Stał pod oknem, a kiedy się odwrócił, zobaczyła, że trzyma na rękach Cecila i Loopy'ego. W oczach błyszczały mu łzy.

Olivię też zapiekły oczy.

- Zrobimy z tym porządek, Jeff. Jeśli będzie trzeba, wydam ostatniego centa z majątku Allison Matthews, żebyś mógł zatrzymać Cecila. Ten pomyleniec nie dostanie naszego Cecila, ja nie żartuję, Jeff!

Rozdział 23

Jeff przytulał do piersi dwa yorki, idąc za Olivią do salonu. Cicho wirowały śmigła wiatraka, a popołudniowe słońce kładło ukośne plamy światła na drewnianej podłodze. Olivia zdała sobie sprawę, że Jeff tak się przejmuje psami, że nawet nie zwrócił uwagi na świeże kwiaty, które dziś wstawiła do wazonów. W ogóle na nic nie zwracał uwagi, nawet na nią.

- Jeff, najważniejsze to przejąć kontrolę nad sytuacją. Musimy iść z tym do prasy i do jakiejś telewizji lokalnej, tu w Winchesterze. Większe stacje i serwis Associated Press natychmiast to podłapią. Cecil jest znany w mediach. Zaprezentujemy twój wizerunek - jesteś wspaniałym młodym człowiekiem i cudownie się nim opiekujesz. Jesteś odpowiedzialny, można na tobie polegać, masz dobrą pracę. Zapomnij o tym, że ludzie nienawidzą prawników. Zrobimy sobie sesję zdjęciową z psami, żeby wszyscy się przekonali, jak Cecilowi z nami dobrze. A potem, gdy przyjedzie ten koleś z motocyklem, zrobimy mu zdjęcie i damy obok wyciąg z kartoteki policyjnej.

Zadzwonimy do Towarzystwa Opieki Nad Zwierzętami i do wszystkich możliwych organizacji ochrony zwierząt. Prasa to podchwyci, a ludzie będą musieli za kimś się opowiedzieć. Twoja firma na pewno nie zyska, jeśli poprą tego wyrzutka. Uważam, że powinieneś pójść jutro do szefa i powiedzieć mu bez ogródek, co myślisz. Postaw sprawę jasno: nie oddasz Cecila, i kropka. Przeżył już stres po śmierci pani Manning, a jeśli ci go teraz zabiorą nie zniesie rozłąki. Nie będziemy ukrywać przed prasą moich związków z Adrianną Ames. Kiedy zobaczą że za Cecilem stoją takie pieniądze, może zmiękną. Psiaki zapiszczały, bo Jeff za mocno je ścisnął.

- Okej. To mi się podoba. Ale, Olivio, skąd będziemy wiedzieć, który z nich to Cecil?

- Jeff, ja wiem, który to - odpowiedziała cicho Olivia. Wyciągnęła rękę do psa, który piszczał najgłośniejsze. - To jest Cecil. On wszystko rozumie i dobrze wie, co się dzieje. Kiedy zadzwoniłaś wcześniej, od razu wiedział, że szykują się kłopoty. Mówiłam ci, że psy są sprytny, a ten mały to król spryciarzy. Zrobiłam mu czerwoną kropkę markerem na ogonku, gdy byliśmy jeszcze w atelier. To jest Cecil. - Podniosła

go, żeby Jeff mógł się przyjrzeć. I bez dwóch zdań - Olivia przytknęła swój nos do psiego noska - zostaje tu z nami i całą resztą. Koniec'.

Cecil obdarzył Olivie spojrzeniem pełnym uwielbienia. Szczeknął krótko i polizal ją po brodzie.

- Widzisz? On wszystko rozumie i ufa nam. Nie możemy go zawieść. Ale trzeba działać szybko.

Psiak zaczął się wiercić w jej objęciach, więc postawiła go na ziemi. Dołączył do reszty i gromadka już zaczęła dokazywać, korzystając z tego, że akurat nikt ich nie pilnuje. Jeff potarł ręką zarost na brodzie.

- Możemy zrobić tak, jak mówisz, Olivio, ale wywalą mnie z pracy, na sto procent. W mojej firmie takie wybryki nie przejdą. Jeszcze nigdy nikt mnie nie zwolnił. - Głos miał tak ponury, że Olivia aż się wzdrygnęła.

- No, to cię wywalą. Ale za to będziesz sławny! Inne firmy będą się ustawiać w kolejce, żeby cię zatrudnić, bo pokażesz wszystkim, że masz niezłomne zasady. Zobaczysz, znajdziesz dzięki temu lepszą pracę. W najgorszym wypadku otworzysz swoją kancelarię tu, w Winchesterze. W mieście przyda się na pewno jeszcze jeden prawnik. Nie zapominaj, że prawa zwierząt to esencja Ameryki - tak samo jak szarlotka i hot dogi. Mówię ci, to poruszy tłumy!

- Od kiedy to jesteś taka cwana, co? - Jeff zaśmiał się.

- Źle myślisz, ja po prostu chcę za ciebie wyjść. Czy to znaczy, że jestem cwana? A poza tym, kocham Cecila. Nie oddamy go nikomu. Pieniądze Adrianny Ames może wreszcie się na coś przydadzą. Chodź, napijemy się po kieliszku wina, a ty mi opowiedz wszystko, co wiesz o Lillian Manning. Wszyściutko, nawet to, co ci się wydaje zupełnie bez znaczenia. Jutro z samego rana rusza operacja „Cecil”. Już mam kilka pomysłów - plan A i plan B, no i oczywiście plan C, jeśli coś nie wypali.

Jeff uniósł brwi i wybuchnął śmiechem.

- Zapamiętam, żeby nigdy ci się nie narazić. Przebiegła z ciebie kobieta, Olivio Lowell, i za to cię kocham!

A co do Lillian Manning - nalegała, żeby jej mówić po imieniu, bo to ją odmładza. Nie była tak bogata, jak piszą w gazetach. Zostawiła wszystko Cecilowi - nawet nie

przypuszczała, że może mieć jeszcze jakąś rodzinę. Ale ja sprawdzałem. Nie trafiliśmy wtedy na tego gościa. Możliwe, że to czyjś niesłubny syn. Gdyby Lillian o nim wiedziała, na pewno uwzględniłaby go w testamencie. To w tej chwili nasz jedyny problem. A, nie, jeszcze jedno. Ambrose Martindale był przyjacielem Lillian Manning i przez lata jej prawnikiem, póki nie zażądała „świeżej krwi”; wtedy ja przejąłem po nim sprawę Lillian i spisałem jej testament. Z miejsca bardzo się polubiliśmy.

Ale do rzeczy. Ogółem miała nieco ponad pięć milionów dolarów, a nie sto pięćdziesiąt, jak pisali w gazetach. W każdym razie, to i tak aż za dużo dla Cecila, do końca jego dni. Jest osobny fundusz na pensję dla kogoś, kto będzie mu gotował i sprzątał - przez dwanaście lat. Podatki za ziemię i wszelkie domowe opłaty są już pokryte na najbliższe dwanaście lat. Oczywiście, jeżeli podatki wzrosną trzeba będzie dołożyć pieniędzy z głównego konta. Otworzyła jakieś sześć czy siedem różnych rachunków, żeby płacić za utrzymanie domu, ogrodu, samochodu i tak dalej. Na tych kontach nie ma wielkich pieniędzy, ale wystarczy na wszystkie opłaty. Jest nawet rachunek przeznaczony dla mnie jako opiekuna Cecila. Nie tknąłem z tych pieniędzy ani centa. Nie mogłem. Uważałem, że nie nadaję się do opieki nad psem, traktowałem to raczej jako przysługę dla niej, a nie jako pracę. Lillian wszystko zaplanowała. Mówiła, że nie chce ryzykować. Zgodnie z jej wolą - przy okazji, to ja spisywałem testament - kiedy Cecil... kiedy Cecila już nie będzie, reszta majątku ma przypaść różnym organizacjom, zajmującym się ochroną zwierząt. To do nich musimy dotrzeć, żeby złożyli protest, jeśli chcą w przyszłości coś zyskać. To ja jestem wykonawcą testamentu.

Mówiłem ci kiedyś, że wszystkie zdjęcia Cecila, jakie kiedykolwiek zrobiłaś, miała na ścianie w sypialni? Nie zdziwiło cię nigdy, po co jej tyle zdjęć?

- Nie, nigdy o tym nie pomyślałam. Wiem tylko, że naprawdę kochała tego pieska. Tak się cieszyła, kiedy w zeszłym roku trafił do kalendarza na stronę z czerwcem. Uściskała mnie. Powiedziała, że kocha Cecila bardziej, niż kochała swoich dwóch mężów. Obie się z tego uśmiałyśmy. Miała niesamowite poczucie humoru. Bardzo ją lubiłam.

Jeff znowu się roześmiał.

- Tak, mnie też coś takiego mówiła. No, dobra, co teraz? Właśnie, co teraz?

- Zadzwoń do mojej przyjaciółki z dzieciństwa, która jest reporterką w „Winchester Star”, i umówię się z nią na jutro. Dobrze by było zaistnieć w prasie, zanim cię zwolnią. Pójdę dzwonić, a ty przynieś wina.

Z kieliszkiem wina w rękę i psami u boku, Olivia i Jeff kalkulowali i planowali. Odrzucili knucie i spiskowanie, doszli do wniosku, że najlepiej wystrzelić od razu z grubej rury.

Dee Dee Pepper, znana w Winchesterze gwiazda reportaży i kamery, zjawiała się pod numerem 509 na Eagle Drive o szóstej rano. Przyjechała na jaskrawoczerwonym skuterze, bijącym w oczy równie mocno jak płomiennie rude włosy, które pasów aby idealnie do piegowatej twarzy. Zeskoczyła z siodełka, przerzuciła aparat przez ramię i pomaszerowała do drzwi, gdzie czekali już Jeff i Olivia. Uściskały się na powitanie, wymienily nowinki, i już można było przystąpić do rzeczy.

- Cholera! - powiedziała reporterka, kiedy Olivia skończyła swoją opowieść. - Musimy działać naprawdę szybko, jeśli to ma się znaleźć w jutrzejszych gazetach. I będziesz musiała mi zaufać, Ollie. Hej - syknęła konspiracyjnie. - Niezłe ciacho ci się trafiło. Ma może jakiegoś kolegę na zbyciu?

- Nie wiem. - Olivia zaśmiała się. - Na pewno zapytam. A teraz chcę mu dać buzi na do widzenia, więc nie patrz.

Dee Dee wyszczerzyła zęby w uśmiechu i odwróciła głowę. Psy polubiły tę roześmianą dziewczynę w glanach, która wariowała z nimi po podwórzu i trzaskała zdjęciem za zdjęciem.

- Żeby piesek był szczęśliwy, musi mieć zieloną trawkę i krzaczek, żeby go obsikać, i inne pieski, żeby się z nimi bawić - paplała Dee Dee, a jej nikon ciągle pracował. Strzeliła właśnie fotkę Cecilowi, który wykopał kość spod krzaka azalii i z dumą złożył u jej stóp.

Cała sesja zdjęciowa zajęła raptem dwadzieścia trzy minuty, po czym Dee Dee wepchnęła aparat do pokrowca.

- Mam zdjęcia Jeffa, przytulającego Cecila, i teraz wszystkich psów razem - w sumie naprawdę niezły materiał. Muszę je rzucić na komputer i obrobić, a potem napiszę artykuł. Skoro zależy nam na czasie, będziesz musiała mi zaufać - puszcza to

bez twojej autoryzacji. Mogę ci go przefaksować, ale już po fakcie. W porządku, Ollie?

- Jasne. Tylko się postaraj, okej? A jak to dostarczymy do „Washington Post” i „USA Today”?

Dee Dee się roześmiała.

- Nie zapominaj, z kim rozmawiasz. Jeśli będzie trzeba, w zębach im materiał zaniosę. Jutro to puszcza, bez obaw. Ale masz u mnie dług, Ollie. Poproś swojego przystojniaka, żeby tu przywiózł jakiegoś kolegę. Stan paniński już mi się znudził. Teraz marzy mi się mały biały domek z ogródkiem. Wiesz, jak jest - zegar biologiczny tyka. Kurde, co za facet. Nieźle, Ollie.

Olivia cofnęła się o krok. Jej przyjaciółka, po prostu rudy tajfun, śmignęła przez drzwi i podwórko, wskoczyła na skuter i odjechała. Sprawa na pewno trafiła w dobre ręce.

A to wszystko, zanim jeszcze Olivia zdążyła wypić poranną kawę. Zacisnęła kciuki na szczęście, jak mała dziewczynka. Podniosła Cecila, sprawdziła, czy to rzeczywiście on, i poszeptła mu coś do ucha. Uszczęśliwiony psiak zaszczekał pisliwie. Postawiła go z powrotem na ziemi.

Przez chwilę bawiła się z psami, a potem nastawiła kawę. Czekaając, aż się zaparzy, zerknęła na zegar. Jeff już jest w biurze. Ciekawe, czy właśnie rozmawia z szefem, czy dopiero zbiera się na odwagę? Trzymała kciuki za powodzenie narzeczonego, żeby nie stracił pracy, choć wiedziała, że to życzenie raczej nie ma szans się spełnić. Pozytywne myślenie, powtarzała sobie. Grunt, to pozytywne myślenie.

Jeff poprawił krawat, przyglądził zwichrzoną czuprynę i poruszał ramionami pod marynarką żeby lepiej się ułożyła. Pora stawić czoło lwu w jego legowisku. Ambrose Martindale faktycznie umiał zaryczeć jak lew. No i dobrze, ja też potrafię ryknąć, pomyślał Jeff, kiedy przed oczyma przemknął mu obraz Cecila dokazującego na podwórku.

Rozejrzał się po swoim pokoju - prawie wszystko już zdążył spakować. Niewiele zostało: zdjęcia rodziny, zestaw do golenia, szczoteczka do zębów i pasta wybielająca, cążki do paznokci. Terminarz i aktówkę, którą dostał od rodziców na zakończenie

studiów, teraz pełną dokumentów wydrukowanych z komputera, włożył już do bagażnika.

W drzwiach pomyślał jeszcze, że może zrobił błąd, nie dzwoniąc do asystentki Martindale'a, żeby go umówiła na spotkanie. Cóż, za późno. Wjechał windą na ostatnie piętro wieżowca, gdzie panował niepodzielnie Ambrose Martindale.

Sekretarka w średnim wieku, ubrana w brzoskwiniowy kostiumik, wyglądała, jakby i ona potrafiła nieźle zaryczeć. Siedziała sztywno za wypolerowanym biurkiem, na którym stały jedynie komputer i telefon. Podniosła na niego wzrok znad monitora i zmarszczyła brwi.

- Słucham?

- Nazywam się Jeff Bannerman, pracuję na szóstym piętrze i jestem prawnym opiekunem Cecila. Chcę rozmawiać z panem Martindale'em. W tej chwili.

- Nie pan jeden chce rozmawiać z panem Martindale'em. Niestety, dziś to niemożliwe. Każda minuta jego czasu jest starannie zaplanowana, a pańskie nazwisko nie figuruje przy żadnej z nich.

- To wielka szkoda - stwierdził Jeff. - W takim razie, proszę mu powtórzyć, że nie mam zamiaru oddać Cecila jakiemuś podejrzanemu krewnemu Lillian Manning. Lillian chciała, żebym to ja zajmował się psem i to właśnie zamierzam robić. Jeśli pan Martindale będzie chciał mnie poznać, proszę uprzejmie, ale niech mu pani przekaze, że zrobię wszystko, żeby zatrzymać Cecila. Aha, jeszcze jedno. Niech mu pani powie, że odchodzę!

Obrócił się na pięcie, ale zdążył jeszcze zauważyć, że sekretarce opadła szczeka. Mrugała gwałtownie, próbując nadążyć za tym, co właśnie powiedział i zapamiętać, co ma powtórzyć szefowi.

Jeff był już przy drzwiach, kiedy wreszcie odzyskała mowę.

- Czy dobrze zrozumiałam, że odchodzi pan z powodu jakiegoś psa?

- To nie jest, jakiś pies", Cecil to pies, który odziedziczył majątek Lillian Manning. A ja jestem jego opiekunem.

Wyszedł i głośno zatrzasnął za sobą drzwi. No, cóż - zawsze lepiej odejść samemu niż zostać wyrzuconym. Teraz chyba powinien szybko napisać podanie o zwolnienie z pracy i zanieść je do kadr. A co, do diabła, tak właśnie robi. I to z prawdziwą przyjemnością.

Odszedł z pracy, i to się liczy. Nie wyrzucili go.

Winda zatrzymała się na szóstym piętrze. Jeff pobiegł do gabinetu sekretarki, która oprócz niego obsługiwała jeszcze trzech innych prawników na tym samym piętrze.

- Napisz mi podanie o zwolnienie i wydrukuj, żebym mógł je od razu podpisać i zanieść do kadr, kiedy będę wychodził. Tylko raz dwa, Hillary - już nie mogę się doczekać, żeby to wszystko rzucić w diabły.

Nagle zdał sobie sprawę, że tak rzeczywiście jest. Naprawdę nie mógł się doczekać chwili, kiedy już nic go nie będzie trzymać w tym budynku ze stali i szkła, z klimatyzowanym powietrzem i sztucznymi kwiatkami. Myśl o własnej kancelarii z każdą chwilą stawała się bardziej kusząca. Sam będzie sobie szefem. Jakieś małe biuro w Winchesterze. Jego klientami będą sąsiedzi i przyjaciele. Stanie się członkiem lokalnej społeczności. Tak, coraz bardziej mu się to podobało.

Był jak nabazgrał swój podpis, kiedy tylko drukarka wypuła jego podanie. Z kartką w ręku poszedł do swojego gabinetu, gdzie w drzwiach zastał postawnego mężczyznę w garniturze za tysiąc dolarów.

Ambrose Martindale. A więc Jeff pofatygował się do jamy lwiatka.

- Przepraszam pana. - Jeff przecisnął się obok onieśmielającej, wysokiej postaci. Złote spinki do mankietów, też coś!

- Ambrose Martindale. - Mężczyzna wyciągnął rękę, ale Jeff kompletnie go zignorował. - Czy to pan Jeff Bannerman? Wczoraj rozmawialiśmy przez telefon. Kiedy skończyliśmy rozmowę, miałem wrażenie, że gramy w tej samej drużynie.

- Tak, proszę pana, to ja jestem Jeff Bannerman. Jak pan widzi, w życiu nigdy nie należy zbyt ulegać wrażeniom i złudzeniom, sam się o tym ostatnio przekonałem. - Mówiąc to, Jeff wsadził pod ramię pudełko z osobistymi drobiazgami. - Proszę! - Podał swoją rezygnację prezesowi. - Równie dobrze mogę to dać panu, oszczędzę sobie drogi do kadr. -I już był za drzwiami, kierując się do windy.

- Chwileczkę, młodzieńcze! Chcę z panem porozmawiać! Jeff nawet się nie odwrócił.

- Pana sekretarka powiedziała mi, że każda minuta pańskiego czasu jest starannie zaplanowana - zawołał przez ramię - i że moje nazwisko nie figuruje przy żadnej z nich. Spiesz mi się. A przy okazji, już tu nie pracuję. Zwalniam się. Właśnie pan trzyma moją rezygnację z pracy.

Dotarł do windy, nacisnął guzik ze strzałką w dół i czekał. Garnitur za tysiąc dolarów wreszcie go dogonił. Stalowszare oczy błysnęły groźnie.

- Chcę z panem porozmawiać, młody człowieku. Nie będę tolerować takiego zachowania. Przyjaźniłem się z Lillian Manning przez wiele lat. Nie pozwolę, żeby zamienił pan to całe... zamieszanie w jakiś cyrk! Więc jak?

- Myślę, panie Martindale, że wczoraj powiedział pan już wszystko, co miał pan do powiedzenia. Dziś kolej na mnie. Nie oddam Cecila jakiemuś naćpanemu kryminaliście, który nawet nie znał Lillian Manning. Jej testament mówi jasno, że to ja mam się opiekować psem. Nie chcę pieniędzy, do tej pory nie wziąłem za to ani centa. Jeśli chce mnie pan pozwać, to śmiało, ale niech się pan szykuje na twardą walkę, bo ja jestem gotów walczyć z tą firmą do końca świata, a z panem - o jeden dzień dłużej. Szkoda, że nie mogę powiedzieć, że praca dla pana to była przyjemność, bo nie była, panie Martindale.

Otworzyły się drzwi windy i Jeff odsunął się na bok, żeby przepuścić trzech prawników, których znał z widzenia. Wsiadł do windy, a za jego plecami rozległ się ryk lwa.

- Wracaj tu, Bannerman!

- Chciałbyś, Martindale. Chciałbyś! - mruknął sam do siebie, kiedy winda zjeżdżała na parter.

Rozdział 24

Olivia wskoczyła do samochodu i podjechała na Valley Road do apteki Gaunta, gdzie kupiła kartę telefoniczną. Nie wiedziała dlaczego, ale za każdym razem, kiedy wchodziła do tego sklepu, miała przed oczami postać Patsy Cline, piosenkarki, która kiedyś obsługiwała tu automat z wodą sodową. Automatu już wprawdzie nie było, ale na szybie wisiało zdjęcie Patsy wycięte z gazety.

Wsadziła kartę do kieszeni, pomachała właścicielowi, Haroldowi Madiganowi, i udała się na poszukiwanie najbliższej budki telefonicznej. Stamtąd zadzwoniła w dwa miejsca. Najpierw do lokalnej stacji telewizyjnej. Opowiedziała im historię Cecila i podała numer do Jeffa na komórkę, gdyby chcieli potwierdzenia informacji. W Winchesterze nic ciekawego akurat się nie działo, więc stacja na pewno puści takiego newsa. Potem zadzwoniła do WINC, lokalnej rozgłośni radiowej, gdzie powtórzyła całą historię i też podała numer komórki Jeffa.

Bardzo z siebie zadowolona, wróciła do samochodu i pojechała na South Pleasant Valley Road, żeby w spożywczym u Martina zrobić zapasy do spiżarki i zamrażalnika. Właśnie wkładała kluczyk do stacyjki, kiedy zadzwoniła komórka.

- Jeff! - zawołała z radością w głosie. - Co słychać? Jak ci poszło? Opowiadaj! Wylali cię?

- Nie, nie wylali! Sam się zwolniłem, Olivio! Rzuciłem pracę! Byłem od nich szybszy. Jestem bezrobotny! I co, nadal mnie chcesz?

- Też pytanie! - Olivia roześmiała się. - A czy potrzebuję powietrza, żeby oddychać? Pewnie, że nadal chcę za ciebie wyjść, i nawet nie myśl o przekładaniu ślubu. Jak było?

- Słuchaj, mam drugie połączenie, ale właśnie wracam do Winchesteru. Pogadamy później. Kocham cię!

Rozłączył się, zanim Olivia zdążyła odpowiedzieć, że też go kocha. Uśmiechnęła się. Ach, jak to cudownie być zakochaną. Rozpromieniona, wyjeżdżając z parkingu machała po drodze sąsiadom i znajomym.

Spojrzała na zegarek. Musi się sprężyć, o jedenastej ma przyjść na sesję zdjęciową sznaucerka o imieniu Annabell - rozbistwiona i krnąbrna, gryzła każdego, kto się nawinął. Jasne, że jej właścicielka, pani Collins, w ogóle nad nią nie panuje. Annabell cierpiała też na nietrzymanie moczu. Słowem, ich wizyta nie wzbudzała w Olivii

entuzjazmu. W dodatku pani Collins zawsze chciała być obecna przy sesjach, żeby móc „wnieść twórczy wkład”.

Dotarła do domu punktualnie o jedenastej, wrzuciła do lodówki wszystko, co mogłoby się zepsuć i pobiegła zaprowadzić do atelier kłapiącą zębami Annabell.

Jej pani oświadczyła, że dziś nie może zostać w studiu, bo ma umówioną wizytę u fryzjera.

- Jakby co, jestem w Nowoczesnych Fryzurach. Olivia pokiwała głową; ulżyło jej, że nie będzie musiała użerać się z tą arogancką kobietą. Wystarczy jej rozwydrzona psica.

Kiedy tylko za panią Collins zamknęły się drzwi, Annabell wskoczyła na ławeczkę i popatrzyła na Olivię, tak jakby chciała jej powiedzieć: bierzmy się do roboty. Olivia sięgnęła po aparat, ustawiła ostrość i zaczęła cykać. Annabell przeciągała się, ziewała, przekręcała głowę na bok, najpierw lewym profilem, potem prawym. Olivia cykała zdjęcia z prędkością światła, mrucząc do siebie.

- Ale z ciebie aktorka. Tak trzymaj, a trafisz na wrześnieową stronę w kalendarzu. No, dalej, dalej, pokaż nogę! - Annabell posłusznie wyciągnęła łapę i skromnie spuściła oczy. - Świetnie, mała! Dobra jest! Teraz uśmiech! - Annabell pokazała zęby. Olivia tak się śmiała, że aż ją brzuch rozboleł.

Kiedy suczka miała już dosyć ławeczki, zeskoczyła na ziemię i podbiegła do czerwonego wózka. Usiadła w środku i znowu zaczęła pozować, odwracając się to w jedną, to w drugą stronę. Olivia zaśmiewała się do łez. Kiedy Annabell znudził się wózek, wyskoczyła z niego i pobiegła do konia na biegunach. Wzięła mały rozbieg i wskoczyła na skórzane siodło. Złapała w zęby lejce. Gdy koń zaczął się bujać, Olivia siadła na podłodze, przechylając obiektyw, i nie przestawała się śmiać.

- Brawo, Annabell! Tak, wrzesień zdecydowanie należy do ciebie. A skoro byłaś taka grzeczna, to masz tu coś do żucia.

Ciągle jeszcze siedziała na podłodze i śmiała się, kiedy Jeff wszedł do studia. Włosy mu sterczały, marynarkę przewiesił sobie przez ramię, krawat miał przekrzywiony. Wyglądał jak człowiek z buszu, co u Olivii wywołało nowy przypływ wesołości. Annabell z przysmakiem w zębach umknęła do innych psów.

- Wiesz co, Jeff? Tamten pies nie cierpi swojej pani.
- Szkoda. Musi być strasznie nieszczęśliwy. Gdzie on poleciał?

- To nie on, to ona. Nazywa się Annabell. Kiedy jest ze swoją panią, zachowuje się koszmarnie. Ale gdy kobieta wyszła, zrobiła się zupełnie normalna. Pozowała jak zawodowa modelka. Dopiero przed chwilą pobiegła się bawić z innymi.

Jeff pokiwał głową, jakby doskonale ją rozumiał, a przecież na pewno myślał zupełnie o czym innym.

- No, opowiadaj - zachęciła go Olivia.

- Więc, po pierwsze, nie pomyślałem, żeby się wcześniej umówić na rozmowę z Martindale'em. Asystentka oznajmiła mi, że każda minuta jego czasu jest starannie zaplanowana, a moje nazwisko przy żadnej nie figuruje. Wobec tego zostawiłem mu krótką wiadomość i powiedziałem, że odchodzę z pracy. Zwolniłem się, Olivio, nie dałem im szansy, żeby mnie wyrzucili. Wiedziałem, że chcę rzucić pracę, więc zanim poszedłem do jaskini lwa, już miałem wszystko popakowane. Nawet wydrukowałem sobie wszystkie osobiste pliki ze swojego komputera i zaniósłem aktówkę i terminarz do samochodu. Tak wszyscy na niego mówią: lew. A on chyba o tym wie i bardzo jest z siebie zadowolony. Hillary wydrukowała mi podanie o zwolnienie i właśnie miałem je zanieść do kadr, gdy Martindale złapał mnie w drzwiach mojego pokoju. Nie chciałem z nim gadać. Wyobraź sobie, że on nawet nie bardzo kojarzył, kim ja jestem! Nie powiem, żeby mnie to podbudowało. No, ale raz kozie śmierć, pomyślałem, i poszedłem do windy. Rozmawiałem z nim przez ramię, nawet wcisnąłem mu swoją rezygnację i dzięki temu nie musiałem iść do kadr. Wszystko. Ach, powiedział mi jeszcze, że nie pozwoli, żebym to zamieszanie - tak właśnie określił - zamienił w jakiś cyrk. No więc nie mam już pracy, Olivio.

- Ale ja mam. Z głodu nie umrzemy. Chodź, zajmijmy się lepiej sprawą Cecila. Nie wspominałeś nic o radiu i telewizji. Nie dzwonili?

Jeff palnął się w czoło.

- Rany, całkiem zapomniałem ci o tym powiedzieć. Dzwonili, i z radia, i z telewizji. Puściłem im niezłą gadkę. Chyba są po naszej stronie. Czekał, daj mi dziesięć minut, tylko się przebiorę i już jestem cały twój.

Olivia wstała z podłogi, a Jeff nie tracił czasu - natychmiast ją pocałował.

- Idź już!- powiedziała bez tchu, zanim mu się wyrwała. - Właścicielka Annabell lada moment po nią przyjdzie, a ja mam tu jeszcze parę rzeczy do zrobienia, bo o pierwszej jestem umówiona z pewnym miłym foksterrierem. Możesz wnieść zakupy z samochodu i zrobić lunch. Ja już porządnie zgłodniałam.

Jeff skłonił się teatralnie i zanim zniknął spełniać rozkazy, posłał jej jeszcze całusa. Olivia zrobiła to samo z głośnym, soczystym cmoknięciem.

Niestety, zaraz humor jej się zwarzył, bo psy stłoczyły się w studiu na dźwięk podjeżdżającego samochodu właścicielki Annabell. Sznaucerka momentalnie zjeżyła sierść. Jej nowi przyjaciele zaczęli gorączkowo ujadać. Oliwii załomotało serce, kiedy zadzwonił dzwonek przy drzwiach do atelier. Otworzyła i do środka wparadowała pani Collins w nowej fryzurze, wyglądała jak miotła, w którą ktoś poutykał pióra.

Zawołała Annabell przymilnym głosem, a kiedy suka nie posłuchała, zaczęła wrzeszczeć, że zamknie ją w klatce na tydzień. Annabell cichcem przemknęła za stołkiem i ugryzła opiekunkę w łydkę. Pani Collins zawyla z bólu. Reszta psów z Cecillem na czele okrążyła ją, pokazując zęby. Collins ciągle wyła, próbowała złapać Annabell, która wymknęła się i właśnie usiłowała się wcisnąć pod czerwony wózek. Psina trzęsa się, więc Olivia podbiegła i wzięła ją na ręce.

- Niech mi ją pani poda - zaskrzeczała właścicielka. Kiedy wyciągnęła dłoń, Annabell warknęła i ugryzła ją w rękę.

Serce Oliwiibiło tak samo mocno jak psu trzymanemu na rękach. Co tu się, u diabła, dzieje? Co to za kobieta?

- No, nie wiem, pani Collins. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że pani znęca się nad nią. Mnie nie gryzie, jak pani widzi. I cała się trzęsie, to znaczy, że się pani boi. Coś mi się wydaje, że zadzwonię do Towarzystwa Opieki Nad Zwierzętami i dalej już z nimi będzie to pani załatwiać. Ale niech pani będzie świadoma, że jeśli złożę taką skargę, na pewno dowie się o tym prasa. Zanim do tego dojdzie, może po prostu pozwoli mi pani kupić Annabell?

- Kupić? Kupić? A niech ją pani bierze za darmo! Zrobiłam dla tego durnego psa, co tylko mogłam. Leje gdzie popadnie, ciągle muszę ją trzymać w klatce, bo zanieczyszcza cały dom. To mój mąż chciał mieć tę głupią psicę, nie ja. Wszystkich gryzie.

Same z nią problemy. Niech sobie pani nie zawraca głowy dzwonieniem do tego towarzystwa i niech pani nie myśli, że zapłacę za te zdjęcia. Proszę ją sobie wziąć! I niech mi pani nie próbuje wcisnąć jej z powrotem!

Olivia przytuliła sznaucerkę, nie przestając uspokajać jej głaskaniem. Suczka już się nie trzęsła, jakby rozumiała, że nie musi wracać do znieawidzonego domu.

- Jestem gotowa zapłacić pani za Annabell. To wspomniała suczka. Do jakiego weterynarza pani z nią chodzi?

- Niech pani zgadnie! - Kobieta zaśmiała się złośliwie i wyszła, trzaskając drzwiami. Psy rzuciły się za nią z ujadaniem, ale dobiegły do drzwi o sekundę za późno.

Jeff zajrzał do studia.

- Lunch na stole!

- Mamy nowego psa! - oznajmiła radośnie Olivia. - Od dziś Annabell mieszka z nami. Chyba jest głodna, Jeff. A propos, co jest na lunch?

- Kanapki z bekonem, pomidorem i sałatą. Dla psów zostało mnóstwo bekonu. Podgrzałem go w mikrofalówce, więc spokojnie można im dać. Tak jak kazałaś: dzięki temu ma mniej azotanów. Nie, no, super - psów nigdy za wiele. - Jeff podrapał Annabell za uszami. - Słodka jest.

Olivia wzięła go pod rękę, a psy ustawiły się rządkiem za nimi.

- Czuję się jak ten szcurołap z bajki - zachichotała.

Kiedy tylko usiedli do stołu, Cecil zaczął drapać łapą nogę Jeffa, a Annabell Olivii. Nie prosiły o jedzenie, chciały tylko na kolana. Olivia przygryzła wargę i kątem oka dostrzegła łzy w oczach Jeffa. Udała, że tego nie widzi.

- Annabel chyba zrozumiała, że z nami zostaje, nie uważasz? Jeff odchrząknął.

- Chyba tak. Przywiozłem ze sobą kopię testamentu Lillian. Alice i Loopy czekały, a Bea próbowała być lepsza, zawarczała.

Cecil i Annabell oczywiście dołączyły swój głos do jazgotu. Olivia i Jeff mogli w spokoju zjeść lunch.

Telefon zadzwonił w momencie, kiedy Olivia zgniatała w kulkę zużytą serwetkę. Sięgnęła po słuchawkę i usłyszała Miki Kenyan. Posłała Jeffowi porozumiewawcze spojrzenie.

- I co, dalej nie możecie jej znaleźć?

- Nie. Dosłownie jakby się pod ziemię zapadła. - Miki miała oczywiście na myśli Jill Laramie. - Na razie nic pani nie płaci, panno Lowell. Mamy szukać dalej, czy już sobie darować?

- W tej chwili jestem skłonna to sobie darować, Miki. Widać, że zaszyła się gdzieś na dobre. Jeśli zmienię zdanie, zadzwonię.

- Okej, skarbie, decyzja należy do pani. Ale mówię pani, to dopiero drugi taki wypadek w historii naszej agencji, kiedy nie udało nam się namierzyć poszukiwanego. Naprawdę niezła zawodniczka, trzeba przyznać. No, to wszystkiego dobrego i do usłyszenia. Olivia odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Jeffa. - Odezwała się agencja detektywistyczna. Miki dzwoni raz w tygodniu. Nadał nie znaleźli Jill Laramie, ale powiedziałam, że na razie sobie odpuszczam. Pan O'Brien ma zwrócić te pieniądze bankowi. Dziwne, że jeszcze nie dzwonił. Pewnie nie zdążył wysłać czeku. Ale przecież mówiłam, żeby to zrobił jak najszybciej. Jeff się roześmiał.

- Wiesz, jak to jest z nami, prawnikami: mamy własny rozkład jazdy. - Nagle wytrzeszczył na nią oczy. - Teraz dopiero do mnie dotarło. Nie mam pracy. A ja przecież zawsze miałem pracę, odkąd rozwoziłem gazety, jako jedenastoletni smarkacz.

- A może zatrudnię ciebie jako osobistego doradcę prawnego pani prezes Skarbca Adrianny? Tymczasowo, oczywiście, dopóki nie wymyślimy, co zrobić z firmą. Albo na stałe, jeśli będziesz zadowolony z pracy, no i z pensji. Potrzebuję w firmie kogoś, komu będę mogła ufać. Muszę mieć doradcę, więc czemu nie ciebie? Ostatnio zastanawiałam się, czy nie poprosić taty, ale wiem, że żadna suma by go do tego nie przekonała. Więc praca czeka, jeśli chcesz. To będzie prawdziwa praca, Jeff, a nie tylko coś, co sobie teraz wymyśliłam, żebyś nie był bezrobotny. Możemy część garażu przerobić na twoje biuro. I tak nie trzymam w nim samochodu, a zresztą to podwójny garaż, więc jest mnóstwo miejsca. Dziś coraz więcej ludzi pracuje, nie wychodząc z

domu. Od czego mamy technologię? Jeśli zajdzie potrzeba, będziesz musiał pojechać do głównej siedziby w Baltimore, i tyle. To jak, zastanowisz się przynajmniej?

- Zastanowię się. To znaczy, już się zastanowiłem. Biorę tę pracę! Na jego twarzy malowała się taka ulga, że Olivia nie mogła się nie

uśmiechnąć.

- W takim razie zostaje nam tylko ustalić wysokość pensji. Za ile zgodzisz się pracować?

Walczyli zaciekle o każdego dolara, oczywiście, tylko na żarty. Ostatecznie oboje uznali, że Jeff powinien dostać dwieście tysięcy rocznie, plus ubezpieczenie zdrowotne, polisę na życie na dwa miliony dolarów i fundusz emerytalny. Oficjalnie uścisnęli sobie ręce. A potem Jeff naprawdę przypieczętował umowę, całując swoją nową szefową.

Rozanielona Olivia w jedną rękę wzięła swoją komórkę, a drugą podała Jeffowi słuchawkę telefonu stacjonarnego.

- Musimy podzwonić po wszystkich organizacjach opieki nad zwierzętami, które Lillian uwzględniła w testamencie, i do tych, które będą dziedziczyć... w przyszłości. A potem chyba zabiorę cię na obiad do takiej knajpki na przedmieściu - podają tam boskie owoce morza. Na pewno ci się spodoba. Chcę uczcić to, iż miałam na tyle rozsądku, żeby cię zatrudnić. Aha, jeszcze jedno: nie masz przypadkiem jakiegoś kolegi, który chciałby się umówić z Dee Dee? Musi być co najmniej taki miły i przystojny jak ty.

- Holender, Olivio, uwielbiam robić z tobą interesy. Załatwione! Akurat znam kogoś takiego, nazywa się Tom Ethridge. Ma kancelarię w Berryville, ale mieszka tu. Umówimy ich na ten weekend.

Olivia klasnęła w ręce.

- Uwielbiam, kiedy wszystko układa się zgodnie z planem. Uwielbiam, uwielbiam, uwielbiam!

Następnego ranka Dee Dee własnoręcznie dostarczyła im świeżutkie wydanie „Winchester Star”. Dumna autorka promieniała. Olivia zaprowadziła ją do kuchni, gdzie Jeff właśnie smażył naleśniki.

- Załatwiliśmy ci randkę na sobotę - szepnęła przyjaciółce do ucha. - I co ty na to, moja droga? Jeff mówi, że facet jest przystojny, pracuje w Berryville, a mieszka w Winchesterze.

- Super! A teraz czytaj mój artykuł. Trafił na pierwszą stronę, lepiej już być nie może. Zanim wyszłam z redakcji, z firmy Jeffa dzwonił już cztery razy, a jest dopiero - Dee Dee zerknęła na zegarek - siódma piętnaście. Szef zadzwonił po Sally Blake, żeby pomogła odbierać telefony, bo na pewno będą się urywać. Dla Winchesteru to gorący temat. A co ważniejsze, puściliśmy go pierwsi. Dziękuję, Ollivio.

Jeff wyłączył palnik i usiadł z nimi przy stole. Dee Dee podała mu drugą gazetę. Aż gwizdnął, kiedy zaczął czytać artykuł.

- No, no. Masz gadane, panno Pepper. Czuję, że w mojej firmie robota papierkowa już wre. Założę się, że mają w sądzie swoich ludzi, którzy tylko czekają, żeby wnieść sprawę.

Spojrzały na niego przestraszone.

- Jaką sprawę? O co chodzi?

- Po pierwsze, mogę się założyć, że firma złoży wniosek, żeby mnie pozbawić praw do opieki nad Cecilem. A dalej już pójdzie samo. Przyjedzie tu ktoś z nakazem sądowym, żeby nam odebrać Cecila. Będą mówić, że chcemy go zatrzymać dla pieniędzy, chociaż ja, jako opiekun, nigdy nie wziąłem grosza.

- Po moim trupie! - zawołały jednocześnie Dee Dee i Olivia. Jeff nachylił się nad stołem.

- W takim razie, panno Pepper, potrzebny następny artykuł. O której możemy ci jeszcze podesłać nowe informacje? Dee Dee w podskokach zerwała się z krzesła. - O szóstej wieczorem. Sorry, że nie zostanę na naleśnikach, muszę już lecieć. Spokojnie, Ollie. Mam to pod kontrolą. Nikt nie zabierze Cecila. Jeśli będzie trzeba, zwołamy całe miasto, żeby tu przyszli protestować. A jeśli wy macie jakieś pomysły, to bierzcie się za nie, tylko nic mi nie mówcie.

Wojskowe buty z łomotem pobiegły do drzwi, a psy podjęły trop. Na do widzenia, zdopingowały Dee Dee głośnym ujadaniem.

- Naleśniki, raz - oświadczył Jeff, wracając do kuchenki. - Czeka nas cholernie ciężki dzień, Olivio. Musimy się trochę wzmocnić. Nie wiedział jeszcze, że miał stuprocentową rację.

Rozdział 25

Brzoskwiniowy wiosenny płaszczyk Jill Laramie załopotał w porannym wietrze. Energicznym krokiem maszerowała przez campus Ole Miss. Szła do biblioteki, gdzie codziennie rano czytała najnowszą prasę. Mogła zaprenumerować gazety albo czytać je w Internecie, ale wolała chodzić do biblioteki i udawać, że jest częścią akademickiego świata. Kilka razy obejrzała się przez ramię, żeby sprawdzić, czy ktoś jej nie śledzi. Uspokojona, przyspieszyła jeszcze kroku. Ostatnio nie czuła się bezpiecznie na ulicy.

To nie było życie. Stres i napięcie odbiły się nawet na jej wyglądzie. Wolała nie patrzeć w lustro, nie widzieć, jak wygląda, nie myśleć o tym, jak musi żyć. Coraz częściej zdarzało jej się wybuchać płaczem bez powodu.

Skinęła głową kilku osobom, które widywała codziennie. Alan Freeman, profesor zatrudniony na pół etatu na Ole Miss, już kilka razy zapraszał ją na kawę do Starbucks. Gdyby nie jej paranoja, z przyjemnością by się z nim spotkała. Wiedziała, że jest nią zainteresowany, proponował też wyjście na obiad, kiedyś nawet na koncert. Odrzucała wszystkie zaproszenia, podając idiotyczne wymówki, bo nie mogła przemóc strachu. Teraz tego żałowała. Ale cóż, tak to już z nią było: nie pozwalała nikomu zbliżyć się do siebie, bała się, że w jakimś momencie będzie musiała zniknąć. A jednak już lżejszym krokiem podeszła do stolika, przy którym zwykle czytała prasę. Zobaczyła, że profesor Freeman już tam siedzi, a przed nim leży egzemplarz „USA Today”.

Uśmiechnęła się ze szczerą sympatią. Szkoda, że nie spotkała tego człowieka przed wielu, wielu laty. Zanim... zanim w ogóle poznała Allison Matthews.

Alan Freeman wyglądał jak typowy roztargniony naukowiec. Zimą ubierał się w luźne tweedowe garnitury, a wiosną i latem - pogniecione ubrania z lnu. Miał mocno przerzedzone włosy i ostre rysy twarzy, ale ją urzekły jego oczy, jasne i pełne życia. Mówił łagodnie i cicho. Kiedy nie prowadził zajęć, palił fajkę, jak większość starszych wykładowców. Był wdowcem, wrócił na Ole Miss po śmierci żony, która cierpiała na raka jajników.

Alan pracował tylko na pół etatu, bo oprócz pracy naukowej miał jeszcze inne, liczne i bardzo różnorodne zainteresowania. Mieszkał w Oxfordzie, w uroczym, staroświeckim domu. Jednego wieczoru, kiedy już się ściemniało, pojechała obejrzeć ten dom. Zachwyciły ją stare dęby z brodami z mchu i pnący jaśmin, porastający żeliwne ogrodzenie o fantazyjnych kształtach. Sam budynek stał z dala od ulicy i tonął w krzewach azalii i gardenii. Po jednej stronie stało, niby strażnik, wspaniale wyrosnięte drzewo magnolii, wyższe niż dwupiętrowy dom. Alan mówił, że w czerwcu całe pokrywało się pachnącymi białymi kwiatami. Mówił też, że dom należał kiedyś do jego dziadka, potem do ojca, a teraz przeszedł na niego. Zaśmiał się - miał taki miły śmiech - i dodał, że dom jest w ciągłym remoncie, i że głównie dlatego pracuje tylko na pół etatu. Jill podejrzewała, że Alan Freeman jest naprawdę zamożny.

Ach, gdyby tak ona mogła mieszkać w takim domu, z kimś takim jak Alan Freeman, niczego by jej już chyba do szczęścia nie brakowało. Jednak dobrze wiedziała, że to marzenie nieziszczalne. Nie ma szans, z jej przeszłymi i obecnymi problemami. Ale fantazjować zawsze można.

Usiadła i uśmiechnęła się nieśmiało do mężczyzny po drugiej stronie stolika.

- Co nowego na świecie?

Alan zaśmiał się cicho i przesunął w jej stronę gazetę.

- Wyjątkowa historia. - Wskazał na zdjęcie w dolnej części pierwszej strony. - Bardzo poruszająca. Ciekaw jestem twojej opinii, Caroline, kiedy to przeczytasz. - Jill używała teraz nazwiska Caroline Summers.

Wytrzeszczyła oczy, bo przed nią leżało zdjęcie Olivii Lowell z małym pieskiem na rękach. Obok stał jakiś młody chłopak. Dobrze, że nie trzymała tej gazety w rękę, bo z wrażenia pewnie by ją upuściła.

Zacisnęła ręce na kolanach i przebiegła wzrokiem artykuł, wiedząc, że Alan czeka na jakiś komentarz. Miała nadzieję, że uda jej się coś z siebie wydusić.

- Hm. - Pokiwała przy tym głową, a oczy miała dziwnie błyszczące.

- Ja i moja żona mieliśmy kiedyś psa, którego bardzo kochaliśmy. Sophia - tak nazywała się nasza suczka - była dla nas jak córka, bo dzieci się nie dochowaliśmy. Kiedy po piętnastu latach zdechła, bardzo to przeżyliśmy. Żal, płacz, trwało to całymi tygodniami; nie mogliśmy się pozbierać. Dobrze rozumiem, co czują ci młodzi ludzie.

- Hm - powtórzyła Jill.

Czy to przypadek, że w tym konkretnym momencie swojego życia trafiła na ten konkretny artykuł? Osunęła się bezradnie na twarde, drewniane oparcie krzesła. Chyba już nigdy nie uwolni się od przeszłości.

- Domyślam się, że ciebie spotkało coś podobnego, widzę po twojej twarzy. Słuchaj, Caroiine, chodźmy na kawę do Starbucksa.

Ona miała tylko jedno pragnienie: uciec jak najdalej stąd. Zdrowy rozsądek mówił wprawdzie, że ten artykuł nie ma z nią nic wspólnego. Ale ten sam zdrowy rozsądek mówił, że nie ma dymu bez ognia. Reporterzy zaczną węszyć, a kiedy już odkryją że Olivia Lowell jest córką Adrianny Ames, jak po sznurku dojdą do Allison Matthews. Prędzej czy później, przeszłość znowu da o sobie znać. To pewne jak w banku. Nagle przeszedł ją dreszcz, jakiego do tej pory nigdy nie doświadczyła.

Podniosła torebkę. Pora znowu zniknąć. Zachciało jej się płakać, kiedy Alan wziął ją pod rękę. Zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy. Uśmiechnęła się. To nie fair, że musi z tego zrezygnować, choć jeszcze nawet nie była pewna, co ją łączy - albo dopiero może połączyć - z tym człowiekiem. Więc chociaż w ogóle nie miała ochoty na kawę, zgodziła się.

- Czemu nie.

Zachowuj się normalnie, upomniała siebie. Kawa u Starbucksa to normalne zachowanie. Nie myśl o Olivii Lowell i o tym artykule w gazecie. O Boże, ja nie chcę znowu uciekać. Nie mam na to siły. Przecież ja już jestem po sześćdziesiątce, jestem na to za stara. Dłużej nie dam rady.

Jill rozejrzała się po swoim mieszkaniu w parterowym budynku. Po tylu latach od skończenia studiów, dopiero tu poczuła się jak u siebie. Mieszkanie było przytulne i nowoczesnie umeblowane. Ściany pomalowała sama, na kolor, który nosił szumną nazwę „Mgła ponad górami”. Sprawiał, że pokoje wydawały się przestronniejsze. Gotowała w kuchni, pranie robiła w małym pomieszczeniu obok sypialni, godzinami moczyła się w jacuzzi, wsypywała do wanny aromatyczne sole do kąpeli i zapalała świeczki zapachowe. Podświadomie podjęła decyzję, że zatrzyma się tu i przestanie wreszcie uciekać. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu, w tym mieszkaniu naprawdę czuła się jak w domu. I zapłaciła za rok z góry, kiedy podpisała umowę najmu na trzy lata, czyli już wtedy planowała tu zamieszkać na stałe.

Kogo ona chce oszukać? Przecież może stąd zniknąć w mgnieniu oka. Siła przyzwyczajenia, pomyślała, patrząc na torbę podróżną, która stała w kącie gotowa do drogi. Wystarczyło tylko po nią sięgnąć.

Wyprostowała się, podeszła do kąta i podniosła torbę. Położyła ją na łóżku, otworzyła i wypakowała wszystko ze środka. Zasuwała zamek i wepchnęła torbę głęboko do szafy. Część ubrań odwiesiła na wieszaki, inne pochowała do szuflad. Zrobione.

Dosyć tego uciekania. Wiecznie przed czymś uciekała, odkąd Allison Matthews zdradziła, jaką rolę mają z Gwen do odegrania już po kradzieży. A sytuacja jeszcze się pogorszyła, kiedy ten wstrętny staruch z banku wymyślił sobie, że oprócz tego, co już dla niego robiła, powinna jeszcze mu się oddać. I jak wymyślił, tak też się stało - na całe trzy noce podczas dorocznej konferencji faulknerowskiej. To wtedy właśnie została poczęta Mary Louise, to wtedy Jill straciła kontrolę nad swoimi emocjami. Od tamtej pory nie potrafiła być matką dla swojej córki, żoną dla swojego męża, babką dla swoich wnuków. Ale teraz już nie będzie więcej uciekać. Czas to zmienić. Bez odwołania.

Mówią, że spowiedź leczy duszę.

A Jill już od dawna nie przesypiała nocy.

I chciała lepiej poznać Alana Freemana.

Oto, co się naprawdę liczyło.

Zajrzała do lodówki, rozważając, co zjeść na obiad. W końcu wyjęła z zamrażarki stek i położyła go w zlewie do rozmrożenia. Zrobiła sobie kawy, chociaż wcale nie miała ochoty. Po prostu musiała się czymś zająć, żeby nie zwariować od natłoku myśli.

Kolejne dwie godziny spędziła przy telefonie i laptopie. Zamknęła laptop zrobiła obiad, zjadła go szybko i pozmywała, potem się przebrała.

O piątej po południu zamknęła za sobą na klucz drzwi swojego mieszkania. Pojechała do Memphis, gdzie zarezerwowała lot do Charleston w Południowej Karolinie. W Charleston wypożyczyła samochód, pojechała do Summerville i wynajęła pokój w Hampton Inn, niecałe dwa kilometry od domu Gwen.

Tej nocy Jill Laramie spała jak niemowlę. Po raz pierwszy od ponad czterdziestu lat wyspała się w nocy.

Kiedy się obudziła i spojrzała na swój mały podróżny budzik, pomyślała, że przyjazd tu był dobrym pomysłem.

Wzięła prysznic, ubrała się i wymeldowała z hotelu. Nie zawracała sobie głowy kawą ani śniadaniem, tylko wsiadła do samochodu i zerknęła na leżącą na siedzeniu obok mapę. Po paru minutach już pukała do drzwi przyczepy, w której mieszkała Gwen. Kiedy drzwi się otworzyły, obie kobiety spojrzały na siebie i wybuchnęły płaczem.

- Wchodź, wchodź - powiedziała Gwen.

Kilkanaście kotów wyskoczyło jej spod nóg i rozbiegło się na wszystkie strony. Przynajmniej Gwen ma kogoś, komu na niej zależy, pomyślała Jill, obejmując przyjaciółkę.

- Chcesz kawy? Mam rozpuszczalną.

- Pewnie. - Jill rozglądała się po wnętrzu. Wszystko tu było podniszczone, ale czyste i schludne.

- Czyli to już? - zawołała Gwen z kuchni.

- Boję się, że tak, Gwen. Nie wiem jak ty, ale ja mam już dosyć takiego życia. Chcę to wreszcie mieć za sobą.

- Ale ja myślałam, że...

Jill wyciągnęła egzemplarz „USA Today” z poprzedniego dnia i podała Gwen.

- Nie potrzeba wielkiej wyobraźni, jak to się skończy. Wiesz, jacy są dziennikarze, Mam już wyżej uszu tych kłamstw i ciągłej ucieczki. Dłużej nie wytrzymam. Przysięgam ci, Gwen, że gdyby ta kobieta nie umarła, chyba sama bym ją zamordowała.

Gwen podała jej filiżankę kawy i pociągnęła łyk swojej.

- Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałam. Chcesz powiedzieć, że wreszcie wyznamy prawdę i nie będziemy powielać historyjki, której trzymałyśmy się przez te wszystkie lata?

Jill zamrugnęła, sącząc za gorącą kawę.

- Tak. - Rozejrzała się. - Czemu mi nie powiedziałaś, że tak mieszkasz? Wysłałabym ci przecież pieniądze.

- Bo tak się umawialiśmy. Spieprzyłam sprawę i takie są skutki. Nie chciałam, żebyś zobaczyła... A zresztą, nieważne. Kiedy ta dziewczyna tu przyjechała, trzymałam się naszej wersji.

- Ja też. Ale i tak powinnaś była mi powiedzieć. Pomogłabym ci. Słuchaj, zarezerwowałam dla nas obu na popołudnie bilet do Waszyngtonu. Masz kogoś, kto by mógł się zająć kotami, dopóki nie wrócisz? Dam ci pieniądze, Gwen.

- A co będzie, jeśli... jeśli nie wrócę? Co z moimi kotkami?

Jill postukała palcem w gazetę, leżącą na pulchnych kolanach Gwen.

- Jakoś mi się nie wydaje, żeby ta dziewczyna pozwoliła skrzywdzić twoje koty. Masz dla nich zapas jedzenia?

- Właśnie wczoraj kupiłam dużą paczkę i świeży żwirek. Starczy im na parę dni. Jesteś tego pewna, Jill?

Jill przeczesła palcami włosy.

- Jestem pewna, Gwen. Słuchaj, nie obraź się, ale musimy najpierw iść na zakupy. Kiedy tu jechałam, mijałam sklep z ciuchami, Belk's. Ubierzemy cię, potem zjemy lunch i pojedziemy na lotnisko. Może tak być?

- Skoro tak mówisz. Mam zadzwonić do syna?

- Jeszcze nie, Gwen. Coś może nie pójść po naszej myśli, chociaż nie spodziewam się, żeby tak miało być. Ja w każdym razie nie dzwoniłam do Mary Louise. - Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie płacz, Jill. Teraz już nie ma innej drogi. Może dzięki temu uda się wszystko naprawić. A jeżeli nie, to widać tak musiało być.

- Pomóc ci przy kotach?

- Nie, one wszystkie jedzą z jednej miski. To mi zajmie nie więcej, niż kilka minut. Jeśli naprawdę chcesz mi coś kupować, Jill, to wiedz, że wszystko ci oddam.

- Daj spokój, zapomnij o tym. Po drodze widziałam też chyba salon piękności. Chcesz sobie umyć i podciąć włosy? Mówię ci, to cudownie poprawia samopoczucie.

- No, dobra. - Gwen zaśmiała się. - Och, Jill. Boże, jak ja się za tobą stęskniłam. Myślisz, że ta dziewczyna kupiła historyjkę o tym, że nie utrzymujemy kontaktu? Mam wrażenie, że Allison nigdy do końca w to nie uwierzyła. Wiedziała, że my dwie jesteśmy sobie bliskie, a ona jest tą trzecią.

- Kto wie? Teraz to już nie ma znaczenia, Gwen. Jedno kłamstwo czy tysiąc, co to za różnica? Żadna. Gotowa?

- Umyję ręce i możemy już iść.

Kiedy wyszły, Gwen zamknęła drzwi na klucz i przypomniała Jill o wyłamany schodku. Przeskoczyła nad nim, a Gwen ocieężale stoczyła się za nią.

Jill odwróciła się i popatrzyła na przyjaciółkę.

- Kiedy już będzie po wszystkim, nie ma mowy, żebyś tu wróciła. Kupie ci przyczepe, zabierzesz swoje koty i pojedziesz ze mną do Missisipi. Starzejemy się, moja droga, i coś mi mówi, że lepiej trzymać się razem, kiedy sprawy zaczynają się komplikować. No więc?

- A wystarczy ci na to pieniędzy, kiedy spłacisz swoją część? - zapytała niepewnie Gwen.

- Dużo nie zostanie, ale dla nas dwóch wystarczy, jeżeli będziemy pracować. Możesz mieszkać ze mną dopóki nie znajdziesz jakiegoś miejsca, gdzie zmieszczą się wszystkie twoje koty. Idziemy, czekają nas zakupy.

-A co z naszymi dziećmi? Jill znieruchomiała.

- Tę sprawę akurat obie schrzaniliśmy już dawno temu, Gwen. Nie wiem, co o tym myślisz, ale ja uważam, że lepiej nie budzić licha. Nie chciałabyś chyba, żeby dowiedziały się całej prawdy? Wyobrażasz sobie co by się działo? Ten twój syn z policji? Chcesz tak ryzykować? Bo ja nie.

Gwen nie wydawała się przekonana.

- Moje wnuki...

- Wiem. Mary Louise ma bliźniaki. Nie chcę im zmarnować życia. Pora, żebyśmy wzięły odpowiedzialność za to, co zrobiłyśmy. Do diabła z Allison Matthews! Jak myślisz, czy ona jest teraz w piekle?

Gwen wyprostowała pulchne ramiona.

- Wcale bym się nie zdziwiła - powiedziała z nadzieją.

- Okej, plan jest taki: kiedy już będziemy w Waszyngtonie, zadzwonię do Dennisa Lowella, niech przyjedzie do córki. Zasluguje przynajmniej na tyle, żeby poznać naszą wersję wydarzeń i rolę Allison w tym wszystkim. I zadzwonię po mojego byłego, Gilla. On też zasługuje na to, żebym mu powiedziała prawdę. - Umilkła. - A ty chcesz zadzwonić do któregoś z twoich mężów?

- Nie. Obaj pewnie gniją gdzieś w więzieniu. Nawet o tym nie mówmy, Jill.

- Nie będzie nam łatwo wypowiadać się ze wszystkiego.

Jill skręciła na światłach w ulicę, która prowadziła do Belk'sa.

- Nic, ale pomyśl, jakiej ulgi doznamy - Gwen się roześmiała. -A co tam słyszać na Ole Miss, Jill? - zapytała z nostalgią w głosie.

- Zmieniło się nie do poznania. Jest cudownie. Myślę, że spodoba ci się, tak samo jak mnie. Kiedy tam przyjechałam, poczułam się jak w domu. Nie ma już złych wspomnień. Oni wszyscy nie żyją, Gwen. Przeżyliśmy ich. I jesteśmy po dobrej stronie, to też się liczy. Dobrze nam się tam będzie żyć. Zaufasz mi?

Gwen nie trzeba było pytać dwa razy.

- Oczywiście, że ci ufam.

Jill nachyliła się w jej stronę i poklepała przyjaciółkę po ręce.

- Chcę ci powiedzieć, przyjazd tu to najlepsze, co w życiu zrobiłam. Gwen ścisnęła ją za rękę. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał bardzo cicho i jakby przepraszająco.

- Mam nadzieję, że ona się smaży w piekle.

Jill podniosła na przyjaciółkę zażawione oczy. Nic nie odpowiedziała, pokiwała tylko głową ze zrozumieniem

Rozdział 26

Anita Wellesley poprawiła okulary i zabrała się do wypełniania formularza numer 246ZV12, dotyczącego otwarcia tymczasowego schroniska dla zwierząt. Kiedy dobrnęła do miejsca na podpis, zagryzła wargi i podpisała się jako Olivia Lowell. Obok wpisała jeszcze adres Olivii.

Dziesięć minut później Anita wyszła ze swojego gabinetu, tryumfalnie wymachując tymczasowym zezwoleniem - Olivia Lowell na okres dziewięćdziesięciu dni otrzymuje prawo do prowadzenia schroniska dla yorków u siebie w domu.

Anna Pellecone rozpromieniła się na widok córki, która z kartką w ręku wsiadła do specjalnie wyposażonej furgonetki. Z tyłu, za kratką jedenaście srebrnoszarych yorków głośno wyrażało swoje niezadowolenie z powodu ciasnoty. Anna zaczęła śpiewać i psy pod wpływem jej słodkiego głosu natychmiast się uciszyły. Jeden po drugim, zapadły w drzemkę. Odezwała się cicho do córki:

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, kochana.

- Pewnie, że tak, mamo. Nie możemy pozwolić, żeby to stado sępów zabrało pannie Lowell i jej narzeczonemu tego pieska. Widziałas przecież, kiedy u nas była, jak bardzo kocha psy. Słyszałaś, co mówiła. Jeśli możemy jej pomóc, to trzeba to zrobić, a zresztą to przecież tylko na jakiś czas.

- Może powinnaś zadzwonić i uprzedzić ją o... swoich planach - martwiła się starsza pani.

- Mamo, nie widziałas, co pisali dzisiaj w gazetach? Jej dom jest dosłownie otoczony przez telewizję i media. Musimy działać szybko, zanim któryś z tych przemądrzałych prawników zjawi się tam i przywiezie coś, co pozwoli zabrać im tego psa. Ludzie z naszego stowarzyszenia i inni, których zdołałam ściągnąć, już tam są i protestują. Mówię ci, mają tam istny cyrk. Ty do niej zadzwoń, mamo. Zapisałam jej numer na takiej małej karteczce, jest przyklejona z tyłu telefonu. Powiedz, żeby zrobiła miejsce na podjeździe, tak, żebym mogła podejechać tyłem do garażu. Jeżeli jest sprytna - a myślę, że jest - to wszystkiego się domyśli, jeszcze zanim przyjedziemy.

Anna Pellecone zrobiła tak, jak jej powiedziała córka. Kiedy skończyła rozmowę, była szczerze uradowana.

- Chyba się domyśliła, o co chodzi! Ale słyhać po głosie, że jest naprawdę zdenerwowana. Anitko, nie możemy pozwolić, żeby te szakale wyrwały jej tego małego pieska.

- Mamo, pobudka! Jak ci się wydaje, po co do niej jedziemy? Podrobiłam jej podpis na zezwoleniu, a w bagażniku mamy jedenaście psów, które wyglądają identycznie jak Cecil: srebrnoszare z beżowymi pyszczkami, krótkie ogonki, tak samo przystrzyżone. Nikt jej nie zabierze tego psa! Nie będą wiedzieć, który z nich to Cecil. Wydaje mi się - chociaż nie mam pewności - że po to właśnie do nas wtedy przysłała, po psa, który byłby podobny do Cecila. No, to teraz będzie miała równo tuzin sobowtórów. Wiem, że gramy na zwłokę i nie mam pojęcia, jak długo nam się uda ich oszukiwać - ale musisz przyznać, że to był przebłysk geniuszu. O, nie! Zobacz, co tam się dzieje! - zawołała Anita, ostrożnie skracając w Eagle Drive.

Anna Pellecone zamknęła szczelnie okno, zadowolona, że mają przyciemniane szyby. Anita sunęła powolutku, żeby kogoś nie potrącić, a kręciło się mnóstwo ludzi.

Jakiś dzieciak przyjechał z dystrybutorem lemoniady i robił świetny interes. Trochę dalej ktoś sprzedawał żółte balony z napisem „Cecil” i chyba też nie narzekał na brak klientów. Setki ludzi z psami na smyczy oblegało ulicę po obu stronach. Przywiązana na trawniku koza beczała wniebogłosy.

Istny cyrk.

Olivia otworzyła drzwi garażu, kiedy zobaczyła furgonetkę. Anita w kilka sekund przedostała się na podjazd i wjechała do garażu. Gdy samochód znalazł się w środku, drzwi się za nim zamknęły. Anita wyskoczyła zza kierownicy, uściskała Olivię i zaczęła paplać, machając zezwoleniem.

- Podrobiłam twój podpis, ale raczej nikt nie zauważy, ani nie będzie się czepiał - zakończyła. - A teraz przydałaby mi się pomoc, żeby wyciągnąć stamtąd tych dżentelmenów.

- Czemu... czemu to robicie? - wyjąkała Oli via.

- Ktoś musi stać po stronie Cecila, a resztą i mama, i ja bardzo ciebie polubiłyśmy. Chcemy pomóc. To tymczasowa licencja, ale może wystarczy.

Jeff był w kuchni, kiedy Olivia otworzyła drzwi prowadzące z garażu. Wpadły cztery sobowtóry Cecila, a Jeff zrobił wielkie oczy i krzyknął tylko:

- Łau!

W ciągu kilku sekund Cecil zniknął w gromadce yorków. Uszczęśliwiona Olivia klasnęła w ręce.

- Niech tu przyjdą i spróbują go zabrać! Niech tylko spróbują! Och, Anito, to genialny pomysł! A gdzie twoja mama?

- Siedzi w furgonetce. Wózek już się nie zmieścił.

- Ja ją przyniosę! - zaferował się Jeff. Za minutę był już z powrotem, niosąc na rękach Annę Pellecone. Delikatnie posadził ją na krześle.

Anna rozejrzała się wokół z uśmiechem.

- Jak tu miło, jak przytulnie. Psom na pewno się spodoba. - Zwróciła się do Olivii. - Dziś musi się pani przygotować na wycieranie po nich kałuż, ale do jutra powinny się nauczyć, że mają załatwiać potrzeby na dworze. Nowe miejsce i tak dalej, rozumie pani. - Straszne zamieszanie na zewnątrz, czy możemy jakoś wam pomóc?

- Wystarczy, że tu jesteście. To wzruszające, tyle ludzi nas wspiera, nigdy bym się nie spodziewała... Telefon się urywa, dziś od rana już nie odbieram. Serwisy internetowe podłapały historię opisaną przez moją przyjaciółkę w naszej lokalnej gazecie. Są nawet samochody CBS i NBC z talerzami satelitarnymi. Zaraz będziemy musieli do nich wyjść, żeby złożyć oświadczenie dla prasy.

Jeff uniósł rękę i pokazał na ekran telewizora stojącego na blacie.

- Kto to? - chciała wiedzieć Olivia.

- Cśś. To ten nowo odkryty krewny Lillian Manning. Trafiły do niego brukowce. Coś mówi, chyba po angielsku, trudno zrozumieć, bo bełkocze.

Olivia aż się zachłysnęła.

- I to jemu chcą oddać Cecila?

- Cicho bądź. Olivio. Słuchaj.

Wysoki, chuderlawy młodzian z długimi, tłustymi strąkami drapał się po chudej piersi, patrząc do kamery.

- Nie powiem, żebym znał tę babkę, ale pieski, to owszem, lubię, szczególnie takie sporawe. Nawet żem wcześniej nie pomyślał o kasie. Pokazali mi na zdjęciu ten dom, co to jest teraz mój. Może se tam wstawię stół do bilarda albo kregielnię, jeszcze nie wiem. — Podciągnął dzinsy, równie brudne jak koszula, którą miał na sobie. W przerwach pociągał papierosa. - Nie, to nie marycha. - Podetkał papierosa pod sam obiektyw. Zaniósł się suchym kaszlem i splunął kątem ust.

- Taaa, to mój złom. - W odpowiedzi na pytanie, chudzielec wskazał palcem na zardzewiały motor. - Daję go do naprawy, zara jak mi przyślą kasę. Muszę tam pojechać po tego psa i resztę forsy. Nie wiem, może dzisiaj. Mówili, że wyślą kasę do warsztatu. Dobra, ludzie, jak chcecie dalej ze mną gadać, to nie za darmo. Koniec wywiadu. Nie pytać mnie o nic więcej. Koniec, mówię.

Kamera odprowadziła młodziana aż do przyczepy, gdzie sześcioro, czy siedmiu meneli, wyglądających jeszcze gorzej niż on, piło piwo z butelek. Sięgnął po butelkę i wypił całą dwoma łykami. Podrzucił ją do góry, a lump, który stał obok, wyciągnął z kieszeni pistolet i zestrzelił butelkę w powietrzu. Stado wychudzonych zdziczałych psów, spłoszone nagłym hałasem, zaczęło gwałtownie ujadać, a banda obszarpańców zarechotała z zachwytem. Przełączono kamery do studia.

- O mój Boże - jęknęła Olivia.

Ręka jej się trzęsła, kiedy nalewała kawę do filiżanek.

- Olivio, zastanów się. Możemy tylko podziękować za taki program; zrobił nam ogromną przysługę. Pół Ameryki go obejrzało. Czy komuś takiemu jak ten gość, normalna osoba powierzyłaby swojego psa? Jasne, że nie. Myślę, że kiedy w mojej firmie zobaczą ten materiał, będą musieli zmienić strategię.

Anita podeszła do przesuwanych drzwi, otworzyła je i odsunęła się o krok, żeby zrobić miejsce dla gromady psiaków, które pognały na podwórko. Uśmiechnęła się jak kochająca matka.

- To dla nas chyba dobrze, prawda? - zawołała przez ramię. Machnęła na Olivię. - Zgadnij, który to Cecil.

Olivia wyszła na taras, żeby się im przyjrzeć. Zagwizdała i zawołała Cecila po imieniu. Wszystkie naraz rzuciły się w stronę tarasu. Nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Pozejmowałam im obróżki, ale i tak wiem, który jest który - powiedziała Anita. - Wszystkie są u nas od niedawna i jeszcze nie mają mikrochipów. Niedługo musimy je pozakładać. W przyszły weekend organizuję wyprzedaz ciast i mycie samochodów, żeby zebrać na to pieniądze. Nasz weterynarz wprawdzie daje dużą zniżkę, ale coś jednak wypada mu zapłacić.

Olivia uśmieła się do łez.

- Jeśli nam się to uda, zapewniam, że do końca życia nie będziesz się musiała martwić o pieniądze. Co ja mówię, już teraz nie musisz się o nic martwić. Jak stoimy z jedzeniem dla psów?

- Przywiozłam wszystko, co miałyśmy w domu. Na parę dni wystarczy. Mogę jeszcze dokupić po drodze do domu. Inne schroniska też się dorzuca. No, ale już będziemy się zbierać. Mama nie lubi być za długo poza domem. Będzie nam brakować yorczków, ale mamy jeszcze pudła i terriera, którymi też trzeba się zająć. Jestem pewna, Oli-vio, że wszystko jakoś się ułoży. Jakby co, to dzwoń. Mogę tu dojechać w dwadzieścia minut. I nie zgub tego zezwolenia, schowaj je w jakimś bezpiecznym miejscu.

Olivia uściskała nową przyjaciółkę.

- Dzięki, Anito. Dzięki za wszystko.

- Powodzenia - powiedziała Anita, wchodząc do kuchni. - Okej, mam, jedziemy do domu. Jeff zanieś cię do samochodu.

Przyglądała się Anicie, gdy ta uknęła na podłodze i przygarnęła do siebie psią gromadkę. Cicho i łagodnie tłumaczyła im, że niedługo po nie wróci, rozdała wszystkim po przysmaku i wymknęła się, zanim psy się zorientowały, że jej nie ma.

Olivia chodziła po całym domu z chusteczkami i wycierała kałuże. Psy nie odstępowały jej ani na krok. Starzy domownicy powyciągali wszystkie piszczące zabawki, a nowi chętnie je wypróbowali. Kiedy skończyła sprzątanie, poszła do kuchni umyć ręce. I usiadła, czekając, aż Jeff skończy robić dla niej kanapkę z szynką. Dołożył na talerz jeszcze ogórka i trochę frytek.

- I co teraz? - spytała, kiedy skończyła jeść.

Jeff odsunął swoje krzesło od stołu i skrzyżował nogi w kostkach.

- Chyba wypadaloby włączyć telefon. No i musimy złożyć oświadczenie dla pracy. Nie możemy im się narażać. Są po naszej stronie. - Zerknął na swoją komórkę i przejrzał listę nieodebranych połączeń. - Musimy włączyć telefony, Olivio. Może zadzwonić twój tata. Możesz stracić nowych klientów. Jesteśmy rozrywani, trudno, trzeba się z tym pogodzić.

Zrobiła nieszczęśliwą minę.

- Masz rację ~ przyznała i podłączyła telefon. Zadzwonił prawie natychmiast. Z jękiem podniosła słuchawkę. - Olivia Lowell - warknęła. Ale gdy usłyszała, kto dzwoni, aż przysiadła. - Tak, jestem w domu. Oczywiście. Czy mam wytłumaczyć,

jak tu dojechać? Dobrze. Tylko tu jest teraz... trochę tłoczno. Ach tak, pokazywali w telewizji. To... to ja czekam.

- Co jest? Coś nie tak? Czy to twój tata? Co się dzieje, Olivio? - dopytywał się Jeff.

Wskazała na słuchawkę, którą nadal trzymała w ręku.

- To... to była... Jeff, to była Jill Laramie. Jest z nią Gwen. Jadą tu. One tu jadą, Jeff! Co to może znaczyć?

Jeff podrapał się po głowie.

- Mam nadzieję, że coś dobrego. Bo niby po co miałyby tu przyjeżdżać? Wiesz, prawdę mówiąc, to mogą mieć milion powodów. Hej, ktoś dzwoni do drzwi.

Stado psów pomknęło przez salon i korytarz do kuchni, aż zatrzymało się pod tylnymi drzwiami. Olivia i Jeff otworzyli i stanęli jak wryci.

- Tato! - wrzasnęła Olivia i rzuciła się ojcu na szyję.

- Panie Lowell - powiedział Jeff.

Kiedy już przedstawiła narzeczonego, Dennis spojrzął na sfore yorków i roześmiał się serdecznie.

- I pewnie wszystkie reagują na imię Cecil, co? Skinęła głową.

- Ale co ty tu robisz, tato? - spytała, zdenerwowana. - Coś się stało? O, nie, tylko mi nie mów, że łódź zatonała.

Dennis wzruszył ramionami.

- Nic takiego się nie stało. Spokojnie, Ollie. Wczoraj zadzwoniła do mnie Jill i powiedziała, żeby tu jak najszybciej przyjechał. Gill, jej były mąż, i Gwen też tu będą. Domyśliłem się, że to jakaś grubsza sprawa, więc jestem.

Olivia usiadła, próbując zebrać myśli.

- Jill właśnie dzwoniła. Powiedziała, że ona i Gwen są w drodze, ale... nic nie mówiła o swoim byłym mężu. A tobie coś wyjaśniła?

Dennis potarł ręką brodę i zdjął czapkę z daszkiem. Włosy miał mokre od potu.

- Nie mam pojęcia, o co chodzi. Powiedziała tylko, że mam przyjechać natychmiast. Z góry zapłaciła za mój bilet, leciałem pierwszą klasą. Uznałem, że skoro to takie ważne, żebym był, to przyjechałem.

- Mówisz, że są w drodze? No, to zaraz się wszystkiego dowiemy. Dostanę kawy i jakąś kanapkę, czy to za duży kłopot?

Jeff stanął na baczność i wyprężył się. To ojciec Olivii, więc trzeba się trochę podlizać.

- Nie, proszę pana, to żaden kłopot. Z przyjemnością zrobię dla pana kanapkę. Kawa już jest, właśnie zaparzyliśmy.

Dennis mrugnął porozumiewawczo do córki, a Olivia odmrugnęła, nie przestając chodzić w kółko po kuchni.

- Po co one tu przyjeżdżają? I to teraz! Dlaczego teraz? Coś na pewno kombinują. Jakby mi dziś było mało.

- Uspokój się, Ollie - powiedział Dennis. - To na pewno nie będzie coś, z czym sobie nie poradzisz. Myślę, że ona chce oddać pieniądze. A ten numer z Cecilem też wam się uda. Tylko spokojnie, dopóki się nie zorientujemy, o co chodzi. - Odwrócił się do Jeffa z błyskiem w oku.

- Znasz się na łodziach, Jeff?

- Wiem tylko tyle, że jakoś utrzymują się na wodzie. - Miał zakłopotaną minę. - Pewnie nie odróżniłbym dziobu od rufy. Ale wiem, że na pokładzie trzeba mieć buty na gumowej podeszwie. To pewnie z jakiegoś filmu.

Dennis się roześmiał.

- Mogę was wpisać w mój wrześnieowy rozkład, gdybyście chcieli spędzić w okolicy miodowy miesiąc i trochę powędkować. Pomyśl tylko: otwarte morze. I nie ma to, jak złowić porządnego marlina. Przebija nawet miesiąc miodowy.

Jeff przez moment miał bardzo niepewną minę.

- Och, no nie wiem, proszę pana. Obawiam się, że pewnie bym dostał choroby morskiej, a nie wydaje mi się, żeby podczas podróży poślubnej wypadło chorować. Oczywiście, Olivia też ma tu coś do powiedzenia. Na pewno poważnie się nad pana propozycją zastanowimy.

Olivia walnęła obiema pięściami w blat kuchenny.

- Gdzie one są? Mówiła, że już jadą. O, Boże, chyba nie myślicie, że są już na dworze i rozmawiają z mediami?

- Ollie, usiądź i policz do dziesięciu. Przyjadą, kiedy przyjadą. Nerwy nic nie przyspieszą. Jeśli chcecie rozmawiać z mediami, najlepiej złożcie oświadczenie teraz. Może dzięki temu trochę się uspokoisz.

Dennis odchylił się z krzesłem w tył, żeby spojrzeć na rozgorączkowaną córkę. - A ja tu sobie posiedzę i poczekam na naszych gości.

Olivia zmierzyła ojca długim spojrzeniem, zastanawiała się chwilę, po czym wzięła Jeffa za rękę.

- Okej, chodźmy.

Przy drzwiach Olivia zerknęła jeszcze na narzeczonego. - Jak myślisz, czy tata wie coś, o czym nam nie mówi? Jest taki... dziwnie spokojny i zrelaksowany. Chyba jeszcze nigdy go takiego nie widziałam. Odkąd pamiętam, zawsze się czymś przejmował. Nie jest chyba na nic chory, co?

- Co ty, Olivio, nie. Mój ojciec też tak wyglądał, jakiś miesiąc po tym, kiedy wreszcie do niego dotarło, że już nie musi jeździć do pracy. Tyle czasu zajęło mu uświadomienie sobie, że nie musi więcej wstawać o świcie i pracować dla kogoś, kto w każdej chwili może go zwolnić. To się nazywa satysfakcja. Twój tata po prostu jest teraz zadowolony z życia. A przyjechał tu dla ciebie, bo jesteś dla niego najważniejsza na świecie. Spokojnie. Zrób pewną minę i wyprostuj plecy. To mnie będą atakować. Uśmiechaj się. Nie daj się sprowokować do powiedzenia czegoś, czego potem będziesz żałować. Pamiętaj, że to dziennikarze - oni z tego żyją, wiedzą, jak wyciągać informacje. No, to bierz pierwszego z brzegu psa i miejmy to już za sobą.

Olivia schyliła się i podniosła yorka. Przytuliła go do policzka i zaczęła mu szeptać do ucha. Polizał ją w policzek. Uśmiechnęła się. Był taki ciepły i miutki.

Wyszli z Jeffem na chodnik przy ulicy i zaczęli czekać, aż znajdą się przed nimi wszystkie mikrofony. Jeff zrobił krok do przodu, a Olivia wciąż przytulała psa do policzka.

- Panno Lowell, czy może pani obrócić trochę Cecila, żebyśmy mogli zrobić wyraźniejsze zdjęcie? - krzyknął jakiś fotograf. Olivia obróciła pieska, ale gdy zobaczył tłum ludzi, zaraz schował głowę w zagłębienie jej szyi.

- Wstydzi się - usprawiedliwiła go Olivia.

- Czy ma pan jakieś oświadczenie dla prasy, panie Bannerman?

- Mogę powtórzyć to samo, co mówiłem wczoraj. Nie oddamy Cecila. Byłem prawnikiem pani Manning i spełniłem jej ostatnią wolę. Zgodnie z zapisem w testamentie. Jeśli będzie trzeba, zwrócę się nawet do Sądu Najwyższego. Chcę tylko wyjaśnić pewną rzecz: nam nie chodzi o pieniądze. Nie przeszkadza nam, że kuzyn pani Manning odziedziczy jej majątek. Może wziąć wszystko, co chce, ale nie tego psa. Trzeba uszanować ostatnią wolę zmarłej. Tyle mam w tej chwili do powiedzenia.

- Panno Lowell, czy pani coś doda?

- Chcę powiedzieć, że Cecil bardzo kochał swoją panią, a ona kochała jego. Dlatego zostawiła mu tyle pieniędzy. Wiedziała, że Jeff będzie się o niego troszczyć. Takie miała życzenie. Cecil bardzo ciężko przeżył stratę swojej pani, ale zadaliśmy tu o niego. Teraz tu jest jego dom i dobrze się u nas czuje. Ma tu przyjaciół. Jak widać, trochę się boi tylu obcych ludzi. Ale nam ufa, bo wie, że zrobimy to, co dla niego najlepsze. A my nie oddamy go nikomu. Za żadne skarby. - Odwróciła się bokiem, a pies polizał ją po twarzy, po czym znowu schował się w jej ramionach.

- Dziękuję, że chcecie z nami rozmawiać - powiedział Jeff takim tonem, jakby przemawiał na sali sądowej. - Proszę, nie pozwólcie im odebrać nam Cecila.

- Przepraszam, panie Bannerman! - zawołał jeden z reporterów. - Czy to prawda, że przez Cecila został pan zwolniony z pracy? To jest dopiero miłość i poświęcenie.

Jeff spoważniał i odwrócił się w jego stronę.

- Nie zostałem zwolniony, tylko zrezygnowałem. Tak, to właśnie jest miłość i poświęcenie. Poza tym mam nową pracę, więc Cecil nie umrze z głodu. - Odwrócił się znowu twarzą do kamery. - Dziękujemy wszystkim, którzy tu dziś przyszli, żeby nas wesprzeć. To dla nas bardzo ważne.

- Ambrose Martindale mówi o panu „narwaniec”. Czy pan to potwierdza?

Jeff przychylił głowę na bok i lekko pociągnął psa za wąsiki.

- Tylko jeśli chodzi o Cecila. Poza tym jestem łagodny jak baranek.

Pies w ramionach Olivii głośno szczekał i wszyscy się roześmieli.

- Chyba całkiem nieźle nam poszło - mówił Jeff, kiedy wracali już do domu. - Wiem, że chcesz pobiec, ale nie rób tego. Idź spokojnie. Naprawdę dobrze nam poszło, Ołiwio. Ale to jeszcze nie znaczy, że już po wszystkim. Jakiś sędzia może nam nakazać wydanie Cecila, tylko nie wiem, jak go odróżni od całej reszty.

Kiedy Olivia postawiła pieska na podłodze w przedpokoju, ten śmiało ruszył do salonu. Reszta psów pobiegła za nim, do wspólnego kosza z zabawkami.

Olivia pokiwała głową.

- Jill i Gwen niedługo się zjawią. Pójdę zadzwonić do pana O'Briena i zapytam, czy już wysłał czek do banku albo do firmy ubezpieczeniowej. Mógłbyś w tym czasie pobyć z tatą? Chciałabym, żebyście się lepiej poznali. On jest naprawdę super. Aha, i może wypuść też psy, dobrze?

- Nie ma problemu.

Jeff cmoknął Olivię w czubek nosa i poszedł do kuchni.

Rozdział 27

Dennis Lowell szykował właśnie makaron z serem i hot dogi na wczesną kolację, więc Olivia z Jeffem postanowili mu nie przeszkadzać i zajęli się przygotowaniem jedzenia dla stada czworonogów, które już niecierpliwie ujadły.

Olivia nakładała na miseczki suchą karmę, a Jeff mieszał ją z jedzeniem z puszek.

- Jeff, czemu ich jeszcze nie ma? Może Jill się rozmyśliła? - Olivia spojrzała na zegar. - Dochodzi piąta. Miały być kilka godzin temu. Coś musiało się stać. O'Brien też nie oddzwania. Pewnie zobaczyli ten cyrk przed naszymi drzwiami i nikt nie chce się w to mieszać. Jak myślisz? Jeff wzruszył ramionami. Mógłby podać tysiąc różnych wyjaśnień. - Równie dobrze mogły się zgubić po drodze. Ale to możliwe, że Jill się rozmyśliła. Tylko że jeśli nie była pewna, to po co ściągałaby twojego ojca, w dodatku na własny koszt? Jeśli pytasz, czy znowu próbuje cię wymanewrować, to myślę, że nie. A co do O'Briena, prawnicy rzadko dzwonią do klienta, jeśli nie mają czegoś konkretnego do powiedzenia. Przypuszczam, że nie ma jeszcze odpowiedzi z banku. I nie wydaje mi się, żeby to, co się dzieje przed domem mogło odstraszyć kogoś takiego jak Jill, czy O'Brien. Hej! Popatrz, jak wcinają! - Zaśmiewał się, patrząc, jak psy włączają na siebie, żeby się dopchać do misek. Podokładał im jeszcze jedzenia. - Okej, maluchy, idziemy na dwór - powiedział, kiedy miski zostały wylizane do czysta. Odwrócił się w stronę drzwi, a psy już tam były i napierały.

Kiedy Jeff bawił się z psami podwórzu, Dennis powiedział do Olivii:

- Sympatyczny z niego facet, Ollie. Już go polubiłem. - Przewracając hot dogi, westchnął. - Od lat nie jadłem hot doga. Ciągłe tylko ryby i ryby!

- Co chcesz od ryb? Są zdrowe. Mają mnóstwo kwasów omega-3, czy czegoś takiego. No i sam je łowisz, wiesz, że są świeże, a do tego za darmo. Wszystko w porządku, tato?

Dennis wytarł ręce w ściereczkę.

- Tak, Ollie. Po raz pierwszy w życiu robię to, co chcę. Mam regularnych klientów. Łódź dobrze się trzyma. Jeśli nic się nie zmieni, będę mógł szybciej spłacić pożyczkę. A co u ciebie, córuś? Jak interes?

Olivia zdała ojcu relację.

- I miałam zapytać ciebie, czy nie byłbyś zainteresowany pracą, jako mój doradca, asystent prezesa Skarbcza Adrianny, ale tak się ułożyło, że w końcu zaproponowałam tę pracę Jeffowi. Potrzebuję mieć kogoś zaufanego w firmie, żeby podejmować jakieś konkretne decyzje. Nie obrazisz się o to?

- Chyba żartujesz. Wiesz przecież, co o tym myślę. Słuchaj, Ollie, rób, co uważasz i nie przejmuj się, co pomyślą inni. A jak twój młodzieniec zapatruje się na ten pomysł z sobowtórami Cecila? Myślisz, że to się uda?

Olivia machnęła ręką.

- Nie mam pojęcia. Jakiś specjalista od psów pewnie znalazłby różnice, ale z początku ja sama miałam problem, żeby odróżnić Cecila. Musiałam mu zrobić kropkę na ogonie. One są takie kochane. I nie wszystkie są bezdomne. Właścicielem kilku jest starszy pan, który leży w szpitalu po operacji biodra. Anita tylko się nimi opiekuje. A one świetnie się nadają dla starszych ludzi. Anita i jej matka często je zabierają do różnych domów opieki, żeby rozweselić pacjentów. Yorki są ogromnie towarzyskie. Lgną do ludzi, nawet do obcych. To, co robi Anita -zresztą, inne schroniska też - jest po prostu wspaniałe. Założę fundację z pieniędzy Allison, żeby jej trochę pomóc. Co o tym myślisz, tato?

Dennis już otwierał usta, ale w tym momencie zadzwonił telefon i dzwonek do drzwi. Spojrzeli na siebie, Olivia pobiegła otwierać, a Dennis sięgnął po słuchawkę.

Przez mleczną szybę w drzwiach dostrzegła trzy postacie. Odruchowo przyglądziła ręką włosy, wzięła głęboki oddech i wolno wypuściła powietrze. Otworzyła drzwi - stali w nich Jill, Gwen i jakiś wysoki, muskularny mężczyzna, pewnie były mąż Jill. Naprawdę zaskoczył ją wielki biały kosz pełen czerwonych tulipanów, który trzymała Jill. Kwiaty! To musi być dobry znak.

- Wejdźcie.

- Macie tu niezły kocioł. - Gwen wskazała ręką za siebie.

- Olivio, to mój były mąż, Gill Laramie - odezwała się Jill. - Czy Dennis już jest?

- Tata przyjechał przed południem. Was też spodziewałam się wcześniej.

- Samolot Gilla miał opóźnienie, więc musiałyśmy na niego zaczekać. Mogłam zadzwonić, przepraszam. - Jill podała jej kosz z tulipanami. Na twarzy miała

niewesoły uśmiech. - Wyglądasz mi na osobę, która lubi tulipany. To taki prezent ode mnie na przeprosiny.

- Uwielbiam tulipany. Wiosną mam ich pełno w ogródku. Wejdźcie, proszę. Może coś do picia? Wina, kawy, coś zimnego? - Zaprowadziła gości do salonu.

- Może piwa - powiedziała Gwen. Gill pokiwał głową. Jill wolała jakiś zimny napój.

- Zaraz wracam. - Olivia wycofała się do kuchni. Kiedy tam weszła, Dennis właśnie odkładał słuchawkę. Oboje zaczęli mówić naraz, ale Dennis miał większą siłę przebicia.

- Dzwonił Prentice O'Brien, Ollie. Powiedział, że bank w Oxfordzie zwrócił im czek, bo już wiele lat temu dostali za tę kradzież odszkodowanie i sprawa jest zamknięta. Chce, żebyś do niego zadzwoniła i powiedziała mu, czy ma wystawić drugi czek na Wielką Skałę. Powiedziałem, że oddzwonisz.

Olivia kiwnęła głową.

- Już tu są cała trójka. Spóźnili się, bo czekały na byłego męża Jill. Samolot mu się opóźnił. Potrzebuję dwa piwa i colę. A ty się czegoś napijesz, tato? Gdzie Jeff? Jill przyniosła mi koszyk tulipanów, bo... bo powiedziała, że wyglądam jak ktoś, kto lubi tulipany. O co jej chodzi, tato? O, nie, znowu bredzę, tak?

- Spokojnie, Ollie, spokojnie. Ty tu rządzisz. To twój dom. No, weź głęboki oddech i uspokój się. Nic się nie dzieje. To będzie tylko rozmowa, wyjaśnienia, żeby wreszcie móc sprawę zakończyć. Wszystko jest pod kontrolą. Idź po Jeffa, a ja zaniosę tacę. Może będzie lepiej, jeśli psy na razie zostaną na dworze.

- Okej. Idę po Jeffa.

Kiwnęła na niego, stojąc w drzwiach. Podszedł do niej i Olivia szybko zapoznała go z sytuacją. Przecisnął się do środka przez szparę w drzwiach, ku wielkiemu rozgoryczeniu psów. Rozszczękały się, niezadowolone, że ich przerośnięty towarzysz zabawy uciekł.

W salonie, gdzie kosz tulipanów na środku ściągał spojrzenia, Olivia przedstawiła Jeffa zebrany i wszyscy usiedli.

Nagła cisza zadudniła im w uszach głośniejszą niż uderzenie pioruna. Wreszcie Jill odchrząknęła i zaczęła mówić. Nerwowo obracała w rękach torebkę, zanim wyciągnęła z niej białą kopertę i podała Olivii.

- Czek jest potwierdzony, więc nie musisz się martwić, że zamknę konto. To część moja i Gwen. Pewnie się dziwisz, że tak niespodziewanie zmieniłam zdanie po naszym ostatnim spotkaniu, ale miałaś rację; tak po prostu trzeba. Przy okazji chcę przeprosić za to, że tyle czasu wodziłam cię za nos. I obie z Gwen przepraszamy, że cię okłamałyśmy. Możesz nam wierzyć albo nie, ale to naprawdę ulga, wreszcie się pozbyć tego ciężaru z przeszłości.

Obgadaliśmy to z Gwen i postanowiłyśmy ci powiedzieć, że tak naprawdę przez te wszystkie lata byłyśmy ze sobą w kontakcie, z konieczności. Te papiery, które Allison ci zostawiła, jej pamiętnik, ten list - to wszystko nieprawda. Wiedziała, gdzie nas szukać, gdyby rzeczywiście chciała się z nami skontaktować. Ale nie chciała, i miała swoje powody. Uważała, że nie umiemy trzymać języka za zębami i bała się, że jej brudne tajemnice wyjdą na jaw. A kiedy się zorientowała, że nie dałyśmy się złapać w pułapkę, którą na nas zastawiła, to więcej jej nie widziałyśmy. Ale nikomu nie zdradziłyśmy jej nowego nazwiska, ona też się nikomu nie przyznała.

Jill przerwała, żeby nabrać powietrza.

- Ta kradzież nie była wcale taka prosta, jak Allison na początku twierdziła. To było coś znacznie gorszego, coś, co planowała już od bardzo dawna. W jakiś sposób udało jej się wykryć, że pan Augustus, właściciel banku, jest w coś zamieszany, i paru jego znajomków. Już wtedy postanowiła, że ukradnie jedną z przesyłek z obligacjami, bo miała pewność, że on nie powiadomi policji. Na początku nie znałyśmy szczegółów. Wiedziałyśmy tylko, że potrzebuje nas, żeby kradzież się udała. Byłyśmy młode i głupie, a w grę wchodziły takie pieniądze, że straciłyśmy głowę. Allison twierdziła, że to będzie prosta sprawa. Tylko że wpuściła nas w maliny, a my zorientowałyśmy się zbyt późno. Wdepnęłyśmy w to po szyję.

Nie powiedziała nam, że kiedy pan Augustus zaczął ją podejrzewać, zawarła z nim układ. Pakt z diabłem. Augustus dostał pieniądze z odszkodowania. Allison dostała obligacje. Z początku nawet się nie domyślał, że ktoś oprócz niej jest w to zamieszany. Obie strony miały z tego korzyści.

Rok po tym - podkreślam, po tym - jak udało się okraść bank, Allison powiedziała nam wreszcie o swoim układzie z Augustusem. - Jill pociągnęła łyk coca-coli z puszki. Odstawiła ją na papierową serwetkę i chciała mówić dalej.

Gwen poklepała ją po ręce.

- Może ja dokończę, Jill. - Odwróciła się twarzą do pozostałych. - Allison mówiła, że to nic takiego. Musiałyśmy tylko przewozić kolejne przesyłki z obligacjami. Zwykły szantaż. Powiedziała, że ona to robi już od roku, przywozi obligacje z Waszyngtonu, gdzie pracowała, do Ox fordu. Chodzi o to, że po tej kradzieży bank nie mógł już ubezpieczyć takich „transakcji”, więc pan Augustus musiał znaleźć kogoś, na kogo miał haka, a kto nie byłby specjalnie podejrzany. Kiedy odkrył, że za tą kradzieżą stoi Allison, miał idealną kandydatkę. Ale potem coś się zmieniło, nie wiem dokładnie co, i Allison już nie mogła wyjeżdżać cztery razy w roku. Więc wciągnęła w to nas. Powiedziała, że pan Augustus zaczął ją podejrzewać, więc musiała się zgodzić. Kiedy nam wyjaśniła, o co chodzi i skąd się biorą te pieniądze, ja i Jili kategorycznie odmówiliśmy. Ale Allison tak przekonywająco odmalowała nam obraz życia w więzieniu, że ze strachu się zgodziłyśmy. Chodziło o to, że ci szacowni panowie z Augustusem na czele byli alfonsami, którzy czerpali zyski z prostytucji nieletnich - dziewczynek i chłopców. A te obligacje służyły do prania brudnych pieniędzy.

Dopiero po kilku latach udało nam się z tego wypłatać. Kiedy Allison podzieliła nasz łup, ja i Jill zebrałyśmy się na odwagę, żeby zagrozić tym wstrętnym dziadom, że na nich doniesiemy. Byłyśmy gotowe się ukrywać, kiedy tylko przekażemy władzom dowody, które udało nam się zebrać przez te parę lat. Dla tych „filarów społeczeństwa” niewygodne byłoby już samo oskarżenie, nawet gdyby nie zostali skazani.

Wszyscy zarządzali firmami. Wszyscy siedzieli na pieniądzech. Hojnie łożyli na różne cele dobroczynne. Ich żony i dzieci należały do śmietanki towarzyskiej w mieście, chociaż ich mężowie i ojcowie byli takimi bydlakami. W końcu przestali się nas czepiać, bo zorientowali się, że mamy przeciwko nim dowody, które ujrzą światło dzienne, gdyby nam coś się stało. Allison oczywiście już dawno rzuciła Dennisa, zostawiła Olivię, zmieniła nazwisko i zniknęła, więc jej też nie mogli dorwać.

Kiedy wyszłam za mąż, byłam okropną żoną. Nie umiałam pokochać żadnego mężczyzny, bo już nie potrafiłam kochać samej siebie. Jako matka też się nie sprawdziłam. Tak samo Jill. Myślę, że Allison też przez to przechodziła i dlatego

wyrzekła się ciebie, Olivio. Ale trudno powiedzieć, bo to kobieta zepsuta do szpiku kości. Przykro mi, że właśnie ja muszę ci to mówić, ale pamiętaj, że ty pierwsza zaczęłaś nas szukać. Gdybyś tego nie zrobiła, pewnie wszystko zostałoby po staremu. Allison chyba chciała ci pokazać, jaka była naprawdę - inaczej by cię na nas nie napuściła. Paskudna, zła kobieta; w ogóle mnie już nie obchodzi, czemu zrobiła to, co zrobiła. Jill na pewno się ze mną zgodzi.

Jill przejęła pałeczkę.

- Tak, zgadzam się w zupełności. Nie chcieliśmy, żeby nasze rodziny dowiedziały się o tych ciemnych interesach, o praniu pieniędzy z prostytutce, o tej kradzieży. Nadal nie chcemy, żeby dzieci się dowiedziały. Kiedy się zjawiłaś, Olivio, zdawałyśmy sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, że wszystko się wyda. Więc przyjechałyśmy tu same, żeby się wypowiedzieć. Oddaję ci pieniądze. Czy możemy już uznać sprawę za zamkniętą? Nasze dzieci i wnuki nie są niczemu winne. Nic dobrego nie wyniknie, jeśli im powiesz, co ich matki i babki robiły po studiach. - Spojrzała na nią błagalnie.

Zanim Olivia zdążyła coś powiedzieć, Jill mówiła dalej:

- Ale muszę wyznać coś jeszcze, dzięki czemu może zrozumiecie, dlaczego unikam kontaktów z własną rodziną. Gill nie jest ojcem Mary Louise.

W pokoju rozległy się okrzyki zdziwienia.

- Dwa lata po ślubie, podczas jednej z tych podróży, kiedy przewoziłam obligacje, Augustus zagroził, że powie mojemu mężowi o kradzieży, jeśli nie pójdę z nim do łóżka. Więc się zgodziłam. I wtedy zaszłam w ciążę z Mary Louise.

- Och, Jill, moje biedactwo - powiedziała Gwen. - Czemu mi nic nie powiedziałaś? Pomogłabym ci przecież.

- Jak? - rzuciła Jill z goryczą. - Nie miałyśmy pieniędzy. Pamiętaj, że dopiero za rok podzieliłyśmy się łupem. Aborcja była wtedy nielegalna. Nic nie mogłam zrobić i tak strasznie się wstydziałam. Nie chciałam, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

Na podwórku mogłaby wybuchnąć bomba, a i tak nikt by się nie ruszył z miejsca. Zza drzwi dochodziło tylko szczekanie psów.

Dennis Lowell zakrył twarz rękami, bo w końcu dotarło do niego, jakim potworem okazała się kobieta, z którą na własne nieszczęście się ożenił. Ale jak mógł żalować

tego małżeństwa, skoro jego owocem jest Olivia, najcudowniejsza córka na świecie? Dłońmi przyciśniętymi do twarzy starał się stłumić odgłos płaczu.

Olivia wreszcie zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo dała sobą manipulować. Szok odebrał jej mowę, więc siedziała w milczeniu i tylko łzy płynęły ciurkiem po jej policzkach. Jeff objął ją za ramiona.

Gill Laramie łyknął piwa z butelki.

- Może to nie ma znaczenia - ciągnęła Jill - ale skoro już do wszystkiego się przyznajemy, możemy powiedzieć i o tym. Obydwie z Gwen chodziłyśmy na terapię. Gwen zrozumiała dzięki temu, że próbuje się pozbyć wyrzutów sumienia wychodząc za wykolejeńców. Poczła ulgę, kiedy wydali wszystkie jej pieniądze. Ja z kolei się ukrywałam. Nie potrafiłam pokochać własnej córki. Ile razy na nią spjrzałam, myślałam o tym, co zrobiłam i kim jest jej prawdziwy ojciec. Gill wychował ją lepiej, niż ja bym to zrobiła. Dlatego wycofałam się z ich życia. Tobie, Olivio. naprawdę się poszczęściło. Dennis jest wspaniałym człowiekiem i pokochał cię od pierwszej chwili. Nigdy nic złego ci nie mówił o twojej „zmarłej” matce. Więc chociaż Allison to żołą, ty dzięki ojcu wyrosłaś na cudowną dziewczynę. Nigdy o tym nie zapominaj.

Olivia, wciąż oszołomiona, patrzyła teraz tylko na ojca. Wytarła łzy rękawem różowej bluzki. Chciała do niego podbiec, żeby ją uspokoił, zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Podniósł głowę, spjrzał na nią przez łzy i wyciągnął obie ręce. Rzuciła mu się na szyję.

- Dla mnie to nie ma znaczenia, tato. Żadnego. Proszę cię, powiedz, że dla ciebie to też nieważne. Proszę cię, tato. Nieważne, jaka była ta kobieta, to nie ma z nami nic wspólnego. Prawda?

- Prawda, Ollie. Nieważne. Ty jesteś moją córką. I lepszej nigdzie nie znajdę. To się nigdy nie zmienia.

Już uspokojona, Olivia obróciła się w ramionach ojca, żeby spojrzeć na zapłakane kobiety. Odchrząknęła i znowu otarła łzy.

- Wiem, że musiało wam być ciężko mówić o tym. Obiecuję, że wasze rodziny o niczym się nie dowiedzą. Ale chyba mogę wam powiedzieć, że założyłam z pieniędzy Adrianny polisy inwestycyjne dla waszych dzieci i wnuków. Bo uznałam, że tak trzeba. - Znowu wytarła oczy. - Bank zwrócił czek, który im wysłał mój prawnik. Po-

wiedzieli, że dostali już odszkodowanie i że sprawa jest dawno zamknięta. Więc pieniądze wracają do was. Możecie je potraktować jako zaliczkę za usługi, które potem musiałyście świadczyć. Ja nikogo nie zamierzam osądzać. A co planujecie dalej?

Olivia chciała im podać kopertę z czekiem, ale Jill i Gwen odsunęły się, pokręciły głowami. Nie chciały z powrotem tych pieniędzy.

Gill Laramie nagle wstał z fotela. Spojrzał ze wstrętem na eks-żonę.

- Nie mogę uwierzyć, że przez cały czas wmawiałaś mi, że Mary Louise jest moją córką. To było okrutne, Jill. Przez te wszystkie lata, kiedy męczyłem się, wychowując ją, martwiłem się, skąd wziąć na studia i tak dalej. Chyba jesteś nienormalna. Masz przecież wolną wolę. Nie musiałaś tego robić.

- Gill, błagam cię, nie mów nic Mary Louise. Proszę.

- Nie bój się, nic jej nie powiem. Ale mam nadzieję, że Bóg cię pokarze za to, co zrobiłaś. Trzymaj się od niej z daleka, i od bliźniaków też. Mam też nadzieję, że już nigdy więcej cię nie zobaczę. Brzydzę się tobą. Czy ktoś mógłby mi wezwać taksówkę na lotnisko?

Jeff zerwał się z kanapy i poszedł do kuchni, dzwonić po taksówkę.

Dennis ścisnął Olivię za ramiona. Oparła się o ojca, rozkoszując się ciepłem, które od niego biło; dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Nieważne, kim była jej matka. To przecież jest jej tata. Zawsze będzie miała swojego tatę.

- Co teraz planujecie? - zwróciła się do Gwen i Jill. Obie wyglądały na zupełnie wyczerpane.

- Wracamy do Missisipi, żeby sobie poukładać życie. Znajdziemy pracę i będziemy mieszkać razem, dopóki coś się nie wyklaruje. Może ten z góry okaże nam więcej łaskawości i wreszcie zaznamy trochę szczęścia.

- Czy to już nieodwołalne? - zapytała Olivia. Gwen tylko prychnęła.

- Ja żyję z dnia na dzień. Moje największe zmartwienie to jak zdobyć jedzenie dla kotów. Ale nie przejmuj się nami. Jakoś sobie poradzimy.

- Coś wam zaproponuję, a wy się nad tym dobrze zastanówcie. Może byście chciały przejąć zarządzanie Skarbcem Adrianny? Tu niedaleko w górach jest piękny, duży dom, w którym na pewno jest dosyć miejsca dla wszystkich twoich kotów. A jeśli zależy wam na akademickich klimatach, to w okolicy mamy parę świetnych uczelni. Zarobicie okrągłą sumkę, ale będziecie musiały na nią zapracować. Zobaczycie, że szybko się połapiecie w interesach. Myślę, że obie na tym skorzystacie, jeśli oczywiście się zgodzicie.

- Przejąć firmę Adrianny Ames? - Jill aż się zachłysnęła. - Chyba by się przewróciła w grobie, gdyby się o tym dowiedziała. Nawet nie muszę się zastanawiać - oczywiście, że tak. To się nazywa boska sprawiedliwość!

- Ja też się zgadzam, jeśli mogę przywieźć wszystkie koty. Czemu nam to proponujesz? - Gwen ciągle miała mokre oczy.

Olivia uśmiechnęła się przez łzy.

- Bo tak trzeba! Prawda, tato?

- Tak, Ollie, tak trzeba. - Dennis z uśmiechem pokiwał głową.

- No i proszę. Mój tata zawsze ma ostatnie słowo. Drogie panie, umowa stoi!

Drzwi frontowe zamknęły się za Gillem, a otworzyły się drzwi na podwórko. Miniaturowe kopie Cecila wpadły do salonu, piskiem i ujadaniem domagając się uwagi. Wszystkie panie zaczęły je drapać za uszami i głaskać po różowych brzuskach. Najgorsze było już za nimi.

Rozdział 28

Olivia wbiła wzrok w kalendarz wiszący na ścianie w kuchni. Od czasu ostatnich „rewelacji” upłynęło już osiem długich dni. Tak właśnie w myślach określała spotkanie z Jill, Gwen, Gillem i swoim ojcem. Żołądek nieprzyjemnie jej się ścisnął, więc wróciła do stołu i sięgnęła po filiżankę z kawą. Czekwała, aż Jeff zejdzie na dół - wybierali się do sądu, bo dziś miało się odbyć posiedzenie w sprawie Cecila.

Eagle Drive powoli budziło się do życia - przed domem zaczęli się gromadzić reporterzy i kamerzyści. Nawet bez patrzenia w okno Olivia mogła powiedzieć, że pewnie piją teraz kawę ze styropianowych kubków, czekając, aż pokaże się Jeff. Ciekawiło ją, czy pojedą za nim, czy zostaną tu. Prawdopodobnie podzieliła się, stwierdziła.

Wyszła z kawą do ogródka, gdzie psy już buszowały w mokrej od rosy trawie. Jak im się tu dobrze żyło! Wczoraj Jeff uczył wszystkie skakać przez koło do hula-hop, które znalazł w garażu. Dla większości wystarczającą zachętą do skakania przez jaskrawoczerwoną obręcz był przysmak, który czekał na nich po drugiej stronie. Tylko Alice patrzyła z pogardą na te wyglupy. Ale kiedy zwiتریła szansę na nagrodę, zdobyła się na drobne ustępstwo. Spokojnie podeszła do obręczy i po prostu przelazła na drugą stronę. Powtórzyła ten wyczyn jeszcze pięć razy - w ten sposób zdobyła sześć przysmaków, którymi z nikim nie chciała się podzielić. Jeff tak się śmiał, że aż usiadł na trawie i przewrócił się na bok, trzymając za brzuch.

Psy nie są głupie - oświadczył, kiedy był już w stanie normalnie oddychać. A już na pewno nie Alice.

Cecil trącał łapą Olivię. Chciał na rękę, więc go podniosła i czule do niego przemawiała.

- Nic się nie bój, Cecil. Zaufaj mi, Jeff nikomu ciebie nie odda, nie pozwoli zabrać. On jest prawnikiem. Ludzie nie znoszą prawników, ale on akurat jest jednym z tych dobrych.

Cecil polizał ją po brodzie i schował głowę w jej ramiona. Przytuliła go mocniej.

Siedziała tak, popijając kawę i rozmyślała o tym, co się wydarzyło w ciągu tych ostatnich ośmiu dni. Kiedy wszystko wróci do normy, będzie musiała któregoś dnia wsiąść w samochód i pojechać całkiem sama nad jezioro, żeby pochodzić wzdłuż

brzegu i uporządkować myśli i uczucia. Ojciec ją tam zabierał, kiedy czymś się stresował, spacerowali razem. Wtedy była za mała, żeby to zrozumieć; pamiętała tylko, że brał ją za rękę i rozmawiali o kreskówkach, o jeździe na wrotkach, o tym, czy koleżanki mogą zostać na noc, o czymkolwiek - póki ojciec nie przemyślał sobie tego, co go dręczyło. Potem szli na pizzę albo na lody - nigdy jedno i drugie, ale to zawsze Olivia wybierała, co będą jeść.

Od ośmiu dni tata dzwonił codziennie, żeby jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha i że mimo rewelacji związanych z kobietą, która urodziła Olivię, nic się między nimi nie zmieniło. Olivia wierzyła ojcu, bo też go kochała i sama starała się wszelkimi sposobami utwierdzić go, że wszystko jest w porządku. Bo było.

Po rewelacjach Gwen i Jill Olivia jeszcze bardziej nienawidziła Adrianny Ames. Ale Adrianna, podobnie jak Allison, należała już do przeszłości i ostatnie dni przyniosły Olivii poczucie niezwyklego spokoju.

Wróciła myślą do tamtego wieczoru; chociaż nie miała zamiaru podsłuchiwać, to niechcący usłyszała słowa Jill. Przypomniała sobie, jak Jill, już za drzwiami, położyła rękę na ramieniu Gwen i obróciła ją twarzą do siebie.

- Tak, Gwen, myślę, że poszła do piekła.

Potem wsiadły do samochodu i odjechały.

Jeszcze tyle się wydarzyło od tamtego czasu. W Wielkiej Skale powiedzieli, że u nich ta sprawa też już jest zaksięgowana, zamknięta i nie chcieli, żeby Prentice O'Brien wysyłał im czek. A ponieważ czek był już wystawiony, a Jill nie chciała przyjąć swojego z powrotem, pieniądze z obu czeków poszły na specjalną fundację na rzecz praw zwierząt, bezdomnych, kuchni dla ubogich, bezpłatną opiekę medyczną dla biednych dzieci i co tylko jeszcze Olivii udało się wymyślić.

Gwen i Jill mieszkały teraz w domu Adrianny Ames, ale już sygnalizowały, że chcą go sprzedać i przenieść się do apartamentu biurowego w Missisipi, o ile Olivia się na to zgodzi. Jeff pochwalił ten pomysł i obiecał pomoc w kwestiach prawnych - oczywiście, w porozumieniu z prawnikami firmy.

Ojciec słusznie powtarzaj, że jeśli tylko człowiek jest cierpliwy, z czasem wszystko wychodzi na prostą. Jednak to mądry facet.

Z zamyślenia wyrwał ją głos dobiegający od strony furtki do ogródka. - Hej. Ollie! To ja, Dee Dee. Mogę wejść?

Cecil w mgnieniu oka wskoczył Olivii na kolana. Reporterka w eskorcie całej sfory podbiegła do tarasu, na którym pyszniły się czerwone pelargonie i gerbery w glinianych donicach. Na jednym kwiatku przysiadł sobie żółty motylek. Trzy spośród psów czujnym spojrzeniem śledziły jego mchy, ale żaden nie skoczył do ataku. Olivia się uśmiechnęła.

Dee Dee, zadyszana po biegu przez podwórko, przekazała jej wiadomość.

- Ollie, masz gościa. Lada moment zadzwoni dzwonek do drzwi i coś mi się zdaje, że to były szef twojego chłopaka. Widziałam go na zdjęciu w gazecie. Prawda, że mogę zostać? - Pokazała palcem dyktafon, ukryty w kieszonce bluzki. - Już włączony.

- Pan Martindale tu jest? O mój Boże! Lecę po Jeffa. Dziś przecież rozprawa. Po co przyszedł? Jasne, że możesz zostać.

Dee Dee wzruszyła ramionami.

- Może chce się ułożyć jeszcze przed rozprawą. To normalne dla prawników. Jest z nim ktoś jeszcze, chyba ten spadkobierca pani Manning, ale kompletnie nie do poznania. Nieźle go odpicowali. Oho, dzwonek! A co z psami?

Olivia ścisnęła pięści, zastanawiając się, co zrobić. Mieli z Jeffem dokładnie siedem minut do wyjścia, jeżeli nie chcieli się spóźnić do sądu.

- Niech tu na razie zostaną. I tak będą tuż pod drzwiami. Kiedy kiwnę głową, to je wpuścisz, dobrze? A przy okazji, podwójna randka w tę sobotę jest aktualna. W zeszłym tygodniu po prostu za dużo się działo. Zapomnieliśmy o tylu rzeczach, nawet przegapiliśmy Święto Jabłoni. Jeff mówi, że jego kumpel na pewno ci się spodoba. Chodź, zobaczymy, co pan Ambrose Martindale ma nam do powiedzenia.

Kiedy weszły do przedpokoju, Jeff akurat otwierał drzwi. Olivia zmierzyła wzrokiem wysokiego mężczyznę na ganku. Wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażała, słuchając Jeffa. Szary biznesowy garnitur. Szpakowate włosy odcinały się od równiuteńkiej opalenizny, pewnie prosto z prywatnego solarium prezesa firmy. Zapach jego wody kolońskiej powalał, a w noskach wyglansowanych butów można się było przeglądać. Żółty rolex odbijał blask lampy z przedpokoju. Ale uwagę Olivii

przykuł przede wszystkim jego towarzysz - wysoki, chudy chłopak, którego tydzień przedtem widziała w telewizji.

Ktoś, najprawdopodobniej sam Ambrose Martindale, mocno popracował nad jego wizerunkiem, bo w niczym nie przypominał obdartego prostaka, który pije piwo prosto z butelki, a w kieszeni nosi spluwę. Dziś był ubrany w granatowy garnitur od Armaniego, krawat dorównywał elegancją temu, który miał na sobie Martindale. Śnieżnobiała koszula ścisnęła mu grdykę. Zniknęły tłuste strąki, a pojawiła się schludna fryzura. Prezentował się całkiem, całkiem.

- Możemy wejść, Jeffrey?

Jeff nie odpowiedział od razu, tylko zrobił krok do przodu, tak że Martindale i jego towarzysz musieli się cofnąć. Potem odezwał się spokojnym głosem:

- A po co? Czego tu szukasz, Ambrose? W ogóle nie powinno cię tu być. Właśnie wychodzę do sądu. Należało zadzwonić, zaoszczędziłbyś sobie drogi. -I zrobił jeszcze krok do przodu, żeby reporterzy stłoczeni na ulicy mieli lepszy widok.

Martindale nie dał się tak łatwo zbić z tropu.

- Pozwól, że ci przedstawię pana Everly'ego Crackera. Jest spadkobiercą pani Manning. Obaj chcielibyśmy z tobą porozmawiać. Mogę w każdej chwili zadzwonić do sądu i powiedzieć im, że właśnie negocjujemy. Najwyżej wezmą na wokandę następną sprawę. Sędzia Donner to bardzo rozsądny człowiek, zresztą od lat grywamy razem w golfa.

- Tu nie ma nic do negocjowania, Ambrose. Nie oddam Cecila ani tobie, ani panu... Crackerowi. Nie ma o czym dyskutować. Chyba że chcesz mi powiedzieć, iż sędzia Donner będzie skłonny orzec na twoją korzyść. Bo to właśnie sugerujesz, prawda?

Martindale pozostał niewzruszony.

- Ja tylko mówię, że sędzia Donner to rozsądny człowiek i że przyjaźnimy się od ponad trzydziestu lat. Wcałe bym się nie dziwił, gdyby rzeczywiście orzekł na moją korzyść. Narwaniec z ciebie, Bannerman. A poza tym, uważam, że mam wszelkie prawo zobaczyć Cecila i przekonać się na własne oczy, w jakiej jest formie i czy rzeczywiście nic mu nie brakuje. Przynies psa.

Jeff spojrział na Olivię i uniół brwi. Olivia kiwnęła głową Dee Dee. Jeff gwizdnął przez zęby i krzyknął do reporterów:

- Hej! Kto chce poznać Cecila, zapraszam bliżej! Dziennikarze rzucili się do przodu, a jednocześnie z podwórka przez kuchnię wpadły jak huragan srebrnoszare futrzaste stworki. Dee Dee, nie tracąc okazji, wskoczyła na krzesło w przedpokoju i cykała zdjęcie za zdjęciem.

- Szczury! - wrzasnął Cracker. - Zróbcie coś! - Przywarł plecami do ściany i skrzyżował ramiona na chuderlawej piersi. - Jezu, co to za dom?

- Zamknij się, Everly. Nie rób z siebie idioty - to nie szczury, to psy. Bannerman, co tu się, do diabła, dzieje? - zdenerwował się Martindale.

- Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć, Martindale. Już u ciebie nie pracuję. A teraz wychodzę do sądu. Zamierzam złożyć wniosek, żeby sędzia Donner nie prowadził sprawy ze względu na waszą długoletnią zażyłość. Przy okazji wspomnę, jaki to z niego rozsądny człowiek. - Powiedział to na tyle głośno, żeby reporterzy słyszeli każde słowo.

- Nie bądź głupi, Bannerman. Przejechałem taki kawał drogi po to, żeby nie robić cyrku w sądzie. Usiądźmy i pogadajmy spokojnie. I niech ktoś zamknie te psy! Który to Cecil?

Jeff pozwolił sobie na złośliwy uśmieszek.

- Ten srebrny, z beżowym pyszczkiem, krótkim ogonkiem i sterzcącymi uszami!

Martindale schylił się, żeby z bliska się przyjrzeć ujadającej czeredzie.

- Co to za gierki? Przecież one wszystkie tak wyglądają.

- O, faktycznie. No, to zawołaj go po imieniu. Cecil przecież wie, jak się nazywa.

- To nie psy - to jakieś szczurki. Ty se nie myśl, że wezmę na kark takiego szczurka, żeby dostać forszę po tej babce. Nie biorę szczura! W życiu nie widziałem, żeby pies tak wyglądał - wtrącił się Cracker.

Martindale w końcu nie wytrzymał.

- Zamknij się, Cracker! Powiedziałem ci, że to psy, a nie szczury. Mógłbyś przynajmniej udawać, że myślisz.

- Chcesz powiedzieć, że jestem głupi?

Cracker kopnął na oślep, ale malec, który był najbliżej odskoczył, zanim dosięgnął go czubek lśniącego pantofla od Bruno Magli. Dee Dee udało się uchwycić ten moment, podobnie, jak innym fotografom. Martindale zaczął wołać Cecila i zupełnie nie mógł zrozumieć, czemu wszystkie psy do niego podbiegły.

- Możesz sobie któregoś wybrać, Martindale.

- Zostaniesz za to zawieszony w zawodzie, Bannerman! Pytam po raz ostatni: który to Cecil?

- Mówiąc dokładnie i szczegółowo - nie wiem. A w skrócie - też nie wiem. Ale sam widzisz, że wszystkie psy mają się znakomicie. Są zdrowe i kochane i świetnie się czują w swoim towarzystwie. Bierz Cecila i sprawa załatwiona.

- Nie mogę i ty dobrze o tym wiesz, Bannerman. Nakazuję ci wziąć tego psa i pokazać mi go. Wysokiemu Sądowi coś takiego się nie spodoba. Skąd mogę wiedzieć, że Cecil tu jest? A w ogóle to chyba niezgodne z prawem, żeby trzymać w domu tyle psów!

- Czy mamy zorganizować przesłuchanie, żebyś się upewnił, że jeden z tych psów to na pewno Cecil? Jako jego prawny opiekun, adwokat panny Lowell i, co najistotniejsze, zaprzysiężony przedstawiciel prawa, jestem gotów zeznać, że to prawda; oprócz tego mogę przedstawić mnóstwo świadków, którzy potwierdzą moje zeznanie. A ty masz jakiś dowód, że tak nie jest?

Zanim Martindale zdołał coś wyjąkać, Olivia miała już w ręku tymczasową licencję na prowadzenie schroniska. Pomachała nią Ambrose'owi Martindale'owi przed nosem. Ten cofnął się o krok i zbladł.

- No i co? - zapytał Jeff, tupiąc ze zniecierpliwieniem nogą. -A może pan, panie Cracker, chce sobie wybrać Cecila?

- Ja tam nie chcę żadnego psa, a już na pewno takiego, co wygląda na szczura. Dajcie mi tę kasę i tę wyczesaną chatę. Kumpie na mnie czekają. Jakbym się im

pokazał z takim szurkiem, to by mnie chyba wyśmiali. Już mówiłem, że nie chcę żadnego psa.

- On nie chce Cecila! - wykrzyknęła Olivia. - Możemy to dostać na piśmie? - O, mój Boże, żeby tylko się nie okazało, że on jest niepiśmienny.

- Pan Cracker nic nie będzie dawać na piśmie, panno Lowell. Proszę to sobie wybić z głowy. - Martindale nadal piorunował spojrzeniem srebrnoszarą futrzastą masę, a psy przyglądały mu się z takim samym natężeniem.

Olivia zauważyła, że jeden z nich, Cecil - poznała po czerwonej kropce na ogonie - skrada się za plecami pana prezesa. Głowę spuścił, uszy położył po sobie, ogonek podkułił. Cofnęła się o krok i szturchnęła Dee Dee, żeby zrobiła zbliżenie na psa. Reporterka zareagowała w samą porę, bo w tym momencie Cecil dał wielkiego susa i wpił się zębami w siedzenie drogich markowych spodni Martindale'a. Trzymał się mocno, a prawnik bezskutecznie usiłował go z siebie strząsnąć.

Widząc, że ich koleżka świetnie się bawi, reszta stada nie mogła nie skorzystać, skoro trafiła się taka gratka, i już po chwili Martindale wyglądał jak dosyć oryginalna choinka, ustrojona w york teriery zamiast bombek.

- Ale się trzymają, skubańce - zarechotał Everly Cracker. - Dawajcie ten papier i już mnie tu nie ma.

Jeff miał ulgę dosłownie wypisaną na twarzy. Martindale - wręcz przeciwnie.

- No, więc jak będzie, Martindale?

- Ściągnij ze mnie te psy, Bannerman! Mogę cię za to podać do sądu. I podam! One zniszczyły mi garnitur. Garnitur za trzy tysiące dolarów. Dobrze już, dobrze. Skoro pan Cracker nie chce tego psa, to możecie go sobie zatrzymać. A teraz weźcie ode mnie te... szczyry!

Olivia klasnęła w ręce.

- Cecil, dobry piesek. Chodźcie tu, mam dla was coś dobrego. Natychmiast ustawiły się w dwóch kolejkach i grzecznie czekały na przydziałowe przysmaki.

- A podziękować to nie łaska? - zaśmiała się Olivia. Wszystkie naraz szczeknęły. Zerknęła w dół, wyławiając spośród stada Cecila; wzięła go na ręce i szepnęła mu do

ucha. - Ty dostaniesz dwa przysmaki, bo ugryzłeś tego wstrętnego typu w tyłek. No, zmykaj!

Cecil odrzucił głowę w tył i zawył donośnie, po czym pogalopował do salonu, gdzie dwoma przysmakami zaznaczył swoją pozycję jako przewodnik stada. W mgnieniu oka Alice porwała mu jeden i uciekła z nim do swojego legowiska. Nie wybuchły z tego powodu żadne niesnaski, bo wszystkie psy wiedziały, że to Alice jest niekwestionowaną królową pod numerem 509 na Eagle Drive.

Everly Cracker złożył koślawy podpis na przygotowanym przez Jeffa formularzu zrzeczenia. Ambrose Martindale piorunował wzrokiem fotografów. Próbował w ten sposób odzyskać odrobinę godności, ale poniósł haniebną porażkę.

Kiedy Jeff i Olivia rozmawiali z dziennikarzami na trawniku przed domem, Dee Dee Pepper kiwnęła na Martindale'a, żeby wszedł z nią do kuchni.

Wyciągnęła dyktafon z kieszeni i wcisnęła „play”. Zadudnił odtwarzany z taśmy głos Martindale'a.

- Gdyby przypadkiem przyszło panu do głowy, żeby robić moim przyjaciołom jeszcze jakieś problemy, to może pan być pewny, że wyślę to do Naczelnej Rady Adwokackiej. Rozumiemy się, panie Martindale?

- To szantaż! - obruszył się Martindale.

- Może pan to nazywać, jak pan chce. Ja nazywam zabezpieczeniem. Oj oj oj, taki ładny garniturek, co za szkoda. Co tam, niech pan wypisze rachunek na poczet majątku pani Manning. Tak sobie przecież dorabiacie na te wasze garnitury, nie? No, to pa! - pożegnała się przymilnie Dee Dee. - Muszę lecieć. Robimy wydanie specjalne i terminy mnie gonią.

Ciężkie martensy zadudniły na deskach przedpokoju.

- Wpadnę do was później z gazetą - zawołała do Olivii w przelocie. - Robimy specjalne wydanie popołudniowe, Cecil dostanie całą pierwszą stronę. Spróbuję wstawić jego fotkę na samej górze. Możesz mnie zaprosić na kolację, to mi opowiesz o tym facecie, z którym mam mieć randkę.

- Jasne! - odkrzyknęła Olivia.

Oboje z Jeffem podeszli do samej ulicy, żeby uściskać ręce wszystkim, którzy się opowiedzieli po stronie Cecila. Później jeszcze stali długo, trzymając się za ręce, póki Eagle Drive zupełnie nie opustoszało.

- Udało nam się, Jeff. Cecil jest nasz. Hej, muszę zadzwonić do taty i podzielić się dobrymi nowinami!

Jeff uśmiechnął się z zadowoleniem i poszedł do domu w ślad za Olivią. W drzwiach czekał na niego Cecil. Jeff uklęknął i wziął psa na ręce. Nawet nie musiał patrzeć na ogon - i tak wiedział, że to Cecil; nie miał pojęcia skąd wie, ale wiedział.

- No, mały, już jesteś nasz. I powiem ci, że warto było przez to wszystko przejść.

Cecil z całych sił próbował się wydłuzić, żeby przytulić się Jeffowi do policzka. Wreszcie zadowolił się zagłębieniem szyi, gdzie oparł swoją małą główkę. Jeff nagle poczuł w gardle wielką kulę.

Tak, to właśnie była prawdziwa miłość i poświęcenie.

Rozdział 29

Lucy, suczka bernard - Olivia fotografowała ją przez ostatnie dwie godziny - i jej dwumiesięczny szczeniak biegnął w podskokach do samochodu, podążając za swoją panią.

Olivia strasznie się z Lucy namęczyła, bo suczka upierała się, że szczeniak musi być z nią na wszystkich zdjęciach. W końcu Olivia uległa, a przy okazji postanowiła, że da zdjęcie Lucy na grudniową stronę przyszłorocznego kalendarza. Teraz zmarszczyła czoło, bo zobaczyła, że Lucy biegnie do niej przez trawnik. W zębach trzymała srebrną paczuszkę. Podniosła oczy na Olivię, po czym upuściła paczkę na ziemię. Olivia zamrugnęła, nie wiedząc, czy ma się spodziewać, że zaraz Lucy powie: „Proszę bardzo, prezent ślubny”. Oczywiście, Lucy nic takiego nie powiedziała, ale za to zaszczekała, czekając, aż Olivia wypowie obowiązkowe „dobra sunia”. Potem pobiegła do swojej pani. Pierwszy prezent ślubny. Przyniesiony przez bernardyna.

Podniosła paczkę, ale uznała, że z otwarciem poczeka na Jeffa. Jeszcze pięć dni!

Za pięć dni zostanie Olivią Bannerman. Serce jej mocniej zabiło.

Weszła do domu po puszkę picia i usiadła z nią na tarasie. Był piękny wrześnieowy dzień, tak promienny jak jej obecny nastrój. Wszystko układało się tak wspaniale, że aż strach.

Umościła się wygodnie na leżaku i rozejrzała po swoim małym królestwie. Trawnik nie wyglądał najlepiej po takim najeździe rozbrykanych psów - ale co tam, odrośnie. A poza tym, nie za wiele padało w ciągu ostatnich kilku miesięcy, a jesień i zima już za pasem. Zadrzała, mimo popołudniowego słońca, patrząc na doniczki z kwiatami, którym powoli żółkły liście. Niedługo będą przymrozki, a wtedy koniec z pięknymi kwiatami. Już teraz niektóre liście uschły.

Zadzwoił telefon. Sięgnęła po niego z uśmiechem. Jeff. Codziennie dzwonił o tej porze. Przywitała się, nie przestając się uśmiechać.

- Kochasz mnie jeszcze? - spytał Jeff. - To już tylko pięć dni!

- Nie, przykro mi bardzo. Dziś postanowiłam, że jednak wyjdę za elektryka. Pięć dni! A ile godzin i minut? Proszę mi to powiedzieć, panie Bannerman!

Cichy śmiech w słuchawce przyprawił Olivię o przyjemny dreszczyk.

- Nie mogę dziś przyjechać, Olivio. Biurko mam tak zawałone, że pewnie jutro też nie dam rady. Powiedz mi, po co brałam dodatkową robotę?

- Bo chciałeś pomóc koledze. Sam tak mówiłeś, Jeff. Po załatwieniu sprawy Cecilia kancelarie ustawiały się w kolejce, żeby cię zatrudnić, a ty odmówiłeś wszystkim, bo chciałeś pomóc przyjacielowi rozkręcić własną firmę. Myślisz, że to błąd? Jeśli tak, to w każdej chwili możesz zrezygnować. Praca w Skarbcu Adrianny czeka.

- Wiem, wiem. Czy to był błąd? Nie, Olivio, na pewno nie. Drew zrobiłby dla mnie to sarno. Zresztą zgodził się pomóc mi, kiedy będę otwierać kancelarię w Winchesterze; muszę przyznać, że to coraz bardziej mnie kręci. Widać jestem małomiasteczkowy facet. Ale chcę wszystko doprowadzić do porządku, żebym nie musiał tu wracać po naszej podróży poślubnej. Nie muszę chyba mówić, że robię to po koleżeńsku. Już prawie wszystko pozałatwialiśmy. Tylko szkoda mi każdej chwili, kiedy nie jestem z tobą i z psami.

Olivia roześmiała się radośnie. Taka była szczęśliwa!

- Słuchaj, Jeff, dziś rano dzwoniła Dee Dee Pepper i powiedziała, że już niedługo pójdzie za naszym przykładem. Więc domyślam się, że są już ze sobą na poważnie.

- Bo są poważni. Znaczy, są ze sobą na poważnie. Chyba mamy na tę dwójkę dobry wpływ! Tęsknisz za mną? A psy za mną tęsknią?

- Tak, i ja, i one. A, zapomniałabym ci powiedzieć, że dostaliśmy dziś nasz pierwszy prezent ślubny. Dostarczony własnymi łapami przez pewną sunie bernardyna o imieniu Lucy. Otworzymy go razem. Już nie mogę się doczekać - nasz pierwszy prezent ślubny!

- Suczka bernardyn, mówisz? Rany, ja też nie mogę się doczekać. Dobra, kochanie, muszę kończyć. Zadzwoń wieczorem.

Olivia rozłożyła się na leżaku, pozwalając, by popołudniowe słońce ogrzało jej twarz. Psy krążyły po tarasie, aż znalazły sobie odpowiednio duże plamy słońca, i tam się wyciągnęły. Dlaczego nie? Do obiadu jeszcze godzina.

Olivia miała ochotę śpiewać na całe gardło, ale zadowolili się, nucąc sobie pod nosem marsza weselnego. Wszystko układało się doskonale. Czym sobie zasłużyła na tyle szczęścia? Zwłaszcza z taką matką. Ale знаła odpowiedź: jej tata był dla niej ojcem i matką.

W ostatnich miesiącach wiele przeszła, ale w końcu, z pomocą ojca, zostawiła to wszystko za sobą. To niesamowite, jak im się wszystko ułożyło po dramatycznych wyznaniach Jill i Gwen wtedy, w maju. Po tym wszystkim zdecydowali z Jeffem, że spędzą miodowy miesiąc na łodzi jej ojca. Dennis przypieczętował sprawę, przypominając im, że będą tam sami - bez radia, telewizji i telefonu. Wtedy Jeff zawołał: „No, to jedziemy!”, i na tym stanęło.

W weekend Jill zadzwoniła i pytała o długoterminową prognozę pogody, bo chciała wiedzieć, jak mają się z Gwen ubrać na wesele. Olivia śmiała się jak wariatka jeszcze godzinę po odłożeniu słuchawki. Sama nie wiedziała, kto tu jest szczęśliwszy: ona i Jeff, czy Jill i Gwen.

Tak więc z tej paskudnej sytuacji, z tej tragedii, wyniknęło jednak jakieś dobro. Prawda, choć często rani, leczy duszę. Ona sama, jej ojciec, Jill i Gwen mogli to potwierdzić.

Czasem tylko lekko kłuło ją sumienie, gdy przypomniała sobie, do jakich sztuczek musieli się uciec, żeby wyrwać Cecila z łap Everly'ego Crackera - który, nawiasem mówiąc, od tamtego pamiętnego poranka już dwa razy siedział w areszcie. Raz za zakłócanie porządku, a raz za jazdę po pijanemu. Dee Dee mówiła, że wyprowadza się ze swoimi kumplami z domu Lillian, żeby wrócić, jak to określiła, do tej dziury, z której wypelzł. Ale przynajmniej Cecilowi nic już nie groziło. W tym wypadku cel naprawdę uświęcił środki. Martindale, również według doniesień Dee Dee, który był odpowiedzialny za wszelkie machinacje w ostatnich kilku miesiącach, popadł w niełaskę mediów i strategicznie wyjechał w długi rejs po Morzu Śródziemnym.

Olivia ziewnęła i przeciągnęła się rozkosznie. Psy, jeden po drugim, zrobiły to samo. Czas na obiad, pomyślała, spoglądając na zegarek. Od dziś przez trzy tygodnie już nie musi się niczym przejmować. Po Lucy, ostatniej klientce, następne zgłoszenia wpisze do kalendarza dopiero za dwadzieścia jeden dni.

Wszystko jest w porządku.

Poprawka, wszystko jest absolutnie cudowne.

Mały dom przy Eagle Drive pękał w szwach. A na końcu korytarza, z dała od całego zamieszania, Olivia w swojej sypialni szykowała się do ślubu, który miał się odbyć w salonie. Pomagały jej Dee Dee, Gwen i Jill, całe w uśmiechach.

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi.

- Proszę! - krzyknęła Olivia, a widząc, kto przyszedł, dodała. - Och, pani Bannerman! Ślicznie pani wygląda.

Matka Jeffa, drobna kobietka, roześmiała się.

- Ale nie tak ślicznie jak ty. Chcę ci coś dać. To nic wielkiego, taka haftowana chusteczka, którą dostałam od matki, a ona od mojej babki. No, wiesz, coś starego, coś nowego, coś pożyczonego i coś niebieskiego - tłumaczyła miłym, nieśmiałym

głosem. Podąła Oliwiiskrawek materiału, a ona zwinęła go i włożyła do rękawa sukni.
- A przy okazji, jeszcze ci nie podziękowałam, że zdjęłaś nam z głowy kłopot z Jeffem! Już prawie pogodziliśmy się z tym, że do końca życia zostanie kawalerem.

Olivia uściskała starszą panią i szepnęła jej do ucha:

- Bardzo kocham pani syna i zrobię wszystko, żeby był ze mną szczęśliwy. Dziękuję pani za to, że Jeff jest takim cudownym człowiekiem.

Pani Bannerman tylko się uśmiechnęła.

- No, to zostawiam cię, żebyś się mogła spokojnie szykować. Jakby ktoś mnie szukał, to idę płakać w pierwszym rzędzie.

Kiedy za panią Bannerman zamknęły się drzwi, Jill ze łzami w oczach powiedziała:

- To nas właśnie ominęło. Dziękuję, Olivio, że możemy z tobą dzielić takie chwile. Obie tyle ci zawdzięczamy, że nie wiem, jak mam ci dziękować. A przecież wyrzuciłyśmy twoje życie kompletnie do góry nogami. Teraz czuję, że żyję - po raz pierwszy od czterdziestu lat, Gwen też. Naprawdę żyjemy. I może nie jest to doskonałe życie, ale nam jest dobrze i za to zawsze będziemy ci wdzięczne.

Dee Dee, która znała Olivię na wylot, zauważyła, że pannie młodej zbiera się na płacz, więc wkroczyła do akcji.

- Moje drogie panie, nie myślcie sobie, że to koniec. Niedługo to mnie będziecie musiały wyszykować do ślubu - powiedziała ze śmiechem. - Ja też nie mam matki, tak jak Olivia. Przyda mi się pomoc.

- Naprawdę? - zachwyciły się Gwen i Jill.

- Naprawdę - Dee Dee uściskała je obydwie. Jill przygryzła wargę.

- A teraz czas na welon. W welonie od razu wygląda się uroczyściej. Wspaniale, że wybrałaś taką skromną suknię, Olivio - mały dekol, gruby jedwab, nieduży tren. Prześlicznie wyglądasz. A te kwiatuszki na wianku są po prostu urocze.

- Uwielbiam konwalie - wtrąciła Gwen zdławionym głosem. - Cudowny zapach. Piękna z ciebie panna młoda, Olivio. Obyś zawsze była tak szczęśliwa jak dziś.

- Zaczęli grać, muszę iść. No, moje panie, lecimy.

- Damy nie biegają - oświadczyła Jill. - My pójdziemy przodem. Zaraz przyślę tu twojego ojca, Olivio. Wszystko w porządku?

- W najlepszym. - Olivia z drżącym uśmiechem na twarzy stanęła przy drzwiach w oczekiwaniu na ojca.

Ależ z niego przystojniak, pomyślała, kiedy się pojawił.

- Tato...

- Ollie, ślicznie wyglądasz. Mój mały anioleczek. - Słyszając jego ochryply głos, poznała, że ojciec lada chwila się rozplacze, podobnie zresztą jak ona.

- Ty też nie najgorzej się prezentujesz. - Walczyła z łzami. - Tylko mnie teraz nie wzruszaj, bo jeśli się rozplacze, pożałujesz. Dennis odchrząknął.

- Dobrze. Słuchaj, Ollie, ja nie mam zamiaru wydawać ciebie za męża. Ja tylko... podzielę się tobą z Jeffem. Wiem, tak się mówi, że ojciec wydaje córkę, ale ja to biorę na serio. Więc zapamiętaj to sobie. Olivia rozbłysła megawatowym uśmiechem.

- Wiem, tato. Słuchaj, a czy pamiętałeś, żeby...

- Spokojnie, Ollie, wszystkim się zająłem. A teraz musimy już iść. Czekam na ciebie pewien młody człowiek, który przed chwilą wyglądał, jakby miał zemdleć. Może już przestaniesz go trzymać w niepewności?

- W takim razie chodźmy!

Pół godziny później, pastor zakończył ceremonię słowami:

- A zatem, ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować pannę młodą.

Jeff natychmiast skorzystał z przyzwolenia i zrobił to z wielkim zapalem. OHwie aż zamroczyło, a goście byli zachwyceni, nawet psy, które dla uczczenia okazji zostały ustrojone w satynowe wstążeczki.

Ze wszystkich stron na młodą parę posypały się płatki kwiatów, które psiaki oczywiście próbowały łapać w locie. Błysnęły flesze, a potem już trzeba było wychodzić na przyjęcie w restauracji.

Jeffrey i Olivia Bannermanowie odbierali życzenia od gości, którzy po kolei wychodzili i zajmowali miejsca w samochodach. Młoda para wyszła ostatnia.

- Olivio, czy ty też jesteś taka szczęśliwa jak ja?
- Bardziej - odpowiedziała z przekonaniem.
- Niemożliwe - obruszył się Jeff.
- No, dobrze, to jestem tak samo szczęśliwa.
- Może być. Chodź, kochanie, musimy powitać gości w restauracji. A poza tym umieram z głodu. Mam nadzieję, że podadzą coś dobrego.
- Ja też. Chociaż nie pamiętam, jakie dania zamawialiśmy. Ale czy to ważne?
- Nie. Ani trochę. - I Jeff znowu ją ucałował, a z tego pocałunku Olivia wyczytała dla nich cudowną przyszłość.

O jedenastej didżej wziął do ręki mikrofon i zapowiedział ostatni taniec wieczoru.

- Zapraszamy na parkiet państwa młodych!

Goście ustawili się w kręgu, a młoda para tańczyła, wtulona w siebie, przy piosence Whitney Houston *I will always love you*.

Później przyszedł czas na rzucanie bukietem. Złapała go, rzecz jasna, Dee Dee - rzuciła się i chwyciła kwiaty obiema rękami. Zadowolona, mrugnęła do Olivii, która pękała ze śmiechu.

Już wychodzili, kiedy w drzwiach podeszła do nich grupka ludzi. Olivia odwróciła się i zobaczyła Mary Louise Rafferty z bliźniakami. Obok stał syn Gwen, Timothy i jego dzieci. Mary Louise i Timothy szykowali się, żeby coś powiedzieć, ale Olivia położyła palec na ustach.

- Cśś. Każdy zasługuje na to, żeby dać mu jeszcze jedną szansę. Teraz właśnie macie szansę, żeby być prawdziwą rodziną. Nie zmarnujcie jej.

- Od kiedy to pani jest taka mądra, pani Bannerman? - zapytał Jeff, prowadząc ją do limuzyny.

- Odkąd spędzam tyle czasu z tobą i z moim tatą. - Olivia zaśmiała się. - A przy okazji, tata powiedział, że wcale mnie tobie nie oddaje, tylko się z tobą dzieli.

Jeff przytrzymał jej tren, kiedy wsiadała do samochodu.

- Wiem, mnie powiedział to samo. Śmiertelnie mnie przy tym wystraszył, bo pogroził mi palcem.

- Nie wierzę!

- Tak było!

- Co teraz, pani Bannerman?

- Poproszę o całusa.

- Jeff nie dał się prosić.

- Jak myślisz, Jeff, będziemy żyć długo i szczęśliwie?

- Hm. - Udał, że się zastanawia. - Jestem pewien, że tak, pani Bannerman.

- To świetnie, panie Bannerman. A teraz - do domu!

- Doskonały pomysł.